

Arthur Hailey

Ostateczna diagnoza

Przełożyły Teresa Grabowska i Barbara Zaliwska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W gorące letnie przedpołudnie Szpital Trzech Hrabstw na przemian tętnił życiem, to znów zamierał niczym przybrzeżna wyspa w porach przyływu i odpływu. Poza terenem szpitala mieszkańcy Burlington w Pensylwanii kąpali się we własnym pocie, zmagając się z dziewięćdziesięciostopniowym upałem* [* w stopniach Fahrenheita (32°C)] i prawie osiemdziesięcioprocentową wilgotnością powietrza. W pobliżu huty i zabudowań kolejowych, gdzie nie było cienia, ale i termometrów, słupki rtęci – gdyby przypadkiem ktoś chciał to sprawdzić – wskazałyby temperaturę dużo wyższą. W samym szpitalu było odrobinę chłodniej, lecz tylko odrobinę. Jednak ci spośród pacjentów i personelu, którzy mieli szczęście bądź wykorzystywali swoje szpitalne wpływy, mogli zaszyć się w klimatyzowanych pomieszczeniach, unikając największej spiekoty.

W izbie przyjęć na głównym piętrze nie było klimatyzacji, więc Madge Reynolds sięgnęła do biurka po piętnastą tego ranka chusteczkę higieniczną i otarła twarz. Doszła do wniosku, że pora już wymknąć się na chwilę i odświeżyć dezodorantem. Panna Reynolds, trzydziestoosmioletnia szefowa izby przyjęć, gorliwa czytelniczka reklam zachwalających środki higieny dla kobiet, żyła w ciągłej obawie, że może wyglądać niezbyt świeżo i w czasie upałów kursowała bezustannie między biurkiem a damską toaletą w głębi korytarza. Teraz jednak postanowiła, że najpierw musi ustalić nazwiska czterech osób, które tego popołudnia należało przyjąć do szpitala.

Przed kilkoma minutami otrzymała z oddziałów karty pacjentów, wypisywanych do domu. Okazało się, że zamiast dwudziestu czterech, jak się spodziewała, ze szpitala wyjdzie dwudziestu sześciu. Dodając dwa miejsca zwolnione przez osoby zmarłe tej nocy, można było założyć, że z długiej listy oczekujących da się wybrać cztery nazwiska do natychmiastowego przyjęcia. Gdzieś w czterech domach miasta Burlington i okolicy czwórka pacjentów, wypatrujących tego wezwania z nadzieją lub strachem, spakuje parę niezbędnych drobiazgów i z ufnością podda się metodom leczenia stosowanym w Trzech Hrabstwach. Panna Reynolds zmięła szesnastą chusteczkę, otworzyła segregator, podniosła słuchawkę telefonu i zaczęła wybierać numer.

W tym skwarze więcej szczęścia niż pracownicy izby przyjęć mieli pacjenci czekający na zabiegi w przychodni przyszpitalnej na drugim końcu głównego piętra. Wchodząc po kolei do jednego z sześciu gabinetów usytuowanych wokół wspólnej poczekalni, mogli przynajmniej tam

nacieszyć się klimatyzacją. W gabinetach zaś sześciu lekarzy bezpłatnie udostępniało swoje wyjątkowe talenty ludziom, którzy nie byli w stanie bądź nie chcieli płacić za prywatne wizyty u specjalistów z miejscowego ośrodka lekarskiego.

Sędziwy Rud Hermant, który pod presją rodziny dorywczo najmował się do prac fizycznych, siedział rozluźniony i upajał chłodem, podczas gdy doktor McEwan, laryngolog, próbował ustalić przyczynę jego postępującej głuchoty. Prawdę mówiąc Rudowi głuchota wcale nie przeszkadzała, ba! czasami, kiedy przełożeni kazali mu wykonać jakąś dodatkową pracę lub zmuszali do większej aktywności, okazywało się, że nawet przynosi niewątpliwą korzyść. Jednak pojawił się tutaj, gdyż najstarszy syn Ruda zdecydował, że należy zajrzeć do ojcowskich uszu.

Doktor McEwan wyciągnął wziernik z ucha starego i zmarszczył brwi ze złością.

– Byłoby dobrze, gdyby przynajmniej raz na jakiś czas mył pan uszy – rzucił z kwaśną miną.

Zły humor zupełnie nie pasował do McEwana, ale rano przy śniadaniu jego żona wszczęła od nowa wczorajszą kłótnię na temat domowych wydatków i w rezultacie wyprowadził z garażu swojego nowego oldsa z takim impetem, że wgniótł prawy tylny błotnik.

Rud Hermant spojrział na niego łagodnie.

– Co proszę? – zapytał.

– Powiedziałem, że byłoby dobrze... och, nieważne. – McEwan zastanawiał się, czy dolegliwość staruszka jest spowodowana jego podeszłym wiekiem, czy raczej została wywołana przez niewielki guz.

Ten szczególny przypadek sprawił, że ciekawość zawodowa wzięła górę nad zdenerwowaniem.

– Nie usłyszałem, co pan mówił – ponownie odezwał się Rud. McEwan odpowiedział głośniej: – Nic takiego! – Nieważne!

W tej chwili był zadowolony z głuchoty starca, bo wstyd mu się zrobiło własnego wybuchu.

W gabinecie medycyny ogólnej doktor Toynbee, otyły internista, przypalił od niedopałka kolejnego papierosa, obrzucając spojrzeniem pacjenta, który siedział po drugiej stronie biurka. Po zbadaniu chorego poczuł jakieś niedomagania żołądkowe, postanowił więc odstawić na tydzień lub dwa chińską kuchnię; w każdym razie z dwiema proszonymi kolacjami w tym tygodniu i wizytą w Gourmet's Club w przyszły wtorek z łatwością sobie poradzi. Stawiając diagnozę, popatrzył na chorego i rzekł stanowczo:

– Ma pan nadwagę, przepisuję panu dietę. – Należałoby też zrezygnować z palenia.

Mniej więcej sto jardów od miejsca, gdzie lekarze specjaliści odbierali hołdy pacjentów, panna Mildred, starszy pracownik administracyjny, mokra od potu przemierzała długi, zatłoczony korytarz. Nie zważając na przeszkody przyspieszyła kroku w pogoni za swoją ofiarą, która akurat zniknęła za zakrętem.

– Doktorze Pearson! – Doktorze Pearson!

Sędziwy patolog zatrzymał się, przesuwając ogromne cygaro do kącika ust, i mruknął ze złością: – Co znowu?

Pięćdziesięciopięcioletnia starzejąca się panna Mildred, która nawet w butach na najwyższych obcasach mierzyła nie więcej niż pięć stóp, zadrżała na całym ciele, słysząc jego warknięcie, ale raporty, formularze, akta to był jej żywioł, więc zebrała się na odwagę.

– Trzeba podpisać te protokoły sekcji, doktorze. – Rada Medyczna prosiła o dodatkowe kopie.

– Innym razem, śpieszę się. – Joe Pearson, despota z natury, był wyjątkowo źle usposobiony.

Panna Mildred nie poddawała się: – Panie doktorze, bardzo proszę. – To zajmie tylko chwilę. Od trzech dni usiłuję pana złapać.

Pearson ustąpił z wyraźną niechęcią, wziął formularze i długopis od panny Mildred i podszedł do biurka.

– Nie wiem, co podpisuję. Czego to dotyczy? – burczał.

– Przypadku Howdena, – panie doktorze.

Pearson nie przestawał zrzedzić: – Mamy dużo przypadków. – Nie pamiętam.

Panna Mildred wyjaśniła ze stoickim spokojem: – To robotnik, który zabił się spadając z rusztowania. – Jak pan sobie przypomina, jego pracodawca powiedział, że powodem wypadku musiał być atak serca, bo przy istniejących zabezpieczeniach coś takiego nigdy by się nie zdarzyło.

Pearson chrząknął: – Taaak.

Gdy podpisywał papiery, – panna Mildred mówiła dalej. Cokolwiek zaczynała, lubiła doprowadzić rzecz do końca: – Jednak sekcja wykazała, że mężczyzna miał zdrowe serce i żadnych schorzeń, które mogłyby być przyczyną upadku.

– Dobrze o tym wiem... – przerwał jej Pearson.

– Przepraszam, panie doktorze, ale myślałam...

– To był wypadek. Będą musieli przyznać wdowie rentę. Pearson rzucił tę uwagę, poprawił

cygaro i nabazgrał kolejny podpis, omal nie dziurawiąc kartki. Ma chyba więcej jajka na krawacie niż zwykle, pomyślała panna Mildred i zaczęła się zastanawiać, kiedy po raz ostatni stary patolog czesał niesformą siwą czuprynę. W Szpitalu Trzech Hrabstw powierzchowność Joe Pearsona odbierano jako coś pośredniego między żartem a skandalem. W ciągu dziesięciu lat, które od śmierci żony przeżył samotnie, jego ubranie mocno się zniszczyło. Teraz, w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, Pearson wyglądem przypominał czasami raczej włóczęgę niż kierownika jednego z ważniejszych oddziałów szpitala. Pod białym fartuchem panna Mildred dojrzała wełnianą kamizelkę ręcznej roboty wystrzępioną przy guzikach i z dwiema dziurami prawdopodobnie wypalonymi przez kwas. Szare spodnie bez kantów opadały fałdami na rozdeptane buty pilnie domagające się szczotki.

Joe Pearson podpisał ostatni protokół i naraz całą stertą papierów cisnął w pannę Mildred.

– Może dacie mi trochę popracować, co?

Cygaro podskoczyło, potem opadło w dół, strząsając popiół na fartuch i wypolerowane linoleum. Pearson pracował w Trzech Hrabstwach na tyle długo, że uchodziło mu płazem nawet najbardziej gburowate zachowanie, którego u młodszych pracowników nikt by nie tolerował; mógł sobie również pozwolić na ignorowanie napisów PALENIE WZBRONIONE, umieszczonych co kawałek w widocznych miejscach.

– Dziękuję, panie doktorze. – Bardzo dziękuję.

Skinął głową niechętnie i poszedł w kierunku głównego holu, zamierzając zjechać do podziemia. Ponieważ obie windy znajdowały się na górze, z okrzykiem zniecierpliwienia ruszył schodami prowadzącymi na jego oddział.

Trzy piętra wyżej, na chirurgii, było o wiele przyjemniej. W całej części operacyjnej temperatura i wilgotność podlegały stałej kontroli, więc lekarze i pielęgniarki mogli swobodnie poruszać się, rozebrani do bielizny pod zielonymi fartuchami. Niektórzy chirurdzy zakończyli już pierwsze poranne operacje i teraz podążali do gabinetu na kawę, wykorzystując przerwę przed następną turą zabiegów. Z sal operacyjnych po obu stronach korytarza pielęgniarki zaczęły już wywozić pacjentów, znajdujących się jeszcze pod działaniem narkozy. Pozostawali pod obserwacją w jednej z dwu sal pooperacyjnych do chwili, gdy można ich było już przetransportować do wyznaczonych łóżek.

Między jednym a drugim łykiem gorącej kawy Lucy Grainger, chirurg ortopeda, daremnie wyjaśniała powody, dla których wczoraj zdecydowała się kupić volkswagena.

– Przepraszam, Lucy – rzekł doktor Bartlett – ale zdaje mi się, że nadepnąłem na niego na parkingu.

– Nie przejmuj się, Gil – odparowała – przyda ci się praktyka przed wydeptywaniem ścieżek wokół twojego potwora z Detroit.

Gil Bartlett, jeden z najlepszych chirurgów w szpitalu, znany był powszechnie z kremowego cadillaca, który zazwyczaj lśnił nieskazitelną czystością, stanowiąc wierne odbicie swojego właściciela, od lat uchodzącego za najlepiej ubranego lekarza w Trzech Hrabstwach. Bartlett był również w szpitalu jedynym mężczyzną noszącym brodę w stylu Van Dyke’a, zawsze schludnie przystrzyżoną. Gdy mówił, podskakiwała w górę i w dół, co niepomiernie fascynowało Lucy.

Wolnym krokiem podszedł do nich Kent O’Donnell. Był ordynatorem na oddziale chirurgicznym, a równocześnie prezesem rady medycznej w szpitalu.

– Szukałem cię, Kent – zagadnął go Bartlett. – W przyszłym tygodniu będę miał wykład dla pielęgniarek na temat usuwania migdałków u dorosłych. – Czy masz jakieś zdjęcia zachłystowego zapalenia płuc?

O’Donnell przejrzał w myślach kolorowe zdjęcia, które wykorzystywał na swoich wykładach. Pojął, o co Bartlettowi chodzi – o jeden z mało znanych przypadków, jakie zdarzają się przy usuwaniu migdałków u osób dorosłych. Jak większość chirurgów, O’Donnell wiedział, że czasami podczas operacji – mimo największych starań – odrobina migdałka wymyka się spod kleszczyków chirurga i wpada do oskrzela, wywołując zapalenie płuc. Przypomniał sobie o kilku fotografiach tchawicy i płuca, obrazujących ten stan, i rzekł do Bartletta: – Chyba tak, odszukam je wieczorem.

– Jeśli nie masz tchawicy, daj mu zdjęcie odbytnicy. Nawet nie pozna... – wtrąciła się Lucy Grainger.

W gabinecie chirurgów gruchnął śmiech.

O’Donnell również się roześmiał. On i Lucy przyjaźnili się od dawna; nieraz zastanawiał się, czy gdyby mieli więcej czasu i sposobności, ich kontakty nie przerodziłyby się w coś głębszego niż przyjaźń. Wiele rzeczy mu się w niej podobało, zwłaszcza to, w jaki sposób potrafiła odnaleźć się w zawodzie uważanym często za męski. A równocześnie nie zatraciła nic ze swej kobiecości. Co prawda w fartuchu, który miała na sobie, wyglądała niezgrabnie, niemal beczkowo, jak wszyscy zresztą. Wiedział jednak, że ów strój ukrywa zgrabną, szczupłą sylwetkę, zazwyczaj przyodzianą w stylu klasycznym, lecz zgodnie z obowiązującą modą.

Tok jego myśli przerwało pukanie do drzwi, pojawiła się pielęgniarka.

– Doktorze O'Donnell, rodzina pańskiego pacjenta czeka na korytarzu.

– Proszę powiedzieć, że zaraz przyjdę.

Wszedł do szatni, by zdjąć fartuch. Na dzisiaj miał wyznaczoną tylko jedną operację – zakończyła się pomyślnie. Najpierw uspokoi rodzinę pacjenta, któremu właśnie usunął kamienie żółciowe, a później zadzwoni do dyrektora administracyjnego.

Piętro wyżej, nad chirurgią, w sali numer 48 dla prywatnych pacjentów George Andrew Dunton stracił już zdolność odczuwania różnicy między chłodem a upałem i tylko piętnaście sekund dzieliło go od śmierci. Podczas gdy doktor MacMahon ścisnął przegub dłoni konającego, starając się wyczuć moment zaniku pulsu, siostra Penfield nastawiła na max okienny wentylator, albowiem z powodu obecności krewnych pacjenta w pokoju zrobiło się nieprzyjemnie duszno. Pocziwa rodzina – pomyślała pielęgniarka – żona, dorosły syn i mała córka. Żona szlochała cicho, córce w milczeniu spływały łzy po policzkach, syn zaś stał odwrócony tyłem, ale wyraźnie drżały mu ramiona. Mam nadzieję, że po mojej śmierci też ktoś zapłacze; byłby to najlepszy dowód pamięci, skostatowała Elaine Penfield.

Doktor MacMahon puścił rękę pacjenta i spojrzął na zebranych. Nie trzeba było słów. Siostra Penfield skrupulatnie zanotowała godzinę zgonu: 10,52.

Na innych oddziałach i w mieszczących się w tym samym korytarzu salach dla prywatnych pacjentów, ta pora dnia należała do spokojniejszych. Wydano już poranne lekarstwa i zakończył się obchód; kolejny szczyt dziennej aktywności nastąpi dopiero w porze lunchu. Parę pielęgniarek wymknęło się do stołówki na kawę, a reszta zajęła się uzupełnianiem kartotek. „Skarzy się na ciągłe bóle brzucha” – napisała siostra Wilding w karcie pacjentki; miała dodać jeszcze jedną informację, ale naraz znieruchomiała.

Pięćdziesięciosześcioletnia siostra Wilding, jedna ze starszych pielęgniarek w szpitalu, sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła list, który, od chwili gdy go dostarczono na jej biurko razem z korespondencją pacjentów, przeczytała już dwukrotnie. Z koperty wypadła fotografia przedstawiająca młodego podporucznika marynarki w towarzystwie ładnej dziewczyny. Przez chwilę spoglądała na zdjęcie, po czym znowu oddała się lekturze. „Kochana mamo – tak brzmiał początek listu – z pewnością zdziwisz się, ale tu, w San Francisco, poznałem dziewczynę i wczoraj pobraliśmy się. Wiem, że będziesz rozczarowana, bo zawsze mówiłaś, że chcesz być na moim ślubie, jednak jestem pewien, że zrozumiesz, jak powiem ci...”

Pani Wilding oderwała oczy od kartki i pogрузzyła się w zadumie. Wróciła pamięcią do chłopca, o którym nigdy nie przestawała myśleć i którego tak rzadko widywała. Po rozwodzie opiekowała się Adamem aż do czasu, gdy poszedł na studia; potem było Annapolis, parę wspólnych weekendów i krótkie wakacje, później służba w marynarce, a tymczasem on dorósł, stał się mężczyzną i teraz należy już do kogoś innego. Musi dzisiaj wysłać telegram z życzeniami i serdecznymi pozdrowieniami. Przed laty mawiała, że rzuci pracę, gdy tylko Adam się usamodzielni, jednak nie zrobiła tego, a teraz ani się obejrzy, a emerytura sama do niej przyjdzie. Wsunęła na powrót list i zdjęcie do kieszeni, sięgnęła po pióro i dopisała starannie kaligrafowanymi literami: „Niezbyt obfite wymioty i biegunka. Dr Reubens powiadomiony.”

Na oddziale położniczym na trzecim piętrze nie było ani chwili spokoju. Dzieci, pomyślał doktor Charles Dornberger, szorujące ręce w towarzystwie dwu innych lekarzy położników, mają brzydki zwyczaj rodzenia się hurtem. Bywają godziny, a nawet dni, kiedy wszystko idzie ustalonym trybem, prawidłowo, i wówczas można odbierać porody w sensownej kolejności. A potem nagle pęka diabelska tama i na świat pcha się równocześnie pół tuzina noworodków. Właśnie teraz nadszedł taki moment.

Jego pacjentka, pulchna, wiecznie radosna Murzynka, miała urodzić dziesiąte dziecko. Przybyła do szpitala późno – poród już się rozpoczął – więc z izby przyjęć została przywieziona na wózek. Idąc korytarzem doktor Dornberger podслуchał fragment jej rozmowy z lekarzem stażystą, który odprowadzał ją na oddział położniczy. Jak zwykle w takich przypadkach, stażysta ściągnął windę osobową na główne piętro.

– Ci wszyscy mili ludzie wyszli z windy, żeby zrobić mi miejsce – mówiła Murzynka. – Ojej, nigdy w życiu nie czułam się taka ważna.

Następnie Dornberger usłyszał, jak stażysta prosi, by trochę odpoczęła, ale ona natychmiast zareplikowała: – Mam odpocząć, synku? Och, pewnie, że wypoczywam, gdy rodzę, zawsze wypoczywam. Tylko wtedy nie ma garów, zmywania, gotowania. Ojej, ledwie się doczekałam, żeby tu przyjechać. To dla mnie urlop.

Przerwała, bo chwyciły ją bóle. Za chwilę wymamrotała przez zaciśnięte zęby: – Mam dziesięcioro dzieci, to będzie dziesiąte. Najstarszy jest taki duży jak ty, synku. Czeka na mnie do przyszłego roku. Mówię ci, wrócę...

Z oddali dobiegł Dornbergera zduszony śmiech Murzynki, którą stażysta przekazał pielęgniarkom z oddziału położniczego, po czym wrócił do izby przyjęć.

Dornberger w ubraniu operacyjnym, z wyszorowanymi rękami, sterylnie czysty, lecz świadom, że oblewa go pot, zniknął za pacjentką w sali porodowej.

W kuchniach szpitalnych, gdzie upał nie stanowił większego problemu, bo wszyscy pracownicy byli przyzwyczajeni do wysokiej temperatury, Hilda Straughan, naczelna dietetyczka, skubnęła kawałek ciasta z rodzynkami i z uznaniem kiwnęła głową w stronę starszego piekarza. Była przekonana, że za tydzień kalorie z tego ciastka dodane do innych, dadzą o sobie znać na łazienkowej wadze, lecz szybko uciszyła sumienie tłumacząc sobie, że jej obowiązkiem jako dietetyka jest skosztowanie jak największej liczby szpitalnych posiłków. Poza tym w wypadku pani Straughan było już trochę za późno na zadreczanie się kaloriami i nadwagą. Połączone rezultaty wielu wcześniejszych prób doprowadziły do tego, że wskazówka na wadze i tak oscylowała w pobliżu dwustu funtów, z czego znaczna część tuszy przypadała na wspaniałe piersi – „dwa Gibraltary”, jak je nazywano w szpitalu – dzięki którym wkraczała wszędzie niby okazały lotniskowiec eskortowany przez dwa okręty.

Na równi z jedzeniem pani Straughan uwielbiała swoją pracę. Rozejrzała się z satysfakcją, ogarniając wzrokiem swoje imperium – lśniące stalowe płyty kuchenne i stoły do przygotowywania posiłków, błyszczące naczynia, bielusięńkie fartuchy. Gdy patrzyła na to wszystko, radość przepelniała jej serce.

W kuchniach wrzała praca – w ciągu dnia najtrudniej było sobie poradzić z lunchem, gdyż oprócz pacjentów był jeszcze do wykarmienia cały personel szpitalny. Za mniej więcej dwadzieścia minut na oddziały wyruszą pierwsze wózki z jedzeniem i wydawanie posiłków potrwa pełne dwie godziny. Później pomoce kuchenne pozmywają i pochowują naczynia, a kucharki wezmą się do przygotowywania wieczornego posiłku.

Myśl o naczyniach sprawiła, że pani Straughan ze smutkiem zmarszczyła brwi i wyszła do pomieszczenia na tyłach kuchni, gdzie stały dwie ogromne zmywarki automatyczne. Ta część jej królestwa nie błyszczała już taką nowoczesnością jak poprzednia i naczelna dietetyczka skonstatowała, zresztą nie po raz pierwszy, że byłaby dużo szczęśliwsza, gdyby – podobnie jak w pozostałych pomieszczeniach – sprzęt wymieniono na nowszy. Oczywiście było jednak, że nie da się zrobić wszystkiego naraz, tym bardziej że, odkąd dwa lata temu podjęła pracę w Trzech Hrabstwach, i tak wymusiła na administracji zakup wielu doskonałych urządzeń. Mimo to lada dzień musi znowu porozmawiać z administratorem o tych zmywarkach. Umocniwszy się w swoim postanowieniu, wyszła do stołówki sprawdzić czystość lad, z których wydawano gorące

posiłki.

Naczelną dietetyczką nie była w szpitalu jedyną osobą, której uwaga skupiała się na jedzeniu. Na oddziale radiologii na trzecim piętrze pacjent James Bładwick, wiceprezes do spraw sprzedaży w jednym z trzech największych salonów samochodowych w Burlington, był, jak sam mówił, „głodny jak diabli.” Powód był istotny: zgodnie z zaleceniem swojego lekarza Jim Bładwick pościł od północy i teraz trafił do gabinetu radiologicznego, czekając na prześwietlenie przewodu pokarmowego.

Rentgen miał potwierdzić albo wykluczyć podejrzenie, że w dwunastnicy Bładwicka podstępnie rozwija się wrzód. Jim Bładwick ufał, iż podejrzenie jest nieuzasadnione. Właściwie żywił rozpaczliwą nadzieję, że ani wrzód, ani nic innego nie stanie mu na przeszkodzie właśnie teraz, gdy jego aktywność, całkowite oddanie się pracy przez ostatnie trzy lata i szczerą chęć, by wypełniać swoje obowiązki lepiej niż pozostali pracownicy działu sprzedaży, zaczęły wreszcie procentować.

Ogromnie się tym zamartwiał, ale czyż mogło być inaczej, skoro co miesiąc musiał wykonać swoją normę sprzedaży? To nie mógł być wrzód, to z pewnością coś innego, coś banalnego, z czym można szybko się uporać. Wiceprezesem do spraw sprzedaży był zaledwie od sześciu tygodni, lecz wiedział lepiej niż ktokolwiek, że zachowanie tego górnolotnie brzmiącego tytułu zależy od stałej zdolności do pracy, która przysparza zyski. Żeby jednak działać, trzeba zachować formę, to znaczy być rzutkim, sprawnym, dyspozycyjnym. Żadne zaświadczenie lekarskie nie usprawiedliwi spadającej krzywej sprzedaży.

Jim Bładwick przez dłuższy czas odsuwał od siebie ów moment. Jakies dwa miesiące temu zdał sobie sprawę z ogólnie złego samopoczucia i bólu w okolicy żołądka; zauważył też, że często mu się odbija, niekiedy w bardzo niestosownych momentach, gdy wokoło jest pełno klientów. Później starał się udawać, że to nic nadzwyczajnego, jednak w końcu poszedł do lekarza po poradę, której wynikiem był dzisiejszy poranek. Mimo wszystko żywił nadzieję, iż badanie nie zajmie mu zbyt dużo czasu: kontrakt na sprzedaż sześciu krytych furgonetek Fowlera nabierał realnych kształtów, a firmie szalenie zależało na obrotach. Na Boga, ależ był głodny!

Dla doktora Ralpa Bella, starszego radiologa – przez większość personelu nazywanego „Ding Dongiem” – było to nic innego jak jeden więcej pasaż jelitowy, niczym nieróżniący się do setek pozostałych, lecz zakładając się z sobą, jak to czasami robił, od razu postawił diagnozę: „tak.” Mężczyzna był klasycznym typem wrzodowca. Bell obserwował go zza grubych szkielec

w rogowej oprawie. Wygląda na neurotyka – pomyślał. – W tej chwili z pewnością siedzi jak na rozżarzonych węglach. Radiolog umieścił Bładwicka w aparacie radiologicznym i podał mu szklaneczkę z papką barytową.

– Kiedy powiem, proszę to wypić.

Gdy był już przygotowany, wydał polecenie: – Teraz – i Bładwick opróżnił szklanekę.

Na ekranie monitora Bell obserwował, jak papka barytowa przechodzi przez przełyk do żołądka i dalej, do dwunastnicy. Dzięki nieprzejrzytemu płynowi doskonale było widać poszczególne organy. Bell co chwilę naciskał przycisk, aby na kliszy zarejestrować obraz. Następnie palcami pougniatał brzuch pacjenta, chcąc rozprowadzić papkę. Wówczas zobaczył go: krater w dwunastnicy, wrzód tak wyraźny, że nie było żadnych wątpliwości. Przyszło mu na myśl, że jednak wygrał ten zakład z samym sobą, zaś głośno powiedział: – To wszystko, panie Bładwick, dziękuję.

– I co, panie doktorze, jaka diagnoza? Będę żył?

– Tak, będzie pan żył.

Prawie każdy chciał wiedzieć, co doktor Bell widział na ekranie fluoroskopu. „*Zwierciadelko, zwierciadelko, powiedz, że mi przecie, czy jest ktoś zdrowszy ode mnie na świecie.*” Ale odpowiedź nie należała do niego.

– Jutro pański lekarz otrzyma zdjęcia – powiedział radiolog. – Przypuszczam, że będzie z panem rozmawiał.

Kiepska perspektywa, przyjacielu – dodał w myśli. – Mam nadzieję, że lubisz dużo wypoczywać i jeść zupki mleczne oraz jajka w koszulkach.

Dziesięć jardów od głównego budynku szpitala, w ruderze, gdzie niegdyś mieściła się fabryka mebli, a obecnie dom pielęgniarek, praktykantka Vivian Loburton zmagiała się z zamkiem błyskawicznym, który za nic nie chciał się zasunąć.

„Niech cię piekło pochłonie!” – mruknęła do zamka, posiłkując się ulubionym powiedzonkiem swego ojca. Zbijał fortunę przy wyrębie niebotycznych drzew i nie widział powodu, aby w domu posługiwać się innym językiem niż w lesie.

Dziewiętnastoletnia Vivian interesująco łączyła rubasność ojca z wrodzoną delikatnością matki, która pochodziła z Nowej Anglii i nigdy nie dała się zniewolić bezceremonialnemu sposobowi bycia mieszkańców Oregonu. W tej chwili – to znaczy w czwartym miesiącu praktyki pielęgniarskiej – Vivian doszukała się wyraźnych cech obojga rodziców w swoich reakcjach na

szpital i pracę. Jednym razem ogarniał ją zachwyty, kiedy indziej – groza, wstręt i obrzydzenie, spodziewała się, że bliski kontakt z chorobą musi wywoływać szok w każdym nowicjuszu, ale sama świadomość niewiele pomagała, gdy żołądek się wywracał i trzeba było wysiłku całej woli, aby nie odwrócić się i nie uciec., W takich momentach odczuwała ogromną potrzebę zmiany scenerii, jakiegoś oczyszczającego antidotum: w pewnym sensie stanowiła je muzyka, od dawna będąca jej miłością. Zaskoczyło ją, że w miasteczku wielkości Burlington znalazła doskonałą orkiestrę symfoniczną, szybko też stała się jej gorącą wielbicielek. Dobra muzyka działała na nią jak balsam. Była zmartwiona, że na okres lata zawieszono koncerty i zdarzały się chwile, gdy marzyła o czymś, co mogłoby je zastąpić.

Teraz jednak nie było czasu na myślenie o głupstwach; przerwa między przedpołudniowymi zajęciami a dyżurem na oddziale była na to za krótka. I jeszcze ten zamek!... Szarpnęła ponownie i w końcu zębki zamknęły się. Odetchnęła z ulgą, podbiegła do drzwi, lecz zatrzymała się, by otrzeć twarz. Rany, ale gorąco! Z tych nerwów spociała się jak głupia.

Tak oto toczyło się życie – tego przedpołudnia jak każdego innego – w całym szpitalu. W przychodniach, klinikach, laboratoriach, na salach operacyjnych; na neurologii, psychiatrii, pediatrii, dermatologii, na ortopedii, okulistyce, ginekologii, urologii; na oddziałach dla ubogich i w pawilonie dla prywatnych pacjentów; w działach pomocniczych – administracji, księgowości, zaopatrzenia, gospodarczym; w poczekalniach, na korytarzach, w holach, windach, na wszystkich pięciu piętrach, w podziemiach i jeszcze niżej – w Szpitalu Trzech Hrabstw przenikające się fale i prądy życia ludzkiego i sztuki medycznej to wznosiły się, to opadały, jak w przypiływie i odpływie.

Był piętnasty dzień lipca, godzina jedenasta rano.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy Kent O'Donnell wychodził z oddziału chirurgii zamierzając udać się do administracji, dwie przecznice dalej dzwon na wieży kościoła Zbawiciela wybijał akurat kolejną godzinę. Fałszywy dźwięk – z powodu rysy powstałej dawno temu przy jego odlewaniu – wdarł się przez otwarte okno na klatkę schodową. O'Donnell odruchowo zerknął na zegarek, następnie odsunął się, by przepuścić grupkę stażystów, którzy minawszy go w pośpiechu zbiegli po metalowych schodach dla personelu, stukając hałaśliwie obcasami. Na widok prezesa młodzi ludzie uciszyli się nieco i jeden przez drugiego pozdrowili go z szacunkiem: „dzień dobry, panie doktorze”. Na pierwszym piętrze O'Donnell przystanął, ustępując miejsca pielęgniarce, pchającej wózek, na którym siedziała mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka z zabandażowanym okiem; obok wózka szła kobieta, prawdopodobnie matka, opiekuńczo pochylając się nad dzieckiem.

Pielęgniarka, do której uśmiechnął się, choć jej nie rozpoznał, dyskretnie obrzuciła go spojrzeniem. O'Donnell miał już ponad czterdziestkę, a kobiety ciągle strzelały za nim oczami. Doskonałą sylwetkę zachował jeszcze z czasów, gdy był napastnikiem w studenckiej drużynie futbolowej – wyprostowany, słusznego wzrostu, barczysty, o muskularnych ramionach. Zresztą do dzisiaj – podejmując jakąś trudną decyzję – wyrzucał ręce przed siebie, jakby instynktownie przygotowywał się do obrony. Mimo krzepkiej postury, w której zwracały uwagę przede wszystkim mięśnie, kości i nie więcej niż funt tłuszczu, nadal poruszał się lekko, zgrabnie; systematycznie uprawiany sport – latem tenis, zimą narty – pozwolił mu zachować tężyznę fizyczną i lekkość ruchów.

O'Donnell nie grzeszył urodą Adonisa; twarz miał pobrużdżoną, o nieregularnych rysach (na jego nosie widniała blizna wyniesiona z futbolowej potyczki), ale często taka właśnie twarz wręcz perwersyjnie podoba się kobietom. Tylko w czuprynie można było doszukać się znamion upływającego czasu; włosy jeszcze niedawno kruczoczarne, siwiały gwałtownie, jakby komórki pigmentowe raptem poddały się i rozpoczęły odmarsz.

Naraz usłyszał wołanie. Przystanął i obejrzał się. Był to Bill Rufus, jeden ze starszych chirurgów.

– Co słyhać, Bill? – O'Donnell lubił Rufusa; uchodził za sumiennego, godnego zaufania, dobrego chirurga z rozległą praktyką. Pacjenci wierzyli mu, gdyż swoje kwestie wygłaszał

szczerze i otwarcie. Szanował go również personel – stażyści i młodszy lekarze, bo udało mu się znaleźć sympatyczną, acz bezbolesną formę wydawania poleceń; po prostu wszystkich traktował po partnersku, co rzadko zdarzało się innym chirurgom.

Jedynym jego dziwactwem, jeżeli tak można powiedzieć, było przywiązanie do niesamowicie jaskrawych krawatów. O'Donnell wzdygnął się, spoglądając na krawat kolegi – turkusowe i cynobrowe grochy na jasnoczerwonym i cytrynowym tle. Rufus musiał znosić wiele przycinków z tego powodu. Ostatnio jeden z psychiatrów stwierdził, że jego krawaty to „ropna lawa maskowana konserwatywnym wyglądem”. Wówczas Rufus roześmiał się dobrodusznie, lecz teraz wyglądał na zmartwionego.

– Kent, chciałbym z tobą porozmawiać... – rzekł.

– Pójdziemy do mnie? – O'Donnell był ciekaw, o co chodzi. Rufus nie miał zwyczaju go nachodzić, jeśli sprawa nie była nader poważna.

– Nie, możemy pogadać tutaj... Słuchaj, idzie o raporty chirurgiczne z patologii...

Przesunęli się w stronę okna, by nie tamować ruchu na korytarzu. O'Donnell pomyślał: „Tego właśnie się obawiałem”, a do Rufusa rzekł:

– Co się stało, Bill?

– Raporty dostajemy za późno. – O wiele za późno.

O'Donnell doskonale znał ten problem. Podobnie jak inni chirurdzy Rufus często operował chorych na nowotwory. Po wycięciu guza przysyłał go do patologa, doktora Josepha Pearsona, który musiał dwukrotnie badać tkankę. Najpierw, gdy pacjent przebywał jeszcze pod narkozą, w małym laboratorium, obok sali operacyjnej, Pearson zamrażał niewielką część tkanki i oglądał ją pod mikroskopem. Po takiej analizie zapadał jeden z dwóch wyroków – „złośliwy”, co oznaczało obecność nowotworu i wiązało się z koniecznością dalszej ingerencji chirurgicznej; lub „łagodny” – odroczenie, a więc – po wycięciu guza już nic więcej nie musiało się robić. Jeśli w wyniku badania zamrożonego wycinka okazywało się, że guz jest złośliwy, natychmiast przystępowano do dalszej operacji. Z drugiej strony opinia patologa, że nowotwór jest „łagodny”, stanowiła dla chirurga sygnał, że może zakończyć zabieg i odesłać pacjenta do sali pooperacyjnej.

– Chyba nie ma opóźnień przy badaniu zamrożonych wycinków, co? – O'Donnell nie słyszał o takim przypadku, ale wolał się upewnić.

– Nie – odparł Rufus. – Gdyby były, już bym się awanturował. Ale przygotowanie pełnego

raportu trwa zbyt długo...

– Rozumiem.

O'Donnell starał się zyskać na czasie, chcąc uporządkować myśli. Prześledził w pamięci całą szpitalną procedurę. Po wstępnym zbadaniu wycinka każdy usunięty guz wysyła się do laboratorium histopatologicznego, gdzie technicy przygotowują kilka preparatów, tym razem ocenianych bardziej wszechstronnie. Następnie patolog analizuje je i wystawia ostateczną diagnozę. Zdarza się, że w trakcie tego badania nowotwór, który wydawał się łagodny albo budził pewne wątpliwości, okazuje się złośliwy – i nikt nie dopatruje się czegoś nienormalnego w tym, że patolog zmienia poprzednią opinię. Lecz w takiej sytuacji pacjent musi wrócić na salę operacyjną na kolejny zabieg. Dlatego niezwykle ważne jest, by drugi raport patologa nadszedł możliwie szybko. O'Donnell domyślił się, że w tym tkwi sedno zarzutu Rufusa.

– Nie byłoby problemu – mówił Rufus – gdyby zdarzyło się to po raz pierwszy... Wiem, że oddział patologii ma sporo pracy i nie zamierzam naskakiwać na Joe Pearsona. Ale to nie pierwszy raz, Kent, od dawna tak się dzieje...

– Mówmy konkretnie, Bill – przerwał mu szorstko O'Donnell, choć nie wątpił, że Rufus ma dowody na poparcie swych zarzutów.

– Dobrze. Otóż... w ubiegłym tygodniu miałem pacjentkę, panią Mason – guz piersi. Usunąłem go; Joe Pearson zbadał wycinek i stwierdził, że jest łagodny, natomiast w raporcie napisał później, że wręcz przeciwnie – Rufus wzruszył ramionami. – Ale nie o to mi chodzi, po pierwszym badaniu nie zawsze można mieć pewność...

– A o co? – O'Donnell domyślił się, o czym mówi Rufus, chciał to mieć za sobą.

– Przygotowanie raportu zajęło Pearsonowi osiem dni. Jak go dostałem, pacjentki nie było już w szpitalu.

– Rozumiem.

– Rzeczywiście fatalna sprawa, pomyślał O'Donnell. – Nie mógł jej zbagatelizować.

– Nie jest łatwo ściągnąć pacjentkę – Rufus mówił spokojnie, bez emocji – do szpitala i powiedzieć, że nastąpiła pomyłka, że jednak ma raka i trzeba ją ponownie operować.

Nie, nie było to łatwe; O'Donnell doskonale go rozumiał. Kiedyś, przed laty, zanim zaczął pracować w Szpitalu Trzech Hrabstw, był zmuszony postąpić podobnie i miał nadzieję, że nigdy więcej mu się to nie przytrafi.

– Czy pozwolisz, Bill, że sam się tym zajmę? – O'Donnell cieszył się, że problem został

wywołany przez Rufusa. Z pozostałymi chirurgami rozmowa przebiegałaby w zupełnie innym tonie.

– Oczywiście, ale niech się to wreszcie skończy – Rufus miał prawo być stanowczy. – Wiesz, to nie jest odosobniony przypadek. Po prostu ten był szczególnie drastyczny...

I znowu O'Donnell musiał przyznać Rufusowi rację. Kłopot tylko, że Bill nie zdawał sobie sprawy ze związanych z tym uwarunkowań.

– Porozmawiam z Joe Pearsonem po południu – obiecał. – Po zebraniu na temat umieralności pooperacyjnej. – Będziesz tam?

– Będę – Rufus kiwnął głową.

– No to do zobaczenia, Bill. – Dziękuję za informację. – Coś się zrobi, obiecuję...

„Coś” – powtórzył w myśli O'Donnell, idąc korytarzem. Ale co? Skręcając w stronę działu administracji i otwierając drzwi gabinetu Harry'ego Tomasellego, wciąż się nad tym zastanawiał.

W pierwszej chwili nie zauważył dyrektora.

– Tutaj, Kent – zwołał Tomaselli.

Stał pochylony nad stołem w drugim końcu wyłożonego brzożową boazerią pokoju, z dala od biurka, przy którym spędzał większość czasu. Przed nim leżały plany i szkice. O'Donnell przeszedł po grubym strzyżonym dywanie i spojrzał na stół.

– Co to, zebrało ci się na marzenia, Harry? – dotknął jednego ze szkiców. – Wiesz, jestem pewien, że moglibyśmy postawić ci luksusowy apartament, o, tutaj na dachu wschodniego skrzydła...

– Tomaselli uśmiechnął się.

– Zgadzam się, pod warunkiem, że przekonasz radę – zdjął druczane okulary i zaczął czyścić szkła. – Spójrz na to – wygląda jak Nowa Jerozolima...

O'Donnell przyjrzał się projektowi architektonicznemu Szpitala Trzech Hrabstw, który co prawda zapowiadał wspaniałą rozbudowę obiektu, lecz jak dotąd ciągle znajdował się w stadium planowania. Nowy obiekt miał obejmować całe skrzydło oraz dom pielęgniarek.

– Coś nowego? Dyrektor założył okulary.

– Rano znowu rozmawiałem z Ordenem.

Orden Brown, prezes drugiej co do wielkości huty w Burlington, był prezesem zarządu szpitala.

– I co?

– W styczniu dostaniemy pół miliona dolarów na fundusz budowy, a w marcu zaczniemy kopać fundamenty.

– A drugie pół miliona? W ubiegłym tygodniu Orden powiedział, że jego zdaniem trzeba z tym poczekać do grudnia – Kent uważał, że gdyby nawet założyło się taką ewentualność, to i tak prezes zarządu byłby niepoprawnym optymistą.

– Wiem – odparł Tomaselli – lecz prosił, żeby ci powiedzieć, iż zmienił zdanie. Wczoraj miał posiedzenie u burmistrza. Są przekonani, że te pół miliona zdobędą do przyszłego lata, a do jesieni zakończą całą kampanię...

– To rzeczywiście dobra wiadomość. – O'Donnell wyzbył się swoich wcześniejszych wątpliwości. Skoro Orden Brown pokonał taką przeszkodę, on też sobie poradzi.

– Aha, przy okazji – Tomaselli odezwał się z wystudiowaną obojętnością – Orden i burmistrz w przyszłą środę spotykają się z gubernatorem. Wygląda na to, że w końcu uda nam się dostać tę zwiększoną dotację stanową...

– Coś jeszcze? – O'Donnell rzucił krótko z udawaną szorstkością w głosie.

– Sądziłem, że się ucieszysz... – zdziwił się Tomaselli. Jeszcze jak... – odparł w duchu O'Donnell. W pewnym sensie był to pierwszy krok do zrealizowania jego własnej wizji szpitala, sięgającej czasów, gdy przyjechał tu trzy i pół roku temu. Zabawne, jak można się przywiązać do miejsca – pomyślał. Jeśli ktoś w Harvardzie lub później, gdy został chirurgiem rezydentem*[* rezydent – w szpitalnictwie amerykańskim lekarz pozostający w szpitalu po odbyciu stażu celem dalszego kształcenia.] w Columbia Presbyterian, powiedział, że zaszyje się kiedyś w ustronnym szpitaliku o nazwie Trzy Hrabstwa, to by go wyśmiał.

Nawet wyjeżdżając do kliniki Barta w Londynie, by doskonalić swoją wiedzę chirurgiczną, zdecydowany był zatrudnić się po powrocie w jakimś renomowanym szpitalu w rodzaju John Hopkins albo Massachusetts General; z taką praktyką miał duże szanse dostać się do któregoś z nich. Zanim jednak podjął decyzję, Orden Brown odwiedził go w Nowym Jorku i namówił do złożenia wizyty w Burlington.

To, co zobaczył, wstrząsnęło nim. Szpital był w kiepskim stanie: organizacja w rozsypce, poziom wiedzy medycznej, z paroma wyjątkami, bardzo niski. Ordynatorzy oddziałów, chirurgii i wewnętrznego, nie zmieniali się od lat; O'Donnell wyczuwał, że podstawowym celem ich życia było zachowanie wygodnego status quo. Dyrektor administracyjny, najważniejsza osoba w kontaktach między zarządem szpitala a personelem medycznym, przejawiał rażącą

niekompetencję; program szkolenia stażystów i rezydentów stracił na znaczeniu; nie było funduszy na badania naukowe; warunki życia i pracy pielęgniarek przypominały czasy średniowieczne. Orden Brown pokazał mu to wszystko, niczego nie ukrywając, a później zaprosił do domu. O'Donnell zgodził się zostać na obiedzie, planował jednak nocny lot do Nowego Jorku. Był tak zniechęcony, że nie miał już ochoty oglądać ani Burlington ani Szpitala Trzech Hrabstw nigdy więcej!

W trakcie obiadu, który spożywali w przytulnej, obitej tkaniną jadalni domu Ordena Browna, położonego na zboczu wysokiego wzgórza, wysłuchał całej historii. Nie była mu całkiem obca. Szpital Trzech Hrabstw, niegdyś nowoczesny, z perspektywami i wysoko notowany w tym stanie, padł ofiarą ludzkiego samozadowolenia i rutyny. Prezesem zarządu był starzejący się przemysłowiec, który przeważnie zrzucał odpowiedzialność na innych, a sam pojawiał się w szpitalu jedynie na spotkaniach towarzyskich. Brak prężnego kierownictwa wywarł wpływ na wszystkich pracowników. Ordynatorzy oddziałów, w większości od lat sprawujący swe funkcje, byli przeciwni jakimkolwiek przeobrażeniom. Ich młodszy podwładni początkowo się buntowali, lecz później sfrustrowani odchodzili, zmieniali pracę. Wreszcie szpital doczekał się takiej reputacji, że nikt z młodego, wykwalifikowanego personelu nie starał się doń o przyjęcie, wobec tego zaczęto przyjmować osoby o niższych kwalifikacjach. Taką sytuację zastał O'Donnell, gdy po raz pierwszy pojawił się w Burlington.

Jedyną zmianą, jaka wówczas nastąpiła w szpitalu, było mianowanie Ordena Browna prezesem zarządu – w miejsce poprzedniego, zmarłego przed trzema miesiącami. Do objęcia tego stanowiska namówiła go grupa wpływowych obywateli miasta. Wybór nie był jednogłośny; stara gwardia w zarządzie usiłowała zatrzymać ten fotel dla jednego ze swoich – Eustace'a Swayne'a, lecz większość wybrała Ordena Browna, który teraz zabiegał o poparcie dla swych planów modernizacyjnych Trzech Hrabstw.

Była to droga przez mękę. Między skostniałą częścią zarządu na czele z Eustace'em Swayne'em a starszym personelem medycznym istniało ścisłe porozumienie i wszyscy zgodnie opierali się wszelkim zmianom. W tych warunkach Brown musiał działać z niezwykłą ostrożnością.

Przede wszystkim chodziło mu o uzyskanie pełnomocnictwa, które pozwoliłoby poszerzyć skład zarządu o nowych, bardziej energicznych członków, choćby paru młodszych przedstawicieli świata biznesu z miasta Burlington. Jednak do tej pory zarząd nie potrafił

osiągnąć jednomyślności i cały projekt powędrował na półkę.

Co prawda Orden Brown mógł się uprzeć, jak szczerze wyjawiał O'Donnellowi, postawić na swoim i otwarcie przeforsować własny projekt. Mógłby też, wykorzystując stanowisko, usunąć z zarządu starszych, biernych jego członków. Ale na dalszą metę takie działanie byłoby bez sensu, gdyż większość tych ludzi to miejscowi bogacze, których legaty – w razie śmierci patrona – zwyczajowo przypadają szpitalowi. Wystarczyłoby zrazić niektórych, a z pewnością zmieniliby testamenty na niekorzyść Trzech Hrabstw. Zresztą Eustace Swayne, właściciel sieci domów handlowych, dał już kiedyś do zrozumienia, że z czymś takim zawsze należy się liczyć. W tej sytuacji należało postępować dyplomatycznie.

Pomimo wszystkich trudności pewien postęp dało się zauważyć, na przykład prezes uzyskał zgodę większości członków zarządu na wybór nowego szefa oddziału chirurgicznego. Dlatego teraz skontaktował się z O'Donnellem.

Przy obiedzie O'Donnell pokręcił głową: – Obawiam się, że to nie dla mnie...

– Może nie – odparł Brown – ale chciałbym, żeby pan mnie przynajmniej wysłuchał...

Ów niezwykle pracowity mężczyzna miał dar przekonywania. Pochodząc z bogatej rodziny, zdecydował się przejść wszystkie szczeble kariery zawodowej w hucie – od prostego wytapiacza przez kierownicze stanowiska administracyjne aż po fotel prezesa. Dbał również o ludzi; nauczyły go tego długie lata bliskiej współpracy z robotnikami w walcowni. Być może to było powodem, dla którego wziął na siebie ciężar wydzwignięcia z dołka Szpitala Trzech Hrabstw. Jednak niezależnie od pobudek, jakimi się kierował, O'Donnell uznał, że starszy pan jest pełen poświęcenia dla spraw tej placówki.

– Gdyby zdecydował się pan przyjechać tutaj – stwierdził Brown zbliżając się do końca swojej opowieści – nie mógłbym niczego obiecać poza tym, że otrzymałby pan pełną samodzielność w działaniu, którą, jak mi się wydaje, sam musiałby wywalczyć. Spotkałby się pan z czynnym oporem, politykierstwem, obelgami. W niektórych kwestiach byłbym w stanie panu pomóc, w innych musiałby pan radzić sobie sam – Brown zamilkł, a po chwili dodał spokojnie: – Jediną pozytywną rzeczą w całej tej sytuacji, z punktu widzenia kogoś takiego jak pan, jest fakt, że w pewnym sensie byłoby to wyzwanie, największe wyzwanie, jakie człowiek może na siebie przyjąć.

Były to ostatnie słowa na temat szpitala wypowiedziane tego wieczora przez Ordena Browna. Później rozmawiali o różnych sprawach: o Europie, nadchodzących wyborach, zagrożeniach,

jakie niósł nacjonalizm bliskowschodni; Brown dużo podróżował i doskonale orientował się we wszystkim. Po kolacji gospodarz odwiózł O'Donnella na lotnisko. Przy rampie wymienili pożegnalny uścisk dłoni.

– Jestem bardzo zadowolony z naszego spotkania – powiedział Orden Brown na pożegnanie, a O'Donnell szczerze odwzajemnił komplement. Jednak wchodząc na pokład samolotu postanowił zapomnieć o miasteczku Burlington i potraktować tę podróż jako pouczające doświadczenie.

Podczas lotu próbował czytać; w jakimś czasopiśmie znalazł artykuł o turnieju tenisowym, który go zainteresował. Na próżno: jego szare komórki w ogóle nie rejestrowały słów. Myśli O'Donnella bezustannie krążyły wokół szpitala, tego, co tam zobaczył i co wymagało naprawy. Wówczas, po raz pierwszy od wielu lat, zaczął się zastanawiać nad swoim podejściem do zawodu: O co w tym wszystkim chodzi? Czego właściwie chcę? Co chciałbym osiągnąć? Co mam do zaoferowania innym? Co po sobie zostawię? – pytał sam siebie. Był kawalerem i prawdopodobnie tak już zostanie: zdarzały mu się różne romanse, łóżkowe i inne, lecz nie miał nikogo stałego. Dokąd więc prowadzi ta droga z Harvardu, Columbia Presbyterian, kliniki Barta?... Dokąd? I nagle znalazł odpowiedź:... do Burlington i Trzech Hrabstw. Decyzja była ostateczna, kierunek wytyczony. Z lotniska La Guardia wysłał do Ordenu Browna telegram. Tekst był krótki: „Zgadzam się”.

Spoglądając na plany tego, co dyrektor administracyjny nazwał Nową Jerozolimą”, O'Donnell przebiegł myślami minione trzy i pół roku. Orden Brown miał rację twierdząc, że nie będą łatwe. Pojawiły się wszystkie możliwe trudności, które przewidział prezes. Jednak te najgorsze stopniowo udało się przewyciężyć.

Gdy przyjechał, poprzedni ordynator oddziału chirurgii wyniósł się cichcem, a wtedy O'Donnell postarał się skupić wokół siebie paru lekarzy, którzy z sympatią odnosili się do jego planów podniesienia rangi szpitala: wspólnie ustalali reguły gry obowiązujące chirurgów, utworzyli sprawną komisję operacyjną i reaktywowali dogorywającą już komisję tkanki, której celem było nie dopuścić do powielania błędów w chirurgii, a w szczególności – do bezzasadnego usuwania zdrowych organów.

Mniej sprawnych chirurgów delikatnie acz stanowczo nakłaniano, by ograniczyli swą aktywność do tych zabiegów, które potrafili wykonywać. Kilku partaczom, niedołęgom, jak również tym, którzy zajmowali się taśmowym wycinaniem wyrostków robaczkowych, dano

szansę dyskretnego odejścia, innym zaś złożono oficjalne wypowiedzenia. Chociaż dla niektórych oznaczało to częściową utratę środków do życia, to jednak większość odchodziła bez szemrania. W tej grupie znajdował się pewien chirurg, który niedawno usunął nerkę, nie wiedząc, choć powinien był sprawdzić, że pacjent stracił już jedną w czasie wcześniejszej operacji. Tę tragiczną pomyłkę wykryto dopiero później podczas sekcji zwłok.

Tego chirurga skreślono z listy pracowników szpitala bez większego kłopotu, lecz z innymi poszło dużo trudniej. Nie obyło się bez skarg do Okręgowej Izby Lekarskiej, a dwóch chirurgów wytoczyło szpitalowi proces. O'Donnell wiedział, że oznacza to zagorzały spór w sądzie i na samą myśl o jego rozgłosie dostawał gęsiej skórki.

Kłopotów nie brakowało, mimo to O'Donnell i jego zwolennicy realizowali swoje plany, a braki etatowe uzupełniali, zresztą nie bez trudu, przyjmując lekarzy o wysokich kwalifikacjach: często absolwentów uczelni O'Donnella, których ten nakłonił do podjęcia praktyki w Burlington pochlebstwami i obietnicami.

Tymczasem zmieniło się kierownictwo na oddziale wewnętrznym. Nowym ordynatorem został doktor Chandler, od dawna zatrudniony w szpitalu, ale stale wojujący z poprzednim kierownictwem. Chandler był internistą i wprawdzie nie zawsze zgadzał się z O'Donnellem co do polityki szpitalnej, a jemu samemu czasami wydawał się człowiekiem nadętym, niesympatycznym, to przynajmniej był bezkompromisowy, gdy szło o utrzymanie placówki na właściwym poziomie medycznym.

Podczas trzyipółletnich rządów O'Donnella metody administrowania szpitalem również uległy przeobrażeniom. Kilka miesięcy po przybyciu O'Donnell opowiedział Ordenowi Brownowi o młodym administratorze, jednym z najlepszych, jakiego poznał w praktyce lekarskiej. Wówczas prezes wsiadł do samolotu i po dwóch dniach wrócił z podpisaną umową. Miesiąc później dotychczasowy dyrektor administracyjny został uwolniony od obowiązków przerastających jego siły i odszedł na emeryturę, a jego miejsce zajął Harry Tomaselli, którego energia oraz liczne talenty rzutowały na całą działalność szpitala.

Rok temu O'Donnella wybrano na prezesa rady medycznej, co wiązało się ze zmianą jego pozycji zawodowej – został starszym lekarzem Trzech Hrabstw. Od tamtej pory Tomaselli i doktor Chandler poszerzyli program szkolenia stażystów i lekarzy rezydentów, a na praktykę systematycznie przybywało zgłoszeń.

Jednak do sukcesu droga była daleka. O'Donnell wiedział, że dopiero zaczęli realizować

program, wykraczający daleko w przyszłość, który miał obejmować trzy zasadnicze zagadnienia z dziedziny medycyny: służbę chorym, szkolenie, badania naukowe. O'Donnell miał już 42 lata za kilka miesięcy skończy 43. Wątpił czy w ciągu tych lat, jakie mu jeszcze pozostały, zdoła swój plan doprowadzić do końca. Początek był niezły, przynajmniej tym się pocieszał, a więc decyzja, jaką podjął trzy i pół roku temu, była właściwa.

Widział oczywiście i słabe strony aktualnej sytuacji; były nieuniknione, wielkie sprawy nie rodzą się przecież łatwo i szybko. Niektórzy podeszli wiekiem lekarze nadal nie zgadzali się na żadną reorganizację i naciskali na starszych członków zarządu, spośród których pewne osoby, na przykład Eustace Swayne, za nic nie chciały zmienić swojego stanowiska. Może to i dobrze, zastanawiał się O'Donnell, może jest trochę słuszności w powiedzeniu, że: „młodość jest niecierpliwa”. W każdym razie z powodu tej grupy oponentów zdarzały się chwile, gdy z pewnymi projektami trzeba było nieco przystopować. O'Donnell osobiście godził się z tym, ale młodszemu personelowi trudno było czasami cokolwiek wytłumaczyć.

Dlatego rozmowa z Billem Rufusem dała mu wiele do myślenia. W Trzech Hrabstwach oddział patologii dalej był twierdzą sympatyków starego porządku. Doktor Joseph Pearson pracował w szpitalu trzydzieści dwa lata i rządził oddziałem, jakby to była jego prywatna własność. Utrzymywał bliskie kontakty z prawie wszystkimi członkami zarządu, a z Eustace'em Swayne'em często grywał w szachy. Lecz znał się na swojej robocie i miał niezłe wyniki. Niegdyś uznawano go za dobrego naukowca, był nawet prezesem stanowego stowarzyszenia patologów. Problem w tym, że oddział patologii miał mnóstwo zajęć i jeden człowiek nie był w stanie utrzymać wszystkiego w cuglach. O'Donnell uważał, że stosowane na tym oddziale techniki badań laboratoryjnych również wymagają gruntownych zmian. W każdym razie, niezależnie od tego jak bardzo były potrzebne, należało spodziewać się kłopotów z ich przeprowadzeniem.

A tu trzeba zająć się organizowaniem środków na rozbudowę szpitala. Jeśli O'Donnell pokłóci się z Joe Pearsonem, to jaki wpływ na plany Ordenu Browna wywrze przyjaźń Pearsona z Eustace'em Swayne'em? Zazwyczaj darowizny Swayne'a były niemałe i ich brak mogłoby poważnie odczuć. Równie istotny był jego wpływ na innych mieszkańców; stary magnat posiadał ogromną władzę, która mogła pomóc, ale i zaszkodzić w realizacji ich najbliższych zamierzeń. Mając na głowie tyle nierozstrzygniętych spraw, O'Donnell uznał, że problem z oddziałem patologii można odłożyć na później. Mimo to, w związku ze skargą Billa Rufusa, musiał

przedsięwziąć jakieś kroki i to szybko.

Oderwał wzrok od szkiców.

– Harry, wydaje mi się, że będziemy zmuszeni wypowiedzieć wojnę Joe Pearsonowi – powiedział do dyrektora.

ROZDZIAŁ TRZECI

W przeciwieństwie do wyższych kondygnacji, gdzie odczuwało się upał i krzątaninę, wyłożony białymi kafelkami korytarz w podziemnej części szpitala stanowił oazę chłodu i ciszy. Tej ciszy nie był w stanie zakłócić nawet niewielki pochód – pielęgniarka Elaine Penfield, a obok poruszający się bezszelestnie na kółkach z mechanizmem łożysk kulkowych wózek, popychany przez sanitariusza w butach na gumowych podeszwach i w białym szpitalnym kitlu.

Ileż to razy przebywałam tę drogę, pomyślała pielęgniarka, kierując wzrok na zawinięte ciało. W ciągu ostatnich jedenastu lat chyba z pięćdziesiąt. A może i więcej, nie było to przecież nic, co by nadawało się do liczenia – po prostu ostatnia podróż z pokoju szpitalnego do kostnicy, podróż ze świata żywych do świata umarłych.

Tradycją stało się odprowadzanie zmarłego pacjenta w stosownym czasie i określonej trasą, prowadzącą korytarzami na tyłach szpitala, potem w dół – windą towarową, tak aby chorzy nie wpadli w przygnębienie stykając się ze śmiercią na odległość wyciągniętej ręki. Na tym polegała końcowa posługa pielęgniarki wobec jej pacjenta; to dowód, że chociaż medycyna zawiodła, nikt nie pozbywa się zmarłego w pośpiechu; nawet po śmierci, choćby w symbolicznie krótkim czasie, będzie otaczać go staraniem i opieką.

Śnieżnobiały korytarz rozwidlał się w dwu kierunkach. Z prawej strony dochodził warkot maszyn. Znajdowały się tam działy mechaniczne szpitala – ciepłownia, kotłownia, warsztaty elektryczne, awaryjne turbiny. Po drugiej stronie widniał tylko jeden napis: Oddział patologii. Kostnica.

Gdy sanitariusz Weidman skręcił wózkami w lewo, portier, który miał przerwę lub na chwilę odszedł ze swego stanowiska, opuścił rękę z butelką coli i odsunął się na bok. Wytrzeł usta wierzchem dłoni, po czym wskazał na okryte całunem ciało.

– To nie twoja sprawa, co?

Uwaga skierowana była do Weidmana; żartobliwą odzywkę portier powtarzał wiele razy, a Weidman zawsze przyłączał się do tej gry słów: – Chyba wylosowali jego numerek, Jack.

– Portier skinął głową, następnie podniósł butelkę i pociągnął duży łyk.

Jak niewielki dystans dzieli życie od prosektorium, pomyślała panna Penfield. Jeszcze niecałą godzinę temu te zwłoki przykryte całunem należały do George'a Andrew Duntona,

żywego człowieka, lat pięćdziesiąt trzy, z zawodu inżyniera budownictwa. Pielęgniarka dobrze pamiętała szczegóły przebiegu jego choroby wypisane na karcie, którą trzymała pod pachą.

Po jego śmierci rodzina zachowała się równie godnie, jak podczas choroby – żegnała go z bólem, lecz bez hysterii. Dzięki temu doktorowi MacMahonowi łatwiej było prosić o zgodę na przeprowadzenie sekcji.

– Pani Dunton – powiedział ściszym głosem – wiem, że w tej chwili trudno jest pani o tym mówić, a nawet myśleć, lecz jest coś, o co muszę zapytać. Chodzi o zgodę na dokonanie sekcji zwłok pani męża.

Doktor MacMahon wyjaśnił jej z zawodową rutyną, że szpitalowi zależy na utrzymaniu właściwego poziomu medycznego dla wspólnego dobra, że w ten sposób można by sprawdzić diagnozę lekarską i zrobić następny krok w medycynie, oraz że dzięki temu przysłuży się także tej i innym rodzinom, które w przyszłości będą korzystać z placówki. Ale nic nie można zdziałać bez zgody rodziny...

Syn zmarłego przerwał mu spokojnie.

– Rozumiemy to. Jeśli przygotuje pan, co trzeba, moja mama podpisze.

Panna Penfield wypełniła formularz i oto teraz nieboszczyk George Andrew Dunton, lat pięćdziesiąt trzy, był gotów na zetknięcie się z nożem patologa.

Drzwi prosektorium otwarły się szeroko.

Na widok wózka, który wtoczył się na oddział patologii, George Rinne, czarnoskóry dozorca kostnicy, podniósł wzrok. Właśnie kończył szorowanie i stół do sekcji lśnił teraz nieskazitelną bielą.

Weidman przywitał go wyświechtanym żartem.

– Pacjent do ciebie.

Rinne uprzejmie, jakby nie słyszał tego setki razy, obnażył zęby w niedbałym uśmiechu i wskazał biały lakierowany stół.

– Tutaj, proszę.

Weidman przystawił wózek do stołu, a Rinne ściągnął prześcieradło okrywające nagie ciało George'a Andrew Duntona, a potem poskładał je starannie i oddał sanitariuszowi. Śmierć śmiercią, a z prześcieradła na oddziale trzeba się rozliczyć. Następnie przytrzymując drugie prześcieradło, na którym leżał zmarły, obaj zsunęli nieboszczyka na stół.

Podnosząc zwłoki George Rinne jęknął. Zmarły mężczyzna, liczący sobie sześć stóp

wzrostu, u schyłku życia obrósł w tłuszcz. Odciągając pusty wózek Weidman stwierdził z uśmiechem:

– Starzejesz się, George. Niedługo przyjdzie twoja kolej. – Rinne potrząsnął głową.

– Zdążę jeszcze ciebie położyć na ten stół.

Ta scenka przebiegała nad wyraz gładko; odbyli już wiele podobnych rozmówek. Możliwe, że w odległej przeszłości obaj mężczyźni popisywali się ponurymi żarcikami, podkreślając w ten sposób barierę dzielącą ich od codziennych spotkań ze śmiercią. Jeśli nawet tak było, dawno o tym zapomnieli. W tej chwili paplali byle co, bo tak wypadło; była to jedynie oczekiwana formalność, nic poza tym. Nazbyt przyzwyczaili się do tego widoku, by odczuwać jakikolwiek niepokój lub strach.

W drugim końcu pomieszczenia stał doktor McNeil, rezydent patolog. Gdy Elaine Penfield pojawiła się ze swoim pomocnikiem, właśnie zakładał biały fartuch. Przeglądając historię choroby pacjenta oraz pozostałe papiery, które wręczyła mu pielęgniarka, wyraźnie uświadamiał sobie jej obecność. Wyczuwał sztywno wykrochmalony fartuch, nikły zapach perfum, nieco rozwichrzony włosy pod czepkiem; gdyby tak przeczesać je palcami, z pewnością okazałyby się jedwabście miękkie. Z dużym wysiłkiem powrócił myślami do papierów, które trzymał w ręce.

– Chyba jest tutaj wszystko...

Powinien zdobyć siostrę Penfield, czy nie? To już sześć tygodni, a jak się ma dwadzieścia sześć lat, to jest to bardzo dużo na życie w celibacie. Elaine Penfield była bardziej niż atrakcyjną kobietą; miała około trzydziestu dwóch lat, a więc była wystarczająco młoda, by wzbudzać zainteresowanie i wystarczająco dojrzała, by się spodziewać, że utraciła już niewinność. Inteligentna, sympatyczna, o zgrabnej figurze. Pod białym fartuchem zauważył halkę; prawdopodobnie w czasie upałów nie nosi nic więcej. Roger McNeil szybko kalkulował. Zanim zgodzi się na jego propozycję, musi chyba parę razy gdzieś ją zaprosić. To przesądziło sprawę; w tym miesiącu nic z tego nie wyjdzie krucho z pieniędzmi. Zachowaj wszystko dla mnie, Elaine Penfield.

Wrócisz; umrą kolejni pacjenci i sprowadzą cię do mnie.

– Dziękuję, panie doktorze – uśmiechnęła się i odwróciła. Uda się coś zaaranżować; był tego pewien.

– Dawajcie ich więcej, potrzebna nam praktyka! – zawołał za nią. Znowu wyświechtany dowcip, jakby nierozważna obrona przed zetknięciem się ze śmiercią.

Elaine Penfield wyszła za pomocnikiem. Podróż dobiegła końca, tradycji stało się zadość, dodatkowa usługa, o którą nikt nie prosił, wykonana. Teraz swoje obowiązki zwiąże z chorymi, z ludźmi żyjącymi. Nawiasem mówiąc odniosła wrażenie, iż doktor McNeil chciał jej coś zaproponować. Ale poczeka na inną okazję.

Gdy George Rinne wsunął drewniany podglówek pod szyję zmarłego, układając jego ręce po bokach, McNeil zaczął wyciągać narzędzia niezbędne do przeprowadzenia sekcji. Noże, nożyce do cięcia żeber, kleszcze, elektryczną piłę do kości czaszki... wszystko czyste – Rinne był sumiennym pracownikiem – ale nie sterylne, jak to dzieje się na sali operacyjnej cztery piętra wyżej. Nie ma potrzeby zamartwiać się z powodu zainfekowania pacjenta, który właśnie leżał na stole; jedynie patolodzy muszą mieć się na baczności.

George Rinne spojrzał pytająco na McNeila, a ten skinął głową.

– Możesz zadzwonić do dyżurki pielęgniarek, George. Powiedz im, że studentki pielęgniarstwa mogą już schodzić. Zawiadom też doktora Pearsona, że jesteście gotowi...

– Dobrze, panie doktorze.

Rinne posłusznie wyszedł; McNeil jako patolog rezydent cieszył się ogólnym poważaniem, choć jego pensja szpitalna była niewiele wyższa od uposażenia portiera. Jednak niebawem ta różnica się zwiększy. Mając trzy i pół roku praktyki rezydenta, McNeil miał szansę objąć posadę etatowego patologa. Wówczas zarabiałby dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie, gdyż, na szczęście, zapotrzebowanie na patologów nie malało. Wówczas nie musiałby się martwić, czy go stać na poderwanie siostry Penfield lub jakiegokolwiek innej pielęgniarki.

Roger McNeil uśmiechnął się w duchu na samą myśl, choć jego twarz nie zdradzała niczego. Ludzie, którzy stykali się z McNeilem uważali, że jest człowiekiem bezdusznym, niejednokrotnie zresztą tak się zachowywał, i że czasami brakuje mu poczucia humoru, co nie było prawdą. Po prostu z trudem zaprzyjaźniał się z mężczyznami, natomiast w oczach kobiet uchodził za niezwykle atrakcyjnego, co więcej – bardzo wcześnie zdał sobie z tego sprawę i nauczył się to wykorzystywać. Gdy był stażystą, jego koledzy nie mogli rozgryźć tej zagadki. McNeil, wiecznie zamyślony ponurak, odnosił niesamowite sukcesy, wciągając do łóżka całe tabuny pielęgniarek i to często w sytuacjach, gdy inni, mający się za doskonałych kochanków, ponosili porażki.

Drzwi prosektorium otwały się szeroko i wbiegł Mikę Seddons. Seddons był rezydentem na chirurgii, czasowo przydzielonym do oddziału patologii i zawsze wpadał z impetem. Jego rude włosy sterczały w dziwnych miejscach, jakby porwane wiatrem, który za nic nie chciał zostawić

ich w spokoju. Chłopcą, szczerą twarz zawsze pokrywał przyjazny uśmiech. McNeil uważał go za ekshibicjonistę, choć musiał przyznać, że chłopak zabierał się do pracy na patologii ze znacznie większym zapalem niż wielu innych chirurgów rezydentów, z jakimi miał do czynienia.

Seddons spojrzął na ciało leżące na stole.

– Och, znowu robota!

McNeil wskazał ręką dokumenty z opisem choroby; Seddons podniósł je i zapytał: – Na co zmarł? – a później nie odrywając się od czytania dodał: – Choroba wieńcowa, tak?

– Tak napisali – odparł McNeil.

– Ty to robisz? – Rezydent potrząsnął głową.

– Pearson jest w drodze. Seddons spojrzął figlarnie.

– Sam szef? Czyżby jakiś szczególny przypadek?

– Nie, nic szczególnego – McNeil spiął czterokartkowy formularz sekcji z pozostałymi papierami. – Kilka studentek pielęgniarstwa przyjdzie popatrzeć. Chyba chce zrobić na nich wrażenie.

– Mistrzowski pokaz! – uśmiechnął się Seddons. – Muszę to zobaczyć.

– W takim razie możesz też popracować – McNeil podał mu dokumenty. – Wypełnisz je, dobrze?

– Jasne – Seddons wziął papiery i zaczął robić notatki na temat stanu ciała. Wykonując polecenie mówił do siebie: – Śliczna czysta blizna po wyrostku... Małe znamię na lewym ramieniu... – Przesunął rękę nieboszczyka na bok. – Wybacz, staruszk...

Zanotował: „Niewielkie stężenie pośmiertne”. Zajrząwszy pod powieki, napisał: „Żrenice okrągłe, średnica 0,3 centymetra”. Rozwarł sztywne już szczęki: – Obejrzyjmy zęby...

Z korytarza dobiegł ich odgłos kroków, drzwi prosektorium otwarły się i do wnętrza zajrzała instruktorka, w której McNeil rozpoznał wykładowczynię w szkole pielęgniarek.

– Dzień dobry, doktorze McNeil. Za nią tłoczyła się grupka studentek.

– Dzień dobry – rezydent skinął głową. – Możecie wejść. Dziewczeta wchodziły gęsiego, jedna po drugiej. Było ich sześć; gdy weszły, wszystkie odruchowo spojrzały na ciało spoczywające na stole. Mikę Seddons roześmiał się.

– Pośpieszcie się, dziewczyny. Chcecie pewnie zająć najlepsze miejsca; mamy takie...

Obrzucił studentki taksującym spojrzeniem. Dwie były nowe, jeszcze ich nie widział, jedna z nich brunetka. Popatrzył znowu. Rzeczywiście, mimo skromnego mundurka widać było, że jest

atrakcyjna. Z udawaną obojętnością poszedł na drugi koniec prosektorium i w drodze powrotnej stanął obok upatrzonej dziewczyny, oddzielając ją od pozostałych. Uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział półgłosem: – Nie przypominam sobie, żebym cię już widział.

– Jestem z nimi od samego początku.

Spojrzała na niego z mieszaniną szczerości i zaciekawienia, a po chwili dodała kpiąco: – Poza tym mówiono mi, że lekarze nigdy nie zauważają studentek pierwszego roku.

Udawał, że się zastanawia.

– Rzeczywiście, taka jest zasada, ale czasami robimy wyjątki; oczywiście, zależy to od studentki. – I ze szczerym zachwytem dodał: – A propos, nazywam się Mikę Seddons.

– A ja Vivian Loburton – odparła dziewczyna i roześmiała się, ale widząc przyganę w oczach instruktorki, gwałtownie spoważniała. Vivian spodobał się rudowłosy młody lekarz, uważała jednak, że w tym miejscu niestosownie jest rozmawiać i żartować. Przecież ten mężczyzna na stole nie żyje. Umarł przed chwilą, jak jej powiedziano na górze, dlatego Vivian i pozostałe dziewczęta oderwano od zajęć, aby mogły obejrzeć sekcję. Gdy dotarło do niej słowo „sekcja”, uświadomiła sobie, co to oznacza. Ciekawiło ją jak zareaguje; już teraz czuła się podle. Będąc pielęgniarką przypuszczała, że z czasem oswoi się ze śmiercią, ale w tym momencie było to coś zupełnie nowego, coś co napawało ją przerażeniem.

Usłyszeli, że ktoś idzie korytarzem. – Seddons dotknął jej ramienia i powiedział: – Porozmawiamy jeszcze – niebawem.

Drzwi otworzyły się na oścież; dziewczęta cofnęły się okazując w ten sposób szacunek doktorowi Josephowi Pearsonowi. Rzucił szorstko na powitanie „dzień dobry”, a następnie, nie czekając na odpowiedź, podszedł do szafki, ściągnął biały fartuch i założył roboczy kitel, który zdjął z półki. Pearson kiwnął na Seddonsa, który podszedł i zawiązał mu tasemki na plecach. Potem, jak dobrze wyćwiczona drużyna, obaj podeszli do umywalki. Seddons wytrząsnął talk z puszek na dłonie Pearsona i podał mu gumowe rękawiczki. Wszystkie te czynności odbywały się w absolutnej ciszy. Wreszcie Pearson przesunął cygaro w ustach i wymamrotał: – Dziękuję.

Podszedł do stołu i zabrawszy spięte dokumenty z rąk McNeila zaczął je czytać, najwyraźniej nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół. Ani przez chwilę nie spojrzał na trupa. Seddonsowi, który obserwował ukradkiem tę scenę, nasunęło się skojarzenie z wyjściem dyrygenta przed orkiestrę. Brakowało tylko oklasków.

Pearson przetrawił historię choroby pacjenta, po czym obejrzał dokładnie ciało, porównując

swoje obserwacje z notatkami Seddonsa. W końcu odłożył papiery i wyjąwszy cygaro z ust popatrzył na pielęgniarki stojące po drugiej stronie stołu.

– Przypuszczam, że to wasza pierwsza sekcja.

– Dziewczęta wykrztusiły: – „Tak, proszę pana” i „Tak, panie doktorze”.

Pearson kiwnął głową.

– Zatem wyjaśnię: nazywam się doktor Pearson i jestem szpitalnym patologiem. Ci panowie to doktor McNeil, patolog rezydent, i doktor Seddons, rezydent na chirurgii, trzeci rok... Tu zwrócił się do Seddonsa.

– Dobrze mówię?

– Tak jest, doktorze Pearson – uśmiechnął się Seddons. Pearson kontynuował: – Trzeci rok w charakterze rezydenta, a teraz zaszczyca nas swoją obecnością, pełniąc obowiązki na patologii – zerknął na Seddonsa. – Doktor Seddons wkrótce uzyska kwalifikacje samodzielnego chirurga i zostanie wypuszczony na szerokie wody – prosto w ręce niepodejrzewających niczego pacjentów...

Dwie dziewczyny zachichotały; pozostałe lekko uśmiechnęły się. Seddons pokazał zęby w rozbawieniu, to mu się podobało. Pearson nigdy nie przepuszczał okazji, by przypiąć łatkę chirurgom i chirurgii, i pewnie miał ku temu uzasadnione powody; w ciągu czterdziestu lat pracy na patologii musiał zetknąć się z wieloma przypadkami chirurgicznego partactwa. Spojrzał na McNeila. Ten z kolei zmarszczył brwi. Nie pochwała Pearsona, pomyślał Seddons. McNeil woli patologię bez upiększeń. Pearson ciągnął dalej: – W ogólnej opinii patolog to lekarz, który ma rzadki kontakt z pacjentami. Jednak niewiele oddziałów tak znacząco wpływa na ich los...

Teraz posłuży się chwytem reklamowym, pomyślał Seddons, i następne słowa Pearsona potwierdziły jego przypuszczenia.

– To patologia zajmuje się badaniem krwi pacjenta, analizuje jego ekskrementy, wykrywa jego choroby, ustala czy guz jest łagodny czy złośliwy. To patologia jest głosem doradczym lekarza w chorobie pacjenta i czasami, gdy wszystko inne zawodzi w medycynie...

– Pearson zawiesił głos i popatrzył znacząco na ciało George’a Andrew Duntona, sprawiając, że spojrzenia pielęgniarek podążyły za jego wzrokiem – to właśnie patolog stawia ostateczną diagnozę.

Pearson znowu przerwał. Jakież z niego wyborny aktor, pomyślał Seddons, zuchwały pozer.

Teraz Pearson wycelował cygaro w dziewczęta.

– Zwracam uwagę – mówił – na pewne słowa, które znajdziecie na ścianach wielu podobnych pomieszczeń...

Ich wzrok powędrował za jego palcem w kierunku maksymy wypisanej na ścianie przez jakiegoś mądralę i obwiedzionej ramką: *Mortui Vivos Docent*. Pearson przeczytał napis po łacinie, po czym go przetłumaczył: – Umarli uczą żywych – i ponownie spojrzął na ciało.

– Właśnie teraz mamy okazję to potwierdzić. Mężczyzna podobno zaakcentował wyraz „podobno” – zmarł z powodu zakrzepu tętnicy wieńcowej. Sekcja wykaże, czy to prawda...

Pearson zaciągnął się głęboko, zaś Seddons, wiedząc co będzie dalej, podszedł do niego. W tej scenie grał jedynie drugoplanową rolę, mimo to nie miał zamiaru cokolwiek dla siebie stracić. Pearson wypuścił smugę błękitnego dymu i podał cygaro Seddonsowi, który położył je daleko od stołu. Następnie sędziwy patolog przejrzał rozłożone przed nim narzędzia i sięgnął po nóż. Wzrokiem ustalił miejsce, od którego zacznie cięcie, a potem zręcznym ruchem, pewnie i głęboko, wbił stalowe ostrze.

McNeil niepostrzeżenie obserwował pielęgniarki. W sekcji zwłok absolutnie nie powinny uczestniczyć, pomyślał, osoby o słabym sercu; nawet dla doświadczonych ludzi pierwsze cięcie jest ogromnym przeżyciem. Do tej chwili ciało spoczywające na stole przypomina osobę żyjącą. Po dotknięciu nożem, pomyślał, nie będzie już żadnych złudzeń. To nie mężczyzna, kobieta, dziecko, a jedynie mięśnie i kości; niby przypomina żywą istotę, ale jest martwe. Taka jest nieubłagana rzeczywistość, koniec, do którego każdy z nas zmierza. To dopełnienie prawdy ze Starego Testamentu: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”.

Ze zręcznością i szybkością, jakie daje wieloletnie doświadczenie, Pearson rozpoczął sekcję od głębokiego nacięcia w kształcie litery Y. Górne ramiona Y biegły od obojczyka zmarłego i stykały się tuż pod klatką piersiową. Od tego miejsca ciął prosto w dół, aż po genitalia. Gdy nóż rozdzielał skórę, słychać było syk, niemal odgłos rozrywanego ciała, które rozwarło się, ukazując pod powierzchnią warstwę żółtego tłuszczu.

Obserwując praktykantki McNeil zauważył, że dwie z nich mają twarze kredowobiałe, trzecia zaś głośno wciągnęła powietrze i stanęła tyłem; pozostałe trzy śledziły operację ze stoickim spokojem. Rezydent nie spuszczał wzroku z owych dwu pobladyłych dziewcząt; omdlenia pielęgniarek podczas sekcji nie należały do rzadkości. Jednak ta szóstka robiła wrażenie wytrzymałej; tamtym dwóm wracały już kolory, a trzecia ponownie odwróciła się, ale z chusteczką przy ustach. McNeil odezwał się spokojnie: – Gdyby któraś chciała wyjść na parę

minut, proszę bardzo. Za pierwszym razem rzeczywiście trudno wytrzymać...

Spojrzały na niego z wdzięcznością, lecz żadna nie ruszyła się z miejsca. McNeil wiedział, że niektórzy patolodzy nie wpuszczają pielęgniarek na sekcję, dopóki nie zrobią początkowego cięcia. Natomiast Pearson był zdania, że nikogo nie należy oszczędzać. Uważał, że dziewczęta powinny widzieć wszystko i z tym McNeil się zgadzał. Pielęgniarka musi obcować z wieloma sytuacjami, które niełatwo znieść rany, pokaleczone ręce i nogi, gangreny, operacje; im szybciej nauczy się akceptować takie widoki i tolerować różne zapachy medycyny, tym lepiej dla wszystkich, także dla niej.

Teraz McNeil włożył rękawiczki i przyłączył się do Pearsona. Do tej pory starszy pan zręcznymi ruchami zdążył już odsunąć płat klatki piersiowej i oddzieliwszy miękkie tkanki większym nożem, odsłonił żebra. Następnie za pomocą specjalnych nożyc dźwigniowych przeciął je ukazując osierdzie i płuca. Rękawice, narzędzia i stół zaczęły pokrywać się krwią. Seddons, także w rękawiczkach, stojąc po drugiej stronie stołu, odcinał płaty w dolnej partii ciała i otwierał jamę brzuszną. Przyniósł wiadro z drugiego końca sali i zaczął pozbywać się żołądka i jelit, po uprzednim przejrzaniu. Dało się wyczuć niesamowity odór. W tym momencie Pearson i Seddons razem podwiązali i przecięli tętnice, aby w zakładzie pogrzebowym nie mieli kłopotu z balsamowaniem zwłok. Z kolei Seddons zdjął cienki wąż gumowy z wieszaka nad stołem, przekręcił kurek i zaczął zmywać krew, która dostała się do jamy brzusznej, a potem, po przyzwalającym kiwnięciu głową przez Pearsona, zrobił to samo z klatką piersiową.

Tymczasem McNeil zajmował się głową nieboszczyka. Najpierw zrobił nacięcie na górze czaszki, zaczynając tuż za uszami i dalej nad linią włosów, aby nie było nic widać, gdy ciało zostanie oddane rodzinie zmarłego. Później, wykorzystując siłę wszystkich palców, zsunął cały skalp do przodu tak, że mięśnie głowy zwisały nad czołem, zakrywając oczy. Po odkryciu całej czaszki McNeil wziął piłę elektryczną. Zanim ją uruchomił, spojrzał jeszcze na dziewczęta, które obserwowały go z niedowierzaniem, ale i grozą. Spokojnie dziewczęta, pomyślał; za chwilę będziecie miały pełny obraz sekcji.

Gdy Pearson ostrożnie wyjmował serce i płuca, McNeil przykładał piłę do kości. Ciszę kostnicy przerwał ponury, metaliczny chrzęst wibrujących stalowych zębów, które wgryzały się w czerep. McNeil podniósłszy wzrok zobaczył, jak dziewczyna z chusteczką przy twarzy drgnęła; jeśli ma ochotę wymiotować, to lepiej nie tutaj, pomyślał i odłożył piłę; George Rinne oczyścił ją z krwi, razem z innymi narzędziami. Teraz McNeil ostrożnie odchylił część pokrywy

czaszki, za którą pokazała się miękka błona, okrywająca mózg. Znowu zerknął na pielęgniarki. Trzymały się dzielnie; jeśli to potrafią przetrzymać, przetrzymają wszystko.

McNeil odłożył odcięty czerep, chwycił ostre nożyce i otworzył grubą żyłę, zatokę strzałkową górną, która biegnie od czoła do tyłu głowy przez środek błony. Na nożyczki i palce lekarza chlusnęła krew. Była płynna, zauważył; ani śladu zakrzepu. Zbadał dokładnie błonę, po czym ją wyciął i odsłonił bryłę mózgu. Pomagając sobie nożem ostrożnie odciął mózg od rdzenia kręgowego i wyjął go. Seddons podszedł ze szklanym słojem, do połowy wypełnionym formaliną, a McNeil powolutku włożył mózg do środka.

Patrząc na McNeila, jego spokojne, opanowane ruchy, Seddons uzmysłowił sobie, że byłby ciekaw, o czymże on teraz myśli. Znał McNeila od dwóch lat, najpierw jako rezydenta, choć znajdował się wyżej w szpitalnej hierarchii, a następnie z kilkumiesięcznej praktyki na oddziale patologii. Patologia interesowała Seddonsa, był jednak zadowolony, że specjalizuje się w czym innym. Nigdy nie miał wątpliwości co do swojego wyboru i będzie szczęśliwy, jak za kilka tygodni wróci na chirurgię. W przeciwieństwie do tego królestwa zmarłych sala operacyjna należała do żyjących. Pulsowała życiem. W tym zabieganiu kryła się jakaś poezja, dająca poczucie spełnienia, którego, był o tym przekonany, nigdy nie mógłby osiągnąć tutaj. Wszystko ma swoje miejsce, pomyślał, patologia jest miejscem dla patologów.

Z patologią wiązało się jeszcze coś innego: za jej sprawą można było utracić wiarę, że medycyna pochodzi od ludzi i dla nich istnieje. Weźmy ten mózg... Seddons był świadom, że jeszcze parę godzin temu stanowił centralny ośrodek ludzkiego organizmu. Był koordynatorem zmysłów: dotyku, zapachu, wzroku, smaku. Rodziły się w nim myśli, znał miłość, strach, smak zwycięstwa, sukcesu. Wczoraj, a może nawet dzisiaj, mógłby rozkazać oczom płakać, ustom pleść bzdury. Zwrócił uwagę na informację, że zmarły był inżynierem budownictwa. Zatem był to mózg, który posługiwał się regułami matematycznymi, wymyślał metody budowlane, może tworzył domy, autostrady, urządzenia wodociągowe, katedry – to spuścizna po tym mózgu ku pożytkowi innych. A czym był obecnie? Jedyne masą tkanek, które zakonserwuje się, a później pokroi w plastry, zbada i w końcu spali.

Seddons nie wierzył w Boga i trudno mu było pojąć, jak mogą weń wierzyć ludzie wykształceni. Wiedza, nauka – pomyślał – im bardziej są rozwinięte, tym mniej wiarygodne stają się jakiegokolwiek religie. Wierzył jednak w coś, co nazywał z braku lepszego określenia „iskrą natury ludzkiej, credo jednostki”. Jako chirurg nie zawsze miał kontakt z poszczególnymi

osobami; nie zawsze znał pacjentów, a jeśli nawet, to zatracił poczucie ich istnienia, koncentrując się wyłącznie na problemach technicznych. Mimo to przed laty przyrzekł sobie nigdy nie zapominać, iż za tym wszystkim kryje się pacjent – konkretna istota. W czasie swej praktyki lekarskiej Seddons otoczył się skorupą, która izolowała go od innych – była to jakby samoobrona przed bliskim kontaktem z pacjentami. Czasami był to mechanizm obronny, rozmyślnie działanie, dzięki któremu mógł ukryć emocje i osobiste zaangażowanie. Jednak czuł się wystarczająco silny, by radzić sobie bez tej osłony. Co więcej, aby być pewnym, że tak jest naprawdę, prowokował dyskusje z sobą samym, jak w tym momencie. Być może niejednego z przyjaciół Seddonsa, którzy widzieli w nim pogodnego ekstrawertyka, zdziwiłoby, gdyby poznali jego wewnętrzny świat. A może wcale nie; mózg, umysł, jakkolwiek go nazwiemy, był czymś trudnym do pojęcia.

A McNeil? Jakie były jego odczucia? Może on również otoczył się swoistą skorupą? Seddons nie wiedział tego, lecz podejrzewał, że raczej tak. A Pearson? Tu nie miał żadnych wątpliwości. Joe Pearson zwykle był chłodny i opanowany. Pomimo jego zamięłowania do pokazówek, lata pracy na patologii uczyniły zeń zimnego człowieka. Seddons spojrzał na starszego pana. Wyjął właśnie serce i uważnie mu się przyglądał. Odwrócił się do studentek.

– Z historii choroby wiemy, że trzy lata temu ten mężczyzna przeszedł pierwszy zawał, a drugi na początku tego tygodnia. Zatem najpierw sprawdzimy tętnice wieńcowe.

Dziewczyny z przejęciem obserwowały, jak Pearson delikatnie otwiera tętnicę mięśnia sercowego.

– Gdzieś tutaj powinniśmy znaleźć ślad po zakrzepicy... tak, mamy...

Wskazał miejsce końcówką metalowej sondy. W głównej odnodze lewej tętnicy wieńcowej, jeden cal powyżej jej początku, ukazał się błądy skrzep wielkości pół cala. Wyjął go, żeby dziewczęta mogły mu się przyjrzeć.

– Zbadamy teraz samo serce.

Pearson położył narząd na pulpicie do sporządzania preparatów i przeciął nożem przez środek. Przyjrzał się bacznie obu częściom, potem skinął na pielęgniarki, żeby się zbliżyły. Podeszły z ociąganiem.

– Zauważyliście w mięśniu to pole zbliznowacenia? – Pearson wskazał na pasma białej włóknistej tkanki w sercu, a dziewczęta pochyliły się nad rozwartą czerwoną jamą, chcąc lepiej wszystko zobaczyć. – To dowód przebytego trzy lata temu zawału serca – stary zawał, już

zagojony.

Pearson zawiesił głos, a po chwili mówił dalej: – Tutaj, w lewej komorze, mamy ślady ostatniego zawału. Zwróćcie uwagę na bładny punkt, otoczony warstwą krwotoczną.

Pokazał małą ciemnoczerwoną plamkę z jasnym punktem pośrodku, wyraźnie kontrastującą z czerwobrazową strukturą pozostałej części mięśnia sercowego.

Pearson zwrócił się do chirurga rezydenta: – Czy zgodzi się pan ze mną, doktorze Seddons, że diagnoza dotycząca śmierci, która miała nastąpić z powodu zakrzepicy tętnicy wieńcowej, wydaje się trafna?

– Tak, tak sędzę – odparł uprzejmie Seddons. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, pomyślał. Wystarczy maleńki skrzep, niewiele większy od nitki spaghetti, by przeciąć życie na dobre. Patrzył, jak stary patolog odkłada serce na bok.

Vivian była już nieco spokojniejsza. Miała nadzieję, że dostatecznie panuje nad sobą. Na samym początku i później, gdy piła rozcinała czaszkę nieżyjącego mężczyzny, czuła, jak krew odpływa jej z głowy. Wiedziała, że jest bliska omdlenia, ale postanowiła przetrzymać. Nagle, bez żadnego powodu, przypomniała sobie pewne zdarzenie z dzieciństwa. Podczas wakacji, które spędzali w głębi puszczy oregonskiej, jej ojciec upadł na otwarty nóż myśliwski, mocno rozcinając sobie nogę. To zadziwiające, ale ów twardy mężczyzna porządnie przeraził się widoku krwi, matka zaś, która więcej czasu spędzała w domu niż w lesie, wykazała wtedy ogromny hart ducha. Sporządziła opaskę zaciskającą, zatamowała krew, po czym kazała Vivian biec po pomoc. Później, gdy ojca Vivian niesiono przez las na zaimprovizowanych noszach z gałęzi, co pół godziny to rozluźniała opaskę, chcąc pobudzić krążenie krwi, to znów ją zaciskała dla zatamowania krwotoku. Lekarze powiedzieli wówczas, że matka uratowała ojcu nogę przed amputacją. Vivian dawno już zapomniała o tym wydarzeniu, ale teraz wspomnienie o nim dodało jej sił. Była przekonana, że w przyszłości nie będzie już miała kłopotów podczas sekcji.

– Są jakieś pytania? – odezwał się doktor Pearson.

Vivian miała: – A te narządy, te, które pan wyjął z ciała... Proszę mi powiedzieć, co się z nimi stanie?

– Przetrzymamy je około tygodnia – to znaczy płuca, serce, żołądek, nerki, wątrobę, trzustkę, śledzionę i mózg. Przeprowadzimy badania mikroskopowe, które szczegółowo opiszemy. Równocześnie będziemy badać organy pochodzące z innych sekcji; prawdopodobnie będzie tego w sumie sześć do dwunastu przypadków.

Informacja zabrzmiała chłodno i beznamiętnie, pomyślała Vivian. Ale może tak trzeba, jeśli pracuje się przy tym dzień w dzień. Machinalnie zadygotała. Mikę Seddons napotkał jej wzrok i uśmiechnął się zdawkowo. Zastanawiała się, czy to z rozbawienia, czy też chciał dodać jej otuchy. Nie miała pewności. Teraz jedna z dziewcząt wystąpiła z pytaniem. Głos jej drżał, jakby obawiała się je zadać.

– A ciało – czy zostanie spalone... samo?

Nie było w tym nic zaskakującego, więc Pearson odpowiedział:

– To zależy. W ośrodkach szkoleniowych, jak nasz, po sekcji wykonuje się dokładniejsze analizy, inaczej niż w szpitalach, gdzie nie przeprowadza się badań naukowych. Z naszego szpitala przekazuje się do zakładu pogrzebowego puste ciało... – po czym dodał, jakby kończąc myśl: – Gdybyśmy włożyli z powrotem te organy, w za kładzie pogrzebowym nie byłiby zadowoleni. Sprawiałyby kłopot przy balsamowaniu zwłok.

– To prawda, przyznał mu rację McNeil. Może przekazana w niezbyt elegancki sposób, ale jednak prawda. Czasami sam się zastanawiał, czy żałobnicy i inni ludzie, przychodzący do domu pogrzebowego, zdają sobie sprawę, jak niewiele pozostaje w ciele po przeprowadzeniu sekcji. Po takiej jak dzisiejsza, w zależności od nawału pracy na oddziale patologii, narządów wewnętrznych pozbywano się dopiero po kilku tygodniach, a niekiedy drobne wycinki każdego organu przechowywano w nieskończoność.

– Czy nigdy nie robi się wyjątków? – studentka zadająca pytanie była uparta. Ale nic nie wskazywało, że Pearson ma ochotę zaprotestować. Może to jeden z jego lepszych dni, pomyślał McNeil. Miewał takie czasami.

– Owszem – odparł. – Zanim przystąpimy do sekcji musimy mieć zgodę rodziny zmarłego. Bywa, że jest to zgoda bez żadnych ograniczeń, tak jak w tym przypadku, i wówczas możemy badać całą głowę i tułów. W innych otrzymujemy zgodę ograniczoną. Na przykład rodzina może zastrzec sobie, by nie otwierano czaszki. Szanujemy te prośby.

– Dziękuję, panie doktorze – dziewczyna najwyraźniej czuła się usatysfakcjonowana.

Lecz Pearson jeszcze nie skończył: – Zdarzają się też przypadki, gdy ze względu na przekonania religijne wszystkie wnętrzości muszą zostać spalone razem z ciałem. Wtedy oczywiście stosujemy się do życzeń.

– A jak jest z katolikami? – tym razem zapytała inna dziewczyna. – Zależy im na tym?

– Większości – nie, ale bywają szpitale katolickie, które tego wymagają. Ogromnie utrudnia

to pracę patologom. Zazwyczaj...

Dorzucając ostatnie słowo, Pearson spojrział kpiąco na McNeila; obaj dobrze wiedzieli, co Pearson ma na myśli: jeden z większych szpitali katolickich po drugiej stronie miasta zwykle żądał, aby narządy badane w czasie sekcji wkładano z powrotem do ciała. Jednak od czasu do czasu praktykowano drobne oszustwa. Oddział patologii miał przeważnie pod ręką cały zapas dodatkowych organów. Dzięki temu, przeprowadzając kolejną sekcję zwłok zastępowano usunięte narządy zapasowymi, aby można było zwrócić ciało; te zaś pozostawiano do analizy, a wykorzystywano z kolei przy następnej sekcji. W ten sposób patolodzy zawsze byli jedno oczko do przodu.

McNeil wiedział, że Pearson tego nie pochwała, chociaż nie jest katolikiem. Cokolwiek by powiedzieć o sędziwym patologu, zwykle nalegał, aby zgodę na przeprowadzenie sekcji traktować dosłownie. Istniało takie wyrażenie, niekiedy stosowane przy wypełnianiu formularza, które brzmiało: „sekcja ograniczona do nacięcia jamy brzusznej”. Ale znał patologów, którzy wykonując to nacięcie przeprowadzali pełną autopsję. Jeden z nich wyraził się kiedyś, że „przy cięciu jamy brzusznej, jeśli się tylko chce, można się dostać głęboko do środka i wyjąć wszystko, nawet język”. McNeil musiał przyznać, że Pearson nigdy by na to nie pozwolił, i w Trzech Hrabstwach zwrot „nacięcie jamy brzusznej” oznaczał wyłącznie badanie tej części ciała. Pearson ponownie skupił uwagę na zwłokach.

– Teraz będziemy badać dalej... – urwał i pochylił się. Sięgnął po nóż i delikatnie dotknął wnętrza ciała, po czym chrząknął z zainteresowaniem. – McNeil, Seddons, popatrzcie na to...

Pearson odsunął się na bok, a rezydent zajrzał w miejsce, które przed chwilą badał starszy pan. Kiwnął głową. Opłucna, błona okrywająca płuca, zwykle przezroczysta i błyszcząca, pokryta była grubym zbliznowaciałym nalotem: gęstą, białą, włóknistą tkanką. Był to objaw gruźlicy; za chwilę dowiedzą się, czy zadawnionej, czy też zupełnie świeżej. McNeil odszedł, żeby zrobić miejsce Seddonsowi.

– Dotknij płuc, Seddons – odezwał się Pearson. – Wydaje mi się, że znajdziesz tam stosowne dowody...

Rezydent chirurg ujął płuca w dłonie i badał je palcami. Jamy pod powierzchnią były łatwo wyczuwalne. Popatrzył na Pearsona i skinął głową. McNeil zajrzał do historii choroby. Czystym nożem przewracał kartki, żeby ich nie pobrudzić.

– Czy przyjmując pacjenta zrobiono prześwietlenie klatki piersiowej? – zapytał Pearson.

Rezydent potrząsnął głową.

– Pacjent był w szoku. Jest tu notatka, że nie było prześwietlenia.

– Zrobimy przekrój podłużny i zobaczymy, co tam widać – Pearson znowu zwrócił się do pielęgniarek. Wyjął płuca i jedno z nich przeciął przez środek. Nie mogło być żadnej pomyłki: gruźlica włóknisto-serowaciejąca w zaawansowanym stadium. Płuco przypominało wyglądem plaster miodu, składając się jakby z połączonych ze sobą piłeczek pingpongowych. A pośrodku zaogniona, groźna narośl, która w końcu pokonała serce. – Widzicie to?

– Tak. Było chyba kwestią przypadku, co go wcześniej dopadnie: to czy serce – odparł Seddons.

Przyczyna śmierci to zawsze ślepy los – Pearson spojrzął na pielęgniarki. – Ten mężczyzna miał zaawansowaną gruźlicę. Jak zauważył doktor Seddons, wkrótce stałaby się ona przyczyną jego zgonu. Przypuszczalnie ani on, ani lekarz nie zdawali sobie z tego sprawy.

Pearson ściągnął rękawiczki i zaczął zdejmować ubranie ochronne, przedstawienie skończone, pomyślał Seddons. Teraz aktorzy drugiego planu i personel techniczny zajmą się sprzątnięciem. McNeil i on włożą co ważniejsze narzędzia do kubła, na które nakleją kartkę z numerem przypadku. Resztę włoży się z powrotem do brzucha, a jeśli będzie trzeba, puste jamy wypełni skrawkami gazy. Potem pozszywają ciało grubym ścięciem, podobnym do tego, jaki stosuje się na piłce baseballowej – z góry i z dołu, gdyż te partie ciała, które rozcinali i tak będą w trumnie przykryte ubraniem; gdy skończą, ciało trafi do lodówki, gdzie zaczeka na przedsiębiorcę pogrzebowego.

Pearson włożył biały fartuch laboratoryjny, w którym przyszedł i zapalił kolejne cygaro. Do jego osobliwego sposobu bycia należało zostawianie po sobie w całym szpitalu niedopałków, które zazwyczaj inni wrzucali do popielniczki. Zwrócił się do pielęgniarek: – W waszej przyszłej pracy wielokrotnie będziecie stykać się ze śmiercią pacjentów. Wówczas trzeba będzie uzyskać zgodę najbliższych krewnych na przeprowadzenie sekcji zwłok. Czasami ta rola przypadnie lekarzowi, czasami wam. W takim przypadku możecie napotkać przeszkody. Trudno pogodzić się z myślą, że ma się, nawet po śmierci, okaleczyć kogoś, kogo się kochało. To oczywiste.

Pearson zawiesił głos. Seddons przyłapał się na tym, że znów skupił myśli na starym patologu. Czy mimo wszystko zostało w nim choć trochę ciepła, choć trochę ludzkich uczuć?

– Gdy będziecie szukały stosownych argumentów – mówił Pearson – by przekonać kogoś do autopsji, wtedy, mam nadzieję, przypomnicie sobie to, co widziałyście dzisiaj i posłużycie się

tym przykładem.

Machnął cygarem w kierunku stołu.

– Ten mężczyzna miał gruźlicę od wielu miesięcy. Niewykluczone, że zaraził kogoś ze swojego otoczenia: rodzinę, współpracowników, nawet kogoś w tym szpitalu. Gdyby nie doszło do sekcji, u niektórych z tych ludzi mogłaby się rozwinąć gruźlica, którą wykryto by, jak u tego człowieka, o wiele za późno.

Dwie studentki instynktownie odsunęły się od stołu. Pearson potrząsnął głową.

– Tutaj nie ma już niebezpieczeństwa. Gruźlica jest chorobą układu oddechowego. Ale sądząc po tym, czego dowiedzieliśmy się, wszyscy którzy mieli bliski kontakt z chorym, muszą być pod obserwacją i przez kilka najbliższych lat będą poddawani okresowym badaniom.

Ku swemu zaskoczeniu Seddons doszedł do wniosku, że słowa Pearsona poruszyły go. Pomyślał, że jednak potrafi przekonywająco wygłaszać swoje opinie, co więcej – wierzy w to, co mówi. W tej chwili odczuwał sympatię do starszego pana.

Jakby czytając w myślach Seddonsa, Pearson spojrział na niego i z kpiącym uśmiechem rzucił: – Patologii również nie brakuje sukcesów, doktorze Seddons.

Skinął głową w stronę pielęgniarek i wyszedł, zostawiając po sobie smugę dymu z cygara.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Comiesięczna konferencja chirurgów na temat umieralności pacjentów wyznaczona była na godzinę 14,30. Trzy minuty przed wpół do trzeciej doktor Lucy Grainger, trochę niespokojna, że nie zdąży, prawie wbiegła do recepcji w administracyjnej części szpitala.

– Spóźniłam się? – zapytała sekretarkę.

– Chyba jeszcze nie zaczęli, dopiero weszli do sali konferencyjnej – dziewczyna wskazała ręką podwójne dębowe drzwi w głębi holu; Lucy podeszła bliżej i usłyszała odgłosy rozmów dobiegające z wnętrza.

Wchodząc do przestronnego pokoju z grubym dywanem na podłodze, długim stołem i rzeźbionymi krzesłami, znalazła się obok Kenta O'Donnella i jakiegoś młodszego mężczyzny, którego nie знаła. Wokół było gwarno, a powietrze zgęstniałe od dymu. Comiesięczne zebrania na temat umieralności traktowano zazwyczaj jako wykłady seminaryjne, więc zebrała się już większość z ponad czterdziestu chirurgów, pracujących w szpitalu, a także młodszy personel medyczny – stażyści i rezydenci.

– Lucy!

Uśmiechnęła się na widok dwu innych chirurgów, po czym odwróciła się słysząc wołanie O'Donnella: – Lucy, poznaj doktora Rogera Hiltona. Właśnie podjął u nas pracę. Może pamiętasz jego nazwisko – pojawiło się tu jakiś czas temu...

– Tak, przypominam sobie – roześmiała się w kierunku młodego lekarza.

– To jest doktor Lucy Grainger – O'Donnell, jak zwykle dbał o prezentację nowego pracownika. I zaraz dodał: – Lucy jest jednym z naszych chirurgów ortopedów.

Podawała Hiltonowi rękę. Uścisnął ją mocno, z młodzieńczym uśmiechem na twarzy. Oceniała go na dwadzieścia siedem lat.

– Jeśli nie będzie to dla pana zbyt męczące, zapraszamy na wykład.

– Szczerze mówiąc, podoba mi się tutaj – sprawiał wrażenie, że tak jest rzeczywiście.

– To pańska pierwsza praca w szpitalu?

– Tak – skinął głową twierdząco. – Byłem chirurgiem rezydentem w Michael Reese.

Teraz Lucy przypomniła sobie dokładniej. Tego mężczyznę Kent O'Donnell bardzo chciał ściągnąć do Burlington, co bez wątplenia znaczyło, że Hilton ma doskonałe kwalifikacje.

– Pozwól na chwilę, Lucy – Kent podszedł z tyłu. Przeprósiwszy Hiltona podążyła za szefem chirurgów do okna, z dala od tłumu.

– No, trochę lepiej, przynajmniej możemy się usłyszeć – roześmiał się O'Donnell. – Co się z tobą działo, Lucy? Dawno cię nie widziałem, poza krótkimi spotkaniami służbowymi.

– Udawała, że się zastanawia.

– Cóż, puls miałam normalny, temperaturę także. Ciśnienia ostatnio nie badałam...

– Może ja bym to zrobił? – rzekł O'Donnell. – Na przykład podczas obiadu.

– Uważasz, że to rozsądne? Manometr mógłby ci wpaść do zupy.

– W takim razie... umówmy się na obiad, a o reszcie zapomnijmy.

– Chętnie – odparła. – Ale najpierw muszę zajrzeć do kalendarza.

– Dobrze, zadzwonię do ciebie. Spróbujmy się spotkać w przyszłym tygodniu – odchodząc Kent O'Donnell lekko dotknął jej ramienia. – Powinienem chyba rozpocząć tę imprezę.

Lucy patrząc jak O'Donnell toruje sobie drogę między ludźmi, pomyślała, zresztą nie po raz pierwszy, że bardzo jej się podoba jako kolega i mężczyzna. Zaproszenie na obiad nie było niczym nowym. Razem spędzali już wieczory i przez chwilę zadumała się, czy przypadkiem ich znajomość nie staje się czymś w rodzaju cichego związku. Oboje byli wolni – trzydziestopięcioletnia Lucy była o siedem lat młodsza od Kenta. Jednak w jego zachowaniu nie było nic, co by wskazywało, że uważa ją za coś więcej niż sympatycznego kompana.

Ze swej strony Lucy wiedziała, że gdyby na to pozwoliła, jej sympatia dla Kenta O'Donnella mogłaby się przerodzić w głębsze, bardziej osobiste uczucie. Nie robiła jednak nic, by przyspieszyć bieg wypadków, uważając, że jeśli ma już do tego dojść, lepiej poddać się losowi, jeśli nie – przynajmniej nic na tym nie straci. Na tym polegała przewaga dojrzałego wieku nad świeżością młodości. Nauczyła się działać bez większego pośpiechu, gdyż odkryła, że tęcza kończy się dużo dalej niż za sąsiednim blokiem.

– Czy możemy już zaczynać, panowie? – Kent O'Donnell dotarł do szczytu stołu i odezwał się podniesionym głosem, który rozniósł się ponad głowami zebranych. On również delektował się krótką chwilą spędzoną z Lucy i z przyjemnością rozmyślał o tym, że niebawem się spotkają. Właściwie to zaprosiłby ją wcześniej, lecz miał swoje powody, by się wahać. Tak naprawdę Kent O'Donnell odnosił wrażenie, że coraz bardziej przywiązuje się do Lucy Grainger i nie był pewien, czy to jest korzystne dla nich obojga.

Przyzwyczał się już do swojego trybu życia. Samotność i związane z nią poczucie

niezależności potrafi po jakimś czasie zawładnąć człowiekiem; czasami wątpił, czy umiałby przystosować się do innego życia. Podejrzał, że podobnie myśli Lucy. Poza tym mogłyby się pojawić problemy natury zawodowej. Niemniej w jej obecności czuł się nieporównywalnie lepiej niż w towarzystwie jakiegokolwiek innej kobiety. Emanowało z niej wewnętrzne ciepło; kiedyś dla własnego użytku określił ją jako człowieka wyjątkowej życzliwości, co było kojące i dodawało sił. Wiedział, że na innych, szczególnie na pacjentów, oddziaływała podobnie.

Nie można powiedzieć, żeby Lucy nie była atrakcyjną kobietą; odznaczała się dojrzałym pięknem. Obserwując ją – właśnie zatrzymała się, by porozmawiać z jednym ze stażystów – ujrzał, jak podnosi rękę i odrzuca włosy do tyłu. Nosila krótką fryzurę; miękkie pukle, niemalże w kolorze złota, okalały jej twarz. Zauważył jednak kilka siwiejących pasemek. Tak, ten zawód nie oszczędza nikogo. Przypomniało mu to, że czas nie stoi w miejscu. Czy źle zrobił nie podejmując energiczniejszych kroków? Czy nie czekał zbyt długo? Cóż, zobaczy, co wyjdzie ze wspólnego obiadu w przyszłym tygodniu.

Nadal było gwarno, więc tym razem nieco głośniejszym głosem powtórzył swoją prośbę.

– Wydaje mi się, że nie ma jeszcze Joe Pearsona – krzyknął Bill Rufus. Pstrokaty krawat, który O'Donnell zauważył już wcześniej, Wyróżniał Billa spośród innych.

– Czy jest Joe? – w głosie O'Donnella, który rozglądał się w poszukiwaniu patologa, dało się wyczuć zdziwienie. – Czy ktoś widział Joe Pearsona?

Kilka osób potrząsnęło przecząco głowami. Przez moment na twarzy O'Donnella pojawił się wyraz zniecierpliwienia, ale zaraz zniknął. Kent ruszył do wyjścia.

– Nie mogę prowadzić seminarium na temat umieralności bez patologa. Dowiem się, dlaczego go nie ma.

Ledwo zbliżył się do drzwi, pojawił się Pearson.

– Właśnie zamierzaliśmy cię szukać, Joe – głos O'Donnella brzmiał życzliwie i Lucy zwątpiła, czy chwilę temu Kent rzeczywiście dał się ponieść nerwom.

– Przeprowadzałem sekcję, trochę się przeciągnęła. Potem poszedłem po kanapkę – Pearson bąknął niewyraźnie, głównie dlatego, że między jednym a drugim zdaniem coś przeżuwał. Przypuszczalnie to ta kanapka, pomyślała Lucy; uśmiechnęła się widząc wśród sterty papierów i teczek, które trzymał pod pachą, resztki jedzenia zawinięte w serwetkę. Tylko Joe Pearson mógł sobie pozwolić na spożywanie lunchu podczas wykładu..

O'Donnell przedstawił Pearsona Hiltonowi. Gdy wymieniali uścisk dłoni, Pearson upuścił

jedną z teczek i plik papierów rozsypał się na podłodze. Bill Rufus pozbiierał je z uśmiechem i wcisnął patologowi teczkę pod ramię. Pearson skinął głową wyrażając podziękowanie, po czym obcesowo zapytał Hiltona:

– Chirurg?

– Tak jest, panie doktorze – odparł ten uprzejmie.

– Dobrze wychowany młody człowiek, skostatowała Lucy. Z szacunkiem odnosi się do starszych.

– Zatem mamy kolejnego nowicjusza do działu techniki – rzekł Pearson.

Po tej głośnej acz cierpkiej uwadze zapadła nagła cisza. W innym wypadku takie słowa potraktowano by jako żart, ale w ustach Pearsona dało się wyczuć cień pogardy.

Hilton odparł z uśmiechem.

– Chyba tak to można nazwać.

Jednak Lucy zauważyła, że był zdziwiony tonem rozmowy.

– Niech pan nie zwraca uwagi na Joe’go – dobrodusznie odezwał się O’Donnell. – Ma haka na chirurgów... No i jak, zaczynamy?

Podeszli do długiego stołu; niektórzy ze starszych lekarzy automatycznie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, inni usiedli z tyłu.

O’Donnell znalazł się u szczytu stołu, a Pearson z plikiem papierów po jego lewej stronie. Gdy lekarze sadowili się na krzesłach, Lucy zobaczyła, że Pearson zajada kanapkę. Nie usiłował nawet tego ukryć. Nieco dalej od szczytu stołu Lucy spostrzegła Charliego Dornbergera, jednego ze szpitalnych położników; zajęty był uważnym nabijaniem tytoniu do fajki. Ilekroć Lucy widziała Dornbergera, ten albo napełniał albo czyścił fajkę; rzadko ją palił. Obok Dornbergera siedział Gil Bartlett, a naprzeciw niego „Ding Dong” z radiologii oraz John McEwan wyraźnie zainteresował się dzisiejszym wykładem; specjaliści od uszu, nosa i gardła zazwyczaj nie uczestniczą w zebraniach, przeznaczonych dla chirurgów.

– Dzień dobry państwu – O’Donnell przebiegł wzrokiem po sali i rozmowy w końcu ucichły. Zajrzał do notatek.

– Przypadek pierwszy. Samuel Lobitz, biały mężczyzna, lat pięćdziesiąt trzy. Przedstawi doktor Bartlett.

Gil Bartlett, jak zawsze ubrany z nieskazitelną galanterią, otworzył notatnik. Lucy podświadomie wpatrywała się w przystrzyżoną bródkę, która prawie natychmiast zaczęła unosić

się w górę i w dół. Bartlett rozpoczął cichym głosem: – Pacjenta przekazano mi dwunastego maja...

– Trochę głośniej, Gil... – wystąpił z prośbą ktoś z drugiego końca stołu.

Bartlett podniósł głos: – Postaram się... Ale może powinniście udać się po zebraniu do doktora McEwana...

Siedzący w pobliżu laryngologa gruchnęli śmiechem.

Lucy zazdrościła kolegom, którzy potrafili zachowywać się swobodnie na zebraniu. Jej nigdy się to nie udawało, zwłaszcza gdy dyskusja dotyczyła jej pacjentów. Każdy starał się uzasadnić własną diagnozę i przedstawić metody leczenia zmarłego pacjenta, a potem należało wysłuchać opinii innych, w tym sprawozdania patologa z przeprowadzonej sekcji. A Joe Pearson na nikim nie zostawiał suchej nitki.

Oczywiście zdarzały się nieszczęśliwe pomyłki, które mogły się przytrafić każdemu medykowi; nawet takie, które pacjenci przypłacali życiem. Niewielu lekarzom udało się ich uniknąć. Ważne tylko, aby wyciągnęli z nich wnioski i nigdy więcej nie popełnili podobnego błędu. W tym celu organizowano zebrania, takie jak dzisiejsze – by każdy uczestnik mógł się czegoś nauczyć.

Jednak zdarzały się też wpadki trudne do wybaczenia i wszyscy byli przygotowani, że będzie się o nich dyskutować na zebraniu. Zapadała wtedy niezręczna cisza, uciekano ze spojrzeniami. Rzadko posuwano się do otwartej krytyki; z jednej strony dlatego, iż nie była potrzebna, z drugiej – bo nikt nigdy nie wiedział, kiedy jemu samemu przyjdzie się z czegoś takiego tłumaczyć.

Lucy przypomniała sobie historię wybitnego chirurga, z którym pracowała w innym szpitalu. Operował jelita, podejrzewając raka. Gdy odnalazł chore miejsce, doszedł do wniosku, że nie nadaje się do zoperowania i zamiast usunąć nowotwór, wykonał połączenie omijające. Trzy dni później pacjent zmarł, po czym przeprowadzono sekcję, która wykazała, że w ogóle nie było raka. Doszło do przedziurawienia wyrostka robaczkowego i utworzył się ropień. Chirurg nie poznał się na tym i skazał człowieka na śmierć. Lucy dobrze pamiętała nastrój grozy, jaki zapanował na sali po sprawozdaniu patologa.

Oczywiście, w takich przypadkach nie było mowy o jakichkolwiek przeciekach na zewnątrz. Szeregi szpitalne zwierzały się. Lecz w dobrym szpitalu na tym się nie kończyło. W Trzech Hrabstwach O'Donnell zawsze brał winowajcę na rozmowę w cztery oczy, a jeśli przypadek był szczególnie drastyczny, delikwent przez jakiś czas pozostawał pod ścisłą kontrolą. Jak dotąd

Lucy nie przeżyła nic podobnego, ale słyszała, że za zamkniętymi drzwiami szef chirurgów potrafi być bezlitosny.

Gil Bartlett mówił dalej: – Pacjenta skierował do mnie doktor Cymbalist.

Lucy wiedziała, że Cymbalist jest lekarzem ogólnym, niepracującym w Trzech Hrabstwach. Sama miewała pacjentów skierowanych przez niego.

– Zadzwoił do mnie do domu – ciągnął Bartlett – i powiedział, że podejrzewa perforację wrzodu. Opisane przez niego objawy potwierdzały taką diagnozę. Pacjent był wówczas w karetce, w drodze do szpitala. Zadzwoiłem do dyżurnego chirurga rezydenta i powiadomiłem go o tym.

Bartlett sprawdził notatki.

– Pół godziny później sam zbadałem pacjenta. Cierpiał na ostry ból w nadbrzuszu i był w szoku. Ciśnienie krwi wynosiło siedemdziesiąt na czterdzieści. Był blady i zlany zimnym potem. Poleciałem wykonanie transfuzji, która miała zwalczyć szok, oraz podałem morfinę. Brzuch był twardy, z objawem Blumberga.

– Czy zrobiłeś prześwietlenie klatki piersiowej? – zapytał Bill Rufus.

– Nie. Wydawało mi się, że stan jest zbyt ciężki, aby pacjenta wozić na prześwietlenie. Potwierdziłem poprzednią diagnozę, z której wynikało, że jednak chodzi o perforację wrzodu i podjąłem decyzję o natychmiastowej operacji.

– Żadnych wątpliwości, co, doktorze? – tym razem wtrącił się Pearson. Do tej pory patolog przeglądał swoje papiery, teraz spojrzał Bartlettowi prosto w twarz.

Bartlett wahał się przez chwilę. Lucy pomyślała: coś tu nie gra; diagnoza była błędna i Joe Pearson czeka tylko na stosowny moment, aby zastawić pułapkę. Uznała jednak, że jeśli Pearson ma przeciw niemu jakieś argumenty, Bartlett o tym wie. Zatem nic nie może go zaskoczyć. W każdym razie z pewnością asystował przy sekcji, jak większość sumiennych chirurgów. Po krótkiej przerwie młody mężczyzna spokojnie ciągnął swoją kwestię: – W nagłych przypadkach każdy ma wątpliwości, doktorze Pearson. Moim zdaniem, wszelkie symptomy wskazywały na konieczność natychmiastowej operacji – zawiesił głos. – Jednakże okazało się, że nie ma żadnego wrzodu i pacjent wrócił na oddział. Poprosiłem doktora Toynbee o konsultację, lecz zanim przyjechał, pacjent zmarł.

Gil Bartlett zamknął notatnik i spojrzał na zebranych. Tak, diagnoza była błędna i chociaż Bartlett starał się zachować spokój, Lucy wiedziała, że musi przeżywać męki z powodu

wyrzutów sumienia. Sądząc jednak po objawach można usprawiedliwić jego decyzję o zabiegu.

Teraz O'Donnell zwrócił się do Joe Pearsona z uprzejmym pytaniem: – Czy mógłbyś nam zrelacjonować wyniki sekcji?

Lucy domyśliła się, że ordynator wie, co się święci. Szefowie oddziałów zwykle czytali sprawozdania z sekcji, które dotyczyły ich podwładnych.

Pearson przewertował kartki i wybrał jedną z nich. Wzrokiem przebiegł po sali.

– Jak już powiedział doktor Bartlett, nie doszło do przedziurawienia wrzodu. W rzeczywistości brzuch był w zupełnym porządku – zrobił przerwę, jakby chciał osiągnąć lepszy efekt dramatyczny.

– Natomiast co było: zaawansowane zapalenie płuc. Nic dziwnego, że wystąpił ostry ból opłucnej.

A więc to tak. Lucy przypomniała sobie wiadomości na ten temat. Rzeczywiście na pierwszy rzut oka mogły wystąpić podobne objawy.

– Czy ktoś chce zabrać głos? – zapytał O'Donnell.

Zapadła cisza. Popelniono pomyłkę i nie można jej nazwać przypadkową. Większość zgromadzonych zdawała sobie sprawę, że podobna mogłaby się przytrafić każdemu z nich.

Bill Rufus odezwał się pierwszy: – Uważam, że przy takich objawach ingerencja chirurgiczna była uzasadniona.

Pearson tylko na to czekał. Zaczął z rozmysłem: – No, nie wiem... – potem dodał prawie

obojętnie, jakby rzucał granatem bez ostrzeżenia: – Wszyscy wiedzą, że doktor Bartlett rzadko bada cokolwiek powyżej brzucha... – A po chwili przerywając głuchą ciszę zwrócił się bezpośrednio do Bartletta: – Czy w ogóle badał pan płuca?

I uwaga, i pytanie były oburzające. Nawet jeśli Bartlettowi należała się nagana, to powinien ją wygłosić O'Donnell, nie Pearson, i do tego prywatnie. Przecież Bartlett nie miał opinii partacza. Ci, którzy z nim pracowali, doskonale wiedzieli, że jest szalenie dokładny i jeśli można mu coś zarzucić, to raczej nadmierną ostrożność. Naturalnie, w tym przypadku zmuszony był podjąć natychmiastową decyzję.

Bartlett wstał, odsuwając z impetem krzesło; jego twarz nabiegła krwią.

– Oczywiście, że zbadam płuca! – rzucił z wściekłością, a bródka podskoczyła gwałtownie. – Powiedziałem już, że stan pacjenta nie pozwalał na wykonanie zdjęcia, a nawet jeśli...

– Panowie! Panowie! – krzyknął O'Donnell, ale Bartlett nie dał się powstrzymać.

– Bardzo łatwo jest krytykować, a doktor Pearson nie traci do tego żadnej okazji...

Po drugiej stronie stołu doktor Domberger pomachał fajką.

– Nie sądzę, żeby doktor Pearson chciał.

Bartlett przerwał mu ze złością: – Oczywiście, że pan nie sądzi, bo jest jego przyjacielem.

A poza tym doktor Pearson nie ma żadnych porachunków z położnikami.

– Naprawdę nie pozwolę na coś takiego... – O'Donnell podniósł się z krzesła, stukając o blat. Jego barczysta, atletyczna sylwetka górowała nad stołem. Mężczyzna w każdym calu, pomyślała Lucy.

– Doktorze Bartlett, czy będzie pan uprzejmy usiąść? O'Donnell stojąc czekał aż Bartlett zajmie swoje miejsce. Robił wrażenie strapionego, ale wewnątrz aż kipiał ze złości. Joe Pearson nie miał prawa zamieniać zebrania w pyskówkę. Kent zdawał sobie sprawę, że teraz nie ma innego wyjścia i zamiast kierować spokojnie dyskusją, musi ją przerwać. Wiele wysiłku kosztowało go, by opanować się i nie zbesztać Pearsona. Wiedział jednak, że pogorszyłoby to i tak trudną sytuację.

O'Donnell nie podzielał zdania Billa Rufusa, jakoby Gil Bartlett był całkowicie bez winy. Kent nastawiony był bardziej krytycznie.

W tym przypadku podstawowym argumentem przeciwko niemu był brak prześwietlenia płuc. Gdyby Bartlett przyjmując pacjenta zlecił wykonanie zdjęcia brzucha w pozycji stojącej, na pewno starałby się odnaleźć miejsce nagromadzenia gazów pod przeponą nad kopułą wątroby. Byłby to widoczny objaw pęknięcia wrzodu i jego brak zastanowiłby Bartletta. Poza tym prześwietlenie mogłoby też wykazać zagęszczenie u podstawy płuca, co wskazywałoby na zapalenie, które wykrył później podczas sekcji Joe Pearson. Jeden z tych czynników mógłby skłonić Bartletta do zmiany diagnozy i zwiększyć szanse pacjenta na przeżycie.

Oczywiście, przypomniał sobie O'Donnell, Gil Bartlett upiera się, że stan pacjenta był zbyt ciężki, by wykonać zdjęcie. Skoro tak, czy w takim razie powinien się zdecydować na operację? Jego zdaniem – nie.

Kent zdawał sobie sprawę, że przedziurawiony wrzód należy operować w ciągu dwudziestu czterech godzin. Później w przypadku operacji prawdopodobieństwo śmierci zwiększa się. Dzieje się tak, ponieważ pierwsze dwadzieścia cztery godziny są najtrudniejsze dla chorego; jeśli ten okres pacjent przeżyje, organizm sam zaczyna oklejać chore miejsce. Z objawów podanych przez Bartletta wynikało, że prawdopodobnie mężczyzna zbliżał się już do tej krytycznej granicy albo

właśnie ją przekroczył. W takiej sytuacji O'Donnell starałby się wpłynąć na poprawę stanu zdrowia chorego bez uciekania się do zabiegu, po to, by w późniejszym terminie postawić bardziej precyzyjną diagnozę. Z drugiej strony O'Donnell wiedział, że w sprawach medycznych łatwo jest wyciągnąć wnioski po fakcie, zupełnie inaczej wygląda sprawa, gdy decyzję trzeba podjąć błyskawicznie, rzucając na szalę życie pacjenta.

W normalnych warunkach naczelny chirurg wszystkie te uwagi przedstawiłby na zebraniu obiektywnie i bez emocji. Co więcej, prawdopodobnie tak pokierowałby dyskusją, że Gil Bartlett sam doszedłby do właściwych konkluzji; Bartlett był uczciwym człowiekiem i nie obawiał się uwag krytycznych. Wówczas cel spotkania byłby jasny dla każdego. Wtedy można by było uniknąć wzajemnego obwiniania się. Dla Bartletta nie byłoby to nic specjalnie przyjemnego, ale przynajmniej nie zostałby upokorzony. Ponadto O'Donnell osiągnąłby zamierzony cel, a cały zespół chirurgiczny wyniósłby z takiej lekcji pogładowej jakąś korzyść.

Teraz wszystko wzięło w łeb. Gdyby w tej chwili O'Donnell poprowadził dyskusję zgodnie z planem, wyszłoby na to, że popiera Pearsona, potępia Bartletta. Ze względu na samego Gila nie mógł tego zrobić. Zrozumiał, że porozmawia z nim w cztery oczy, lecz szansa na pożyteczną, szczerą pogawędkę została zmarnowana. Do diabła z Joe Pearsonem!

Wrzawa przycichła. Uderzenia młotkiem o blat stołu – co O'Donnell rzadko robił – odniosły skutek. Bartlett usiadł z twarzą czerwoną od gniewu. Pearson przewracał jakieś kartki, udając niezwykle zaabsorbowanego.

– Panowie – O'Donnell urwał. Wiedział, co należy teraz powiedzieć; musi to być rzeczowe i na temat. – Nie muszę chyba zaznaczać, że nikt z nas nie chciałby, żeby taki przypadek się powtórzył. Zebrania organizujemy po to, żeby się czegoś nauczyć, a nie dla wygrywania osobistych porachunków lub wywoływania awantur. Doktorze Pearson, doktorze Bartlett, mam nadzieję, że wyrażam się jasno...

O'Donnell popatrzył na obu lekarzy, a potem nie czekając na odpowiedź, zarządził: – Przechodzimy do następnego przypadku...

Dyskutowano jeszcze nad czterema przypadkami, z których żaden nie wyróżniał się czymś szczególnym, więc dyskusja toczyła się w spokojnym tonie. Tak to powinno wyglądać, pomyślała Lucy; polemiki jak tamta nie wpływają dobrze na ludzi. Trzeba mieć wiele odwagi, aby w nagłym przypadku postawić diagnozę; nawet wówczas, jeśli się nie powiedzie i popełni się błąd, trzeba się z tego wytłumaczyć. Lecz uciekanie się do obraźliwych komentarzy to zupełnie

inna sprawa. Żaden chirurg, chyba tylko wyjątkowo lekkomyślny i niekompetentny, na to nie zasługiwał.

Lucy, zresztą nie po raz pierwszy, zastanawiała się, w jakim stopniu owe uwagi krytyczne Pearsona wypływały z pobudek osobistych. Dzisiaj Pearson zachował się wobec Gila Bartletta bardziej napastliwie niż na jakiegokolwiek innej konferencji, poświęconej umiarkowaniu pacjentów. A przecież tego przypadku nie można zaliczyć do szczególnie kompromitujących, a Bartlettowi rzadko zdarzały się pomyłki. W Trzech Hrabstwach wykonał dużo dobrej roboty, zwłaszcza w diagnozowaniu pewnych typów raka, o których jeszcze do niedawna mówiono, że nie nadają się do operowania.

Pearson doskonale o tym wiedział, skąd więc ta nagła niechęć? Czyżby dlatego, że Gil Bartlett miał pewne osiągnięcia w medycynie, a Pearson mu zazdrościł? Spojrzała na Bartletta. Twarz miał zawziętą, ciągle przeżuwał zniewagę. Zazwyczaj zachowywał się swobodnie; sympatyczny, koleżeński – jak każdy człowiek sukcesu, który zaledwie przekroczył czterdziestkę. Gil Bartlett i jego żona uchodzili za znaczące postacie w życiu towarzyskim Burlington. Lucy miała okazję widzieć, jak swobodnie Gil zachowuje się na przyjęciach w domach bogatych pacjentów. Odnosił też poważne sukcesy zawodowe. Lucy domyślała się, że jego dochody z praktyki lekarskiej wynoszą nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Czy to właśnie kłuło w oczy Joe Pearsona? Joe Pearsona, który nigdy nie mógł konkurować z pozycją chirurga; którego praca była niezbędna, lecz mało efektywna; który wybrał dziedzinę medycyny raczej niezauważalną dla przeciętnego śmiertelnika. Lucy sama kiedyś usłyszała pytanie: Co robi patolog? A przecież nikt nigdy nie zapytał: Co robi chirurg? Znała takich, którzy uważali, iż patolog należy do personelu technicznego szpitala, nie zdając sobie sprawy, że najpierw musi zdobyć dyplom lekarza, a później wiele lat kształcić się, by zostać wysoko wykwalifikowanym specjalistą.

Pieniądze też mogły być czułym punktem. W Trzech Hrabstwach Gil Bartlett miał status lekarza prywatnego; nie dostawał pensji w szpitalu, utrzymując się wyłącznie z honorariów, jakie dostawał od pacjentów. Lucy, podobnie jak inni prywatni lekarze, zatrudniona była na tych samych zasadach. Natomiast Pearson był pracownikiem szpitala z pensją dwadzieścia pięć tysięcy rocznie, to znaczy połowę mniejszą niż mógł zarobić wzięty chirurg, i to o wiele młodszy. Lucy przeczytała kiedyś wyjątkowo cyniczne podsumowanie różnicy, jaka zachodzi między chirurgami a patologami: „Chirurg dostaje 500 dolarów za wycięcie guza, a patolog pięć

dolarów za zbadanie go, postawienie diagnozy, wskazanie dalszej metody leczenia i ocenę szans pacjenta na przyszłość”.

Kontakty Lucy i Joe Pearsona układały się nieźle. Z jakiegoś powodu, którego nie знаła, zdawał się ją lubić i zdarzały się chwile, że tę sympatię odwzajemniała. Czasami okazywało się to nawet przydatne, zwłaszcza gdy musiała rozmawiać z nim na temat rozpoznania.

Dyskusja już się skończyła, O'Donnell zamykał zebranie. Lucy wróciła myślami do rzeczywistości. Oderwała się od niej, gdy omawiano ostatni przypadek; niedobrze – powinna była się jednak skoncentrować. Wszyscy podnosili się z miejsc. Joe Pearson zgarnął papiery i zabrał się do wyjścia, powłócząc nogami. O'Donnell zastąpił mu drogę; Lucy zauważyła, że szef rady medycznej odciąga starego na bok.

– Wejdźmy tu na chwilę, Joe – O'Donnell otworzył drzwi niewielkiego pokoiku, który przylegał do sali konferencyjnej i sporadycznie wykorzystywany był na zebrania. Teraz pokój świecił pustkami. Pearson wszedł za O'Donnellem.

O'Donnell odezwał się z wyszukaną obojętnością: – Joe, uważam, że powinieneś przestać napastować ludzi na zebraniach.

– Dlaczego? – Pearson był bardziej szczery.

Proszę bardzo, pomyślał O'Donnell, sam tego chcesz i głośno powiedział: – Ponieważ do niczego to nie prowadzi – pozwolił sobie na bardziej zjadliwy ton. Zwykle przy takich rozmowach pamiętał o różnicy wieku. Jednak teraz nadszedł moment, aby wykorzystać swoją pozycję. Jako główny chirurg O'Donnell nie był bezpośrednim przełożonym Pearsona, ale posiadał pewne uprawnienia, jeśli praca patologa zahaczała o jego działkę.

– Zwróciłem tylko uwagę na niewłaściwą diagnozę, nic więcej – głos Pearsona zabrzmiał agresywnie. – Chcesz powiedzieć, że powinniśmy przemilczać takie sytuacje?

– Przecież sam dobrze wiesz... – O'Donnell wyrzucił z siebie zdanie, tym razem nawet nie usiłując zmienić tonu. Na twarzy Pearsona zobaczył wahanie, więc uznał, że starszy pan przyjął do wiadomości, iż posunął się za daleko.

Pearson wycofywał się zrzędząc: – Nie chciałem tego; nie o to mi chodziło...

Kent O'Donnell mimo woli uśmiechnął się. Pearsonowi słowa skruchy nie przychodziły łatwo. Musiało go to wiele kosztować.

– Sądzę, że istnieją lepsze sposoby, Joe – rzekł O'Donnell.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żebyś na tych zebraniach zajął się wyłącznie

przedstawianiem wyników sekcji, a ja będę prowadził dyskusję. Wydaje mi się, że można się obyć bez szarpania nerwów.

– Nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby szarpać sobie nerwy – Pearson nie przestawał gderać, lecz O'Donnell czuł, że powoli ustępuje.

– Mimo wszystko, Joe, chcę, żeby było, jak mówię.

Nie chcę go dręczyć, pomyślał Kent, ale to odpowiednia pora, by postawić sprawy na ostrzu noża.

– Jak chcesz... – Pearson wzruszył ramionami.

– Dzięki, Joe – O'Donnell wiedział już, że wygrał: poszło łatwiej niż się spodziewał. Może to właściwy moment, by poruszyć jeszcze jedną kwestię: – Skoro już rozmawiamy... jest jeszcze jedna sprawa.

– Mam sporo roboty. Nie można z tym poczekać? O'Donnell niemalże czytał w jego myślach. Patolog wyraźnie dawał do zrozumienia, że choć poddał się w jednej sprawie, to jednak ze swej niezależności nie zrezygnuje.

– Obawiam się, że nie. Chodzi o sprawozdania chirurgiczne... – Co znowu? – reakcja Pearsona była napastliwie obronna. O'Donnell ciągnął bez zająknięcia: – Doszły mnie różne skargi.

Niektóre sprawozdania zbyt długo przetrzymuje się na twoim oddziale.

– To na pewno Rufus – rzucił cierpko Pearson. W stwierdzeniu kryła się konkretna przygana: kolejny chirurg źródłem kłopotów.

O'Donnell zdecydował, że nie da się sprowokować. Odparł spokojnie: – Bill Rufus też się skarżył, ale nie brakowało innych. Wiesz o tym dobrze, Joe.

Przez chwilę Pearson milczał. O'Donnell doszedł do wniosku, że w pewnym sensie współczuje sędziwemu lekarzowi. Czas uciekał. Pearson miał sześćdziesiąt sześć lat; przy najlepszych układach czekało go pięć, najwyżej sześć lat pracy zawodowej. Większość godziła się z faktem, że przyjdą młodszy i przejmą ich pałeczkę. Pearson tego nie potrafił i dobitnie okazywał swe niezadowolenie. O'Donnell zastanawiał się nad przyczynami takiej postawy. Czyżby czuł, że już nie nadąży i nie jest w stanie dotrzymać kroku jakimkolwiek zmianom. Jeśli tak, to nie on pierwszy. A jednak Joe Pearson, mimo przykrego sposobu bycia, miał swoje zalety. Była to jedna z przyczyn, dla której O'Donnell usiłował zachowywać się dyplomatycznie.

– Tak, wiem – w odpowiedzi Pearsona zabrzmiał ton rezygnacji. A więc przyjął wreszcie do wiadomości, to dla niego typowe, pomyślał O'Donnell. Od samego początku, jak tylko podjął

pracę w Trzech Hrabstwach, podobała mu się szczerść Pearsona; nawet tę jego cechę wykorzystywał, kiedy chodziło o podniesienie poziomu pracy chirurgów.

O'Donnell pamiętał, że jednym z ważniejszych problemów, z jakimi musiał się uporać w pierwszych miesiącach swojej pracy w szpitalu, było wyeliminowanie zbędnych zabiegów chirurgicznych. Pod tą nazwą kryła się nadmierna liczba histerektomii: niektórym chirurgom zdarzało się zbyt często wycinać zdrową macicę. Lekarze ci uważali taki zabieg za wygodne remedium na wszelkie przypadłości kobiece, nawet te, które można by leczyć farmakologicznie. Wówczas w diagnozach stosowano eufemizmy w rodzaju: „chroniczne zapalenie mięśniówki macicy” lub „zwłóknienie macicy”, jako zasłonę dymną uzasadniającą raport patologiczny na temat usuniętej tkanki. O'Donnell przypomniał sobie, jak rzekł do Pearsona: „Sporządzając raport będziemy rzeczy nazywać po imieniu, a zdrową macicę zdrową macicą”. Pearson uśmiechnął się wtedy i zastosował do życzeń.

W rezultacie ich wspólnych działań ustały niepotrzebne operacje. Chirurgzy wstydzi się, gdy usunięty organ okazywano w obecności kolegów jako całkowicie zdrowy.

– Posłuchaj, Kent – głos Pearsona brzmiał bardziej pojednawczo. – Ostatnio mam roboty po same uszy. Nawet nie wiesz, ile jest pracy...

– Wiem doskonale, Joe – na te słowa O'Donnell czekał. – Niektórzy z nas uważają wręcz, że masz zbyt wiele pracy. Nie powinieneś się tak zaharowywać – koczyło go, żeby dodać „w twoim wieku”, lecz zamiast tego dodał: – Może wziąłbyś sobie kogoś do pomocy?

Reakcja była natychmiastowa, Pearson prawie krzyknął.

– Ty mnie mówisz, żebym wziął sobie kogoś do pomocy? Człowieku, od miesiący nie mogę się doprosić o paru techników do laboratorium! Potrzebujemy co najmniej trzech, a co mi powiedziano? Że mogę dostać jednego! I maszynistki! Raporty zalegają od tygodni i kto ma je przepisać? – nie czekając na odpowiedź wykrzykiwał dalej: – Ja? Gdyby w administracji ruszyli tyłki, można byłoby zrobić dużo więcej, nie mówiąc o szybszym przygotowaniu raportów chirurgicznych. Na Boga! Gdy mówisz mi, że powinienem otrzymać jakąś pomoc, to rzeczywiście jest coś, czego warto posłuchać.

O'Donnell milczał, a potem zapytał: – Skończyłeś, Joe?

– Tak – Pearson uspokoił się, nieco zawstydzony swoim wybuchem gniewu.

– Nie miałem na myśli ani techników, ani administracji – rzekł O'Donnell. – Mówiąc o pomocy, myślałem o drugim patologu, o kimś, kto pomógłby ci kierować oddziałem, a może

nawet trochę go unowocześnić...

– Ejże! – na dźwięk słowa „unowocześnić” Pearson zachnął się, lecz O’Donnell zignorował jego reakcję.

– Gdy ty mówiłeś, ja słuchałem, Joe. Teraz ty posłuchaj mnie... Proszę... – dodał po chwili. – Myślałem o jakimś zdolnym, młodym lekarzu, który mógłby przejąć część twoich obowiązków.

– Nie potrzebuję drugiego patologa – odpowiedź była stanowcza, pośpieszna i bezkompromisowa.

– Dlaczego, Joe?

– Bo nie ma pracy dla dwóch wykwalifikowanych osób. Sam mogę zajmować się całą patologią, sam, bez niczyjej pomocy. Poza tym mam już na oddziale rezydenta.

O’Donnell kontynuował z uporem:

– Rezydent odbywa u was praktykę, Joe, zazwyczaj trwa to dość krótko. Oczywiście, może odciążyć cię w pracy, ale nie ponosi za nią żadnej odpowiedzialności i nie wolno powierzać mu żadnych zadań administracyjnych. Taka pomoc potrzebna ci jest od zaraz...

– Pozwól, że sam to osądzę. Daj mi parę dni, a uporamy się z raportami chirurgicznymi.

Było oczywiste, że Joe Pearson nie ma zamiaru ustąpić. O’Donnell spodziewał się, że nie uzyska zgody na przyjęcie nowego patologa, zastanawiał się tylko, jak wytłumaczyć tę zaciętość. Może nie ma ochoty dzielić się z nikim swoim imperium, albo po prostu chroni posadę, obawiając się, że nowy, młodszy kolega mógłby go usunąć na boczny tor? Tymczasem O’Donnell nawet nie myślał o pozbywaniu się Pearsona. W dziedzinie anatomii patologicznej trudno byłoby znaleźć człowieka z równie długą praktyką. Kentowi zależało jedynie na wzmocnieniu oddziału patologii i co za tym idzie, całej organizacji szpitala. Może powinien tę kwestię postawić nieco jaśniej.

– Joe, nie ma mowy o żadnych większych zmianach. Nikt tego nie chce. Nadal będziesz wszystkim kierował.

– W takim razie pozwól mi kierować patologią jak chcę. O’Donnell czuł, że jego cierpliwość wyczerpuje się. Uważał, że dzisiaj wystarczająco przycisnął Pearsona. Przerwie rozmowę na dzień lub dwa, a potem znowu do niej wróci. Za wszelką cenę chciał uniknąć gry w otwarte karty. Powiedział spokojnie: – Na twoim miejscu zastanowiłbym się nad tym...

– Nie ma się nad czym zastanawiać – Pearson był już przy drzwiach. Skinął chłodno głową i wyszedł.

A więc to tak, pomyślał O'Donnell. Wojna została wypowiedziana. Stał chwilę i dumał, jaki ruch powinien teraz wykonać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W Trzech Hrabstwach stołówka była tradycyjnym miejscem spotkań pracowników, a także głównym źródłem szpitalnych nowinek, których macki dyskretnie rozciągały się po wszystkich oddziałach. Parę razy zdarzyło się, że rozprawiano tam o różnych zwolnieniach, awansach, przyjęciach, skandalach na długo przed ich oficjalnym ogłoszeniem.

Personel medyczny wykorzystywał stołówkę do „nieoficjalnych konsultacji” z kolegami, których poza przerwą na posiłek lub kawę rzadko spotykał. Istotnie, spora część poważnych spraw medycznych była uzgadniana przy tych stolikach; często gęsto wypowiedziano tu specjalistyczne opinie, które w innych okolicznościach przyniosłyby spore honoraria. Niekiedy odbywało się to z korzyścią dla pacjenta, który wracając do zdrowia po jakiejś chorobie zapowiadającej kłopoty, nigdy by nie podejrzewał, kiedy i gdzie podjęto decyzję o zastosowaniu takiej czy innej kuracji.

Bywały jednak wyjątki. Paru lekarzy miało za złe, że w tak bezpardonowy sposób robi się użytek z ich ciężko zdobytej wiedzy i buntowało przeciw kolegom, którzy wyciągali ich na rozmowy i o szczególnych przypadkach. W podobnych sytuacjach odpowiedź brzmiała: „Sądzę, że będzie lepiej, gdy konsultację przeprowadzimy w gabinecie. Wówczas mój licznik będzie na biegu”.

Do tego grona należał Gil Bartlett; czasami z rozbrajającą szczerością potrafił uciąć zaczepkę. O jego prywatnej taktyce wyrażania sprzeciwu w tej sprawie opowiadała pewna historyjka. Wszystko zaczęło się nie w stołówce, lecz na przyjęciu w prywatnym mieszkaniu. Wytworna dama z burlingtońskiego towarzystwa zanudzała kiedyś Bartletta pytaniami na temat własnych chorób, rzeczywistych i wyimaginowanych. Bartlett słuchał przez chwilę, po czym oznajmił donośnym głosem, który rozniósł się po salonie wypełnionym ludźmi: Madame, z tego, co pani mówi, wnoszę, że ma problemy z menstruacją. Proszę się rozebrać, zaraz panią zbadam...”

Jednak w większości personel medyczny, nawet gdy odmawiał udzielania nieoficjalnych porad poza szpitalem, to akceptował stołówkową wymianę poglądów, podczas której miał tyleż do stracenia, co i do zyskania; wielu lekarzy chcąc wyrazić swój stosunek do tych kontaktów, posługiwało się wręcz wyświechtanym żartem: „Gdybyś mnie potrzebował, będę w moim

drugim gabinecie”. I zazwyczaj nie były potrzebne żadne dodatkowe wyjaśnienia.

Ogólnie rzecz biorąc, szpitalna stołówka była terenem w pełni demokratycznym, gdzie hierarchia szpitalna nie obowiązywała, przynajmniej chwilowo. Wyjątek stanowiła praktyka wyodrębniania stolików dla personelu medycznego. Pani Straughan, szefowa kuchni, co jakiś czas zachodziła w ten rejon, zdając sobie sprawę, że nawet najmniejsze niedociągnięcie w obsłudze czy higienie może wywołać przykre komentarze na zebraniu zarządu.

Z paroma wyjątkami starsi lekarze korzystali z rezerwowanych stolików; ci z prywatną praktyką byli mniej konsekwentni, rezydenci zaś i stażyści demonstrowali wprost swą niezależność i dołączali do grupy pielęgniarek bądź innych pracowników. Dlatego w zachowaniu Mike’a Seddonsa nie było nic niezwykłego, gdy usiadł naprzeciw Vivian Loburton, która zakończywszy wcześniej zajęcia, samotnie spożywała lunch.

Od chwili ich pierwszego spotkania podczas sekcji dziesięć dni temu, Vivian widziała go w szpitalu mnóstwo razy i spoglądając na jego rudą czuprynę i uśmiech od ucha do ucha, coraz częściej nabywała pewności, że przyciąga jego uwagę. Intuicyjnie wyczuwała, iż niebawem zrobi pierwsze podejście, i oto tak się stało.

– Cześć – rzekł Mikę.

– Witam – pozdrowienie wypadło dość niezdarnie, gdyż Vivian akurat napychała się nogą kurczęcia. Wskazała na swoje usta i wymamrotała: – Wybacz...

– W porządku – odparł Mikę. – Nie krępuj się. Przyszedłem z pewną propozycją...

Przełknęła resztki jedzenia i rzekła: – Myślałam, że chcesz powiedzieć, że przyjdiesz później... Mikę Seddons roześmiał się.

– Nie słyszałaś? Żyjemy w epoce odrzutowców. Nie ma czasu na fanaberie. Chciałem ci zaproponować pojutrze kolację w Cuban Grill, a potem wyjście do teatru...

– Stać cię na to? – Vivian przerwała mu z powagą w głosie. Dla młodych lekarzy i studentów pielęgniarstwa niedostatek był czymś absolutnie normalnym. Żart zabrzmiał ponuro.

Seddons odparł prawie szeptem: – Nie mów nikomu, ale jestem na fali. Wielu pacjentów zabieranych na sekcję zwłok ma złote koronki na zębach. Sprawa jest bardzo prosta...

– Och, zamknij się, obrzydzisz mi lunch – znowu nadgryzła nogę kurczęcia, a wtedy Mikę sięgnął po dwie frytki z jej talerza.

– Niezłe, muszę częściej zamawiać... Ale do rzeczy – wyjął z kieszeni dwa bilety i talon obiadowy. – Popatrz, to dowód wdzięczności, który otrzymałem od pacjenta., bilety zapraszały

na

musical z Broadway'u, talon zaś pokrywał koszty kolacji na dwie osoby w Cuban Grill.

– Czym się tak zasłużyłeś? – Vivian była wyraźnie zaintrygowana.

– Operacja serca?

– Nie. W ubiegłym tygodniu przez pół godziny zastępowałem Franka Wortha. Pacjent miał okropną ranę na rękę, zszywałem ją. Następnie to przyszło poczta – zachichotał. – Worth oczywiście jest wściekły i mówi, że nigdy więcej nie poprosi o zastępstwo. Cóż, pójdiesz?

– Chętnie – odparła szczerze.

– Wspaniale! Przyjdę po ciebie o siódmej. Dobrze? – mówiąc to uświadomił sobie, że wpatruje się w dziewczynę z ogromnym zainteresowaniem. Nagle przyszło mu do głowy, że ma dużo więcej zalet niż ładna twarz i zgrabna figura. Gdy patrzyła na niego i uśmiechała się, przepelniało go uczucie ciepła i życzliwości. Pomyślał: wolałbym, żebyśmy spotkali się już dzisiaj a nie pojutrze; za dużo czekania. Lecz wtedy jakiś ledwo wyczuwalny głos odezwał się w głębi jego duszy: uważaj na kłopoty. Pamiętaj o dewizie Seddonsów: kochaj je i porzucaj – szczęśliwy, bo ze wspomnieniami o nich; rozstanie zapowiada smutek w sercu, lecz jakże praktyczny, skoro chce się pozostać człowiekiem wolnym.

– Dobrze – odparła Vivian. – Ale mogę się trochę spóźnić.

Od czasu, gdy Harry Tomaselli powiedział O'Donnellowi, że początek rozbudowy szpitala został zaplanowany na wiosnę, minęło półtora tygodnia. Tomaselli, Kent O'Donnell i Orden Brown, prezes zarządu, spotkali się w biurze dyrektora administracyjnego, by przedyskutować kwestie niecierpiące zwłoki.

Już wiele miesięcy temu rozpracowali we trójkę, w obecności architekta, szczegóły planu i uwzględnili potrzeby każdego oddziału, który miał się znaleźć w nowym skrzydle budynku. Przy czym życzenia kierowników oddziałów medycznych musiały być dostosowane do ogólnych możliwości finansowych. Wobec O'Donnella, reprezentującego tę grupę ludzi, Orden Brown pełnił rolę arbitra. Zazwyczaj prezes był szorstki i cierpki, niepozbawiony humoru zaprawionego swoistym cynizmem. Niekiedy całkowicie podzielali jego opinie; kiedy indziej znów, gdy wydawało im się, że rozbudowy szpitala podjął się wyłącznie ze względów ambicjonalnych, stawali się nieco dokuczliwi.

Ordynator jednego z oddziałów, farmakolog, mocno naciskałby w jego gabinecie urządzone prywatną toaletę. Kiedy architekt zwrócił mu uwagę, że większość dostępnych urządzeń tego

typu znajduje się w odległości zaledwie czterdziestu stóp, w korytarzu, ten stwierdził, że to daleko, gdyż często dokucza mu biegunka. Orden Brown ozięble odesłał go z jego dolegliwością na oddział chorób wewnętrznych.

Tylko ze względu na koszty musiano zrezygnować z paru świetnych pomysłów. Na przykład doktor Ding Dong, senior radiologów, przedstawił sensowną propozycję powołania zespołu rentgenodiagnostyki i leczenia chorób serca. Dowiedziawszy się, że samo wyposażenie kosztowałoby pięćdziesiąt tysięcy dolarów radiolog z żalem wycofał swój projekt.

Teraz, gdy planowanie dobiegło końca, w centrum uwagi znalazły się sprawy praktyczne: pieniądze. Co prawda odpowiedzialność za to spadała na członków zarządu, ale oczekiwano, że personel medyczny też nie odmówi pomocy finansowej.

– Proponujemy kwoty w określonej wysokości: sześć tysięcy dolarów weźmiemy od starszych lekarzy, cztery tysiące od pozostałych i dwa tysiące od asystentów – rzekł Orden Brown.

O'Donnell gwizdnął pod nosem.

– Obawiam się, że zaczną się skargi – skomentował słowa prezesa.

– Musimy zrobić co w naszej mocy, by to przetrzymać – uśmiechnął się Orden Brown.

– To opodatkowanie może być rozłożone na cztery lata. My jednak mając pisemne gwarancje, moglibyśmy zaciągnąć pod nie kredyt w banku – włączył się Harry Tomaselli.

– Ta sprawa ma jeszcze jedną pozytywną stronę – stwierdził Brown. – Jak rozniesie się po mieście, że lekarze sami finansują budowę, to może to tylko pomóc naszemu funduszowi.

– A myślisz, że się rozniesie?

– Oczywiście – roześmiał się Brown.

O'Donnell zdał sobie sprawę, że do niego będzie należało przekazanie informacji na zebraniach personelu medycznego. Mógł sobie wyobrazić, z jaką goryczą zostanie przyjęta ta wiadomość. Większość lekarzy, jak wszyscy ludzie w dzisiejszych czasach żyła stosownie do swoich możliwości finansowych. Oczywiście, nie będzie nacisku na wysokość opodatkowania, lecz w poszczególnych wypadkach trudno ją będzie utrzymać, tym bardziej że z awansu szpitala miał odnieść wiele korzyści cały personel medyczny. Większość z pewnością zgodzi się dać kwotę, o którą proszą, ale ponieważ taka jest ludzka natura, będą naciski, by wszyscy ponieśli jednakowy ciężar. W szpitalu łatwo wydawano opinie i nonkonformiście można było utrudnić życie na wiele sposobów.

Harry Tomaselli, jak zwykle kierując się intuicją, rzekł: – Nie bój się, Kent. Przed zebraniem personelu szczegółowo zapoznam cię ze sprawą. Wszystko ustalimy. Jak pogadasz z ludźmi, może się okazać, że znajdą się osoby, które będą chciały dać więcej...

– Nie licz na to... – roześmiał się O'Donnell. – Uderzyłeś w najbardziej czułe miejsce u wielu lekarzy: ich kieszenie.

Tomaselli odpowiedział uśmiechem. Wiedział, że kiedy szef oddziału chirurgii zaapeluje do swojego personelu, zrobi to w sposób uszczypliwy, ale uczciwie, tak jak zawsze to czynił. Pomyślał, zresztą nie po raz pierwszy, że dobrze jest pracować z kimś takim jak O'Donnell. W poprzednim szpitalu, gdzie Tomaselli pełnił funkcję asystenta dyrektora, prezes rady medycznej był człowiekiem szczególnie dbającym o własną popularność, więc lawirował, jak wiatr zawiał. W efekcie brakowało tam autentycznego kierownictwa, na czym cierpiał cały szpital.

Harry Tomaselli uwielbiał szybkie, otwarte decyzje, gdyż będąc dyrektorem administracyjnym Trzech Hrabstw sam tak postępował. Oczywiście, podejmując nieprzemysłane decyzje popełnia się błędy, lecz na ogół można zdziałać dużo więcej, przeciętna zaś sukcesów w stosownym momencie i tak zyskuje na wartości. Szybkość – w słowach, myślach i czynach – była czymś, czego Harry Tomaselli nauczył się w pokojach adwokackich na długo przed tym, zanim doszedł do wniosku, że jego powołaniem jest szpitalne biurko.

Po ukończeniu college'u zaczął studiować prawo i przygotowywać się do praktyki adwokackiej. Potem włączyła się wojna – uprzedzając pobór do wojska, wstąpił do Marynarki Wojennej USA) gdzie otrzymał stopień oficerski i pracę w administracji szpitalnej.

Jakiś czas później porucznik Tomaselli sprawdził się jako człowiek, który posiada kapitalne wyczucie niewidzialnej granicy między medycyną praktyczną a biznesem szpitalnym.

Po wojnie, mając do wyboru powrót do nauki prawa lub pozostanie przy zajęciach szpitalnych, wybrał to drugie i zapisał się do Szkoły Administracji na Uniwersytecie Columbia. Studia ukończył w czasie, gdy administrację szpitalną uznano za wyspecjalizowaną dziedzinę, w której wykształcenie medyczne jest mniej istotne bądź niepotrzebne. Ta sytuacja wytworzyła gwałtowne zapotrzebowanie na dobrych administratorów po dwóch latach pracy na stanowisku asystenta Harry Tomaselli przyjął propozycję Ordenu Browna objęcia placówki w Burlington.

Tomaselli uwielbiał swoją pracę. Z Kentem O'Donnellem zgadzali się co do niezbędności wysokiego poziomu medycznego, a Ordenu Browna darzył szacunkiem za spryt i dyskrecję. Obowiązkiem Harry'ego Tomasellogo jako dyrektora administracyjnego było nadzorowanie

wszystkich służb szpitalnych: pielęgniarskich, inżynieryjnych, budowlanych, gospodarczych, rachunkowości oraz wspomagających, z uwzględnieniem sugestii obu kolegów.

Robił to zarówno z obowiązku – potrafił świetnie dobierać szefów ważnych działów – ale też przez autentyczne, osobiste zainteresowanie szpitalem. Nie było mowy, aby zdarzyło się coś ważnego, co by uszło jego uwadze. Każdego dnia widać było jego niską, krępą postać przemierzającą korytarze i przystającą często, by porozmawiać z pielęgniarkami, pacjentami, dozorcami, urzędnikami, kucharzami – z każdym, kto mógł wyrazić jakieś zdanie o szpitalu lub przedstawić propozycję, co zrobić, by działo się lepiej. Nowe pomysły podniecały go, a jego entuzjazm udzielał się innym. Wsunąwszy głowę do przodu, z błyskiem w oczach za ogromnymi okularami w czarnych oprawkach, mógł tak rozmawiać ze swadą, ścigając własne myśli i akcentując poruszane kwestie gwałtowną gestykulacją.

Podczas swoich wędrówek Harry Tomaselli niezwykle rzadko robił jakieś notatki. Jego prawnicze doświadczenie pozwalało mu z łatwością pomieścić w głowie mieszaninę faktów. Lecz po każdej takiej marszrucie błyskawicznie przelewał na papier uwagi o wszystkich sprawach, co do których miał pewność, że mogą się przydać działowi administracji Szpitala Trzech Hrabstw.

Do tego wszystkiego posługiwał się językiem dyplomatycznym, który nie obrażał nikogo. Mógł najpierw udzielić nagany, by za chwilę rozmawiać serdecznie o czymś zupełnie innym. I choć nigdy nie oszczędzał słów, jego raporty zawsze były pisane w uprzejmym tonie. Nienawidził wyrzucać pracowników, chyba że został do tego poważnie sprowokowany. Szefom działów często powtarzał: „Jeśli ktoś pracuje dłużej niż jeden miesiąc, to nie można mu odmówić pewnego doświadczenia. Dla nas korzystniej będzie dalej go kształtować, jeśli oczywiście potrafimy, aniżeli przyjmować kogoś nowego, kto może popełnić błędy, o jakich nawet nam się nie śniło”. Ponieważ wszyscy znali tę jego politykę i szanowali ją, morale pracowników było bez zarzutu.

Jednak w sprawach organizacyjnych ciągle zdarzały mu się niedociągnięcia, które go drażniły. Wiedział, że na niektórych oddziałach można by pracować bardziej wydajnie. Gdzieś należało poprawić poziom usług. Znaczna część starego wyposażenia wymagała renowacji i przeniesienia w inne miejsce, gdyż zakupiono już trochę nowych urządzeń, które każdy szpital powinien posiadać. Przygotowany niedawno program działania mógł tu odegrać ważną rolę, ale nie we wszystkim. Podobnie jak O'Donnell zdawał sobie sprawę, że trzeba na to

wielu lat pracy, a i tak niektóre plany mogą się okazać niemożliwe do zrealizowania. Jeśli jednak nie zboczy się z tej drogi, dojdzie się do jakichś wyników; zawsze próbuje się zdobyć więcej, niż się wie, że można osiągnąć.

Wrócił myślami do terażniejszości, przywołany głosem Ordenu Browna, tłumaczącego coś O'Donnellowi.

– Gdy ruszy kampania, będzie sporo pracy społecznej... No i jeszcze jedna uwaga: myślę, że dobrze przysłużyłbyś się naszej sprawie, Kent, gdybyś wygłosił mowę w Rotary Club. Mógłbyś im powiedzieć, co pomieści nowy budynek, przedstawić nasze zamierzenia na przyszłość i tak dalej.

O'Donnell, który nie lubił publicznych wystąpień, zwłaszcza sztywnych, choć dobrych manier personelu klubowego, miał ochotę odpowiedzieć grymasem, ale nie zrobił tego. W zamian odparł: – Jeśli uważasz, że to coś pomoże...

– Jeden z moich ludzi jest we władzach Rotary Club – rzekł Orden. – Powiem mu, żeby przygotował spotkanie. Najlepiej byłoby zorganizować je na otwarcie kampanii. W następnym tygodniu można by to powtórzyć w Kiwanis.

O'Donnell miał nadzieję, że prezes zostawi mu trochę czasu na zajęcia związane z chirurgią, inaczej może mieć kłopoty z własnym udziałem w kampanii.

– A propos – mówił dalej Orden Brown – masz pojutrze wolny wieczór?

– Tak – odrzekł O'Donnell bez namysłu; dobrze czuł się w spokojnej atmosferze towarzyszącej kolacjom w domu na wzgórzu.

– Chciałbym żebyś poszedł ze mną do Eustace'a Swayne'a – i widząc zaskoczoną minę Kenta prezes dodał: – Nie ma obaw, jesteś zaproszony. Prosił, abym ci przekazał.

– Z miłą chęcią – zaproszenie do rezydencji jednego z najbardziej zatwardziałyh członków zarządu to coś zupełnie nieoczekiwanego. O'Donnell spotkał Swayne'a kilkakrotnie, lecz do bliższego poznania nie doszło.

– Chciałbym – rzekł Brown – żebyś porozmawiał z nim o sprawach szpitala. Niech dowie się o paru twoich pomysłach. Szczerze mówiąc, od czasu do czasu mamy z nim w zarządzie poważny problem, ale ty, oczywiście, o tym wiesz.

– Zrobię, co się da – teraz, gdy znał wszystkie zawile sprawy od podszewki, nie tęsknił za zarządem ani jego polityką. Jak dotąd starał się omijać je z daleka. Lecz Ordenowi Brownowi odmówić nie mógł.

Prezes chwycił aktówkę i był gotów do wyjścia. Tomaselli i O'Donnell wstali.

– To będzie małe party – rzekł Brown na odchodnym – zaledwie sześć osób... Może zabralibyśmy cię po drodze? Zadzwoń przed wyjazdem.

O'Donnell wymamrotał słowa podzięk i uprzejmie skłonił głowę przed wychodzącym prezesem.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, weszła wysoka, szczupła Kathy Cohen, sekretarka Tomasellogo: – Przepraszam, że przeszkadzam...

– Co jest, Kathy?

– Mam na linii pana, który nalega na rozmowę. Nazywa się Bryan.

– Jestem teraz zajęty z doktorem O'Donnellem; powiedz mu, że oddzwonię później – Tomaselli wyglądał na zatroskanego. Zwykle nie musiał przypominać Kathy o tak elementarnych sprawach.

– Powiedziałam mu, panie dyrektorze – odparła z powątpiewaniem – ale on się upiera. Mówi, że jest mężem pacjentki. Myślałam, że powinien pan o tym wiedzieć.

– Może lepiej by było, żebyś z nim porozmawiał, Harry – O'Donnell uśmiechnął się do dziewczyny. – Niech Kathy ma to z głowy. Nie przejmuj się, zaczekam.

– W porządku – dyrektor podszedł do jednego z dwóch telefonów.

– Na czwartej linii – dziewczyna czekała, aż dojdzie do telefonu, po czym wróciła do siebie.

– Dyrektor administracyjny, słucham – głos Tomasellogo brzmiał serdecznie. Naraz zmarszczył lekko brwi.

O'Donnell usłyszał, jak diafragma w słuchawce mocno zatrzeszczała. Doleciały go słowa: „to skandal... nabieranie rodziny... powinien zasięgnąć informacji”.

Tomaselli przykrył dłonią mikrofon i powiedział do O'Donnella:

– Aż się gotuje z wściekłości, chodzi mu o żonę. Zupełnie nie mogę pojąć, o co chodzi... – słuchał jeszcze chwilę i rzekł: – Panie Bryan, może opowiedziałby pan wszystko od początku – wziął kartkę papieru i ołówek i powiedział: – Tak, słucham pana. – Przerwa. – Teraz proszę mi powiedzieć, kiedy pańska żona została przyjęta do szpitala? – telefon zaskrzypiał znowu i dyrektor pośpiesznie coś zanotował.

– Nazwisko lekarza? – Kolejna uwaga. – Data zwolnienia? – Przerwa. – Tak, rozumiem.

O'Donnell dosłyszał słowa: „...nie uzyskać żadnego zadośćuczynienia”, a później znowu odezwał się Tomaselli: – Nie, panie Bryan, nie pamiętam tego przypadku, ale zaraz się

zorientuję. Zapewniam pana – słuchał chwilę i rzekł: – Tak, proszę pana, dobrze wiem, z czym się wiąże dla rodziny koszty pobytu w szpitalu. Tylko że sam szpital nie ma z tego żadnych profitów.

O'Donnell ciągle słyszał męski głos w telefonie; w tej chwili brzmiał nieco spokojniej, była to reakcja na pojednawczy ton Tomasellogo. Teraz dyrektor stwierdził: – Cóż, proszę pana, to lekarz decyduje, jak długo pacjent ma pozostać w szpitalu. Myślę, że powinien pan porozmawiać także z nim, a ja w tym czasie zainteresuję naszego skarbnika pańskim rachunkiem, przejrzy go punkt po punkcie – słuchał krótko, a później powiedział: – Dziękuję, panie Bryan, do widzenia.

Odłożył słuchawkę, oderwał kartkę z brulionu i umieścił ją na tacce z napisem: „Polecenia”.

– Co za kłopoty? – O'Donnell zapytał obojętnie. W szpitalach skargi na usługi bądź wysokość opłat nie należały do rzadkości.

– Utrzymuje, że jego żona za długo leżała w szpitalu. Musi zaciągnąć dług, żeby zapłacić rachunek.

– Skąd wie, że była za długo? – ostro zareagował O'Donnell.

– Mówi, że to sprawdził – odparł w zamyśleniu Tomaselli.

– Może rzeczywiście istniała taka potrzeba, lecz była u nas prawie trzy tygodnie.

– A więc?

– W innym wypadku nie przejmowałbym się tym specjalnie, ale mieliśmy już sporą ilość skarg. Nie zawsze wyrażane są w mocnym tonie, jak ta, choć w podobnym stylu.

O'Donnellowi coś przemknęło przez myśl: patologia. Głośno zapytał: – Kto ją prowadził?

Tomaselli zerknął do notatek.

– Reubens.

– Zobaczmy, może uda nam się go złapać i wyjaśnić rzecz od razu. Tomaselli dotknął wewnętrznego telefonu: – Kathy, czy mogłabyś odszukać doktora Reubensa?

Czekali w milczeniu. Z korytarza dobiegł ich ciepły głos pochodzący ze szpitalnego głośnika: „Doktor Reubens. Doktor Reubens...” Za moment zabrzączał dzwonek telefonu. Tomaselli podniósł słuchawkę, przystawił do ucha, po czym przekazał O'Donnellowi.

– Reub? Tu O'Donnell.

– Masz coś do mnie? – po drugiej stronie słuchawki O'Donnell usłyszał piskliwy, pedantyczny głos Reubensa, jednego ze starszych chirurgów.

– Czy masz pacjentkę – spojrzał na kartkę, którą podsunął mu Tomaselli – nazwiskiem

Bryan?

– Tak. Co się stało? Czy jej mąż się skarży?

– Wiesz o tym?

– Oczywiście, że wiem – Reubens robił wrażenie poirytowanego. – Sam uważam, że ma istotne powody, by się skarżyć.

– A to dlaczego, Reub?

– Chodzi o to, że panią Bryan przyjąłem z podejrzeniem raka piersi. Usunąłem guza. Okazało się, że nie był złośliwy.

– Dlaczego więc trzymałeś ją trzy tygodnie? – zadając pytanie O'Donnell uzmysłowił sobie, że rozmowa z Reubensem zawsze tak wyglądała. Każdą informację trzeba było wydzierać z niego siłą.

– Lepiej zapytaj o to Joe Pearsona! – odparował.

– Będzie prościej, gdy ty mi powiesz, Reub – upierał się O'Donnell. – Przecież to twoja pacjentka.

Zapadła cisza, po czym piskliwy, cięty głos odezwał się: – W porządku. Powiedziałem ci, że guz był łagodny. Ale trzeba było dwóch i pół tygodnia, żebym się o tym dowiedział. Tak długo Pearson oglądał go pod mikroskopem.

– Przypominałeś mu o tym?

– Żeby to raz! Przypominałem sześć razy. Gdybym tego nie zrobił, trwałoby jeszcze dłużej...

– I dlatego trzymałeś panią Bryan przez trzy tygodnie?

– Oczywiście – głos w telefonie zabrzmiał sarkastycznie.

– A może sugerujesz, że powinienem był ją zwolnić, co?

– Tak, Reubens miał powód do zdenerwowania, pomyślał O'Donnell. Nie ulegało wątpliwości, że znalazł się w trudnej sytuacji. Gdyby zwolnił pacjentkę, mogłoby się okazać, że trzeba ją wzywać ponownie, tak jak zdarzyło się Rufusowi. Z drugiej strony każdy dodatkowy dzień pobytu w szpitalu to poważne obciążenie dla rodzinnych finansów. Odparł obojętnie: – Niczego nie sugeruję, Reub, jedynie zbieram informacje.

Lecz Reubensowi kwestia ta nie dawała spokoju.

– Byłoby dobrze gdybyś pogadał z innymi – rzekł. – Nie jestem w tym odosobniony. Słyszałeś o Billu Rufusie?

– Tak, słyszałem. Szczerze mówiąc, pomyślałem, że sprawy lepiej się potoczą...

– W takim wypadku nie dowiedziałbyś się o niczym – zauważył.

– Co proponujesz zrobić z rachunkiem Bryana?

– Wątpię, czy możemy coś zrobić. Mimo wszystko jego żona spędziła tutaj trzy tygodnie. Szpital ma ograniczone fundusze – O'Donnell był ciekaw, jak Reubens zareaguje, gdy się dowie, że ma wyłożyć sześć tysięcy dolarów na rozbudowę szpitala.

– Niedobrze. Jej mąż jest prostym facetem – stolarz czy ktoś w tym rodzaju, ma własny zakład. Nie jest ubezpieczony. To ich pogrąży na dłuższy czas.

O'Donnell nic nie odpowiedział. Myślni już był gdzie indziej. Zastanawiał się, jak ma postąpić. Piskliwy głos ponownie zadźwięczał w słuchawce: – To wszystko?

– Tak, Reub, wszystko. Dziękuję – i oddał słuchawkę Harry'emu Tomasellemu. – Dziś po południu musimy zorganizować zebranie, Harry – O'Donnell wiedział już, co należy zrobić – sześciu starszych lekarzy. Spotkamy się u ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko temu; chciałbym, żebyś był przy tym obecny.

– Zrobi się – przytaknął Tomaselli. O'Donnell przeleciał w pamięci nazwiska kolegów.

– Trzeba poprosić Harvey'a Chandlera jako szefa interny. Powinien też być Bill Rufus, no i należałoby włączyć Reubensa – przerwał.

– A także Charlie Dombergera, może się przydać. Ilu ich jest?

Dyrektor policzył nazwiska na papierze.

– Z tobą i ze mną – sześciu. A co z Lucy Grainger? O'Donnell zawahał się przez moment, później rzekł:

– Dobrze, niech będzie siedem osób.

– Jaki porządek zebrania? – Tomaselli ważył w ręce ołówek. O'Donnell potrząsnął głową.

– Nie będzie porządku zebrania, bo temat jest jeden: sytuacja na oddziale patologii.

Kiedy dyrektor wymienił nazwisko Lucy Grainger, O'Donnell zawahał się, ale tylko z jednego powodu: przypomniał sobie ich spotkanie wczoraj wieczorem.

Umówili się na kolację w hotelu Roosevelt. Był to rezultat zaproszenia, jakie O'Donnell złożył jej podczas konferencji na temat umieralności pooperacyjnej. Zamówili koktajle, a później zjedli bez pośpiechu posiłek. Było przyjemnie, relaksowo; rozmawiali o sobie, wspólnych znajomych, własnych doświadczeniach osobistych i zawodowych.

Potem O'Donnell odwiózł Lucy do domu. Niedawno przeprowadziła się do apartamentu w Benvenuto Grandę, imponującym, komfortowym wieżowcu w północnej dzielnicy miasta.

– Chyba dasz się zaprosić na jednego, co? – zapytała Lucy. Zostawił samochód portierowi w liberii, by go zaparkował, a sam podążył za Lucy. Wjechali bezgłośnie, lśniąca windą na czwarte piętro, po czym poszli wyłożonym boazerią korytarzem; ich kroki tłumił gruby dywan. O'Donnell podniósł brwi, Lucy uśmiechnęła się:

– Trochę szokujące, prawda? Sama jestem pod wrażeniem. Otworzyła drzwi i dotknęła wyłącznika. W gustownym, przytłumionym świetle ukazał się elegancki przedpokój. Zobaczył uchylone drzwi do sypialni.

– Przygotuję drinki – stwierdziła. Stała tyłem, lód brzęknął w szklankach.

– Lucy, nigdy nie byłaś zamężna? – zagadnął ją O'Donnell.

– Nie – odparła nie odwracając się.

– Zastanawiałem się dlaczego... – rzekł.

– To bardzo proste. Już dawno nikt mnie nie prosił o rękę.

Lucy przyniosła drinki. Jeden dała O'Donnellowi i podeszła do krzesła. – Teraz, gdy o tym myślę – powiedziała zadumana pamiętam tylko jedną okazję, która miała jakieś znaczenie. Byłam wtedy bardzo młoda.

– I powiedziałaś „nie”? – pił drobnymi łydkami.

– Chciałam zająć się karierą zawodową – wówczas było to dla mnie naprawdę ważne. Wydawało mi się, że kariera i małżeństwo są nie do pogodzenia.

– Nie żałujesz? – zapytał mimochodem. Ważyła w myślach pytanie.

– Trochę. Zdobyłam, co chciałam, i mam z tego satysfakcję. Och, niekiedy człowiek zastanawia się, jak by mogło potoczyć się jego życie, gdyby podjął inną decyzję, ale w końcu to przecież ludzkie, prawda?

– Chyba tak – O'Donnella ogarnęło dziwne wzruszenie. Zadumał się nad głęboką wrażliwością Lucy, emanowało z niej poczucie spokoju i bezpieczeństwa, jakie daje ognisko domowe. Powinna mieć dzieci, pomyślał. – I ciągle w ten sam sposób odnosisz się do kwestii małżeństwa i kariery zawodowej?

– Nie, już nie jestem taka zasadnicza – uśmiechnęła się. – Przynajmniej tego się nauczyłam.

O'Donnell rozmyślał, jak wyglądałoby – z jego punktu widzenia – małżeństwo z Lucy. Czy byłoby w nim miejsce na miłość i czułość? Czy nie za długo każde z nich żyło własnym życiem, aby się teraz zmienić i dopasować do drugiej osoby? Gdyby się pobrali, jak spędziliby wolny czas? Czy byłaby możliwa intymna, rodzinna atmosfera? Kto wie, czy sprawy szpitalne

z wykresami nie pojawiałyby się na obiad, a kwestie diagnostyczne na deser? Może dom zamiast stać się spokojną przystanią, byłby jeszcze jednym miejscem do rozmów o problemach medycznych i codziennych obowiązkach zawodowych. Powiedział głośno: – Zawsze uważałem, że mamy wiele wspólnego.

– Ja też, Kent – odparła.

O'Donnell skończył drinka i przygotował się do wyjścia. Doszedł do wniosku, że oboje powiedzieli sobie dużo więcej niż to wyrażały słowa. Teraz potrzebował czasu do przemyśleń oraz argumentów, żeby wyciągnąć jakieś wnioski. Zbyt dużo rzuca się na szalę, aby podejmować pochopne decyzje.

– Naprawdę nie musisz jeszcze iść, Kent. Zostań, jeśli chcesz – powiedziała Lucy szczerze i wiedział, że jeśli zostanie, następny krok będzie należał do niego.

Rozum podpowiadał mu, by został, lecz ostrożność i nawyk zwyciężyły. Chwycił ją za rękę: – Dobranoc, Lucy. Przemyślmy to wszystko...

Gdy drzwi windy zamknęły się, ona dalej stała nieruchomo w progu mieszkania.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Zebrałem was tutaj, gdyż chcę prosić o poparcie w pewnej sprawie – powiedział O'Donnell do osób skupionych wokół stołu konferencyjnego.

Słuchali go z uwagą. Przyszli wszyscy, których zaprosił, poza Reubensem; przeprowadzał wyznaczoną wcześniej operację przepukliny.

– Każdy wie, że mamy kłopoty z patologią. Myślę, że zgodzicie się ze mną, że to problem zarówno medyczny, jak i ludzki.

– A cóż to za problem? – odezwał się Charlie Dornberger, nabijając fajkę. – Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem, Kent.

O'Donnell spodziewał się takiej reakcji, gdyż wiedział, że Dornberger przyjaźni się z Pearsonem. Odpowiedział uprzejmie: – Chciałbym, żebyś mnie wysłuchał. Postaram się to wyjaśnić.

Po kolei omówił kwestie związane ze sprawą – opóźnienia raportów pooperacyjnych, zwiększenie wymagań szpitalnych względem oddziału patologii, własne wątpliwości co do tego, czy Joe Pearson jest w stanie sam wszystkiemu podołać. Wspomniał o pacjentce Billa Rufusa, zwracając się do niego o potwierdzenie swoich słów i opowiedział o swojej przedpołudniowej rozmowie z Reubensem. Przytoczył również treść dyskusji z Pearsonem, zaznaczając że ten nie zgodził się na przyjęcie drugiego patologa. Zakończył słowami: – Jestem przekonany, że powinniśmy zatrudnić drugą osobę do pomocy Joemu. Do tego właśnie potrzebne mi jest wasze poparcie.

– Mnie też martwi patologia – natychmiast, jakby chcąc przestrzegać reguł protokołu, odezwał się po O'Donnellu Harvey Chandler, szef oddziału chorób wewnętrznych. Jego wypowiedź przypominała starannie wyważony wyrok sądowy; jak zwykle najprostsze myśli Wygłaszał w zawiły sposób. – Sytuacja może okazać się kłopotliwa, zważywszy że Joe Pearson tak ją odbiera. W końcu jest szefem oddziału; musimy więc unikać jakichkolwiek sugestii, które wskazywałyby, że podkopuje się jego autorytet.

– Zgadzam się – odparł O'Donnell – i dlatego chcę, żebyście mi pomogli... – zabębnił palcami o blat biurka – ... pomogli przekonać Joe Pearsona, że zmiany na oddziale są konieczne.

– Nie wiem tylko, czy wybraliśmy właściwą metodę – odezwał się Bill Rufus.

– Dlaczego, Bill? – O'Donnell zauważył, że Rufus założył dzisiaj jeden z bardziej stonowanych krawatów.

– Sądzę, że nasza garstka nie ma prawa dyskutować o zmianach na patologii Rufus spojrział na zebranych. – Oczywiście, ściałem się parę razy z Joe Pearsonem i przypuszczam, że większość ma podobne doświadczenia. Ale to nie znaczy, że chciałbym przyłączyć się do tajnego spisku, który ma go wygryźć ze stanowiska.

O'Donnell ucieszył się z takiego sformułowania; był na to przygotowany.

– Jeszcze raz podkreślam: ani ja, ani nikt inny nie zamierza, jak powiedziałeś – tu spojrział na Rufusa – wygryzać Pearsona ze stanowiska.

Po sali rozszedł się odgłos aprobaty.

– Popatrz na to z innej strony – mówił O'Donnell. – Chyba wszyscy zgadzają się, że zmiany na patologii są niezbędne. Zwróć uwagę na same raporty pooperacyjne. Każdy dzień zwłoki w przypadku, gdy konieczna jest operacja, oznacza poważne niebezpieczeństwo dla życia pacjenta. Wiem, że nie muszę tego mówić...

Harry Tomaselli wszedł mu w słowo: – Nie zapominajmy również, że te opóźnienia powodują niepotrzebną blokadę łóżek, których tak nam brakuje. Lista oczekujących na przyjęcie nadal jest bardzo długa.

O'Donnell ponownie zabrał głos: – Oczywiście, zamiast załatwiać sprawę w ten sposób, mogłem zwołać posiedzenie komitetu wykonawczego – urwał na chwilę – i zrobię tak, jeśli będę zmuszony. Lecz wydaje mi się, że wiecie, co z tego może wyniknąć. Joe jest członkiem komitetu i znając go, jak i wy wszyscy, spodziewam się, że ewentualna dyskusja na ten temat przerodzi się w zażarty spór. Co wówczas osiągniemy, zakładając, że uda nam się przeforsować sprawę. Udowodnimy tylko Joe Pearsonowi, że nie może kierować własnym oddziałem. A z medycznego i każdego innego punktu widzenia, jak to powiedział Harvey, rzucimy złe światło na siebie i na szpital.

O'Donnell miał jeszcze na uwadze coś, czego nie mógł głośno powiedzieć: że pamięta o silnych związkach Pearsona ze starą gwardią w zarządzie szpitala i obawia się ewentualnych reperkusji natury politycznej, jakie mógłby za sobą pociągnąć otwarty konflikt.

– Nie mówię, że się z tobą zgadzam, ale chciałbym wiedzieć, co w takim razie proponujesz? – pytanie pochodziło od Dornbergera i przerywane było pyknięciami fajki.

Rufus skrzywił się.

– Lepiej się pośpieszmy, niedługo nie będzie tutaj czym od dychać. Czy ty sam sprowadzasz to wielbłądzie łajno, Charlie?

Zebrani uśmiechnęli się. O'Donnell postanowił zagrać va banque.

– Charlie, proponuję, żebyś porozmawiał z Joem w imieniu nas wszystkich.

– O, nie!

O'Donnell nie był zaskoczony jego reakcją. Zaczął przekonywać Dornbergera.

– Charlie, wiemy, że przyjaźnisz się z Joem i zapraszając cię na spotkanie, brałem to pod uwagę. Mógłbyś go namówić...

– Innymi słowy, chcesz, żebym za ciebie wykopał topór wojenny – rzekł oschle Dornberger.

– Charlie, tu nie chodzi o żaden topór wojenny, uwierz mi... Doktor Dornberger zawahał się. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy go obserwują, czekając na odpowiedź. Rozwagał: powinienem zrobić, o co O'Donnell prosi, czy nie? Czuł się rozdarty między dwoma sprzecznymi doznaniem – z jednej strony była to troska o dobro szpitala, z drugiej sympatia do Joe Pearsona.

W pewnym sensie wiadomości na temat sytuacji na oddziale patologii bynajmniej go nie zaskoczyły; od pewnego czasu domyślał się, co się tam dzieje. Jednak informacje o tych dwóch przypadkach, tym wspomnianym przez Rufusa i tym dotyczącym Reubensa, poruszyły go głęboko. Dornberger miał pewność, że O'Donnell nie zwoływałby zebrania, gdyby nie był porządnie zaniepokojony, a ze zdaniem szefa chirurgów się liczył.

Równocześnie Charles Dornberger chciałby, w miarę swoich możliwości, pomóc Joe Pearsonowi i odeprzeć wzburzone fale, jakie wzbierały się wokół, zapowiadając wydarzenia, które mogły pogрузić starego patologa. Poza tym O'Donnell był chyba szczery mówiąc, że nikt nie chce pozbawiać Pearsona stanowiska; reszta też wydawała się co do tego zgodna. Zdecydował, że podejmie się pośrednictwa. Być może tak najlepiej przysłuży się przyjacielowi.

Dornberger spojrzał na zebranych i zapytał: – Czy wszyscy się zgadzają?

– Bardzo lubię Joe Pearsona – odezwała się z troską w głosie Lucy Grainger. – Myślę, że wszyscy go lubimy. Ale uważam, że na patologii potrzebne są pewne zmiany.

Lucy zabrała głos po raz pierwszy. Rozmyślała nad ostatnim spotkaniem z Kentem O'Donnellem. To, co zaszło wczoraj w jej mieszkaniu, dziwnie ją poruszyło; od lat nie doznawała takiego uczucia. Po jego wyjściu zastanawiała się, czy jest w nim zakochana, lecz powiedziała sobie, zresztą sama w to nie wierząc, że takie określenia pasują wyłącznie do młodego wieku, podczas gdy ona – kobieta dojrzała, niezależna, z pozycją zawodową – powinna

raczej kierować się rozsądkiem i chłodną kalkulacją, unikając nieprzemyślanych, gwałtownych emocji. Dzięki temu potrafiła oddzielić osobiste doznania od spraw zawodowych i skoncentrować się choćby na problemie oddziały patologii. W zawodzie lekarskim łatwo się tego nauczyć, wszelkie sprawy muszą być odsuwane na bok, na korzyść medycznych, ważniejszych.

O'Donnell spojrzał na Rufusa.

– A ty Bill? Chirurg kiwnął głową.

– W porządku, zgadzam się, by Charlie porozmawiał z Pearsonem.

W następnej kolejności odezwał się Harvey Chandler, zwracając się do Dornbergera napauszonym tonem: – Moim zdaniem, jest to najlepszy sposób podejścia do tej kwestii, Charlie. Wyświadczysz nam wszystkim, nie mówiąc już o szpitalu, prawdziwą przysługę.

– Dobrze – odparł Dornberger. – Zobaczę, co da się zrobić. Zapadła cisza, którą O'Donnell przyjął z ulgą. Uznał, że koledzy pojęli w czym rzecz i teraz przynajmniej zaczną się coś dziać. Później, jeśli ta strategia zawiedzie, będzie zmuszony zastosować bardziej drastyczne środki. Czasami byłoby lepiej, skonstatował, gdyby protokół medyczny był mniej skomplikowany. W zakładzie przemysłowym niekompetentnego pracownika można zwolnić. Jeśli chcesz, żeby dobrał sobie pomocnika, wydajesz mu polecenie, i to wystarczy. Ale w zawodzie lekarskim, i do tego w szpitalu, nie jest to wcale proste. Granice wpływów bywają jasno wytyczone tylko sporadycznie i ordynator, raz wyznaczony na to stanowisko, jest właściwie panem swego królestwa. Co ważniejsze, dokonywaniu drastycznych posunięć towarzyszą przeważnie opory, gdyż nie chodzi tu tylko o pracę; kwestionuje się umiejętności lekarza, którego pozycja i tak zależy od jego zawodowej reputacji.

To delikatna materia; każde posunięcie może mieć wpływ na przyszły los kolegi po fachu. Dlatego postępujesz rozważnie, obchodząc się ze sprawą podobną do dzisiejszej w rękawiczkach, i starasz się nie dopuszczać do rozgłosu.

Harry Tomaselli powiedział spokojnie: – Jak rozumiem, zajmiemy się poszukiwaniem drugiego patologa.

– Sądzę, że powinniśmy zacząć się rozglądać – odpowiedział O'Donnell dyrektorowi administracyjnemu, a potem spojrzał na zebranych: – Chyba każdy z nas ma jakieś kontakty i może przekazać taką informację. Gdybyście słyszeli o kimś, o jakimś dobrym lekarzu, który właśnie kończy okres rezydencki, dajcie mi znać.

– Patolodzy mogą być teraz dość wybredni – wtrącił się Bill Rufus.

– Wiem. Może się okazać, że nie jest to takie proste... – dodał O'Donnell. – Z tym większą ostrożnością musimy postępować z Joem.

Harry Tomaselli sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął segregator.

– Może coś z tego was zainteresuje... – powiedział.

– Co tam masz? – zapytał Harvey Chandler.

– Niedawno otrzymałem „otwartą listę” patologów – odparł Tomaselli. – Szczerze mówiąc, spodziewałem się czegoś takiego jak dziś i poprosiłem o przysłanie tej listy. To nazwisko pojawiło się tydzień lub dwa tygodnie temu...

– Mogę zobaczyć? – O'Donnell wyciągnął rękę po papier. Wiedział, że na życzenie szpitali co jakiś czas puszczano w obieg taką listę. – Zawierała – za zgodą zainteresowanych – informacje na temat patologów poszukujących pracy. Istniała też „zamknięta lista”, lecz była pilnie strzeżona przez Stowarzyszenie Zawodowe Patologów. Obejmowała ona nazwiska niezadowolonych z aktualnej posady, którzy dyskretnie rozglądali się za nowym zajęciem. W takim wypadku szpital powiadamiał Stowarzyszenie, że potrzebuje patologa, a informacja trafiała wprost do osoby z „listy zamkniętej”. Wtedy zainteresowany mógł osobiście kontaktować się ze szpitalem. Jednak O'Donnell wiedział, że mimo całej tej maszyny większość patologów pozyskiwano drogą osobistych kontaktów i rekomendacji.

Popatrzył na kartkę. Informacja dotyczyła doktora Davida Colemana, lat trzydzieści jeden. Dyplom na Uniwersytecie Nowojorskim, staż w Bellevue. Dwa lata w wojsku. Pięć jako rezydent na oddziale Patologii w trzech doskonałych szpitalach. Oto człowiek, który z podziwu godną konsekwencją zdobył w swojej edukacji zawodowej wszystko co najlepsze.

Podał kartkę Rufusowi i zwrócił się do Tomasellego: – Bardzo wątpię, czy ktoś z takimi kwalifikacjami chciałby się nami zainteresować, mając zwłaszcza na względzie to, ile moglibyśmy mu na początek zaoferować...

Z wcześniejszej rozmowy z dyrektorem O'Donnell pamiętał, że płaca wynosiłaby około dziesięciu tysięcy dolarów rocznie.

Rufus podniósł wzrok.

– Też tak sędzę. Taki facet może się załapać w każdym większym szpitalu.

Przekazał pismo Harveyowi Chandlerowi.

– Cóż, właściwie... – jak na Tomasellego, jego głos zabrzmiał teraz wyjątkowo niepewnie;

zdawało się, że wyważy każde słowo.

Zaintrygowany O'Donnell zapytał: – O co chodzi, Harry?

– Prawda jest taka, że doktora Colemana interesuje nasz szpital – zamilkł na chwilę. – Chyba słyszał o naszych ostatnich zmianach i planach na przyszłość.

O'Donnell przerwał milczenie.

– Skąd to wiesz?

– Wiem, bo trochę korespondowaliśmy...

– Czy to nie dziwne, Harry? – odezwał się Rufus.

– Może nieco się pośpieszyłem, ale gdy to dostałem – wskazał na kartkę, którą właśnie podał Lucy – napisałem do doktora Colemana. Oczywiście, nie było w tym nic konkretnego, taki niezobowiązujący sondaż – zwrócił się do O'Donnella. – Miało to miejsce dwa tygodnie temu, po naszej rozmowie. Może sobie przypominasz, Kent.

– Tak, pamiętam – O'Donnell wolałby jednak, żeby Harry wcześniej zapoznał go z tą sprawą. Będąc dyrektorem administracyjnym, Tomaselli miał prawo korespondować z kim chciał. Nic przecież w imieniu szpitala nie obiecywał. Najprawdopodobniej korespondencja była poufna. Niewykluczone, że było to słuszne posunięcie.

– Mówisz, że doktor Coleman jest nami zainteresowany?

– Tak. Chciałby do nas przyjechać. Gdyby dzisiaj ta kwestia sama nie wyskoczyła, przyszedłbym z tym do ciebie.

Pismo znajdowało się w tej chwili w rękach Dornbergera. Postukał palcem w kartkę.

– Co mam z tym zrobić? O'Donnell rozejrzał się po sali oczekując aprobaty:

– Sądzę, że powinieneś zabrać pismo z sobą, Charlie – powiedział. – Proponuję, żebyś pokazał je Joe Pearsonowi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Roger McNeil, rezydent patolog, czekał w pomieszczeniu przedprosektoryjnym, gotów do rozpoczęcia badań makroskopowych. Brakowało tylko Joe Pearsona.

W Trzech Hrabstwach, podobnie jak w wielu innych szpitalach, badania makroskopowe stanowiły kolejny etap pracy po sekcji zwłok. Pół godziny temu George Rinne, dozorca kostnicy, przyniósł narządy, które usunięto w tym tygodniu. W białych emaliowanych wiadrach leżały starannie poukładane dwa zestawy organów; obok nich stały trzy pojemniki z samymi mózgiami. Centralnym punktem sali był kamienny stół z ogromnym wbudowanym zlewem, nad którym umieszczono baterię wodną. Poniżej odkręconego kurka ustawiono trzecie wiadro z narządami – woda wypłukiwała z nich formalinę, likwidując nieprzyjemny fetor.

McNeil rozejrzał się wokoło, chcąc się upewnić, że wszystko jest w należyтым porządku. Ilekroć o czymś zapomnieli, Pearson wpadał w gniew. Zdaniem McNeila miejsce ich pracy sprawiało wyjątkowo makabryczne wrażenie z powodu porozkładanych tu i ówdzie szczątków ludzkich, a za chwilę zaczęły przypominać masarnię. Bywał w różnych laboratoriach szpitalnych, gdzie wszystko lśniło nierdzewną stalą. Jednak takie przejawy nowoczesności nie dotarły jeszcze do oddziału patologii w Trzech Hrabstwach.

Usłyszał znajome szuranie nogami i naraz pojawił się Pearson, ciągnąc za sobą nieodłączną chmurę dymu.

– Nie marnujmy czasu – Pearson zazwyczaj nie dbał o wstępne grzeczności. – Już półtora tygodnia minęło od mojego starcia z O'Donnellem, a ciągle mamy opóźnienia – cygaro podskakiwało to w górę, to w dół. – Jak skończymy, chcę zbadać wszystkie zaległe wycinki pooperacyjne. Co mamy na początek?

Mówiąc to włożył czarny, gumowy fartuch i gumowe rękawiczki. Podeszedł do stołu i na nim usiadł; McNeil usadowił się na stołku naprzeciw niego i zajrzał do brulionu.

– Pięćdziesięcioletnia kobieta. Śmierć z winy lekarza, rak piersi.

– Pokaż to... – Pearson wyciągnął rękę po kartkę. Czasami siedział cierpliwie i pozwalał rezydentowi opisywać przypadek, kiedy indziej znów chciał wszystko przeczytać sam. Nigdy nie było wiadomo, jak postąpi. – Hm... – Odłożył papiery i zakręcił kran, później sięgnął do wiadra i pogrzebawszy w nim, wyjął serce. Rozłożył je dwoma rękami. – Ty to ciążesz?

Rezydent pokręcił przecząco głową.

– Tak myślałem – Pearson jeszcze raz przyjrzał się sercu. – Seddons?

McNeil przytaknął z ociąganiem. On też zauważył, że jest niewłaściwie rozcięte.

– Wygląda jak znak Zorro – uśmiechnął się Pearson. – Chyba się pojedyńkował z tym sercem... A propos, gdzie jest Seddons?

– Chyba coś się dzieje na chirurgii. Pewnie przeprowadzają jakiś zabieg, który chciał zobaczyć.

– Powiedz mu ode mnie, że dopóki jest przydzielony na oddział patologii, żądam, by był obecny na każdym badaniu makroskopowym... Dobra, zabieramy się do roboty.

McNeil oparł brulion na kolanie. Pearson zaczął dyktować: – Serce wykazuje niewielkie zgrubienie i zwalcowanie zastawki dwudzielnej. Widzisz to? – Wyciągnął dłoń z narządem w stronę McNeila.

– Tak, widzę.

Pearson kontynuował: – Struny ścięgnowe są złączone, zgrubiałe i krótsze – po czym dodał od niechcienia: – Prawdopodobnie miała przewlekły gościec stawowy, jednak nie to stało się przyczyną śmierci.

Odciął niewielki fragment tkanki i włożył do słoika wielkości kałamarza z doklejoną karteczką. Wycinek przeznaczony był do późniejszego badania pod mikroskopem. Następnie z ogromną łatwością wieloletniego praktyka wycelował sercem wprost do otworu w stole, pod którym stał metalowy kubek. Jeszcze dzisiaj sprzątnie się go i umyje, a zawartość spali w krematorium na drobny popiół.

Teraz wziął do ręki płuca. Otworzył jedno, jakby chodziło o dwie duże kartki książki, i podyktował: – W płucach liczne guzki przerzutowe...

Znowu wyciągnął dłoń z narządem w kierunku McNeila, żeby mógł lepiej obejrzeć. Gdy koncentrował uwagę na drugim płucu, otworzyły się drzwi.

– Doktorze Pearson, czy jest pan zajęty?

Pearson odwrócił się z irytacją. Pytanie padło ze strony Carla Bannistera, starszego technika laboranta z oddziału patologii. Bannister z głową w drzwiach czekał na odpowiedź. Za nim na korytarzu majaczyła jakaś postać.

– Oczywiście, że jestem zajęty. Czego chcesz? – Pearson zwracał się do Bannistera przeważnie takim tonem, na wpół opryskliwym, na wpół żartobliwym. Z biegiem lat obaj

przyzwyczajali się do tego; jakiegokolwiek bardziej serdeczne słowa Pearsona prawdopodobnie obydwu wprawiłyby w zakłopotanie.

Bannister wcale nie przejął się reakcją szefa. Skinął na kogoś, kto stał za nim.

– Wejdz... – po czym zwrócił się do Pearsona: – To John Alexander. Pamięta pan? Nasz nowy laborant. Przyjął go pan tydzień temu, dzisiaj rozpoczyna pracę.

– A, tak, zapomniałem... Wejdźcie...

Tym razem Pearson zareagował sympatyczniej. Może pierwszego dnia, pomyślał McNeil, nie chce odstraszyć nowego pracownika.

McNeil spozjrzał uważnie na przybysza. Dwadzieścia dwa lata, oszacował pobieżnie; później miał się dowiedzieć, że nie pomylił się ani o jotę. Z tego, co usłyszał, wiedział już, że Alexander właśnie ukończył studia z dyplomem technologa medycznego. Cóż, przyda się ktoś o takich kwalifikacjach. Bannister, to pewne, Pasteurem nie był.

McNeil skierował wzrok na starego laboranta. Bannister przypominał kiepską kopię Pearsona. Niski, z wydatnym brzuszkiem, tylko częściowo zakrytym poplamionym, niedopiętym fartuchem laboratoryjnym, spod którego ukazywało się sfatygowane, wymięte ubranie. Był prawie łysy, a resztki włosów sprawiały wrażenie ustawicznie ignorowanych przez właściciela.

McNeil znał co nieco przeszłość Bannistera. Przyszedł do Trzech Hrabstw rok czy dwa po Pearsonie. Miał średnie wykształcenie i Pearson zatrudnił go przy pracach pomocniczych – wypełnianiu papierków, myciu szklanych pojemników – i jako gońca. Stopniowo, z upływem lat, Bannister nauczył się w laboratorium wielu praktycznych rzeczy, stając się prawą ręką Pearsona.

Oficjalnie Bannister zajmował się serologią i biochemią, jednak z oddziałem związany był na tyle długo, że z powodzeniem mógł zastępować, i często to robił, techników z innych działów laboratorium. Dlatego też Pearson zrzucił na niego znaczną część zajęć administracyjnych i w rezultacie uczynił zeń szefa wszystkich techników patologów.

McNeil uważał, że w swoich najlepszych latach Bannister był prawdopodobnie niezłym technikiem, który, gdyby tylko chciał się nieco doksztalić, mógł osiągnąć znacznie więcej. Obecnie posiadał duże doświadczenie praktyczne, lecz był słaby w teorii. Obserwując go McNeil doszedł do wniosku, że Bannister przeważnie działał jak rutyniarz, nie zastanawiając się zbytnio nad niczym. Potrafił przeprowadzać testy serologiczne i chemiczne, w ogóle nie rozumiejąc, o co w nich chodzi. McNeil uznał, że pewnego dnia może się to okazać wręcz niebezpieczne.

Alexander był jego zupełnym przeciwieństwem. Przeszedł typową dla większości techników

laborantów drogę: trzy lata college'u, z czego ostatni w renomowanej szkole dla technologów medycznych. Słowo „technolog” było solą w oku dla ludzi pokroju Bannistera, jako że mieli oni prawo używać wyłącznie tytułu technika.

Pearson machnął cygarem w stronę wolnego taboretu przy stole.

– Siadaj, John.

– Dziękuję, doktorze – odpowiedział uprzejmie Alexander.

W swoim nieskazitelnie czystym fartuchu, ze schludnie przystrzyżonymi włosami, w wyprasowanych spodniach i wypucowanych butach wyraźnie kontrastował zarówno z Pearsonem, jak i Bannisterem.

– Myślisz, że spodoba ci się tutaj? – Pearson patrzył na płuco, które trzymał w ręce i, nie przerywając rozmowy, kontynuował badanie.

– Jestem tego pewien, doktorze.

Miły chłopak, pomyślał McNeil, chyba mówi szczerze.

– Wiesz, John – mówił Pearson – mamy tu swoje własne metody działania. Może nie zawsze okażą się podobne do tych, do jakich jesteś przyzwyczajony, ale u nas się sprawdzają.

– Rozumiem, doktorze.

Czyżby? zastanowił się McNeil. Naprawdę rozumiesz, co stary usiłuje ci powiedzieć? Że nie życzy sobie żadnych zmian, że nie chce, abyś dzielił się bzdurnymi wiadomościami, którymi nafaszerowano ci głowę w szkole i że nic – nawet najdrobniejsza sugestia – nie ma prawa bytu na tym oddziale bez jego błogosławieństwa.

– Niektórzy ludzie powiedzieliby, że jesteśmy zacofani – ciągnął Pearson wyjątkowo miłym głosem – ale my uznajemy sprawdzone metody, prawda, Carl?

Bannicter, do którego adresowane było pytanie, przytaknął skwapliwie.

– Tak jest, panie doktorze.

Pearson skończył już badanie płuc i teraz, zanurzwszy rękę w wiadrze, jakby to była loteria fantowa, wyjął zołądek. Chrząknął, a następnie pokazał otwartą stroną McNeilowi: – Widzisz to?

– Już widziałem – kiwnął głową rezydent. – Mam odnotowane..

– W porządku – Pearson wyciągnął rękę w kierunku McNeila i podyktował: – Wrzód trawienny tuż poniżej pierścienia odźwiernikowego w dwunastnicy.

Alexander przesunął się, żeby lepiej zobaczyć. Pearson zauważył jego zaciekawienie i przybliżył organ.

– Interesuje cię to, John?

– Zawsze interesowałem się anatomią, panie doktorze – odparł Alexander z szacunkiem.

– Pracą w laboratorium też? – McNeil odniósł wrażenie, że Pearson tryska zadowoleniem.

Anatomia patologiczna była miłością jego życia.

– Tak, panie doktorze.

– Te narządy należały do pięćdziesięcioletniej kobiety – Pearson podsunął mu kartki z opisem choroby. Alexander słuchał w skupieniu. – Ciekawy przypadek. Pacjentka była wdową, a bezpośrednią przyczyną zgonu był rak piersi. Dwa lata przed śmiercią jej dzieci zdały sobie sprawę, że źle się czuje, lecz nie były w stanie namówić jej na wizytę u lekarza. Pewnie zraziła się do nich.

– Bywają takie osoby – zachichotał piskliwie Bannister, lecz jego śmiech zamarł pod spojrzeniem Pearsona.

– Bez dwuznacznych komentarzy. Przekazuję Johnowi pewną informację. Tobie też nie zaszkodzi posłuchać.

Taka uwaga przygasiłaby każdego, ale nie Bannistera. Laborant uśmiechnął się półgębkiem.

– Co się stało, doktorze? – zapytał Alexander.

– Tutaj wyraźnie napisano: „Córka mówi, że dwa lata temu rodzina zauważyła wyciek w okolicy lewej piersi pacjentki. Czternaście miesięcy przed zgłoszeniem się do szpitala w tym samym miejscu pojawiło się krwawienie. Poza tym nic jej nie dolegało”. – Pearson przewrócił kartki. – Ta kobieta miała nadzieję, że uzdrowią ją pacierze – zaśmiał się ponuro – jednak niezbyt w nie wierzyła, skoro złamała się i przyszła do szpitala.

– Przypuszczam, że było już za późno.

To nie jest zwykła uprzejmość, skonstatował w duchu McNeil, ten Alexander wykazuje autentyczne zainteresowanie.

– Tak – odparł Pearson. – Gdyby od razu zgłosiła się do lekarza, wykonano by całkowitą mastektomię, to znaczy amputację piersi.

– Tak, wiem.

– I mogłaby nadal żyć – Pearson trafił żołądkiem do otworu w stole.

Alexandra coś nurtowało, więc zapytał: – Czy powiedział pan, że cierpiała na wrzód trawienny?

Brawo, pomyślał McNeil. Pearson podzielał jego wrażenie, gdyż odwrócił się do Bannistera:

– Zobacz, Carl, ten chłopak ma uszy otwarte. Miej się na baczności, bo cię prześcignie.

Bannister uśmiechnął się, lecz McNeil wywnioskował, że był to raczej uśmiech goryczy. W przyszłości te słowa mogą okazać się nieprzyjemnie prorocze.

– Tak, John – Pearson zachowywał się wylewnie – mogła mieć z tym kłopoty, ale mogła też nic nie odczuwać.

– Sądzi pan, że nic o tym nie wiedziała?

McNeil zdecydował, że nadeszła już pora, by sam coś wtrącił.

– To zadziwiające – zwrócił się do Alexandra – czegoż to oprócz rzeczywistej przyczyny śmierci ludzie w sobie nie noszą. O wielu chorobach nawet nie mają pojęcia. Napatrzysz się tutaj na takie sytuacje...

– To prawda – przytaknął Pearson. – Wiesz, John, co w ludzkim ciele jest najbardziej niezwykle? Nie to, co nas zabija, lecz to, co w sobie nosimy, a mimo to żyjemy – przerwał na chwilę, po czym niespodziewanie zmienił temat: – Jesteś żonaty?

– Tak, panie doktorze.

– Żona jest z tobą?

– Jeszcze nie. Przyjedzie w przyszłym tygodniu. Najpierw musiałem poszukać mieszkania.

McNeil przypomniał sobie, że Alexander znajdował się w tej grupie starających się o pracę w Trzech Hrabstwach, która nie pochodziła z Burlington. Wydawało mu się, że przy jego osobie wspomniano Chicago.

Alexander wahał się przez moment, w końcu dodał: – Chciałem pana o coś prosić, doktorze Pearson.

– O co chodzi? – w głosie patologa wyczuwało się rezerwę.

– Moja żona jest w ciąży, a nikogo tutaj nie znamy... – zawiesił głos i po krótkiej chwili rzekł: – Bardzo nam zależy na tym dziecku. Widzi pan, pierwsze nam umarło miesiąc po porodzie.

– Rozumiem – Pearson oderwał się od zajęć i słuchał uważnie.

– Zastanawiałem się, czy mógłby pan polecić mojej żonie jakiegoś ginekologa.

– Prosta sprawa – Pearson jakby odetchnął z ulgą. Nawet nie domyślał się, o co Alexandrowi mogłoby chodzić. – Doktor Dornberger jest dobry i ma gabinet w szpitalu. Chcesz, żebym do niego zadzwonił?

– Jeśli nie sprawi to panu wielkiego kłopotu...

Pearson kiwnął na Bannistera: – Sprawdź, czy jest u siebie. Bannister podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie.

– Jest – rzekł i podał ją Pearsonowi.

Sędziwy lekarz miał rękawiczki na obu dłoniach, i do tego mokre, więc potrząsnął głową poirytowany: – Trzymaj! Trzymaj!

Bannister podszedł bliżej i przyłożył słuchawkę do ucha Pearsona.

– To ty, Charlie? – huknął patolog do mikrofonu. – Mam dla ciebie pacjentkę.

Trzy piętra wyżej w swoim gabinecie doktor Charles Dornberger uśmiechnął się i odsunął słuchawkę od twarzy: – W jaki sposób położnik może pomóc twoim pacjentom? – spytał uświadamiając sobie, że właściwie rozmowa z Pearsonem jest mu na rękę. Od wczorajszego zebrania Charles Dornberger zastanawiał się, jak ma rozegrać sprawę. Teraz, wszystko na to wskazywało, sposobność nadarzyła się sama.

Na dole na oddziale patologii Joe Pearson przesunął cygaro do kącika ust. Bardzo lubił przekomarzać się z Dornbergerem.

– To nie jest zmarła pacjentka, stary ośle. Ona żyje. To żona jednego z moich chłopców z laboratorium – pana Johna Alexandra. Nikogo nie znają w mieście. Dopiero przyjechali...

Gdy Pearson wymienił nazwisko, Dornberger otworzył szufladę i wyjął czystą kartę zdrowia.

– Chwileczkę – przycisnął słuchawkę do ucha przedramieniem i trzymając kartę lewą ręką, prawą kształtnymi literami napisał: – Alexander, żona Johna., Dornberger przy swoim niezwykle zorganizowanym podejściu do pracy zawsze od tego zaczynał.

– Chętnie się nią zajmę, Joe. Ale powiedz im, żeby uzgodnili termin wizyty...

– Dobrze, lecz nie będzie to wcześniej niż w przyszłym tygodniu, dopiero wówczas pani Alexander będzie na miejscu – uśmiechnął się do nowego pracownika i pośpiesznie dodał niemal z krzykiem:

– A gdyby tak chcieli bliźnięta... tylko ty jesteś władny to załatwić, Charlie.

Pearson zachichotał wsłuchując się w odpowiedź przyjaciela. Nagle zaświtała mu w głosie inna myśl: – Jeszcze chwileczkę! I żadnych wygórowanych honorariów za tę robotę! Nie życzę sobie, by później chłopak przychodził do mnie po podwyżkę na opłacenie lekarza!

Dornberger roześmiał się.

– Tym się nie przejmuj – odparł, a w karcie zdrowia zapisał: „pracownik szpitala”. Uwagę zamieścił dla własnej pamięci, by nie pobierać od pacjentki żadnych opłat. Potem rzekł do

słuchawki: – Joe, mam do ciebie sprawę. Kiedy będę mógł wpaść?

– Dzisiaj nie da rady, Charlie – powiedział Pearson. – Jestem potwornie zajęty. Może jutro?

Dornberger zerknął na harmonogram swoich wizyt.

– Jutro z kolei ja mam robotę. Umówmy się na pojutrze. Może być dziesiąta rano? Przyjdę do twojego gabinetu.

– Może być. Chyba że załatwisz to od razu, przez telefon – w jego głosie wyczuwało się nutę ciekawości.

– Nie, Joe, wolałbym osobiście.

– Dobrze, Charlie. Do zobaczenia. Tymczasem... – rozniosło się po patologii. Następnie Pearson zniecierpliwionym gestem kazał Bannisterowi odłożyć słuchawkę: – Wszystko załatwione – Pearson podszedł do Alexandra. – W stosownym terminie twoja żona zostanie przyjęta do szpitala. Jako pracownik otrzymasz dwadzieścia procent zniżki.

Alexander promieniał radością. O, tak, śmiało korzystaj z okazji, pomyślał McNeil. Staremu niezwykle rzadko trafiają się chwile słabości. I nie miej złudzeń – przyjdą inne, które nie będą wcale dla ciebie miłe.

Jeszcze chwileczkę – Dornberger uśmiechnął się do studentki, która pojawiła się w gabinecie podczas jego rozmowy z Pearsonem. Wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

– Dziękuję, panie doktorze.

Vivian Loburton przyniosła kartę zdrowia pacjentki, o którą prosił Dornberger. Zazwyczaj nie praktykowano tego; lekarze sami musieli przyjść na oddział i tam przejrzeć kartę. Ale Dornberger był ulubieńcem pielęgniarek, zawsze świadczyły mu drobne przysługi. Kiedy więc kilka minut temu zadzwonił, przełożona natychmiast wysłała Vivian.

Chciałbym przynajmniej raz nie zajmować się kilkoma rzeczami równocześnie – Dornberger wpisywał teraz do karty informacje uzyskane od Pearsona. Później, gdy zbierze od pacjentki więcej danych, zmaże ołówkowe notatki i wypełni kartę atramentem. Pisząc zwrócił się do dziewczyny: – Jest pani tutaj od niedawna, co?

– Od bardzo niedawna, panie doktorze – odparła. – To mój czwarty miesiąc w szkole pielęgniarek.

Zauważył, że ma aksamitny, śpiewny głos. Była też urodziwa. Ciekawiło go, czy spała już z jakimś stażystą lub rezydentem. A może od jego czasów studenckich coś się zmieniło? Czasami odnosił wrażenie, że dzisiejsi stażyści i rezydenci są bardziej konserwatywni niż kiedyś jego

pokolenie. Szkoda. Jeśli to prawda, wiele tracą. Rzekł głośno: – To był doktor Pearson, nasz patolog. Poznała go już pani?

– Tak – odrzekła. – Nasza grupa uczestniczyła w sekcji.

– O, Boże... Jak pani... – miał zamiar powiedzieć „to się podobało”, lecz zmienił na: – Jak pani to zniosła?

Zamyśliła się.

– Na początku przeżyłam szok, później jakoś się oswoiłam... Pokiwał głową współczująco. Skończył pisać i odłożył kartę.

Dzisiejszy dzień był spokojniejszy niż zwykle; można nazwać luksusową sytuację, kiedy udaje się dokończyć jedną sprawę, zanim przejdzie do następnej. Wyciągnął rękę po kartę przyniesioną przez Vivian.

– Dziękuję... – i dodał: – Gdyby pani zechciała chwilę poczekać, zaraz ją zwrócę...

– Oczywiście, panie doktorze – Vivian doszła do wniosku, że te parę minut wytchnienia od krzątania na oddziale dobrze jej zrobi. Usiadła wygodnie. Dzięki klimatyzacji w pokoju było chłodno. Takich luksusów nie miała w domu pielęgniarek.

Vivian obserwowała Dornbergera, jak przegląda kartę zdrowia. Prawdopodobnie był w wieku Pearsona, lecz zupełnie inaczej się prezentował. Patolog miał okrągłą twarz o mocnych szczękach i obwisłym podbródku, natomiast Dornberger był szczupły i kościsty. Pod innymi względami także stanowił jego przeciwieństwo – na głowie miał czuprynę śnieżnobiałych włosów, z przedziałkiem. Zauważyła jego wypielęgnowane dłonie i białą, nieskazitelnie czystą i starannie wyprasowaną marynarkę szpitalną. Dornberger oddał jej kartę.

– Dziękuję. To bardzo miłe, że ją pani przyniosła.

Ma w sobie coś, zadumała się Vivian. Słyszała, że pacjentki za nim przepadają. Nietrudno zgadnąć dlaczego.

– Przypuszczam, że będziemy się widywać – Dornberger wstał i otworzył drzwi z kurtuazją. – Powodzenia w nauce.

– Do widzenia, panie doktorze.

Wyszła i zostawiła po sobie woń perfum, pomyślał Dornberger. Nie pierwszy raz spotkanie z kimś tak młodym wywołało w nim refleksję. Usiadł w obrotowym fotelu i wpadł w zadumę. Prawie machinalnie sięgnął po fajkę i zaczął nabijać tytoń.

Pracował trzydzieści dwa lata; za tydzień lub dwa zacznie się trzydziesty trzeci rok. Był to

okres pełen aktywności zawodowej i satysfakcji. Nigdy nie narzekał na kłopoty finansowe. Jego czworo dzieci założyło już własne rodziny, więc wspólnie z żoną mogliby dostatnio żyć z oszczędności bankowych. Ale czy dobrze by się czuł na emeryturze, prowadząc spokojny, ustabilizowany żywot? W tym sęk.

Przez wszystkie lata medycznej kariery Charles Dornberger chlubił się, że wykonując swój zawód nie zostaje w tyle za innymi. Dawno temu przysiągł sobie, że żaden z kolegów go nie ubiegnie ani w umiejętnościach ani wiedzy teoretycznej. Dlatego do tej pory dużo czytał; prenumerował stopy periodyków medycznych, które dokładnie wertował; niekiedy sam pisywał artykuły. Regularnie uczestniczył w zjazdach lekarzy i sumiennie zaliczał szkolenia tematyczne. We wczesnych latach, zanim jeszcze dokonano podziałów w medycynie, przewidział konieczność specjalizacji. Wybrał ginekologię i położnictwo. Wyboru nigdy nie żałował i wierzył, że właśnie ta specjalizacja pomogła mu zachować młodzieńcze usposobienie.

Dzięki temu, gdy w połowie lat trzydziestych zaczęły powstawać amerykańskie komisje specjalistyczne, Dornberger twardo stał przy wybranej przez siebie dziedzinie. W końcu otrzymał dyplom komisji bez żadnego egzaminu, z czego był dumny całe życie. Pomijając wszystko inne, był to dla niego bodziec, aby zawsze iść z duchem czasu.

Ponadto nigdy nie uprzedzał się do młodszych kolegów. Gdy widział, że są dobrzy i sumienni, potrafił rzucić własne zajęcia i śpieszyć z radą i pomocą. O'Donnella podziwiał i szanował, uważał go za jedno z największych dobrodziejstw, jakie przytrafiły się Trzem Hrabstwom. Wraz ze zmianami, jakie wprowadził O'Donnell, poprawiło się jego własne samopoczucie.

Miał mnóstwo przyjaciół, wielu wśród kolegów po fachu, pozostałych w najbardziej nieprawdopodobnych wręcz środowiskach. Przyjaźń z Joe Pearsonem można by zaliczyć do bardziej zaskakujących. Często różnili się w zapatrywaniach na te same kwestie. Na przykład Dornberger wiedział, że Pearson ostatnio niewiele czyta. Podejrzewał nawet, że w kilku dziedzinach starzejący się patolog pozostał daleko w tyle, jeśli zaś chodzi o sprawy administracyjne, wczorajsze spotkanie wyraźnie to potwierdziło. Mimo to z biegiem lat więzy między obydwojma mężczyznami zacieśniały się. Na zebraniach Dornberger ku swemu własnemu zaskoczeniu zazwyczaj stawał po stronie Pearsona, a także bronił go, gdy w prywatnych rozmowach krytykowano jego oddział.

Fakt że zabrał głos podczas zebrania na temat umieralności, również był tego przykładem.

Domyślał się, że wszyscy wiedzą o ich kontaktach towarzyskich. Co to powiedział Gil Bartlett?: „Jest pan jego przyjacielem, poza tym on nie ma żadnych porachunków z położnikami”. Dotąd nie zastanawiał się nad słowami Bartletta, lecz teraz zdał sobie sprawę z cienia żalu, jaki kryły w sobie, i zrobiło mu się przykro. Bartlett był niezłym lekarzem i Dornberger postanowił odnieść się do niego ze szczególną serdecznością przy następnym spotkaniu.

Jednak własnego problemu nadal nie rozwiązał. Ma już odejść czy nie? A jeśli tak, to kiedy? Szczególnie dbał o swoją kondycję fizyczną, ale ostatnio zaczynał już odczuwać pewne znużenie. Chociaż całe życie jeździł nocami do pacjentek, to jednak od niedawna stało się to bardziej uciążliwe. Wczoraj podczas lunchu usłyszał, jak Kersh, dermatolog, udzielał rad młodemu stażyscie: „Powinieneś dołączyć do naszej skórnej drużyny, chłopie. Od piętnastu lat nikt nie budził mnie po nocach”. Dornberger śmiał się ze wszystkimi, ale odezwało się w nim uczucie zazdrości.

Tylko co do jednego był przekonany: nie zostanie ani chwili dłużej, jeśli okaże się, że już nie nadąża. Miał świadomość, że nadal jest nie gorszym lekarzem, niż był kiedyś. Umysł miał jasny, dłonie pewne, wzrok doskonały. Zawsze przyglądał się sobie uważnie i wiedział, że przy pierwszych symptomach pogarszania się formy, nawet nie będzie się wahał. Posprząta biurko i odejdzie. Spotkał zbyt wielu lekarzy, którzy ponad miarę trwali przy tym zawodzie. Jemu nigdy się to nie zdarzy.

Na razie zdecydował, że zaczeka jeszcze ze trzy miesiące, potem się zastanowi.

Dokładnie ubił tytoń w fajce i sięgnął po zapalki. Właśnie miał zapalić, gdy zadzwonił telefon.

– Doktor Dornberger, słucham.

Dzwoniła jedna z pacjentek. Godzinę temu zaczęły się bóle porodowe, teraz błony płodowe pękły i odeszły wody. Dziewczyna miała dwadzieścia parę lat i rodziła pierwsze dziecko. Była chyba mocno podenerwowana, bo brakowało jej tchu, ale starała się to ukryć.

Tak, jak czynił to wiele razy do tej pory, Dornberger spokojnie wydał instrukcje: – Czy mąż jest w domu?

– Tak, panie doktorze.

– Proszę więc spakować rzeczy i niech mąż przywiezie panią do szpitala. Będę czekał...

– Dobrze, panie doktorze.

– I proszę powiedzieć mężowi, by jechał ostrożnie i zatrzymywał się na wszystkich

czerwonych światłach. Mamy mnóstwo czasu, przekona się pani...

Przez telefon wyczuł, że rozluźniła się nieco. Niejednokrotnie tak robił, uważając, że stan psychiczny pacjentki jest równie ważny jak terapia. Mimo to sam odczuwał pewne podniecenie. Każdy nowy przypadek oddziaływał na niego podobnie. Zgodnie z zasadami logiki, pomyślał, od dawna nie powinien tak reagować. Po latach pracy wszyscy wpadali w rutynę, działali w sposób mechaniczny, bez sentymentów. Lecz Dornbergera to nie dotyczyło, chociaż, a może właśnie dlatego, całe życie robił to, co lubił najbardziej.

Wyciągnął rękę po fajkę, po chwili zmienił zdanie i podniósł słuchawkę. Musi zawiadomić oddział, że pacjentka jest w drodze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Nie jestem nawet pewien, czy zlikwidowanie polio było najwłaściwszym posunięciem...

Słowa te padły z ust Eustace’a Swayne’a – założyciela imperium domów handlowych, milionera filantropa, a także członka zarządu Szpitala Trzech Hrabstw. Miało to miejsce w słabo oświetlonej bibliotece, wyłożonej dębowym drewnem, która znajdowała się w nieco podupadłym, lecz ciągle imponującym zameczku, otoczonym pięćdziesięcioakrowym parkiem, który rozciągał się na wschodnich obrzeżach miasta Burlington.

– Przestań, chyba nie mówisz tego poważnie – wtrącił beztrząsco Orden Brown, prezes zarządu szpitala, uśmiechając się do dwóch kobiet – własnej żony Amelii oraz córki Swayne’a, Denise Quantz.

O’Donnell popijając drobnymi łykami koniak, przyniesiony przez prawie niewidzialnego służącego, zagłębił się wygodnie w skórzanym fotelu. Gdy tak siedział, przyszło mu na myśl, że tworzą prawie średniowieczną scenerię. Rozejrzył się po skąpo oświetlonym pokoju; jego wzrok wędrował po rzędach oprawionych w skórę książek, które wznosiły się aż po wysoki, drewniany sufit, po ciężkich, dębowych meblach, przepastnym kominku z imponującymi polanami drewna – nie paliły się, był ciepły lipcowy wieczór, lecz w każdej chwili mogły zapłonąć od jednego dotknięcia pochodni służącego; naprzeciw O’Donnella, rozparty niczym monarcha, siedział w fotelu z zagłówkami i prostym oparciem Eustace Swayne, pozostała zaś czwórka w półkolu – niemal jak dworzanie – zwróciła twarze w stronę starego bogacza.

– Mówię poważnie – Swayne odstawił kieliszek z brandy i pochylił się do przodu. – Cóż, przyznaję, pokażcie mi kalekie dziecko, a zwinę się ze strachu w kłębek jak wszyscy i sięgnę po książeczkę czekową. Ale ja mówię o sprawach ogólniejszych. Fakt jest faktem – i niech mi ktoś zaprzeczy – usilnie pracujemy nad osłabieniem gatunku ludzkiego. Był to znany argument.

– Uważa pan, że powinniśmy zaprzestać badań, zamrozić naszą wiedzę i technikę i zakończyć walkę z wszelkimi chorobami? – zapytał O’Donnell uprzejmie.

– Nic by wam z tego nie wyszło – odparł Swayne. – To tak, jakbyście chcieli powstrzymać gadareńskiego wieprza przed skokiem z urwiska.

O’Donnell roześmiał się.

– Nie bardzo podoba mi się to porównanie. Ale skoro jest tak, a nie inaczej, to po co ten

spór?

– Po co? – Swayne walnął pięścią w oparcie fotela. – Ponieważ jest nad czym ubolewać; nawet jeśli nic się nie działo, by temu przeszkodzić...

– Rozumiem – O'Donnell nie był przekonany, czy ma ochotę brnąć w tę dyskusję. Poza tym mógłby pogorszyć dobre stosunki Ordona Browna i swoje ze Swayne'em, a przyszli z zamiarem ich podtrzymania. Spojrzał na pozostałych. Amelia Brown, którą poznał podczas wizyt w domu prezesa, uchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Będąc żoną starającą się uczestniczyć we wszystkich poczynaniach męża, doskonale orientowała się w polityce szpitalnej.

Córka Swayne'a, Denise Quantz, siedziała pochylona i przysłuchiwała się rozmowie z uwagą. Podczas kolacji O'Donnell kilkakrotnie przyłapał się, że prawie bezwiednie kieruje wzrok w jej stronę. Jakoś trudno było mu uwierzyć, że to córka tego gburowatego, nieustępliwego człowieka, który siedział u szczytu stołu. Mając siedemdziesiąt osiem lat Eustace Swayne niezmiennie charakteryzował się surowością, której nauczyła go konkurencja w handlu detalicznym na wielką skalę. Niekiedy wykorzystywał przywilej podeszłego wieku, by rzucać gościom kąśliwe uwagi, choć O'Donnell podejrzewał, że w większości wypadków ich gospodarz po prostu szuka pretekstu do dyskusji. Stary nadal uwielbia walczyć, nawet jeśli jest to tylko walka na słowa, skonstatował O'Donnell. Podobnie było teraz; Swayne przesadzał w swoich opiniach na tematy medyczne, lecz niewykluczone, że robił to ze zwykłej przekory. Obserwując go ukradkiem O'Donnell uznał, że mogły się do tego przyczynić podagra i reumatyzm.

W przeciwieństwie do ojca, Denise Quantz była subtelną kobietą o łagodnym głosie. Miała zwyczaj tonować wypowiedzi ojca, dorzucając do nich słówko lub dwa. Jest piękna, pomyślał O'Donnell, reprezentuje dojrzałe piękno, które niekiedy spotyka się u czterdziestoletniej kobiety. Kent domyślał się, że często bywa w Burlington w odwiedzinach u Eustace'a Swayne'a. Prawdopodobnie opiekuje się ojcem; wiedział, że żona Swayne'a zmarła wiele lat temu. Jednak z rozmowy wynikało, że większość czasu spędza w Nowym Jorku. Parę razy wspomniała o dzieciach, ale nigdy o mężu. Doszedł do wniosku, że albo są rozwiedzeni, albo żyją w separacji. O'Donnell złapał się na tym, że porównuje Denise Quantz z Lucy Grainger. Żyją w dwóch odmiennych światach, pomyślał: Lucy ze swoim doświadczeniem zawodowym umie znaleźć się w środowisku lekarskim, a także szpitalnym, i porozumieć z kimś takim jak on na płaszczyźnie znanej obojgu; Denise Quantz to kobieta niepracująca, niezależna i bez wątplenia z pozycją towarzyską, a mimo to – taką miał pewność – potrafiąca uczynić z domu oazę pełną

ciepła i spokoju. O'Donnell zastanawiał się, jaka kobieta jest lepsza dla mężczyzny: związana z jego życiem zawodowym, czy wręcz przeciwnie, o odmiennych zainteresowaniach.

Rozmyślania Kenta przerwała Denise. Przechylając się w jego kierunku powiedziała: – Ale pan, doktorze, nie zamierza chyba poddać się tak łatwo. Proszę nie pozwolić, żeby ojcu uszło to płazem.

Staruszek zachnął się.

– Nie ma co uchodzić płazem. Sytuacja jest oczywista. Całe lata populacje były utrzymywane w ryzach dzięki równowadze naturalnej. Gdy wskaźnik urodzeń stawał się zbyt wysoki, przychodził głód i wszystko wracało do normy.

– Ale niektóre z tych przyczyn były czysto polityczne. Nie zawsze wchodziły w grę siły natury – wtrącił Orden Brown.

– Zgadzam się, że zdarzały się takie sytuacje – Eustace Swayne lekceważąco machnął ręką – ale w eliminowaniu istot słabych nie ma żadnych podtekstów politycznych.

– Ma pan na myśli słabych czy nieporadnych?

Świetnie, chcesz się kłócić, to ci pomogę, skonstatował O'Donnell.

– Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem: słabych – w głosie starego pojawił się ostrzejszy ton, lecz O'Donnell wyczuł, że sprzeczka sprawia mu przyjemność. – Podczas zarazy czy epidemii słabsi ginęli, a silni przeżywali. Inne schorzenia miały taki sam wpływ: dzięki temu była zachowywana pewna równowaga – równowaga w naturze. I właśnie dlatego silne jednostki trwały bez końca i one płodziły następne generacje.

– Naprawdę sądzisz, Eustace, że ludzkość jest aż tak zdegenerowana? – zapytała Amelia Brown, a O'Donnell dostrzegł, że uśmiech nie schodzi jej z ust. Wie, że Swayne lubi się przekomarzać, pomyślał.

– W tym kierunku zdążamy – stwierdził starzec – przynajmniej na Zachodzie. Utrzymujemy ludzi kalekich, słabych i chorowitych. Tolerujemy istoty, które są ciężarem dla społeczeństwa, ludzi nieproduktywnych: niedołęgów niezdolnych wnieść cokolwiek dla wspólnego dobra. Powiedzcie mi, jakim celom służą sanatoria lub domy dla nieuleczalnie chorych? Mówię wam, dzisiejsza medycyna podtrzymuje przy życiu jednostki, którym powinno się pozwolić umrzeć. Lecz my pomagamy im przetrwać, a potem pozwalamy się rozmnażać i przekazywać tę ich nieprzydatność dzieciom, te zaś z kolei swoim potomkom.

– Związek między chorobą a dziedzicznością nie został jeszcze do końca wyjaśniony –

przypomniał mu O'Donnell.

– Siły natury trzeba szukać zarówno w ciele, jak i umyśle – argumentował dalej Eustace Swayne. – Czy nie jest zgodne z prawdą twierdzenie, że dzieci dziedziczą po swoich rodzicach konstrukcję psychiczną, w tym także ich słabości?

– Nie zawsze – w tej chwili dyskusję toczyli tylko we dwóch – stary bogacz i O'Donnell. Reszta słuchała zagłębiwszy się wygodnie w fotelach.

– Ale dość często, prawda? O'Donnell roześmiał się.

– Oczywiście, istnieją na to pewne dowody. Swayne parsknął gniewem.

– Stąd tyle szpitali dla psychicznie chorych; a w nich tyle pacjentów. I ludzi wydeptujących ścieżki do psychiatrów.

– Może tak być również dlatego, że więcej wiemy na temat zdrowia psychicznego.

– Może tak być również dlatego, że pielęgnujemy gatunek, który jest słaby! słaby! słaby! – przedrzeźniał go Swayne.

Ostatnie słowa prawie wykrzyczał. Teraz chwycił go atak kaszlu. Lepiej niech się uspokoi, pomyślał O'Donnell, prawdopodobnie ma wysokie ciśnienie.

Staruszek spojrział, jakby usłyszał jego myśli. Pociągnął łyk brandy; a potem rzekł niemal z wrogością:

– Nie próbuj mnie oszczędzać, młody przyjacielu medyku. Potrafię odeprzeć każdy pański argument.

O'Donnell postanowił kontynuować dyskusję, lecz w tonie bardziej umiarkowanym. Odezwał się spokojnie: – Sądzę, że zapomniał pan o jednej rzeczy, panie Swayne. Mówi pan, że choroby i zarazy to czynniki niszczące naturę. Lecz wiele z nich nie spadło na nas w naturalny sposób. Często są wynikiem działań człowieka i warunków, jakie sam stworzył. Wadliwe systemy sanitarne, brak higieny, slumsy, zanieczyszczenie powietrza – to nie są czynniki naturalne, to wytwory ludzkiego postępowania.

– To jedynie fragment ewolucji, a ewolucja jest częścią przyrody. To także stanowi o równowadze.

Tego skurczybyka nie da się tak łatwo zbić z tropu, pomyślał O'Donnell z podziwem. Jednak znalazł lukę w rozumowaniu starego.

– Jeśli to prawda, to medycyna również wpływa na zachowanie równowagi...

– Jak pan to uzasadni? – wyrzucił z siebie Swayne.

– ... Ponieważ medycyna też jest częścią ewolucji – mimo mocnego postanowienia O'Donnell wyczuł napięcie w swoim głosie.

– Każda zmiana środowiska, wprowadzona przez człowieka, stwarza problemy, którym medycyna musi stawić czoła i starać się je rozwiązać. Ale nigdy nie rozwiążemy ich do końca. Medycyna zawsze pozostaje nieco w tyle; jak tylko uporamy się z jednym problemem, na horyzoncie pojawia się następny.

– Ale są to problemy dotyczące medycyny, a nie przyrody – w oczach Swayne'a pojawił się złośliwy błysk. – Gdyby naturę pozostawiono samą sobie, uporałaby się z tymi sprawami jeszcze przed ich pojawieniem się – poprzez naturalną selekcję najsłabszych jednostek.

– Myli się pan i zaraz powiem dlaczego – O'Donnell przestał się przejmować, jaki skutek odnoszą jego słowa. Czuł, że musi to powiedzieć sobie i innym. – Medycyna ma tylko jeden autentyczny problem do załatwienia. Zawsze był taki sam, i nigdy się nie zmieni. To kwestia podtrzymania ludzkiego gatunku – zawiesił głos. – A przetrwanie to najstarsze prawo natury.

– Brawo! – Amelia Brown impulsywnie przyklasnęła w dłonie. Lecz O'Donnell jeszcze nie skończył.

– Właśnie dlatego pokonaliśmy polio, panie Swayne, i dżumę, i ospę, i tyfus, i syfilis. Dlatego ciągle poszukujemy leku na raka i gruźlicę, i inne choroby. Po to istnieją placówki, o których pan wspominał – sanatoria i domy dla nieuleczalnie chorych. Dlatego leczymy ludzi – wszystkich, których potrafimy leczyć, słabych i silnych. Ponieważ cel jest jeden – przetrwanie. To sens medycyny, być może jedyny.

Przez moment spodziewał się ostrej kontry, takiej jak poprzednio. Lecz starszy pan milczał. W końcu spojrzał na córkę.

– Denise, nalej doktorowi O'Donnellowi jeszcze trochę brandy. Gdy podeszła z karafką. O'Donnell wyciągnął rękę z kieliszkiem.

Jej suknia lekko szeleściła, a kiedy pochyliła się nad nim, poczuł subtelny acz prowokujący zapach perfum. Pod wpływem nagłego impulsu nabrał ochoty, absurdalnej, chłopięcej wręcz, by wyciągnąć dłoń i dotknąć jej puszystych, ciemnych włosów.

Podeszła do ojca i napełniając jego kieliszek spytała: – Tato, jeśli naprawdę tak myślisz, to co robisz w zarządzie szpitala?

Eustace Swayne zachichotał.

– Jestem tam przede wszystkim dlatego, że Orden i paru innych liczą, że utrzymam w mocy

testament – spojrzał na Ordena Browna. – W każdym razie spodziewają się, że nie trzeba będzie długo czekać...

– Jesteś niesprawiedliwy dla przyjaciół, Eustace – rzekł Brown. W tonie jego głosu żart mieszał się z powagą.

– A ty jesteś kłamczuchem – staruszek znowu był w swoim żywiole. – Zadałaś pytanie, Denise, więc ci odpowiem: należę do zarządu szpitala, gdyż jestem człowiekiem praktycznym. Świat jest, jaki jest, i nie mogę go zmienić, mimo iż dostrzegam jego słabości. Ale ktoś taki jak ja może przynajmniej wnosić siłę równowagi. Och, wiem, co niektórzy z was myślą – że jestem zwyczajnym obstrukcjonistą...

Orden Brown wtrącił pośpiesznie: – Czy ktoś kiedykolwiek tak się wyraził?

– Nawet nie musicie – Swayne rzucił prezesowi na wpół rozbawione, na wpół kąśliwe spojrzenie. – Ale wszelkie działanie potrzebuje hamulca i ja nim jestem – hamulcem, siłą stabilizującą. Gdy umrę, kto wie, może ty i twoi przyjaciele przekonacie się, że ktoś taki był wam potrzebny...

– Głupstwa pleciesz, Eustace. Poza tym jesteś wobec siebie niesprawiedliwy – Orden Brown najwidoczniej zdecydował się mówić bez ogródek. – Żaden inny człowiek nie zrobił tyle dobrego dla Burlington co ty...

Wyglądało, że sędziwy magnat skurczył się w fotelu. Odezwał się zrzędliwym głosem: – Skąd ktoś może znać prawdziwe motywy własnego postępowania? – i podnosząc wzrok dodał: – Przypuszczam, że spodziewacie się ode mnie sporej dotacji na tę rozbudowę.

Orden Brown odparł bez zajknięcia: – Szczerze mówiąc, spodziewamy się, że jak zwykle okażesz się hojny.

Naraz Swayne odezwał się łagodnie: – Sądzę, że ćwierć miliona dolarów wystarczy...

O'Donnell usłyszał, jak Orden Brown raptownie wciągnął powietrze. Byłby to prawdziwie szczodry dar – o wiele większy niż przewidywali, nawet w najśmielszych marzeniach.

– Nie będę udawał, Eustace, że nie jestem szczerze wzruszony – stwierdził Brown.

– Niepotrzebnie – starszy pan urwał, bawiąc się nóżką kieliszka. – Jeszcze nie podjąłem decyzji, ale rozważam taką sumę. Powiem ci za tydzień lub dwa. – Niespodziewanie zwrócił się do O'Donnella:

– Gra pan w szachy?

– Ostatni raz grałem na studiach – Kent pokręcił głową.

– Doktor Pearson i ja często razem grywamy – patrzył prosto na O'Donnella. – Oczywiście, zna pan Joe Pearsona.

– Tak, bardzo dobrze.

– Znam doktora Pearsona od lat – powiedział Swayne. – Ze Szpitala Trzech Hrabstw, i nie tylko...

Mówił powoli, cedząc słowa. Czy kryło się w tym ostrzeżenie? Nie wiadomo. Swayne ciągnął dalej: – Moim zdaniem doktor Pearson to jeden z najlepszych lekarzy w szpitalu. Mam nadzieję, że jeszcze wiele lat będzie kierował swoim oddziałem. Szanuję jego umiejętności i opinie – bez zastrzeżeń.

A więc o to chodzi, pomyślał O'Donnell, Swayne wyraża się jasno i otwarcie: prezes zarządu szpitala i prezes rady medycznej otrzymali ultimatum: jeśli chcecie dostać moje ćwierć miliona dolarów, zabierzcie łapy od Joe Pearsona!

Jakiś czas później Orden Brown, Amelia i O'Donnell, siedząc w trójkę na przednim fotelu lincolna, należącego do Brownów, jechali w drogę powrotną przez miasto. W ciągu pierwszych minut milczeli, po czym pierwsza odezwała się Amelia: – Naprawdę wierzycie w te ćwierć miliona dolarów?

– Chyba może dać tyle – odparł jej mąż.

– Ale odczytałeś podtekst? – zapytał O'Donnell.

– Tak – odparł cicho Brown, nie podtrzymując tematu. Dzięki ci za to, pomyślał O'Donnell. Wiedział, że to jego kłopot, nie Prezesa.

Wysadzili go przed wejściem do hotelu, gdzie mieszkał. Gdy się pożegnali, Amelia dodała: – Och, a propos, Kent, Denise żyje w separacji, ale nie ma rozwodu. Sądzę, że jest z tym jakiś problem, chociaż nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Ma dwoje dzieci w szkole średniej i trzydzieści dziewięć lat.

– Po co mu to mówisz? – zapytał Orden Brown. Amelia uśmiechnęła się.

– Ponieważ chciał wiedzieć – dotknęła ramienia męża. – Nie mógłbyś być kobietą, kochanie. Nawet gdybyś operacyjnie zmienił płeć.

Patrząc na odjeżdżający kabriolet. O'Donnell zastanawiał się, kiedy Amelia się domyśliła. Być może usłyszała podczas pożegnania słowa Denise. Powiedział wówczas uprzejmie, że ma nadzieję jeszcze ją spotkać, a ona odparła: „Mieszkam z dziećmi w Nowym Jorku. Może zadzwoni pan do mnie podczas następnego pobytu?” W tej chwili O'Donnell rozważał, czy

jednak nie powinien wziąć udziału w kongresie chirurgów, który odbędzie się w Nowym Jorku w przyszłym miesiącu, a z którego parę dni temu zrezygnował.

Raptem przypomniał sobie Lucy Grainger i przez chwilę czuł się wobec niej nielojalny. Już był przy wejściu, gdy jego myśli przerwał czyjś głos.

– Dobry wieczór, doktorze O'Donnell.

Obejrzał się rozpoznając jednego z chirurgów rezydentów, Seddonsa. Był w towarzystwie ładnej brunetki, której twarz wydała mu się znajoma. Prawdopodobnie studentka, skonstatował, przynajmniej wiekiem pasuje. Uśmiechnął się do obojga i odpowiedział: „Do widzenia”, po czym używając własnego klucza wszedł przez szklane drzwi i skierował się ku windzie.

– Wyglądał na zmartwionego – zauważyła Vivian.

– Wątpię, moja ty bystrooka – pogodnie odparł Seddons. – Gdy zajdzie się tak wysoko, większość zmartwień ma się z głowy.

Sztuka się skończyła i wracali do szpitala. Przedstawienie było udane – hałaśliwy, rubaszny musical; obydwójce śmiali się do rozpuku, trzymając się za ręce. Później Mike położył rękę na oparciu fotela Vivian; parę razy dłoń osuwała się, a wtedy jego palce gładziły jej ramiona. Dziewczyna nie protestowała.

Podczas kolacji przed przedstawieniem rozmawiali o sobie. Vivian wypytywała Mike'a o plany dotyczące specjalizacji chirurgicznej, a on chciał wiedzieć, dlaczego studiuje pielęgniarstwo.

– Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić, Mike – odparła. – Mogę powiedzieć tylko tyle, że jak daleko sięgam pamięcią, zawsze chciałam być pielęgniarką.

– Przyznała się, że początkowo rodzicom nie podobał się ten pomysł, lecz widząc jak jej na tym zależy, w końcu ulegli.

– Przypuszczam, że chciałam dać coś z siebie, a pielęgniarstwo najbardziej do mnie przemawiało.

– Nie zmieniałaś jeszcze zdania?

– Nie. Tylko czasami, gdy jest się zmęczonym, gdy w szpitalu widziało się tak dużo rzeczy i wraca myślami do domu – człowiek zastanawia się, czy warto było, czy nie ma jakichś łatwiejszych zawodów; ale to chyba zdarza się każdemu. Pomijając takie sytuacje ciągle trwam przy swoim postanowieniu – uśmiechnęła się i dodała: – Jestem ogromnie konsekwentna, Mike, i uparłam się, że zostanę pielęgniarką.

Tak, pomyślał, z pewnością jesteś konsekwentna; mogę w to uwierzyć. Obserwując ją ukradkiem, wyczuwał jej wewnętrzną siłę – twardość charakteru ukrytą pod maską łagodnej kobiecości. I znów, jak dzień czy dwa temu, Mike Seddons uzmysłowił sobie, że ta dziewczyna ciekawi go coraz bardziej, lecz natychmiast coś ponownie go ostrzegło: żadnych emocji! Pamiętaj, wszelkie uczucia mają podłoże biologiczne!

Zbliżała się północ, Vivian nie musiała się śpieszyć, gdyż wpisała się do książki powrotów. Niektóre starsze pielęgniarki, które własne praktyki odbywały w spartańskim reżymie, twierdziły, że dzisiejsze studentki mają za dużo swobody. Ale tak naprawdę nie była ona nadużywana.

Mike dotknął jej ramienia.

– Chodźmy przez park.

– No, tak, stary chwyt, już o nim słyszałam – roześmiała się. Jednak pozwoliła prowadzić się do bramy i dalej przez park. W ciemności dostrzegła zarysy topoli po obu stronach alejki, pod stopami wyczuwała miękkość trawy.

– Mam całą kolekcję takich chwytów, to jedna z moich specjalności – sięgnął po jej rękę. – Chcesz usłyszeć o innych?

– Jakich na przykład? – mimo wrodzonej pewności siebie jej głos lekko zadrżał.

– Jak ten... – Mike zatrzymał się, chwycił ją za ramiona, odwrócił do siebie i pocałował w usta.

Serce Vivian zabiło żywiej, lecz nie na tyle, by rozsądek stracił panowanie nad sytuacją. Powinna z tym skończyć czy pozwolić na jeszcze trochę? Wiedziała dobrze, że jeśli teraz nie podejmie decyzji, potem może być dużo trudniej.

Lubiła Mike'a Seddonsa i była przekonana, że mogłaby go polubić jeszcze bardziej. Był atrakcyjny fizycznie, a oboje młodzi. Poczula przyływ pożądania. Znowu ją pocałował, a ona odwzajemniła pocałunek. Koniuszek języka wsunął się łagodnie w jej usta i pod wpływem tego kontaktu doznała cudownej rozkoszy. Mike objął ją mocniej, a wtedy przez cienką letnią sukienkę poczuła coraz mocniejszy napór jego ud. Dłonie Mike'a pieściły jej plecy. Prawa ręka powędrowała niżej, najpierw delikatnie gładziła tył sukienki, a później coraz gwałtowniej, z każdą pieszczotą przyciskała ją mocniej do siebie. Uświadomiła sobie napierające na nią zgrubienie. Poruszało się upajająco, rozkosznie. Zdawała sobie sprawę, że jeśli zamierza to przerwać, nadszedł ostatni moment. Jeszcze trochę, jeszcze troszkę, pomyślała.

Nagle wydało jej się, że znalazła się jakby w próżni, wolna od otaczającego ją świata.

Zamknęła oczy i delectowała się tymi sekundami ciepła i czułości; w ostatnich miesiącach nie było ich zbyt dużo. Odkąd trafiła do Trzech Hrabstw, zazwyczaj musiała się kontrolować i panować nad sobą, dławiać emocje i powstrzymując łzy. Gdy jest się młodym, niedoświadczonym i nieco spanikowanym, bywa to niełatwe. Nazbierało się tyle doświadczeń – dramatyczne wstrząsy na oddziałowych dyżurach, ból, choroby, śmierć, sekcja zwłok – i żadnego ujścia, które pomogłoby rozładować napięcie. Pielęgniarka, czy nawet jeszcze studentka, musiała patrzeć na tak wiele cierpień i dawać z siebie nie mniej dowodów troski i współczucia. Czy to coś złego korzystać z krótkiej chwili wzruszenia? Przez moment czuła tę samą ulgę, jak lata temu, gdy będąc małą dziewczynką znalazła się w ramionach matki. Mikę zwolnił trochę uścisk i odsunął ją od siebie. Powiedział: – Jesteś piękna.

Instynktownie ukryła twarz na jego ramieniu. Wtedy on położył dłoń pod jej brodą i ich usta znowu się spotkały. Jego ręka przesunęła się po plecach, a potem łagodnie spoczęła na piersiach. Każdą częścią ciała pragnęła kochać i być kochaną, do szaleństwa, bez granic.

Teraz jego ręka dotykała dekoltu. Rozpinana sukienka miała u góry haftkę, z którą Mikę właśnie się szamotoła. Vivian broniła się.– Nie, Mikę! Proszę cię, nie! – wydusiła, lecz bez przekonania. Mocno opłotła go rękami. Rozpiął jej sukienkę, a wówczas uzmysłowiła sobie, że jego dłoń obejmuje jej młodzieńczą, miękką pierś. Gdy delikatnie ujął palcami sutek, jej ciałem wstrząsnął dreszcz ekstazy. W tej chwili było już za późno. Pragnęła go, rozpaczliwie pożądała. Z ustami przy jego uchu wyszeptała: Tak, tak!

– Vivian, kochanie... – był także podniecony, poznała to po jego urywanym szepcie.

Niespodziewanie odezwało się w niej poczucie kobiecego rozsądku.

– Nie tutaj, Mikę. Tu są ludzie.

– Chodźmy między drzewa – wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Drżała z pożądania, niesamowicie ciekawiło ją, jak to będzie. Odrzucała myśl o konsekwencjach, wydawały się mało istotne. Zresztą Mike jest lekarzem, potrafi być ostrożny.

Dotarli do maleńkiej polanki, otoczonej drzewami i krzakami. Mikę znowu ją pocałował, a ona namiętnie oddała ten pocałunek; jej język zmagił się z jego językiem. Więc tak to jest, pomyślała. Od czasów szkolnych Vivian nie była już dziewicą, a na pierwszym roku zdarzyło jej się to jeszcze raz, lecz żadne z tych doświadczeń nie dało jej satysfakcji. Wiedziała, że tym razem będzie inaczej.

– Chodź, Mikę, proszę cię chodź – miała świadomość, że jej własne podniecenie udzieliło się

jemu.

– Tutaj, kochanie – powiedział, po czym skierowali się w najdalszy zakątek polanki.

Nagle poczuła przeszywający ból. Z początku był tak intensywny, że nie była w stanie go umiejscowić. W końcu zorientowała się, że chodzi o kolano. Mimowolnie krzyknęła.

– Co ci jest, Vivian? Co ci jest?

Na jego twarzy zobaczyła wyraz zaskoczenia, nie wiedział, co ma o tym sądzić. Prawdopodobnie uważa, że to jakaś sztuczka, pomyślała. Czasami dziewczyny tak postępują, by wyjść cało z opresji.

Ból nieco zelżał, lecz nie ustąpił całkowicie, wracając falami.

– Mikę – rzekła – to chyba kolano. – Czy można tu gdzieś usiąść?

Ponownie skurczyła się z bólu.

– Nie musisz udawać, Vivian. Jeśli chcesz wrócić do szpitala, to powiedz, odprowadzę cię.

– Mikę, uwierz mi, proszę... – chwyciła go za rękę. – To naprawdę kolano. Okropnie mnie boli. – Muszę usiąść.

– Chodź tędy...

Była przekonana, że jej nie wierzy, a mimo to poprowadził w drogę Powrotną między drzewami. Szli w kierunku pobliskiej ławki. – Przepraszam, nie zrobiłam tego specjalnie – rzekła siadając.

– Naprawdę? – spytał z powątpiewaniem.

Dotknęła jego dłoni.

– Mikę, tam... ja chciałam... tak samo jak ty. A potem nagle to.. – ponownie chwycił ją ból.

– Przepraszam, Vivian, myślałem...

– Wiem, co myślałeś, ale to nie było tak. Uwierz mi...

– W porządku. Powiedz, co się stało.

W tej chwili był lekarzem. Tam, w gąszczu drzew, zapomniał o swoim zawodzie.

– Kolano... Gwałtowny... Ostry ból.

– Pokaż, obejrzę... – przykucnął naprzeciw niej. – Które? Uniosła spódnice i pokazała mu lewe kolano. Dotykał go ostrożnie, zręcznie przebierając palcami. W tym momencie Mike'owi Seddonsowi wywietrzało z głowy, że to dziewczyna, z którą parę minut temu miał zamiar się kochać. Postępował z zawodową rutyną, analitycznie. Tak jak go nauczono, rozważał w myślach wszelkie możliwości. Nylonowa pończocha utrudniała badanie.

– Zsuń pończochę, Vivian.

Gdy zrobiła, o co prosił, jego palce znowu skupiły się na kolanie. Patrząc na niego pomyślała: jest dobry, będzie świetnym lekarzem; ludzie przyjdą do niego po pomoc, a on zrobi wszystko, co w jego mocy. Zaczęła się zastanawiać, jakby to było – on i ona zawsze razem. Jako pielęgniarka mogłaby być bardzo pomocna, a ponadto lepiej by go rozumiała. Ale zaraz się zreflektowała: to śmieszne, prawie się nie znamy. Niespodziewanie ból powrócił i skrzywiła się.

– Czy kiedyś zdarzyło ci się coś takiego? Zaskoczyła ją absurdalność sytuacji, więc roześmiała się.

– Co ci jest, Vivian? – zapytał zdumiony.

– Właśnie sobie pomyślałam, że minutę czy dwie temu... a teraz zachowujesz się jak lekarz w swoim gabinecie.

– Posłuchaj, maleńka – rzekł poważnie. – Czy kiedyś zdarzyło ci się coś takiego?

– Tylko raz, ale tak nie bolało...

– Kiedy?

– Chyba miesiąc temu – odparła po namyśle.

– Byłaś u lekarza? – w tej chwili był już tylko reprezentantem swojego zawodu.

– Nie, a powinnam?

– Może – odpowiedział wymijająco, i dodał: – W każdym razie jutro pójdziesz... Sądzę, że doktor Grainger będzie najbardziej pomocna.

– Mikę, czy to coś poważnego? – ogarnęła ją trwoga.

– Prawdopodobnie nie – uspokoił ją. – Ale wyczuwam mały guzek, którego nie powinno być.

– Lucy Grainger nam to wyjaśni. Porozmawiam z nią rano. A teraz musimy odstawić cię do domu.

Wcześniejszy nastrój prysł. Nie można było doń wrócić, w każdym razie nie dzisiaj. Obydwoje zdawali sobie z tego sprawę.

Mikę pomógł jej wstać. Gdy objął ją ramieniem, ni stąd ni zowąd owładnęła nim głęboka potrzeba udzielenia jej pomocy. Zapytał: – Będziesz mogła iść?

– Tak, ból już minął.

– Dojdziemy do bramy i tam złapiemy taksówkę – rzekł i chcąc ją rozweselić dodał: – Mój pacjent to straszliwy sknera. Nie dał na dorożkę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Podaj szczegóły – warknął na McNeila zgięty wpół nad mikroskopem doktor Joseph Pearson.

Rezydent zajął do brulionu.

– Mężczyzna czterdziestoletni przyjęty na operację wyrostka. McNeil siedział za biurkiem w gabinecie patologii naprzeciw Pearsona. Ordynator usunął spod mikroskopu oglądany właśnie preparat i włożył inny.

– Jakie są wyniki badań makroskopowych? – zapytał.

McNeil, który po przesłaniu wyrostka z sali operacyjnej, przeprowadzał badania makroskopowe, odparł: – Moim zdaniem, wyglądał zupełnie normalnie...

Hm... – Pearson odwrócił preparat. – Chwileczkę, coś tu jest... – stwierdził. – Po chwili wyjął drugi preparat i wstawił kolejny. – Jest... ostre zapalenie wyrostka. Od tego się zaczęło. Kto przeprowadzał operację?

– Doktor Bartlett.

– Dobrze to zrobił, we wczesnym stadium – Pearson skinął głową. – Popatrz... – odsunął się od mikroskopu.

Pracując wspólnie z lekarzem rezydentem, jak nakazywał program szkoleniowy szpitala, Pearson usiłował nadrobić zaległości w badaniach wycinków operacyjnych. Preparaty, które właśnie analizowali, pochodziły z wyrostka robaczkowego, usuniętego parę tygodni temu. Pacjenta już dawno wypisano, więc badanie miało tylko potwierdzić bądź podważyć diagnozę chirurga. W tej kwestii doktor Bartlett miał absolutną rację i, co trzeba przyznać, rozpoznał chorobę we wczesnym stadium, ratując pacjenta przed pogorszeniem się stanu zdrowia.

– Następny... – Pearson znów przysunął się do mikroskopu, McNeil zaś wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

Rezydent podsunął preparaty, z których Pearson wybrał kolejny; McNeil w tym czasie przeglądał notatki dotyczące tego przypadku. Do pokoju wsunął się cichutko Bannister. Spojrzał na obu lekarzy, minął ich i zajął się układaniem papierów w szafce.

– O, tu jest aktualna sprawa – rzekł McNeil. – Dostaliśmy to pięć dni temu. Czekają na nasze wyniki.

– Dobrze, daj najpierw coś takiego – stwierdził Pearson – bo na górze znowu będą dostawać spazmów.

McNeil już miał się odezwać, że kilka tygodni wcześniej sam proponował takie wyjście, lecz Pearson upierał się, żeby badać wszystkie wycinki w kolejności napływania na oddział. Jednak pohamował się. Po co mi to? pomyślał i zamiast tego rzekł: – Kobieta, lat pięćdziesiąt sześć. Wycinek skóry wygląda jak znamię. Pytanie brzmi: czy to czerniak złośliwy?

Pearson położył pierwszy preparat i obrócił go, po czym przysunął najmocniejszy obiektyw i ustawił dwuoczny okular.

– Być może.

Wziął drugi preparat, później jeszcze dwa. Odsunął się od mikroskopu, oparł w krzesło i siedział jakiś czas w zamyśleniu.

– Ale z drugiej strony może to być znamię błękitne. Popatrz sam i powiedz, co o tym sądzisz...– rzekł po chwili.

McNeil podszedł do mikroskopu. Wiedział, że od rozpoznania wiele zależy. Czerniak jest szczególnie niebezpiecznym nowotworem złośliwym. Jego tkanki gwałtownie rozrastają się w organizmie. Jeśli na podstawie małego wycinka postawią taką diagnozę, dla pacjentki będzie to oznaczało natychmiastową operację i usunięcie znacznej części tkanki. Natomiast znamię błękitne nie stwarza jakiegokolwiek zagrożenia. Może pozostać w ciele do końca życia kobiety, nie czyniąc żadnej szkody.

McNeil wiedział z własnego doświadczenia, że czerniak występuje rzadko, lecz znamię błękitne jeszcze rzadziej. Z rachunku wynikałoby więc, że to nowotwór złośliwy, ale przecież nie jest to matematyka, lecz czysta patologia.

Jak go uczono, McNeil porównał w myślach cechy charakterystyczne obu nowotworów. Były porażająco podobne. Obydwa są częściowo zbliznowaciałe, częściowo komórkowe, z dużą zawartością Prnentu. W obu struktura komórkowa jest wyraźnie zaznaczona. Lecz do głowy wbijano mu też, że lekarz powinien postępować uczciwie. Obejrzawszy więc wszystkie preparaty powiedział do Pearsona: – Nie wiem... – i dodał: – A co z wcześniejszymi przypadkami? Może udałoby się do nich dotrzeć i porównać?

– Zajęłoby to nam cały rok. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem do czynienia ze znamieniem błękitnym – Pearson zmarszczył brwi i westchnął: – Któregoś dnia musimy założyć kartotekę. W razie wątpliwości, zawsze będzie można do niej zajrzeć i zestawić wszystkie

przypadki.

– Mówi pan o tym od pięciu lat – usłyszał za plecami oschły głos Bannistera i odwrócił się.

– A co ty tu robisz?

– Układam papiery – odparł lakonicznie laborant. – Robię coś, czym powinni zajmować się urzędnicy, gdybyśmy takich mieli do pomocy...

Wtedy byłoby dużo prościej, pomyślał McNeil. Sam zdawał sobie sprawę, że oddział pilnie potrzebuje pracowników administracyjnych, gdyż tutejszy sposób rejestracji próbek od dawna jest przestarzały. Wzmianka o kartotece przypomniała mu też o rażących brakach w procedurze administracyjnej. Niewiele było szanujących się szpitali, gdzie by na oddziałach patologii nie dokonano jeszcze takiej reorganizacji. Niektórzy nazywali to katalogiem chorych narządów; jak zwał, tak zwał, ale ów system miał pomagać w rozstrzygnięciu problemu, przed jakim właśnie stanęli.

Pearson ponownie wrócił do preparatów. Wzorem wielu patologów, mrucał pod nosem na znak, że pewne cechy eliminuje, inne zaś potwierdza. McNeil usłyszał: „jest trochę za mały... brak krwotoku... nie występuje martwica tkanki... negatywny, lecz trudno o wyraźne wskazanie... tak, to nie wystarczy”. Pearson wyprostował się, zabrał ostatnią próbkę spod mikroskopu i zamknął teczkę z preparatami. Nakazując gestem McNeilowi, że ma notować, stwierdził: – Oto diagnoza: znamię błękitne.

Z przyzwolenia patologii pacjentce zawieszono wyrok.

Zgodnie z metodyką, i z korzyścią dla McNeila, Pearson ponownie uzasadnił motywy diagnozy. Wręczając mu teczkę z próbkami dodał:

– Lepiej sobie to przestudiuj. Takich wycinków nie będziesz zbyt często oglądał...

McNeil nie wątpił w słuszność diagnozy starego. W tej dziedzinie lata doświadczeń zrobiły swoje i w sprawach anatomii patologicznej szanował sądy Pearsona. Ale gdy cię zabraknie, pomyślał patrząc na staruszka, trzeba będzie niezwłocznie założyć kartotekę.

Zbadali jeszcze dwa przypadki, obydwie mało skomplikowane, a później Pearson wsunął pod mikroskop próbkę z następnej serii.

Spojrzał przez okular, wyprostował się i krzyknął do McNeila: Zawołaj Bannistera!

– Jestem tutaj – rozległ się spokojny głos spod szafki z dokumentami Pearson odwrócił się gwałtownie.

– Popatrz na to! – wrzeszczał. – Ile razy mam mówić, jak się przygotowuje preparaty!?! Co

się dzieje z technikami na histologii? Są głusi czy kompletnie zdurnieli?

McNeil był już kiedyś świadkiem takiego napadu złości. Siedział oparty w krześle i obserwował Bannistera.

– O co chodzi? – zapytał technik.

– Pokażę ci, o co chodzi – Pearson wyrwał preparat spod mikroskopu i rzucił na stół. – Jak mogę postawić diagnozę, dysponując takim wycinkiem?

Bannister wziął szkiełko i obejrzał pod światło.

– Za gruby, co?

– Jasne, że za gruby – Pearson wyciągnął następny preparat z tej samej serii. – Popatrz na ten... Gdybym miał kromkę chleba, mógłbym zeszkrobać to mięso i zrobić kanapkę.

Bannister uśmiechnął się.

– Sprawdź mikrotom. Mieliśmy z nim trochę kłopotu... Wyciągnął rękę w kierunku teczki z preparatami.

– Mam je zabrać?

– Nie. Muszę sobie poradzić z tym co mam – starszemu panu złość już minęła, teraz tylko zrzędził. – Ale zwróć uwagę na histologię...

Bannister, który w odpowiedzi sam zaczął biadolić, wymamrotał pod nosem kierując się do wyjścia:

– Może gdybym nie miał tyle...

Pearson wrzasnął za nim: – Dobra, dobra, słyszałem już tę płytę... Gdy Bannister był przy drzwiach, usłyszeli delikatne pukanie i pojawił się Charles Dornberger.

– Mogę wejść, Joe? – zapytał.

– Oczywiście – uśmiechnął się Pearson. – Nawet masz szansę czegoś się nauczyć, Charlie.

Położnik skinął szarmancko głową w stronę McNeila i pogodnie odezwał się do Pearsona: – Umówiłem się z tobą na dzisiaj. Zapomniałeś?

– Tak, zapomniałem Pearson odsunął teczkę i zapytał rezydenta: – Ile jeszcze tego mamy?

McNeil przeliczył pozostałe teczki.

– Osiem.

– Skończymy później.

Rezydent zaczął zbierać wypełnione kartki.

Dornberger wyjął fajkę i zabrał się do jej nabijania. Rozejrzawszy się po tym

przygnębiającym pomieszczeniu, wzdrygnął się i powiedział: – Tu chyba jest wilgoć. Ilekroć przychodzę, zawsze mi się wydaje, że się przeziębę.

Pearson zachichotał.

– Codziennie rano rozpylamy zarazki grypy, żeby odstraszyć gości. – Spojrzał, jak McNeil przechodzi przez pokój i znika. – Co się stało? – zapytał.

Dornberger nie tracił czasu.

– Przychodzę w charakterze posłańca i mam przykazane, żeby zrobić to w miarę dyplomatycznie – włożył fajkę do ust i odstawił woreczek z tytoniem. Pearson podniósł wzrok.

– O co chodzi? Jeszcze jakieś kłopoty?

Ich spojrzenia spotkały się. Dornberger odezwał się spokojnym głosem: – To zależy... – a po chwili dodał: – Ale zanoszą się, że będziesz miał asystenta.

Dornberger spodziewał się wybuchu złości, lecz Pearson był dziwnie opanowany.

– Niezależnie od tego czy chcę, czy nie, prawda?

– Tak, Joe.

Dornberger szedł na całość; nie było sensu niczego ukrywać. Od ostatniego zebrania dużo nad tym rozmyślał.

Przypuszczam, że stoi za tym O'Donnell – odezwał się Pearson z goryczą, lecz bez emocji. Jak zwykle, trudno było przewidzieć jego zachowanie.

– Częściowo, ale nie tylko on... – odpowiedział Dornberger.

– Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? – tym pytaniem znowu go zaskoczył. Po prostu zwrócił się jak przyjaciel do przyjaciela.

Dornberger odłożył wygasłą fajkę na popielniczkę. Cieszę się, że tak to przyjął; pomogę mu znaleźć się w nowej sytuacji, pomyślał i głośno stwierdził: – Sądzę, że nie masz wyboru, Joe. Są poważne zaległości w badaniach kooperacyjnych, prawda? I w paru innych rzeczach?

Przez moment wydawało mu się, że posunął się za daleko i znalazł się na bardzo drażliwym gruncie. Widział, jak Pearson zbiera się w sobie, i czekał, że lada moment wybuchnie. Lecz nic takiego nie nastąpiło; wręcz przeciwnie, bardziej stanowczo niż przed chwilą, Pearson powiedział: – Rzeczywiście, przyznaję – parę spraw trzeba by wyprowadzić na prostą. Ale ze wszystkim mogę sobie poradzić sam, pod warunkiem, że będę miał na to czas.

Pogodził się, wywnioskował w duchu Dornberger, teraz tylko marudzi. I rzekł pogodnie: – Cóż, może przy drugim patologu będziesz miał dość czasu – obojętnie wyciągnął z kieszeni

kartkę, którą dał mu dyrektor administracyjny.

– Co to jest? – zapytał Pearson.

– Jeszcze nic konkretnego nie postanowiono, Joe. To nazwisko wymienił Harry Tomaselli – chodzi chyba o jakiegoś młodego człowieka, który chce do nas przyjść.

Pearson wziął kartkę.

– Nie tracą czasu – mruknął.

Nasz dyrektor administracyjny jest człowiekiem czynu – odparł rzeczowo Dornberger.

Pearson przebiegł wzrokiem pismo i przeczytał na głos: – Doktor David Coleman – a po krótkiej przerwie dodał z goryczą, rozczarowaniem i zazdrością: – Trzydzieści dwa lata.

Było dwadzieścia po dwunastej i w stołówce szpitalnej panował tłok nie do opisania. O tej porze jadła większość lekarzy, pielęgniarek i szeregowych pracowników, więc po tace zaczęła się ustawiać kolejka.

Pani Straughan jak zwykle czuwała nad całością, starając się dopilnować, aby natychmiast po wydaniu pierwszej partii posiłku dostarczaną następną i kolejka mogła sprawnie się przesuwać. Dzisiaj można było zamówić gulasz po irlandzku, kotlety baranie i smażonego halibuta. Dietetyczka zauważyła, że kotlety baranie nie cieszą się wzięciem, postanowiła więc je wypróbować i sprawdzić, co jest tego powodem. Może za mało soczyste mięso? Użytkownicy stołówki przekazywali takie informacje jedni drugim. Pani Straughan dostrzegła jakąś plamę na talerzu, znajdującym się na szczycie sterty nakryć. Podeszła i pośpiesznie usunęła talerz; rzeczywiście, widać było na nim ślady poprzedniego posiłku. Znowu te zmywarki, pomyślała. Bezustannie przypominała o konieczności wymiany na nowe. Postanowiła, że wkrótce ponownie zacznie nękać dyrektora administracyjnego.

Zza stołów zarezerwowanych dla personelu medycznego dobiegał głośny śmiech. W grupie prym wodził radiolog, doktor Ralph Bell.

Gil Bartlett, który odszedł od lady z tacą, zbliżył się do stołu i wyciągnął rękę.

– Moje gratulacje, Ding Dong – rzekł. – Właśnie się dowiedziałem...

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał Lewis Toynbee, internista, przystając ze swoją tacą. Gdy rozpromieniony Bell podał cygaro Bartlettowi, Toynbee wykrzyknął: – Mój Boże, czyżby znowu?!

– Oczywiście, że tak. A dlaczego by nie? – radiolog wyciągnął jeszcze jedno cygaro. – Dołącz do nas, Lewis... Tak, mamy już ośmiu Bellów.

– Ośmiu! Kiedy to się stało?!

– Dzisiaj rano – odparł pogodnie Bell. – Jeszcze jeden chłopak do drużyny piłkarskiej.

– Nie podchodź do tego aż tak krytycznie, Lewis. Facet stara się, jak może. W końcu minęło zaledwie osiem lat od czasu, gdy się ożenił – wtrącił Bill Rufus.

Lewis Toynbee podał rękę Bellowi.

– Nie ściskaj za mocno, Ding Dong. Boję się, że przeniesiesz na mnie tę swoją płodność.

– Nie jestem zazdrosny – odparł dobrodusznie Bill. Wiele razy odpierał podobne przytyki.

– Jak się czuje żona? – zapytała Lucy Grainger.

– Świetnie, dziękuję.

– Ciekaw jestem, co to znaczy być maniakiem seksualnym?

– Pytanie zadał z drugiego końca stołu Harvey Chandler, szef oddziału wewnętrznego.

– Nie jestem maniakiem seksualnym. W moim domu stosunki seksualne odbywa się raz do roku. Po prostu zawsze trafiam w dziesiątkę.

Rozległ się ogólny śmiech, do którego dołączyła Lucy. Później rzekła: – Ralph, przyślę ci po południu pacjentkę. To jedna z twoich studentek – Vivian Loburton.

Wesoły gwar ucichł.

– Co mam zrobić?

– Chcę, żebyś wykonał zdjęcia lewego kolana. Jest tam jakaś narośl, która mi się nie podoba.

Po powrocie do gabinetu Charles Dornberger zadzwonił do Kenta O'Donnella, by zdać relację ze spotkania z Pearsonem. Pod koniec rozmowy powiedział: – Wspomniałem mu o tym lekarzu, z którym korespondujecie.

– Jak to przyjął?

– Nie powiem, żeby skakał z radości – odparł Dornberger – lecz myślę, że jeśli chcecie, by ten... jak mu tam... Coleman przyjechał, Joe nie będzie robił trudności. Uważam jednak, że powinieneś go informować o wszystkich swoich poczynaniach.

– Możesz być tego pewien – odparł O'Donnell. – Dziękuję ci, Charlie. Bardzo dziękuję, Teraz Dornberger wybrał kolejny numer, tym razem do pani Alexander, która dzwoniła rano i zostawiła wiadomość. Przedtem przejrzał kartę zdrowia i przypomniał sobie, że to żona technologa z oddziału patologii, polecona przez Joe Pearsona. Od pani Alexander dowiedział się, że właśnie przyjechała, umówili się zatem na wizytę w przyszłym tygodniu w jego miejskim gabinecie.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy pani Alexander rozmawiała z Dombergerem, jej mąż dostawał pierwszą burę od Joe Pearsona. Doszło do tego w następujących okolicznościach:

Po porannym napadzie gniewu u Pearsona z powodu złej jakości preparatów z wycinków operacyjnych, Bannister wrócił do laboratorium serologicznego, gdzie zatrudniony był John Alexander, i opowiedział, co zaszło. Bannister nie posiadał się ze złości i zaraz wyładował ją na dwóch pracownikach i pomocniku z laboratorium histologicznego. Alexander słyszał wszystko przez uchylone drzwi.

Zdawał sobie sprawę, że nie można było winić za wszystko techników histologów. Choć w szpitalu pracował od niedawna, zdążył się już zorientować, gdzie leży problem, więc zagadnął później Bannistera: – Wiesz, Carl, uważam, że to nie tylko ich wina. Mają za dużo pracy.

Bannister zareagował kwaśno: – Wszyscy jesteśmy przepracowani... – i dodał złośliwie: – Skoro wiesz aż tyle na ten temat, to może byś trochę za nich popracował.

Alexander nie dał się sprowokować.

– Raczej nie. Ale myślę, że szybciej by im szło, gdyby dysponowali urządzeniem do przygotowywania tkanek, zamiast robić to w rękach – to staroświecki sposób.

– Nie zastanawiaj się nad tym, chłopie. To nie twoja sprawa – Bannister użył protekcyjnego tonu. – Poza tym wszystko, co tutaj kojarzy się z wydawaniem forsy, nie ma szans...

Alexander nie spierał się, postanowił jednak, że przy najbliższej okazji zwróci się z tą sprawą do doktora Pearsona. – Po południu musiał pójść do jego gabinetu, by podpisać sprawowania z badań. Patolog, wyraźnie rozdrażniony, przeglądał akurat stos korespondencji. Na widok Alexandra Pearson gestem wskazał mu miejsce, gdzie ma położyć papiery, ale nie oderwał się od czytania, Alexander nie ruszał się przez chwilę, więc stary warknął: – O co chodzi? O co chodzi?

– Doktorze Pearson, zastanawiałem się właśnie, czy mogę coś zaproponować.

– Teraz?

Ktoś z większym doświadczeniem zorientowałby się, że ów ton oznacza ni mniej ni więcej tylko: „Daj mi spokój”.

– Tak, panie doktorze, teraz – odparł Alexander. Pearson spytał z rezygnacją: – O co chodzi?

Alexander zaczął trochę nerwowo: – Chodzi o przyspieszenie w sporządzaniu raportów pooperacyjnych, doktorze.

Słyszając o raportach, Pearson odłożył jakiś list i spojrzał ostro na Alexandra, który

kontynuował swoją myśl: – Zastanawiałem się, czy myślał pan kiedyś o zakupieniu maszyny przygotowującej tkankę.

– A cóż ty możesz wiedzieć o takich maszynach? – w głosie Pearsona pobrzmiwała złowróżbna nuta. – Ponadto wydawało mi się że skierowaliśmy cię na serologię.

– Mam za sobą pełny kurs histologii, panie doktorze – przypomniał mu Alexander.

Pearson nie zareagował, więc po przerwie Alexander ciągnął dalej: – Korzystałem z procesora tkanki, to doskonałe urządzenie, panie doktorze. Przygotowując preparaty

zaoszczędzilibyśmy co najmniej jeden dzień. Zamiast obrabiać tkankę ręcznie we wszystkich roztworach, nastawia się maszynę na noc i rano...

– Wiem, jak to działa – Pearson uciął ostro. – Widziałem takie urządzenia.

– Rozumiem. W takim razie, czy nie uważa pan...

– Powiedziałem, że oglądałem te tak zwane procesory tkanki, i nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia – głos Pearsona był szorstki i opryskliwy. – Jakość preparatu nie jest tak dobra jak próbka wykonana metodą tradycyjną. Na domiar złego – te maszyny są bardzo drogie. Widzisz, co tam leży? – przerzucił stertę zapisanych, poślizgniętych druków, które znajdowały się na biurku.

– Tak, panie doktorze.

– To zlecenia na zakup rzeczy niezbędnych dla naszego oddziału, ilekroć przynoszę taki plik papierów, muszę staczać wojnę z dyrektorem. Mówi, że wydajemy za dużo pieniędzy.

Alexander występując ze swoją propozycją, popełnił pierwszą pomyłkę, gdyż Pearson nie miał ochoty go słuchać. Teraz zrobił drugi błąd. Wziąwszy odpowiedź Pearsona za zaproszenie do dyskusji, odezwał się pojednawczo: – Gdyby przyspieszyło nam to pracę o cały dzień, a może dwa... – i dodał z przekonaniem: – Doktorze Pearson, oglądałem preparaty sporządzone przez procesor; one są dobre. Może maszyna, którą pan widział, była niewłaściwie użytkowana...

Starszy pan wstał z krzesła. Niezależnie od motywów, jakie kierowały Alexandrem, naruszył on linię graniczną między lekarzem a laborantem. Wsunąwszy głowę do przodu, Pearson wrzasnął: – Dość tego! Powiedziałem, że nie interesuje mnie procesor tkanki i tyle. Nie życzę sobie żadnych dyskusji na ten temat.

Obszedł biurko i stanął dokładnie naprzeciw Alexandra, z twarzą przy jego twarzy.

– I jeszcze jedno zapamiętaj: ja jestem patologiem i ja rządę tym oddziałem. Nie mam nic przeciwko różnym sugestiom, ale w granicach rozsądku. I nie pozwolę, by ktoś przekraczał swoje kompetencje. Zrozumiałeś?

– Tak, panie doktorze. Zrozumiałem.

John Alexander przygnębiony i zbity z tropu, wrócił do laboratorium, nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi.

Mike Seddons cały dzień był pogrążony w myślach. Parę razy musiał wziąć się w garść, gdyż nie był w stanie pracować. Podczas sekcji McNeil ostrzegł go nawet: „Trzymasz rękę w miejscu, gdzie będziesz ciąć. Byłoby lepiej, żeby każdy wychodził stąd z tyłoma palcami, z iloma przyszedł”. Seddons pośpiesznie zmienił uchwyt; zdarzało się już, że niedoświadczony student odciął sobie palec wraz z rękawiczką ostrym jak brzytwa nożem.

Uporczywie powracało pytanie: Co takiego ma w sobie Vivian, że czuje się tak poruszony? Była atrakcyjna, pociągała go; chciał jak najszybciej wziąć ją do łóżka – co do tego nie było wątpliwości. Ona też chyba tego chciała; miał nadzieję, że jeśli wczorajszy ból w kolanie nie był udawany, a dzisiaj wiedział, że nie, to dziewczyna nie zmieni zdania, ale oczywiście nie mógł być tego pewien. Niektóre dziewczęta były takie niekonsekwentne – jednego dnia można było się do nich zbliżyć, a kiedy indziej potrafiły odrzucać najniewinniejsze awanse, udając, że poprzednie zdarzenie w ogóle nie miało miejsca.

Czy łączy ich coś więcej niż potrzeba seksu? Zaczynało go to ciekawić. Z pewnością żaden z dotychczasowych epizodów a przeżył ich parę – ani w połowie nie zmuszał go do tak intensywnych przemyśleń. Nagle przyszła mu do głowy inna myśl: a gdyby tak udało mu się oddzielić pożądanie od reszty wrażeń? Może wtedy łatwiej byłoby ocenić sytuację? Postanowił poprosić Vivian o kolejne spotkanie: dzisiejszy wieczór – jeśli oczywiście ma czas – będzie odpowiedni.

Vivian, skończywszy zajęcia, wróciła do akademika i zastała list od Mike’a Seddonsa. Był dostarczony osobiście i czekał na nią w skrzynce na listy pod literą L. Mike prosił, żeby przyszła do szpitala na trzecie piętro, obok pediatrii, o 21,45. Początkowo uznała, że nie pójdzie, gdyż nie ma żadnego pretekstu, by o tej porze kręcić się po szpitalu, i przełożona mogłaby mieć do niej pretensje. Bardzo jednak chciała tego spotkania, toteż za dwadzieścia dziesiątą wymknęła się i poszła drewnianym korytarzem, który łączył dom pielęgniarek z głównym budynkiem Trzech Hrabstw.

Mike czekał zamyślony, przemierzając korytarz tam i z powrotem. Gdy ją zobaczył, pośpieszył do drzwi i razem weszli do środka – na klatkę schodową z metalowymi schodami, prowadzącymi w górę i w dół. Było pusto i cicho; gdyby ktoś nadchodził, usłyszeliby go dużo

wcześniej. Mike zbiegł na półpiętro, trzymając Vivian za rękę. Później odwrócił się, a wówczas, co było jak najbardziej naturalne, znalazła się w jego objęciach.

Vivian, całując go poczuła mocny uścisk ramion; wrócił czar minionego wieczoru. Naraz uświadomiła sobie, dlaczego tak bardzo zależało jej, by tu przyjść. Ten rudowłosy mężczyzna nieoczekiwanie stał się dla niej kimś absolutnie niezbędnym. Pragnęła go pod każdym względem – żeby być blisko niego, rozmawiać z nim, kochać się. Było to emocjonujące, podniecające uczucie, jakiego nigdy dotąd nie doznała. Całował jej policzki, oczy, uszy. Zanurzył twarz w jej włosach i szeptał: – Vivian, kochanie, cały dzień o tobie myślałem. Nie mogłem się skupić na niczym innym. – Ujął jej twarz w obie dłonie i spojrzał w oczy: – Czy wiesz, co robisz? – Potrząsnęła przecząco głową. – Niszczysz mnie.

Jeszcze raz przytuliła się do niego.

– Och, Mike, najdroższy... Na klatce schodowej panował upał. Vivian wyczuwała emanujące z Mike'a ciepło i własną namiętność. Jego ręce gorączkowo błądziły to w górę, to w dół. Drżąc wyszeptała:

– Mike, czy możemy stąd gdzieś pójść?

Ręce Mike'a na moment znieruchomiały; zastanawiał się w pośpiechu.

– Mieszkam z Frankie Worthem. W tej chwili go nie ma, wróci bardzo późno. Chcesz zaryzykować odwiedzinę na kwaterze rezydentów?

– Zawahała się.

– Co będzie, jak nas przyłapią?

– Wyrzucą ze szpitala – znowu ją pocałował. – Ale wcale mi na tym nie zależy – ujął jej dłoń. – Chodźmy.

Zbiegli piętro niżej i poszli korytarzem. Minęli jakiegoś rezydenta, który uśmiechnął się bez komentarza. Potem były jeszcze jakieś schody i jeszcze jeden korytarz. Tym razem na wprost nich, przy wejściu, pojawiła się postać w bieli. Serce Vivian podskoczyło do gardła, gdyż rozpoznała przełożoną z nocnej zmiany. Jednak przełożona nawet się nie obejrzała i zniknęła za drzwiami, zanim pojawili się na horyzoncie. Znajdowali się teraz w wąskim, ustronnym korytarzyku z drzwiami po obu stronach. Przez szpary przebłyskiwało światło, zza którychś dobiegała muzyka fortepianowa. Rozpoznała preludium E-moll Chopina.

– Tutaj...

Mike otworzył drzwi i pośpiesznie weszli do środka. W pokoju panował mrok, ale

rozpoznała kontury składanych łóżek i foteli. Usłyszała za sobą szcęk zamka – to Mikę zabezpieczył drzwi.

Przywarli do siebie zachłannie, żywiłowo. Jego palce rozpięły guziki jej kostiumu; pomagała mu, gdy się wahał. Stała w samej halce. Na moment przycisnął ją mocno i razem delectowali się torturą oczekiwania. Później jego dłonie czule i delikatnie, zapowiadając upajającą rozkosz, uniosły jej halkę nad głowę. Idąc w stronę łóżka zrzuciła sandały. Niedługo potem był przy niej; jego ręce znowu okazały się pomocne: – Vivian, kochanie, Vivian...

Prawie go nie słyszała.

– Mikę, chodź! No, chodź już!

Poczuła ciężar jego ciała, napierającego szaleńczo, gwałtownie. Odpowiedziała równą namiętnością, starając się mieć go bliżej, mocniej, głębiej. Potem nie było już nic, tylko najwyższy szczyt bajecznej ekstazy, która zniewalała, paliła, potężniała... Coraz bliżej i bliżej, i bliżej...

Gdy leżeli później w milczeniu, Vivian znowu usłyszała muzykę, dobiegającą z sąsiedztwa. Ciągłe był to Chopin, ale tym razem etiuda E-dur. Dziwne jej się wydało, że w takiej chwili potrafi cokolwiek rozpoznać, lecz melodia dobiegająca z ciemności wyzwała nastroj spełnienia.

Mikę pochylił się nad nią i delikatnie pocałował.

– Vivian, najdroższa, chcę się z tobą ożenić.

– Mikę, kochany, jesteś tego pewien? – odpowiedziała cicho. Gwałtowność tego wyznania była dla niego samego zaskoczeniem.

Słowa padły pod wpływem nagłego impulsu, lecz był przekonany, że naprawdę tego chce. Jego życiowa zasada, by unikać głębszych związków, wydała mu się teraz płytka i bezsensowna. Zrozumiał, co go dotąd trapiło: pragnął takiego właśnie związku. Odparł z humorem: – Pewnie, że jestem pewien. A ty nie?

Vivian objęła go i wyszeptwała: – Niczego w życiu nie byłam bardziej pewna.

– Hej – Mikę otrząsnął się i oparł na łokciu, spoglądając jej w twarz. – Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałem... Co z twoim kolanem?

Vivian uśmiechnęła się szelmowsko.

– Dzisiaj nie sprawiło kłopotu, prawda?

Pocałował ją i zapytał: – Powiedz, co mówiła Lucy Grainger?

– Nic. Poprosiła doktora Bella, żeby prześwietlił je dzisiaj po południu. Wezwie mnie za dwa

dni.

- Będę szczęśliwy, jak się to wreszcie wyjaśni – rzekł Mikę.
- Nie żartuj, kochanie. Jak można się przejmować takim małym guzkiem?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Boston, Massachusetts 7 sierpnia

Pan H.N. Tomaselli Dyrektor administracyjny Szpitala Trzech Hrabstw Burlington,

Szanowny Panie, Od czasu wizyty w Burlington tydzień temu dużo myślałem o pracy na oddziale patologii w Trzech Hrabstwach.

Pragnę poinformować, że postanowiłem przyjąć tę posadę na ustalonych wcześniej warunkach, jeśli, oczywiście, pańska oferta nadal jest aktualna.

Wspomniał pan, iż zależy mi na szybkim podjęciu tej pracy. Nic mnie tu nie zatrzymuje, więc po sfinalizowaniu kilku drobnych spraw mógłbym przyjechać do Burlington i przystąpić do zajęć 15 sierpnia – to znaczy za tydzień. Mam nadzieję, że panu to odpowiada.

W rozmowie ze mną doktor O'Donnell wspomniał o kilku garsonierach, które mają być oddane wkrótce do użytku w sąsiedztwie szpitala. Ciekaw jestem, czy ma pan jakieś informacje na ten temat, jeśli tak, rad byłbym o nich usłyszeć. Tymczasem, gdyby pan był tak uprzejmy, prosiłbym o zarezerwowanie pokoju w miejscowym hotelu począwszy od 14 sierpnia.

Co do pracy w szpitalu, to jest jedna rzecz, której, jak mi się wydaje, nie wyjaśniliśmy do końca – piszę w nadziei, że może będzie pan mógł porozmawiać o tym z doktorem Pearsonem jeszcze przed moim przyjazdem. Mam wrażenie, że odbyłoby się to z korzyścią zarówno dla szpitala, jak i dla mnie – gdyby mi wyraźnie przedstawiono zakres czynności, dzięki czemu miałbym wolną rękę nie tylko w podejmowaniu codziennych obowiązków, ale też w dokonywaniu pewnych zmian organizacyjnych i technicznych, które – co jest chyba oczywiste – są niezbędne.

Osobiście pragnąłbym, aby w ramach obowiązków na oddziale patologii powierzono mi pieczę nad serologią, hematologią i biochemią; zrozumiałe, że chciałbym również asystować doktorowi Pearsonowi przy zajęciach z anatomii patologicznej i innych, jeśli tylko uzna za stosowne.

Jak już wspomniałem, poruszam ten problem teraz, gdyż spodziewam się, że przedyskutuje go pan z doktorem Pearsonem przed piętnastym sierpnia. Może być pan pewien, że zawsze będę starał się ściśle współpracować z doktorem Pearsonem i służyć szpitalowi Trzech Hrabstw, jak umiem najlepiej. Z wyrazami szacunku David Coleman, doktor medycyny.

Coleman jeszcze raz przeczytał list, starannie napisany na maszynie, włożył go do koperty i zakleił. Później wystukał list podobnej treści, lecz nieco krótszy, do doktora Josepha Pearsona.

David Coleman opuścił mieszkanie, które wynajmował w Bostonie od kilkunastu tygodni, i poszedł wrzucić oba listy do skrzynki. Zastanawiając się nad ich treścią, wciąż nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego spośród ośmiu propozycji, jakie mu złożono w ciągu ostatnich miesięcy, wybrał akurat Trzy Hrabstwa. To oczywiste, że nie z powodu wysokich zarobków. Pod tym względem ów szpital znajdował się w drugiej części listy. Nie była to także żadna renomowana placówka. Dwa inne ośrodki, które oferowały mu posadę, miały międzynarodową sławę, natomiast Trzech Hrabstw nie znał prawie nikt, z wyjątkiem najbliższej okolicy.

Zatem dlaczego? Czyżby obawiał się, że w dużym ośrodku zostanie wchłonięty i zniknie w tłumie? Mało prawdopodobne; z dotychczasowej praktyki wynikało, że w każdych warunkach pozostawał sobą. A może liczył, iż w małym szpitaliku będzie miał lepsze możliwości do prowadzenia pracy naukowej? Oczywiście, miał taką nadzieję, ale gdyby mu na tym zależało najbardziej, wybrałby instytut naukowo-badawczy – także znajdował się na jego liście – i nie interesowałby się niczym więcej. A może Trzy Hrabstwa stanowiły dla niego wyzwanie? Niewykluczone. Na oddziale patologii trzeba wiele rzeczy ulepszyć. Zauważył to już podczas dwóch krótkich dni spędzonych tam w ubiegłym tygodniu. Zwiedził szpital i zorientował się w sytuacji. Praca z doktorem Pearsonem nie będzie łatwa. W czasie bezpośrednich rozmów wyraźnie odczuwał jego niechęć, natomiast dyrektor zagadnięty przez Colemana przyznał, że Pearson ma przykre usposobienie.

Byłoby to więc wyzwanie? Czy z tego powodu zdecydował się na Trzy Hrabstwa? Naprawdę? A może należałoby poszukać innej przyczyny, krańcowo odmiennej? Może chodziło po prostu o kolejną okazję do umartwiania się. O to samo wciąż, stare widmo przeszłości, które go niezmiennie prześladowa?

Ze wszystkich cech charakteru Davida Colemana najbardziej wybijała się duma – jej się szczególnie obawiał i najmocniej nienawidził. Jego zdaniem tej wady nigdy nie potrafił się wyzbycić; gardził nią, odrzucał, ale zawsze wracała – równie potężna, niezniszczalna.

Jego duma wyrosła z poczucia wyższości intelektualnej. Będąc w towarzystwie, zazwyczaj odnosił wrażenie, że przerasta wszystkich w sensie psychicznym, co zresztą było faktem. Jeśli zaś chodzi o intelekt, cokolwiek zrobił do tej pory, zdawało się tę prawdę potwierdzać.

Jak tylko sięgał pamięcią wstecz, nauka zawsze przychodziła mu łatwo niczym oddychanie.

W szkole podstawowej, średniej, na uniwersytecie, a później na studiach medycznych wyróżniał się spośród innych, zbierając zaszczyty bez większego wysiłku. Miał chłonny umysł, analityczny, przenikliwy. I dumny.

Pierwszy raz uświadomił sobie własną pychę jeszcze w szkole średniej. Jak każdy chłopak o wrodzonych zdolnościach, początkowo traktowany był przez kolegów z pewną podejrzliwością. Ponieważ nie próbował ukryć swojej wyższości intelektualnej, ich podejrzliwość przerodziła się w niechęć, a w końcu – nienawiść.

Wówczas zdawał sobie z tego sprawę, lecz rozmyślnie nie przywiązywał do niej wagi. Aż któregoś dnia dyrektor szkoły, sam wybitny naukowiec i mądry człowiek, wziął go na rozmowę w cztery oczy; David Coleman do dzisiaj pamiętał jego słowa: – Myślę, że jesteś wystarczająco dorosły, by zrozumieć to, co ci powiem: w tych murach, oprócz mnie, nie masz ani jednego przyjaciela.

W pierwszej chwili nie uwierzył, lecz będąc uczciwym człowiekiem w końcu musiał się z tym zgodzić.

Nauczyciel powiedział jeszcze: – Jesteś doskonałym uczniem. Wiesz o tym i nie można cię za to potępiać. Co do przyszłości możesz zostać kimkolwiek zechcesz. Masz błyskotliwy umysł, Coleman; na podstawie własnych doświadczeń powiem ci, że rzadko spotykany. Ale ostrzegam cię: jeśli chcesz żyć w zgodzie z ludźmi, czasami musisz się zniżyć do ich poziomu.

Powiedzieć coś takiego młodemu, wrażliwemu chłopcu było śmiałym posunięciem. Lecz mistrz ocenił ucznia właściwie. Coleman wysłuchał jego rady, przetrawił ją w sobie, przeanalizował i przestał się wywyższać.

Od tamtej chwili pracował więcej niż dotąd – chciał się zrehabilitować zgodnie ze szczegółowo ułożonym programem, który zakładał kultywowanie umyślnego cierpiętnictwa. Zaczął od gier zespołowych. David Coleman od lat nie znosił wszelkiego rodzaju sportu. W szkole nigdy tym się nie zajmował, nazywając osoby uczestniczące w zawodach sportowych głupawymi wyrostkami. Teraz jednak wziął się za treningi – zimą piłka nożna, latem baseball. Jego podejście do sprawy nie przeszkodziło mu, by zostać ekspertem w tej dziedzinie. W college zawsze występował w najlepszych drużynach. A nawet, kiedy sam nie grał, zarówno w szkole średniej, jak w college'u, nie opuszczał żadnego meczu, emocjonując się tam na równi z resztą kibiców.

Jednak uczucia obojętności, jakie żywił dla sportu, nie wyzbył się, choć skrzętnie to ukrywał.

Nawet gdy kibicował z innymi, czuł wewnętrzny niepokój, że zachowuje się infantylnie. Dlatego też uważał, że choć walczy ze swoją dumą, nigdy się od niej nie uwolni.

Jego stosunki z ludźmi układały się podobnie. Dawniej, poznając kogoś, kogo uznał za stojącego niżej intelektualnie, nie próbował nawet ukryć nudy i obojętności. Teraz, co było częścią jego planu, postępował wbrew sobie, w college'u starając się wykazać serdecznością. W efekcie cieszył się opinią sympatycznego mądrali. Wśród tych, którzy mieli kłopoty z nauką, krążyło nawet powiedzonko: „Pogadajmy z Davidem Colemanem, on wytłumaczy to najprościej”. I przeważnie się nie mylili.

Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, należało się spodziewać, że ów z góry założony program naprawy samego siebie, zmieni w końcu jego stosunek do ludzi, że darzyć będzie otoczenie większą życzliwością. Upływający czas i doświadczenie powinny były nauczyć go sympatii do osób, którym natura poskąpiła talentu. Jednak Coleman wciąż odnajdował w sobie pogardę dla niekompetencji umysłowej. Ukrywał ją, zwalczał z żelazną konsekwencją i dalej grał swoją rolę. Jednak wydawało mu się, że wszystko na darmo.

Wybrał studia medyczne, bo jego nieżyjący już ojciec był wiejskim lekarzem, poza tym jego samego zawsze pociągała medycyna. Podejmując decyzję o specjalizacji, poszedł na patologię, ponieważ uważano ją powszechnie za najmniej atrakcyjną. To także było częścią świadomego planu, który miał pomóc w jego walce z poczuciem dumy.

Jakiś czas wierzył, że wreszcie mu się udało. Patologia jest rzadką specjalnością, pozbawioną atmosfery nerwowości i nacisków, jakie stwarzał w szpitalu bezpośredni kontakt z pacjentami. Lecz potem, wraz z pogłębianiem wiedzy i zainteresowań odkrył, że dawna pogarda dla tych, którzy mają mniejsze pojęcie o tajemnicach odsłanianych przez obiektyw mikroskopu, wróciła. Choć z mniejszym natężeniem, gdyż zdążył poznać kilka osób parających się medycyną i dorównujących mu intelektualnie. Jeszcze później zauważył, że potrafi już nieco rozluźnić się i zdjąć żelazny pancerz samodyscypliny, który na siebie przywdział. Nadal poznawał ludzi, których uważał za durniów – nawet w środowisku lekarskim zdarzali się tacy. Jednak nigdy tego nie okazywał, a czasami wręcz zdawało mu się, że kontakty wcale go nie krępują. Nieco zrelaksowany zaczął się teraz zastanawiać, czy w końcu nie pokonał swego starego wroga.

Mimo to ciągle był czujny. Jego prywatnego programu samonaprawy, który realizował od piętnastu lat, nie dało się ot, tak nagle, odstawić na boczny tor. Niekiedy z trudem odróżniał, czy motywy jego postępowania podyktowane były czystym wyborem czy też nawykiem,

wynikającym z cierpliwego i długotrwałego noszenia worka pokutnego.

Stąd pytania o motyw wyboru Szpitala Trzech Hrabstw. Wybrał go, gdyż tego chciał? Średniej wielkości, podrzędny szpital, bez renomy i blasku? A może kryło się za tym dawne, podświadome oczekiwanie, że w ten sposób jego duma ucierpi najbardziej.

Wysyłając oba listy doszedł do wniosku, że wątpliwości może rozwiązać jedynie czas.

Na siódmym piętrze ośrodka lekarskiego w Burlington Elizabeth Alexander ubierała się w gabinecie, przylegającym do biura Charlesa Dornbergera. Przez ostatnie pół godziny Dornberger badał ją dokładnie by teraz wrócić do siebie. Zza półprzymkniętych drzwi słyszała jego słowa: – Jak będzie pani gotowa, proszę tu przyjść i usiąść, pani Alexander.

Wciągając halkę przez głowę zareagowała z pogodą: – Chwileczkę, Panie doktorze.

Siedząc za biurkiem Dornberger uśmiechnął się. Lubił pacjentki zadowolone z ciąży, a do nich należała Elizabeth. Będzie dobrą, rozsądną matką, pomyślał. Wyglądała atrakcyjnie – nie była piękna w potocznym znaczeniu tego słowa, lecz miała ciekawą osobowość, która rekompensowała niedostatki urody. Zajrzał do swoich notatek: dwadzieścia dwa lata. Jak był młodszy, zawsze starał się, by przy badaniu pacjentek obecna była pielęgniarka. Słyszał o wypadkach nieprzyjemnych oskarżeń ze strony niezrównoważonych kobiet. Obecnie rzadko tym się przejmował. Przynajmniej jeden pożytek wynikający z podeszłego wieku.

– Mówię pani, urodzi pani normalne, zdrowe dziecko – zawołał – Nie powinno być komplikacji.

– Doktor Crossan też tak mówił.

Zapinając pasek letniej sukienki w zielone wzorki Elizabeth weszła do pokoju Dornbergera. Usiadła na krześle obok biurka. Dornberger ponownie zajrzał do notatek.

– To pani lekarz w Chicago, tak?

– Tak.

– Czy on odbierał pierwszy poród?

Tak – Elizabeth otworzyła portfel i wyjęła jakąś kartkę.

– Mam tu jego adres, panie doktorze.

– Dziękuję. Poproszę, aby mi przysłał pani kartę zdrowia.

– Dornberger przypiął papierek do reszty kartek.

– Na co zmarło pani pierwsze dziecko, pani Alexander? – zapytał rzeczowo.

– Na zapalenie oskrzeli. Miało miesiąc – odparła Elizabeth spokojnie. Jeszcze rok temu nie

potrafiłaby wykrztusić z siebie ani słowa, walcząc ze łzami. Teraz, gdy spodziewała się kolejnego dziecka, jakoś łatwiej było pogodzić się ze stratą. Drugie dziecko będzie żyło – była tego pewna.

– Czy poród przebiegał normalnie?

– Tak.

Wrócił do notatek. Jakby chcąc zatrzeć u Elizabeth przykre myśli, które mógł wywołać swoimi pytaniami, stwierdził: – Słyszałem, że dopiero przyjechała pani do Burlington.

– Tak, to prawda – rzekła pogodnie i dodała: – Mój mąż pracuje w Trzech Hrabstwach.

– Tak, mówił mi doktor Pearson – i pisząc coś spytał: – Jak mu się tu podoba?

Elizabeth zastanowiła się.

– Mąż niewiele mówi, ale myślę, że mu się podoba. Bardzo lubi swoją pracę.

Dornberger osuszył tekst bibułą.

– To pomaga, zwłaszcza na patologii – podniósł wzrok i uśmiechnął się. – Wszyscy jesteśmy uzależnieni od pracy laboratorium otworzył szuflady biurka i wyjmując plik formularzy powiedział:

– Skoro już mówimy o laboratorium... muszę skierować panią na badanie krwi.

Gdy wypisywał skierowanie, Elizabeth odezwała się: – Miałam właśnie panu o tym powiedzieć – ja mam Rh minus, a mój mąż Rh plus.

Roześmiał się.

– Powiniennem pamiętać, że jest pani żoną starszego technika laboranta. Będziemy musieli przeprowadzić bardzo dokładne analizy – oderwał wypełniony druk i podał jej. – Może je pani zrobić w ambulatorium szpitalnym – kiedy pani zechce.

– Dziękuję, panie doktorze. Poskładała kartkę i włożyła do portfela.

W końcu rozmowy Dornberger zawahał się. Jak większość lekarzy wiedział, że pacjenci mają zazwyczaj niepełne lub wręcz mylne pojęcie o sprawach medycznych. Gdy jemu coś takiego się zdarzało, zawsze dokładał wszelkich starań, by wszystko wyjaśnić, niezależnie od tego, ile zajęłoby to czasu. Ta dziewczyna straciła już pierwsze dziecko, dlatego druga ciąża jest dla niej podwójnie ważna. Do Dornbergera należało, aby bez potrzeby się nie martwiła.

Wspomniała o czynniku Rh, zatem to chodziło jej po głowie. Wątpił, żeby dokładnie wiedziała w czym rzecz. Postanowił rozwiązać jej niepokój.

– Pani Alexander – stwierdził – chcę, żeby pani wiedziała, że mając z mężem różne grupy

krwi, wcale nie musicie spodziewać się jakichś komplikacji. Rozumie pani?

– Wydaje mi się, że tak, panie doktorze.

Miał rację, w jej głosie wyczuł nutkę niepewności, więc cierpliwie zapytał: – Czy wie pani dokładnie, o co chodzi w tych oznaczeniach Rh plus i Rh minus?

Po krótkim namyśle odparła: – Chyba nie. W każdym razie niezbyt dokładnie.

Tego się spodziewał. Chwilę się zastanowił, a potem zaczął:

– Postaram się to przedstawić jak najprościej. W krwi każdego z nas znajdują się różne czynniki, przy czym mówiąc „czynnik” mamy na myśli słowo „składnik”.

Elizabeth kiwnęła głową.

– Rozumiem.

Zauważyła, że koncentruje całą swoją uwagę na słowach doktora Dornbergera. Na moment wróciła myślami, prawie nostalgicznie, do czasów szkolnych. Wówczas szczyliła się, że potrafi zrozumieć wiele problemów i skupić się na jednym, szybko przyswajając jedne fakty poprzez eliminowanie innych. Dzięki tym umiejętnościom należała do zdolniejszych uczennic. Ciekawiło ją, czy coś z tych talentów jeszcze w niej pozostało.

Dornberger wyjaśniał dalej: – Różni ludzie mają różne czynniki krwi. Gdy niedawno ktoś je podliczył, okazało się, że medycynie znanych jest czterdzieści dziewięć czynników. Większość ludzi – na przykład pani i ja – posiada we krwi od piętnastu do dwudziestu.

W szarych komórkach Elizabeth zaświtało pierwsze pytanie: – Co sprawia, że ludzie rodzą się z różnymi czynnikami?

– Przeważnie je dziedziczymy, ale w tej chwili to nieistotne. Trzeba tylko pamiętać, że niektóre zgadzają się z sobą, inne – nie.

– To znaczy...

– To znaczy, że gdy te czynniki krwi wymieszają się, jedne są w stanie istnieć obok drugich, inne zwalczają się wzajemnie. Dlatego w razie transfuzji zazwyczaj sprawdzamy grupę krwi bardzo starannie. Musimy mieć pewność, że jest odpowiednia dla konkretnego pacjenta.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

– A te czynniki, które się zwalczają, te, które nie mogą ze sobą współistnieć, czy mogą wywołać jakieś komplikacje? Myślę o ludziach, którzy chcą mieć dzieci – znowu wróciła do szkolnej zasady: wyjaśnij jedną sprawę, zanim przejdziesz do następnej.

– Zdarza się, że tak – odparł Dornberger – ale przeważnie nie ma to żadnego znaczenia. –

Weźmy przypadek pani i pani męża. Mówi pani, że on ma dodatnie Rh?

– Tak.

– To znaczy, że jego krew zawiera czynnik oznaczony literą D. Posiadając ujemne Rh, nie ma pani tego czynnika.

Elizabeth powoli skinęła głową. Jej pamięć rejestrowała: ujemne Rh – brak D. Stosując dawny trick pamięciowy, szybko ułożyła rymowanekę:

Jeśli nie masz D dużego, krew jest znaku ujemnego.

Zauważyła na sobie wzrok Dornbergera.

– Przedstawia pan to tak interesująco... – rzekła. – Dotąd nikt mi tego jeszcze nie powiedział.

– Dobrze, a teraz porozmawiajmy o waszym dziecku – wskazał na jej brzuch. – Na razie nie wiemy, czy Alexander junior, który tu się znajduje, ma czynnik krwi dodatni czy ujemny. – Mówiąc inaczej – nie wiemy – czy posiada czynnik D.

Elizabeth zapomniała na chwilę o swojej pamięciowej zabawie i zapytała z niepokojem: – A co będzie, jeśli ma? Czy jego krew będzie walczyła z moją?

Dornberger odparł łagodnie: – Taka ewentualność zawsze istnieje... Proszę teraz uważnie mnie posłuchać...

Skinęła głową i siedziała w skupieniu. Tylko na krótko pozwoliła sobie zboczyć z toru.

Dornberger odezwał się z rozwagą: – Układ krwionośny dziecka od początku jest oddzielony od układu matki. Jednak w czasie ciąży niewielkie ilości krwi płodu często przedostają się do obiegu krwi matki. Czy pani to rozumie?

– Przytaknęła.

– To świetnie... Gdy matka ma ujemne Rh, a dziecko dodatnie, to niekiedy może oznaczać, że nasz stary przyjaciel – czynnik D przenika do krwi matki, gdzie nie jest mile widziany. Jasne?

Elizabeth znowu kiwnęła głową.

– W takim wypadku – lekarz cedził słowa – krew matki wytwarza tak zwane przeciwciała, które zwalczają czynnik D i w końcu go niszczą.

– I na czym polega problem? – zdziwiła się Elizabeth.

– Nigdy nie ma problemu z matką. Problem, jeśli w ogóle się pojawia, bierze się stąd, że przeciwciała wytworzone przez krew matki do zwalczania czynnika D przedostają się przez barierę łożyska do strumienia krwi dziecka. Widzi pani, chociaż nie ma ciągłego kontaktu między krwią matki i dziecka, przeciwciała mogą swobodnie przedostać się z jednego strumienia do

drugiego.

– Rozumiem – odpowiedziała powoli Elizabeth. – Czyli te przeciwciała mogą walczyć z krwią dziecka i ją zniszczyć.

– Teraz wszystko było oczywiste.

Dornberger spojrział na nią z zadowoleniem. Inteligentna dziewczyna, pomyślał. Chyba pojęła, o co chodzi. I głośno rzekł: – Przeciwciała mogą zniszczyć krew dziecka – w całości lub częściowo, pod warunkiem, że na to pozwolimy. Choroba ta nazywa się *Erythroblastosis foetalis*.

– Co zrobić, żeby nie dopuścić do takiej sytuacji?

– Gdy już do tego dojdzie, samego procesu nie możemy powstrzymać. Ale jesteśmy w stanie z nim walczyć. Przede wszystkim, gdy tylko w krwi matki pojawią się przeciwciała, robimy próbę uczuleniową, która jest dla nas swego rodzaju ostrzeżeniem. Na pani krwi też ją przeprowadzimy – teraz i w późniejszym stadium ciąży...

– Jak się to robi?

– Jest pani dociekliwa jak każda dziewczyna – ginekolog roześmiał się. – Niestety, nie potrafię pani wyjaśnić. Pani mąż, pracujący w laboratorium, będzie wiedział na ten temat więcej niż ja.

– Co jeszcze się robi? To znaczy – z myślą o dziecku...

– Najważniejszą rzeczą jest – wyjaśniał cierpliwie – przeprowadzenie transfuzji z właściwą grupą krwi, natychmiast po porodzie. Zazwyczaj się to udaje.

Świadomie nie wspominał o ogromnym niebezpieczeństwie, jakie się z tym wiąże; że dziecko z erythroblastozą może przyjść na świat martwe oraz że lekarze często przyspieszają poród o kilka tygodni, by dać mu większą szansę przeżycia. Tak czy inaczej uważał, że kwestia została dostatecznie wyjaśniona i postanowił zakończyć rozmowę: – Powiedziałem pani o tym wszystkim, gdyż wydawało mi się, że czynnik Rh nie daje pani spokoju. Poza tym jest pani inteligentną dziewczyną; zawsze uważam, że lepiej jest znać całą prawdę aniżeli tylko jej część.

Uśmiechnęła się. Sama wiedziała, że jest inteligentna, gdyż ciągle posiadała ową umiejętność rozumienia i zapamiętywania. Po czym skarciła się w myślach: Nie bądź taka mądrała, przecież tu chodzi o dziecko, a nie egzamin semestralny.

– Przypomnę jeszcze o kilku ważnych sprawach – mówił z powagą w głosie, pochylając się w jej stronę. – Po pierwsze: pani dziecko wcale nie musi mieć dodatniego Rh ani teraz ani później. W takim wypadku problem przestaje istnieć. Po drugie: nawet jeśli pani dziecko będzie

miało dodatkowo Rh, pani nie musi zostać uczulona. Po trzeciej: gdyby pani dziecko miało mieć erytroblastozę, szanse na leczenie i wyzdrowienie są znaczne. Spojrzał jej prosto w oczy. – No i co pani teraz o tym sądzi?

Elizabeth rozpromieniła się. Potraktowano ją jak osobę dorosłą, i to poprawiło jej samopoczucie.

– Doktorze Dornberger – powiedziała – jest pan wspaniały. Rozbawiony Dornberger sięgnął po fajkę i zaczął ją napełniać.

– Tak – odparł – czasami też mi się tak wydaje.

– Joe, czy mogłabym z tobą porozmawiać?

Lucy Grainger kierowała się na oddział patologii, gdy zwałista sylwetka Pearsona zamajaczyła w głębi korytarza. Słyszając wołanie patolog przystanął.

– Masz jakąś sprawę, Lucy? – jak zwykle głos Pearsona brzmiał gderliwie, lecz z zadowoleniem zauważyła, że nie wyczuwa w nim wrogości. Miała nadzieję, że nadal jest odporna na jego humorzaste nastroje.

– Tak, Joe, chciałabym, żebyś zbadał moją pacjentkę. Zapalał właśnie jedno ze swych nieodłącznych cygar; spojrzał na żarzącą się końcówkę.

– A co się stało?

– To nasza studentka. Nazywa się Vivian Loburton. Ma dziewiętnaście lat. Znasz ją?

Pearson pokręcił głową.

– Jestem trochę zaniepokojona – mówiła dalej Lucy – podejrzewam nowotwór kości i na pojutrze zamówiłam biopsję. Wycinek, oczywiście, trafi do ciebie, ale pomyślałam, że może zechciałbyś obejrzeć pacjentkę.

– Dobrze. Gdzie ona jest?

– Wzięłam ją na obserwację. Leży na drugim piętrze. Mógłbyś pójść teraz?

– Dlaczego nie? – zgodził się Pearson.

Poszli w stronę głównego korytarza i wind osobowych.

Prośba Lucy nie była niczym nadzwyczajnym. W przypadkach jak ten, gdy istniało niebezpieczeństwo, że guz jest złośliwy, ostateczna opinia o stanie zdrowia pacjenta należała do patologa. Przy stawianiu diagnozy na temat każdego guza liczyło się wiele czynników, niekiedy wzajemnie wykluczających się, które patolog musiał rozważyć. Powiedzieć, że ma się do czynienia z rakiem kości, było wyjątkowo trudno i Lucy dobrze o tym wiedziała. W takiej

sytuacji najlepiej było zaznajomić patologa z przypadkiem chorobowym od samego początku. Dzięki temu mógł poznać pacjenta, porozmawiać o objawach, a później wysłuchać zdania radiologa, co poszerzało zakres jego wiedzy i pomagało w postawieniu diagnozy.

Gdy wchodzili do windy, Pearson zatrzymał się i skrzywił. Dotknął ręką pleców.

Lucy nacisnęła przycisk, a kiedy automatyczne drzwi zamknęły się spytała: – Dokucza ci kręgosłup?

– Od czasu do czasu – wyprostował się z wysiłkiem. – Prawdopodobnie za długo ślęczę przy mikroskopie.

Popatrzyła na niego z troską.

– Może przyszedłbyś do mnie? Zbadałabym cię... Wypuścił dym z cygara i roześmiał się.

– Coś ci powiem, Lucy, nie stać mnie na opłacenie takiego honorarium.

Drzwi otworzyły się i wysiedli. Idąc korytarzem Lucy stwierdziła; – Będzie to koleżeńska przysługa. Nie biorę pieniędzy od kolegów. Popatrzył na nią z rozbawieniem.

– Nie jesteś taka jak psychiatrzy, co?

– Nie – uśmiechnęła się. – Słyszałam, że wysyłają rachunek nawet wtedy, gdy pracuje się z nimi w tym samym pokoju.

– To prawda – Lucy rzadko widywała go w takim wyśmienitym humorze. – I mówią, że to wchodzi w zakres ich terapii.

– Tutaj...

– Otworzyła drzwi, Pearson wszedł pierwszy.

Znajdowali się w niewielkiej, półprywatnej sali, w której przebywały dwie pacjentki. Lucy pozdrowiła kobietę leżącą przy drzwiach i podeszła do drugiego łóżka. Vivian podniosła wzrok znad jakiegoś czasopisma.

– Vivian, to doktor Pearson.

– Witaj, Vivian – rzekł Pearson odbierając od Lucy kartę zdrowia.

– Dzień dobry, panie doktorze.

Vivian wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego tu trafiła. Co prawda kolano znów ją bolało, ale to przecież drobiazg niewart leżenia w łóżku. Z drugiej strony nie miała nic przeciwko temu. Parę chwil wolnego od codziennych zajęć szkolnych było mile widziane; przyjemnie dla odmiany trochę poczytać i odpocząć. Poza tym Mikę, dzwonił przed chwilą. Przejął się bardzo, gdy się dowiedział, że trafiła na oddział i obiecał wpaść później.

Lucy rozciągnęła zasłonę oddzielającą oba łóżka, a wtedy Pearson powiedział: – Proszę pokazać obydwu kolana.

Vivian odrzuciła kołdrę i uniosła brzeg koszuli. Pearson odłożył kartę i pochylił się nad nią.

Lucy obserwowała, jak krótkie, serdelkowate palce patologa delikatnie przesuwają się po nogach Vivian. Jak na kogoś, kto potrafi być tak grubiański, robi to zadziwiająco delikatnie, pomyślała. W pewnej chwili Vivian skrzywiła się. Pearson podniósł wzrok.

– Tutaj boli, co? Vivian przytaknęła.

– Z notatek doktor Grainger wynika, że uderzyłaś się w kolano jakieś pięć miesięcy temu – rzekł.

– Tak, panie doktorze – Vivian usiłowała przypomnieć sobie fakty. – Z początku nawet o tym nie pamiętałam, dopiero teraz... Uderzyłam kolanem o dno basenu. Chyba nurkowałam zbyt głęboko.

– Bardzo wtedy bolało?

– Tak. Potem ból ustał i przestałam o tym myśleć.

– Dobrze, Vivian – skinął na Lucy, która zaciągnęła kołdrę i zapytał: – Masz klisze rentgenowskie?

– Mam przy sobie – pokazała dużą szarą kopertę. – Dwa zdjęcia. Pierwsze nic nie wykazało, ale na bardziej miękkim zdjęciu dało się zauważyć pewną nieregularność na kości.

Vivian z zaciekawieniem przysłuchiwała się wymianie zdań. Czuła się ważna, że to o niej rozmawiają.

Pearson i Lucy podeszli do okna i patolog spojrział na zdjęcia pod światło. Gdy oglądał drugie z nich, Lucy wskazała: – O, tutaj, widzisz?

Popatrzyli razem. – Chyba tak – Pearson chrząknął i oddał jej klisze. Oglądając zdjęcia rentgenowskie zawsze miał odczucie, że jest specjalistą wkraczającym na nieznane sobie pole działania innego specjalisty.

– Widma z krainy cieni – rzekł. – Co mówi radiolog?

– Ralph Bell potwierdza istnienie nieregularności – odparła. – Ale to za mało, by postawić diagnozę. Również uważa, że potrzebna jest biopsja.

Pearson odwrócił się w stronę łóżka.

– Wiesz, co to jest biopsja, Vivian?

– Tak mi się wydaje – odrzekła z wahaniem. – Ale nie jestem pewna.

– Jeszcze tego nie przerabialiście, co? Potrząsnęła głową przecząco.

– A więc doktor Grainger wytnie kawałek tkanki z twojego kolana, to znaczy z tego chorego miejsca, a później przyśle wycinek do mnie i ja go zbadam.

– I na tej podstawie będzie mógł pan powiedzieć... o co chodzi? zapytała Vivian.

– Tak i przeważnie mi się udaje – już chciał wyjść, lecz zawahał się przez moment: –
Uprawiasz jakiś sport?

– O, tak, panie doktorze. Tenis, pływanie, narty. Uwielbiam też jeździć konno. W Oregonie dużo jeździłam...

– W Oregonie? – powtórzył zamyślony i dodał: – W porządku, Vivian, na razie wystarczy.

Lucy uśmiechnęła się.

– Jeszcze tu wrócę... – wzięła zdjęcia i karty zdrowia i podążyła za Pearsonem.

Kiedy drzwi się zamknęły za nim, Vivian po raz pierwszy ogarnął strach.

Byli już daleko, gdy Lucy zapytała: – No i co sądzisz o tym, Joe?

– To może być nowotwór kości – Pearson odpowiedział powoli, z namysłem.

– Złośliwy?

– Niewykluczone. Zatrzymali się przy windzie.

– Jeśli jest złośliwy, będę musiała amputować nogę – rzekła Lucy.

Pearson powoli kiwnął głową; wyglądał, jakby nagle przybyło mu lat.

– Tak – odparł. – Właśnie o tym myślałem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Turbośmigłowiec „Viscount” skręcił pod wiatr i zaczął wytracać wysokość. Z opuszczonym podwoziem i klapą podchodził do lądowania, hen daleko, na pasie nr i lotniska w Burlington. Obserwując samolot z tarasu dla oczekujących, który znajdował się tuż pod wieżą kontrolną, Kent O'Donnell doszedł do wniosku, że lotnictwo i medycyna mają wiele wspólnego. Obydwie dziedziny są wytworem nauki, obie zmieniają życie na ziemi i burzą stare pojęcia, obie też zmierzają ku nieznanym horyzontom i mglistej przyszłości. Widział w nich jeszcze jedno podobieństwo: dzisiejsze lotnictwo również z ledwością nadąza za własnymi odkryciami – jego znajomy konstruktor samolotów powiedział mu niedawno: „Samolot, który startuje w pierwszy swój rejs, jest już od dawna technicznym gratem”.

Z medycyną jest podobnie, pomyślał O'Donnell, osłaniając oczy przed jaskrawym słońcem sierpniowego popołudnia. Szpitalom, klinikom, wreszcie samym lekarzom nigdy nie udaje się dotrzymać kroku we wszystkim. Niezależnie od tego, jakie starania podejmą, nowe techniki, różne eksperymenty, postęp po prostu, zazwyczaj ich wyprzedza, niejednokrotnie o całe lata. W dzisiejszych czasach człowiek może umrzeć, mimo iż lek, który by mu uratował życie został już wynaleziony, a nawet jest stosowany, choćby w ograniczonym zakresie. Dużo wody upływa, zanim nowe odkrycia uzyskują rozgłos i zostają zaakceptowane. Nie inaczej jest z chirurgią. Jeden chirurg czy zespół chirurgów może wynaleźć nową technikę ratowania ludzkiego życia, lecz przed wprowadzeniem jej do praktyki musi się z nią zapoznać wielu innych i przekazać swoje umiejętności jeszcze innym. Bywa, że jest to długotrwały proces. Na przykład operacje serca stały się zjawiskiem dość powszechnym i leżą w zasięgu możliwości tych, którzy ich potrzebują. Jednak przez wiele lat tylko paru lekarzy potrafiło bądź chciało się ich podejmować.

Jeśli zaś chodzi o wszelkie nowinki medyczne, to zawsze trzeba sobie postawić pytanie: Czy to naprawdę coś pożytecznego? Jaką wartość ma to czy inne odkrycie? Bowiem nie każda zmiana oznacza postęp. W medycynie wielokrotnie zdarzały się fałszywe tropy, teorie przeczące faktom, ludzie nawiedzeni obsesyjnym entuzjazmem, którzy tylko pozornie odnosili sukcesy, wprowadzając innych w błąd. Niekiedy trudno nawet stosować dewizę złotego środka, dzielącą czyjąś inwencję od poczucia niewiary, podyktowanej przez zdrowy rozsądek. W Trzech Hrabstwach, gdzie było tyle samo zwolenników, co przeciwników jakichkolwiek nowinek

medycznych – w obu obozach porządni ludzie – dla kogoś pokroju O'Donnella stały problem stanowiła decyzja po czyjej stronie w danym momencie ma się opowiedzieć.

Z zamyślenia wytrąciło go hałaśliwe wycie silników „Viscounta”, który akurat kołował na pasie, zagłuszając wszelkie okoliczne rozmowy. O'Donnell odczekał, aż wszystkie silniki wygasną i zaczną wysiadać pasażerowie. Dostrzegłszy w tłumie doktora Colemana, zszedł do poczekalni z zamiarem powitania nowego zastępcy szefa oddziału patologii.

David Coleman zdziwił się na widok ordynatora chirurgii – wysokiego, opalonego na brąz, wyróżniającego się w tłumie, który czekał z ręką wyciągniętą w powitalnym geście.

– Miło pana widzieć – odezwał się O'Donnell. – Joe Pearson nie mógł przyjechać, mimo to uważaliśmy, że ktoś powinien pana odebrać... – nie zdradził, że Joe Pearson po prostu odmówił przyjścia, zaś Harry Tomaselli wyjechał z miasta, więc on sam musiał zająć się tą sprawą.

Przechodząc przez duszny, zatłoczony hall, O'Donnell zauważył, że Coleman badawczo rozgląda się wokół siebie. Odniósł wrażenie, że młody człowiek dokonuje szybkiej oceny swojego nowego otoczenia. Może był to nawyk, jeśli tak, to sensowny. Sam David Coleman w niczym nie ustępował innym. Miał za sobą trzy godziny spędzone w samolocie, a jego gabardynowy garnitur w ogóle nie nosił śladów podróży; starannie przystrzyżone, gładko zaczesane włosy z przedziałkiem; świeżo zgolony zarost. Był drobniejszej budowy niż O'Donnell; ostre rysy twarzy, mocna szczęka, zdradzająca stanowczy charakter oraz zgrabna sylwetka. Aktówka, którą trzymał pod pachą, przydawała mu wyglądu profesjonalisty. Typowy młody naukowiec, pomyślał O'Donnell i poprowadził go do lady, na którą wyładowywano walizki z wózka. Wmieszali się w tłum pasażerów, którzy prowadzili teraz wojnę o bagaże.

– Nie znoszę tej części podróży – odezwał się O'Donnell. Coleman przytaknął, odpowiadając słabym uśmiechem. Jakby chciał rzec: Nie marnujemy talentu na drobiazgi, dobrze?

Zimny facet, pomyślał O'Donnell. Już podczas poprzedniego spotkania zwrócił uwagę na jego stalowoszare oczy i zastanawiał się, co się w nich kryje. Coleman stał bez ruchu w tłumie i dalej rozglądał się dokoła. Jakby na komendę, nie bacząc na innych, bagażowy podszedł wprost do niego.

Dziesięć minut później O'Donnell przebił się wreszcie swoim buickiem przez teren lotniska i jadąc w stronę miasta, rzekł do Colemana:

– Zarezerwowaliśmy panu pokój. Roosevelt Hotel jest spokojny i wygodny. Sądzę, że nasz dyrektor administracyjny przedstawił panu naszą sytuację mieszkaniową.

– Tak – odparł Coleman. – Chciałbym szybko się z tym uporać.

– Nie będzie żadnego problemu – uspokoił go O'Donnell i dodał: – Zanim rozpocznie pan pracę w szpitalu, może przydałby się panu dzień lub dwa na załatwienie mieszkania.

– Nie sądzę, dziękuję. Mam zamiar przyjść do pracy jutro rano. Coleman był uprzejmy, lecz stanowczy. To człowiek, który szybko podejmuje decyzję, później jasno ją uzasadnia, pomyślał O'Donnell; prawdopodobnie niełatwo mu też cokolwiek wyperswadować. Był ciekaw, jak ułoży się jego współpraca z Joe Pearsonem. Na pierwszy rzut oka można było przypuszczać, że nie najlepiej. Ale różnie z tym bywa. Czasami w szpitalu zdarzało się, że ludzie o krańcowo odmiennych charakterach – wbrew wszelkim oczekiwaniom – zgadzali się z sobą, jakby całe życie łączyła ich przyjaźń.

Rozglądając się po okolicy David Coleman poczuł coś w rodzaju podniecenia. Było to dość niezwykle, gdyż do wszelkich zmian podchodził chłodno, z rozmysłem. Jednak w tej chwili szło o jego pierwszą posadę w szpitalu. Powiedział sobie: w takiej sytuacji nie powinieneś się wstydzić choćby nawet prozaicznych uczuć, przyjacielu. A później, w odpowiedzi na samokrytykę uśmiechnął się. Niełatwo przełamać stare nawyki myślowe, stwierdził w duchu.

Zastanowił się nad O'Donnellem. O szefie chirurgii mówiono wyłącznie w superlatywach. Co się stało, dumał, że mężczyzna o takim wykształceniu i takich kwalifikacjach zdecydował się na przyjazd do Burlington? Czy kierował się równie niejasnymi motywami jak Coleman, a może miał swoje powody? Albo zwyczajnie spodobało mu się tutaj? Są jeszcze ludzie, skonstatował Coleman, którzy w swoim działaniu kierują się prostymi, uczciwymi zasadami.

O'Donnell dodał gazu, by wyprzedzić traktor z przyczepą, i odezwał się:

– Jeśli pan pozwoli, chciałbym powiedzieć o paru sprawach.

– Proszę bardzo – odparł uprzejmie Coleman.

W ciągu ostatnich trzech lat dokonaliśmy w Trzech Hrabstwach wielu zmian – mówił powoli, starannie dobierając słowa. – Harry Tomaselli uprzedził mnie, że o niektórych już pan słyszał, podobnie zresztą jak i o naszych planach...

– Tak, to prawda – uśmiechnął się Coleman.

O'Donnell nacisnął klakson i samochód, który jechał przed nimi, ustąpił wreszcie miejsca.

– Pańską obecność tutaj traktujemy jako jedną z ważniejszych zmian w szpitalu, a wyobrażam sobie, że – jeśli pan się już u nas zdomowi sam wprowadzi następne...

Coleman wrócił myślami do oddziału patologii, który zwiedził podczas swej krótkiej wizyty

w Trzech Hrabstwach.

– Tak – odparł. – Jestem tego pewien.

O'Donnell zamilkł, po czym dodał bez pośpiechu: – Tam, gdzie się dało, zrobiliśmy to bez większych kłopotów. Jednak czasem napotykaliliśmy przeszkody; osobiście uważam, że nie należy poświęcać swoich zasad dla świętego spokoju – zerknął na Colemana. – Wolałbym, żeby to było jasne...

Coleman kiwnął głową, ale nic nie powiedział, więc O'Donnell ciągnął dalej: – W każdym razie chciałbym, aby tam, gdzie jest to możliwe, działał pan z rozważą – uśmiechnął się. – Jeśli się tylko da, należy posłużyć się metodą perswazji, armaty zaś wytaczać w sprawach naprawdę istotnych...

– Rozumiem – rzekł Coleman wymijająco. Nie był do końca pewien, o co chodzi; musiałby lepiej znać O'Donnella, żeby się ustosunkować do jego słów. A może się pomylił co do niego? Może szef chirurgii jest po prostu nazbyt ostrożnym człowiekiem? A może chce dać do zrozumienia jemu, nowicjuszowi, żeby za bardzo nie podskakiwał? Jeśli tak, wkrótce przekonają się, że popełnili błąd. David Coleman postanowił zrezygnować z wynajmowania na dłużej mieszkania w Burlington.

O'Donnell zastanawiał się, czy postąpił rozsądnie, mówiąc o tym wszystkim. Mieli dużo szczęścia pozyskując Colemana, więc nie chciał go zbytnio odstraszać, przynajmniej na początku. Ciągłe nie mógł oderwać myśli od Joe Pearsona i jego powszechnie znanej zażyłości z Eustace'em Swayne'em. O'Donnell starał się być lojalny wobec Ordenu Browna; w przeszłości prezes zarządu wiele mu pomógł jako szefowi chirurgii. O'Donnell dobrze wiedział, że Brownowi zależało na tej ćwierci miliona dolarów – szpital naprawdę potrzebował pieniędzy. A jeśli wiązało się to z koniecznością ugłaskania Joe Pearsona? O'Donnell gotów był pójść na to, ale oczywiście w granicach zdrowego rozsądku.

Tylko gdzie kończyła się polityka szpitalna, a zaczynała odpowiedzialność O'Donnella jako lekarza? Ten problem nurtował go najbardziej; kiedyś może zostać zmuszony do przeprowadzenia stosownej linii demarkacyjnej. A teraz – czy on sam nie bawił się w politykowanie? Raczej tak, w przeciwnym razie nie dzieliliby się swoimi spostrzeżeniami z doktorem Colemanem. Władza demoralizuje, pomyślał; nie można przed tym uciec, obojętne kim się jest. Rozważał, czy nie powinien pociągnąć jeszcze tego tematu, a może nawet wtajemniczyć młodszego kolegę w niektóre kwestie; zdecydował jednak, że nie. Ostatecznie

Coleman jest tu nowy, a O'Donnell nie przekonał się jeszcze, co kryje się za chłodnym spojrzeniem stalowo-szarych oczu.

Dojeżdżali do centrum; ulice miasta Burlington tonęły w kurzu i spiekocie; chodniki skrzyły się, a jezdnie lepiły od gorąca. Skręcił buickiem na podjazd przed hotelem. Portier otworzył drzwi auta i zabrał leżące na tylnym siedzeniu walizki Colemana.

– Czy mam wejść z panem? – zapytał O'Donnell. – ... by sprawdzić, czy wszystko w porządku?

Coleman stojąc przy samochodzie, odparł: – Naprawdę, nie ma takiej potrzeby.

Jeszcze jedna uprzejma, lecz stanowcza odpowiedź. O'Donnell przysunął się do okna.

– Doskonale. W takim razie jutro oczekujemy pana. Powodzenia.

– Dziękuję.

Portier zatrzaskał drzwiczki i O'Donnell włączył się do ruchu. Spojrzał na zegarek – była druga po południu. Postanowił najpierw pojechać do swego gabinetu, a potem do szpitala.

Siedząc pod ambulatorium na ławce obitej skórą, Elizabeth Alexander medytowała, dlaczego ściany korytarza szpitalnego pomalowano w dwóch odcieniach beżu zamiast w jakimś jaśniejszym, żywszym kolorze. I tak było tu dość ciemno; gdyby dodać trochę koloru kremowego lub nawet seledynowego, od razu zrobiłoby się weselej.

Od dzieciństwa lubiła żywe barwy. Nigdy nie zapomniała zasłon, które jako mała dziewczynka własnoręcznie uszyła do pokoju – gwiazdki i księżycy na chabrowym tle. Dzisiaj miała świadomość, że były wykonane byle jak, ale wówczas wydawały się jej niewymownie piękne. Chcąc je powiesić, musiała zejść do sklepu, do ojca, a on z wyrozumiałością godną wielkiej sprawy zabrał się do szukania niezbędnych rzeczy: prętu przyciętego na odpowiednią długość, metalowych wsporników, śrub, śrubokręta. Pamiętała, jak przebiera! pośród sterty towarów, zawsze porzrzucanych beładnie, przez co nigdy nie mógł znaleźć tego, o co pytał klient.

Było to w New Richmond, w Indianie – dwa lata przed wypadkiem, w którym zginął ojciec. A może trzy? Nie była pewna, czas biegnie tak szybko. Pamiętała tylko, że jakieś sześć miesięcy przed śmiercią ojca poznała Johna. Ich spotkanie miało – w pewnym sensie – też coś wspólnego z barwami. John będąc studentem przebywał w New Richmond na wakacjach i przyszedł do sklepu kupić czerwoną farbę. Elizabeth już wtedy pomagała ojcu; wówczas zniechęciła Johna do kupna czerwonej i namówiła na zieloną. A może odwrotnie? I to wspomnienie zatępił czas.

Wiedziała jednak, że zakochała się w Johnie od pierwszego wejrzenia, i wyskoczyła z tą zamianą kolorów prawdopodobnie po to, aby go dłużej zatrzymać w sklepie. Właściwie od tamtej chwili nie było już żadnych wątpliwości co do ich wzajemnych uczuć. Zaręczyli się podczas wakacji, po zakończeniu szkoły średniej a przed rozpoczęciem nauki w college'u, i pobrali sześć lat od pierwszego spotkania. To dziwne, ale nie było nikogo, kto by sugerował wstrzymanie się z tą decyzją, mimo iż żadne z nich nie miało pieniędzy, a John utrzymywał się tylko ze stypendium. Wszyscy znajomi uznali ich ślub za fakt oczywisty i naturalny.

Mogłoby się wydawać, że pierwszy wspólny rok przyniósł im sporo kłopotów, tymczasem dla Johna i Elizabeth był to okres pełnego szczęścia. Elizabeth skończyła wieczorową szkołę sekretarek i w Indianapolis, gdzie studiował John, pracowała w charakterze stenografki, utrzymując ich oboje.

W tym czasie dyskutowali poważnie o przyszłości Johna: czy powinien kształcić się dalej i zdawać na studia medyczne, czy też raczej wybrać szkołę dla technologów medycyny. Elizabeth obstawała przy studiach medycznych. Wprawdzie oznaczałoby to, że John nieco później podejmie pracę i zacznie zarabiać, lecz Elizabeth zdecydowana była dalej utrzymywać ich oboje. John wątpił, czy to dobry pomysł. Co prawda zawsze chciał studiować medycynę, w college'u miał doskonałe wyniki, jednak nie mógł się doczekać, kiedy sam będzie mógł zapewnić środki do życia rodzinie. O wszystkim zadecydowała ciąża Elizabeth. Mimo protestów żony John zapisał się do szkoły dla technologów medycznych i wspólnie przeprowadzili się do Chicago.

Tam przysła na świat dziewczynka, której dali na imię Pamela. Po czterech tygodniach dziecko umarło na zapalenie oskrzeli; z jej śmiercią zawalił się dla Elizabeth cały świat. Uchodziła za osobę rozsądną i zrównoważoną, a jednak zupełnie się załamała, przestała jej na czymkolwiek zależeć. John robił co w jego mocy, okazywał jeszcze większą czułość i delikatność, ale na nic się to zdało.

Elizabeth czuła, że musi coś z sobą zrobić, pojechała więc do matki do New Richmond. Po tygodniu zatęskniła za Johnem i wróciła do Chicago. Od tamtej pory powoli acz konsekwentnie wracała do równowagi. Sześć tygodni przed ukończeniem szkoły przez Johna dowiedziała się, że ponownie jest w ciąży – tego właśnie jej brakowało. Poczula się zdrowsza, odżyła; myśl o dziecku, które w sobie nosi, podniecała ją.

W Burlington znaleźli małe, lecz przytulne mieszkanie za umiarkowaną opłatą. Ze skromnych oszczędności wnieśli pierwszą ratę na meble, pozostałe zamierzali spłacać ze

szpitalnej pensji Johna. W tej chwili wszystko wyglądało świetnie. Wszystko, pomyślała Elizabeth, z wyjątkiem tej okropnej brązowej farby na ścianie w korytarzu.

Drzwi otworzyły się i z ambulatorium wyszła kobieta, która zajmowała kolejkę przed Elizabeth. Z progu wychyliła się dziewczyna w białym kitlu. Spojrzała w kartę zdrowia i zapytała: – Pani Alexander?

– To ja... – Elizabeth wstała.

– Proszę wejść.

Elizabeth weszła za dziewczyną.

– Proszę usiąść, pani Alexander. To nie potrwa długo.

– Dziękuję.

Laborantka, siedząc za biurkiem, przeczytała skierowanie doktora Dornbergera: – Określenie czynnika Rh oraz próba uczuleniowa. – W porządku, proszę tutaj położyć rękę i mocno zacisnąć pięść.

Chwyła nadgarstek Elizabeth i zwilżała go środkiem odkażającym, potem zręcznymi ruchami założyła gumową opaskę uciskową.

Wybrała z tacki strzykawkę, wyjęła z opakowania sterylną igłę i nałożyła na strzykawkę. Błyskawicznie wyszukała żyłę na ręce Elizabeth, wbiła igłę jednym energicznym ruchem i pociągnęła tłoczek. Nabrała krwi do wysokości siedmiu centymetrów sześciennych, wyciągnęła igłę z żyły i przyłożyła tampon z waty w miejscu ukłucia. Cała operacja trwała nie dłużej niż piętnaście sekund.

– Widzę, że już pani to robiła... – zagadnęła laborantkę Elizabeth.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Setki razy.

Elizabeth obserwowała, jak laborantka przykleja nalepkę na probówce i wypuszcza do niej pobraną krew. Umieściwszy probówkę w stojaku, powiedziała: – To wszystko, pani Alexander.

Mikę Seddons siedział samotnie w holu domu dla personelu medycznego. Był szczerze przygnębiony; gdyby jeszcze miesiąc temu ktoś mu powiedział, że może mu tak bardzo zależeć na dziewczynie, której, pomijając wszelkie intencje i zamiary, niemal w ogóle nie znał, uważałby go za wariata. Od czterdziestu ośmiu godzin, to jest od chwili, gdy przeczytał kartę zdrowia w dyżurce pielęgniarek, obok sali, gdzie leżała Vivian, jego niepokój narastał. Ubiegłej nocy prawie nie zmrugał oka; kilka godzin przeleżał z otwartymi oczyma ważąc w myślach słowa

wypisane na karcie pismem doktor Lucy Grainger: „Vivian Loburton – podejrzenie kostniako-mięsaka – przygotować do biopsji”.

Gdy po raz pierwszy ujrzał Vivian – podczas sekcji na oddziale patologii – była dla niego tylko jeszcze jedną studentką. Nawet w czasie drugiego spotkania, przed zdarzeniem w parku, myślał o niej przede wszystkim jako atrakcyjnej dziewczynie do łóżka. Mikę Seddons nigdy się nie oszukiwał – ani w słowach ani czynach.

Tym razem też nie.

Pierwszy raz w życiu był naprawdę głęboko zakochany i udręczony nieustępliwym, potwornym strachem.

Owego wieczora, gdy powiedział Vivian, że chce się z nią ożenić, nie miał czasu myśleć o konsekwencjach swego wyznania. Do tej pory Mikę Seddons zawsze powtarzał sobie, że nie ma mowy o małżeństwie, dopóki nie ustawi się w zawodzie, nie wyszumi, i nie zabezpieczy finansowej przyszłości. Lecz wypowiadając tamte słowa wiedział, że nie kłamie. Od tej chwili powtarzał je w duchu setki razy i nigdy nie przyszła mu ochota, by je cofnąć.

A teraz to.

Zupełnie inaczej niż Vivian, która ciągle traktowała swą dolegliwość jako niewiele znaczący guz pod kolanem – „przykra rzecz, ale jakoś można się z nią uporać” – Mikę Seddons rozumiał znaczenie słów: „podejrzenie kostniako-mięsaka”. Wiedział, że jeśli diagnoza się potwierdzi, będzie to oznaczało, że Vivian ma guza złośliwego, który może się rozejść, a niewykluczone, że już się rozszedł, po całym organizmie. W takim wypadku, jeśli nie podejmie się natychmiastowej operacji, jej szanse na dłuższe przeżycie praktycznie równały się zeru. A operacja oznacza amputację nogi – jak najszybciej po postawieniu diagnozy – w nadziei, że uchwyci się wędrujące po ciele, złośliwe komórki, nim oddalą się od swojego pierwotnego źródła. Ale nawet wówczas, po amputacji, jedynie dwadzieścia procent pacjentów, statystycznie rzecz biorąc, cierpiących na ten typ nowotwora, nie było narażonych na dalsze kłopoty. Większość regularnie podupadała na zdrowiu, dożywając zaledwie paru miesięcy.

Jednak to nie musiał być kostniako-mięsak, może to był tylko guz łagodny. Szanse były jak jeden do jednego, wyrównane, niczym rzut monetą. Na myśl o tym, ile zarówno dla Vivian, jak i dla niego – zależało od wyniku biopsji, oblał się potem. Z początku chciał iść do Lucy Grainger i porozmawiać, ale zrezygnował. Więcej się dowie pozostając na uboczu. Gdyby wykazał osobiste zainteresowanie, pewne informacje mogłyby zostać utajnione, koledzy zaś chcąc

oszczędzić mu zmartwień, mogliby starannie wyważać słowa. Nie chciał tego, mimo wszystko musiał znać prawdę!

Nielatwo było rozmawiać z Vivian nie zdradzając się z własnymi myślami. Wczoraj wieczorem, gdy siedzieli sami w jej pokoju – druga pacjentka została wypisana i na razie sąsiednie łóżko było wolne – Vivian żartowała z jego strapionej miny.

Smakując winogrona, które jej przyniósł, rzekła: – Wiem, co się stało. Boisz się, że zostałeś usidlony i nie będziesz mógł skakać z łóżka do łóżka.

– Nigdy nie skakałem z łóżka do łóżka – usiłowałem dostosować się do jej nastroju. – To nie jest takie proste, trzeba się dobrze starać.

– O mnie się tak bardzo nie starałeś?.

– Z tobą było inaczej, po prostu tak wyszło.

– Wiem... – i dorzuciła radośnie: – W każdym razie nie ma co marzyć, że uda się panu z tego wyplątać, doktorze Michaelu Seddons. Nie mam zamiaru wypuścić cię z rąk, nigdy.

W odpowiedzi pocałował ją, tuląc mocno, z uczuciem, o które nigdy siebie nie podejrzewał. Przesunęła twarz i nosem potarła jego ucho. Na policzku poczuł jej miękkie, pachnące włosy.

Powiedziała cichutko: – I jeszcze jedno doktorze, trzymaj się z daleka od studentek; są okropnie nieprzyzwoite.

– Naprawdę? – znowu zareagował z wesołością, choć wcale nie było mu do śmiechu. Odsunął ją od siebie. – Dlaczego nikt mi tego wcześniej nie powiedział?

Miała na sobie cienki, błękitny szlafroczek, rozchylony na piersiach. Pod spodem zobaczył nylonową przejrzystą koszulę tego samego koloru. Naraz uświadomił sobie z zapartym tchem, jak jest młoda i piękna.

Vivian spojrzała na drzwi. Były zamknięte.

– Dzisiaj są zajęte w dyżurce, powiedziały mi o tym. Przez co najmniej godzinę nikt się tu nie pojawi...

Na chwilę go zamurowało, a potem roześmiał się ponownie, urzeczony jej otwartością:

– Chcesz tutaj? Teraz?

– Dlaczego nie?

– Gdyby ktoś wszedł, wyrzuciliby mnie ze szpitala.

– Pewnego wieczoru tak bardzo się tym nie przejmowałeś – stwierdziła łagodnie.

Gładziła jego twarz. Odruchowo pochylił się i pocałował ją w szyję. Przesuwając usta w dół

usłyszał jej przyspieszony oddech; palce Vivian zaciskały się na jego ramieniu.

Chwilę walczył z pokusą, lecz w końcu zwyciężył rozsądek. Objął dziewczynę i szepnął czule: – Jak się to skończy, kochanie, będziemy skazani wyłącznie na siebie. I nikt nie będzie liczył czasu...

To było wczoraj, a dziś po południu, na piętrze operacyjnym, Lucy Grainger przeprowadzi biopsję. Mikę Seddons spojrział na zegarek. Była 14,30. Zgodnie z harmonogramem, powinni właśnie zaczynać. Jeśli na patologii się pośpieszą, odpowiedź może być znana już jutro. Z żarliwością równie absurdalną, co oczywistą modlił się w duchu: „*Panie Boże, błagam, niech nie będzie złośliwy!*”.

Anestezjolog skinął głową.

– Jeśli jesteś gotowa, Lucy, zaczynamy...

Doktor Lucy Grainger w fartuchu i rękawiczkach podeszła do stołu operacyjnego. Uśmiechając się do Vivian powiedziała serdecznie: – To nie potrwa długo i nic nie poczujesz...

Vivian próbowała odpowiedzieć uśmiechem, wyrażającym pełne zaufanie, lecz nic jej z tego nie wyszło. Może z powodu ogarniającej senności – wiedziała, że dali jej jakiś środek uspokajający, a także znieczulenie zewnątrzoponowe, które pozbawiło ją czucia w dolnej części ciała.

Lucy kiwnęła w stronę stażysty asystującego przy operacji, a on podniósł nogę Vivian. Wtedy zaczęła odwijać prześcieradła, w które noga była owinięta. Nieco wcześniej, zanim dziewczynę przywieziono na salę operacyjną, nogę ogolono, dokładnie umyto i wysmarowano środkiem antyseptycznym. Lucy posmarowała ją jeszcze raz i położyła świeże sterylne prześcieradła nad i pod kolaniem.

Po drugiej stronie stołu operacyjnego stała instrumentariuszka, trzymając złożone prześcieradło zielonego koloru. Lucy chwyciła je z jednej strony i razem nakryły stół, umieszczając otwór w prześcieradle dokładnie nad kolaniem Vivian. Anestezjolog przymocował brzeg prześcieradła do metalowego pręta, który znajdował się nad jej głową, tym samym uniemożliwiając dziewczynie widzenie części sali. Spojrział na nią i rzekł: – Proszę się nie denerwować, panno Loburton. To naprawdę nie gorsze niż usuwanie zęba, za to mniej krępujące.

– Proszę nóż – Lucy wyciągnęła rękę do instrumentariuszki, która podała jej skalpel. Wybrzuszoną częścią ostrza wykonała tuż pod kolaniem szybkie, zdecydowane nacięcie długości około czterech centymetrów; natychmiast pojawiła się krew.

Peany – instrumentariuszka była już na to przygotowana i Lucy błyskawicznie zatamowała dwie małe strużki.

– Proszę związać, dobrze? – Lucy odsunęła się, by stażysta mógł założyć podwiązki.

Asystent kiwnął głową, a Lucy przyłożyła skalpel do grubej włóknistej tkanki nad kością i nacięła ją głęboko.

– Przygotować piłę.

Instrumentariuszka podała Lucy piłkę Strykera, a pielęgniarka chwyciła kabel, by nie opadał na stół operacyjny.

Chcąc, by stażysta wyniósł z tego jak największą korzyść, Lucy wyjaśniała dalej: – Weźmiemy z kości wycinek w kształcie klina. Pół do trzech czwartych cała powinno wystarczyć – spojrzała na zdjęcia umieszczone na podświetlonym ekranie w drugiej części sali. – Tylko musimy być pewni, że bierzemy próbkę guza, a nie zdrowej kości, która została przez niego wypchnięta.

Lucy włączyła piłę i dwukrotnie przyłożyła do kości. Za każdym razem słychać było ciche chrupnięcie. Wyłączyła urządzenie i oddała.

– No, myślę, że wystarczy. Peseta!

Energicznie wyjęła fragment kości i wrzuciła do małego słoja z roztworem Zenkera, podanego przez pielęgniarkę. Teraz wycinek – opisany, z dołączonym zleceniem wykonania badań – powędruje na oddział patologii.

Anestezjolog zapytał Vivian: – Wszystko w porządku?

– Przytaknęła.

– Już niedługo – rzekł. – Wycinek został pobrany. Jeszcze tylko trzeba zeszyć ranę.

Lucy właśnie zszywała okostną. Rozmyślała. Gdyby na tym się kończyło, wszystko byłoby proste. Ale to zaledwie materiał do badań; następny krok będzie zależał od diagnozy, jaką postawi Joe Pearson.

Myśląc o Pearsonie Lucy przypomniała sobie słowa Kenta O'Donnella, że dzisiaj ma przyjechać nowy zastępca kierownika oddziału patologii. Miała nadzieję, że dobrze się ułoży między nim a Pearsonem – ze względu na O'Donnella, a także z wielu innych powodów.

Lucy ze zrozumieniem odnosiła się do starań Kenta, który chciał przeforsować w szpitalu pewne posunięcia, nie wywołując przy tym większych wstrząsów, choć z własnych obserwacji wiedziała, że nigdy nie uciekałby od otwartych polemik, gdyby okazało się to konieczne. Znowu

przyląpała się, że myśli o Kencie O'Donnellu. To dziwne, ale ostatnio ciągle siedzi jej w głowie. Pewnie dlatego, że razem pracują; do rzadkości należały dni, by się nie spotkali podczas dyżuru na chirurgii. Ciekawe, kiedy znów zaprosi ją na kolację? A może ona przygotowuje niewielkie party w swoim mieszkaniu? Od jakiegoś czasu miała ochotę zaprosić parę osób, w tym Kenta O'Donnella.

Lucy pozwoliła stażystce zeszyć tkankę podskórną.

– Zrób to szwami węzełkowymi, powinno wystarczyć. Obserwowała, jak pracuje – powoli acz dokładnie. Wiedziała, że niektórzy chirurdzy w Trzech Hrabstwach tylko sporadycznie zgadzają się, by stażystci próbowali swoich sił i umiejętności podczas operacji. Pamiętała, że sama wiele razy sterczała przy stole zabiegowym, mając nadzieję, że uda jej się przynajmniej poćwiczyć wiązanie szwów.

Działo się to w Montrealu – całe trzynaście lat temu, gdy zaczął staż w Montreal General; później została tam, by specjalizować się w chirurgii ortopedycznej. Niejednokrotnie zastanawiała się, dlaczego tak często wyborem specjalności powoduje ślepy los. Dużo zależy od przypadków chorobowych, z którymi młody stażysta ma styczność. Jeśli chodzi o nią, to w McGill, szkole przygotowującej do studiów medycznych, a później na Uniwersytecie w Toronto, interesowała się różnymi specjalnościami. Nawet po powrocie do Montrealu nie potrafiła się zdecydować, czy w ogóle ma wybrać jakąś specjalizację, czy też może zająć się praktyką ogólną. I wówczas przypadek sprawił, że przez pewien okres pracowała z chirurgiem, znanym powszechnie w szpitalu pod przezwiskiem Kościanego Dziadka, a to z powodu bzika na punkcie ortopedii.

Gdy Lucy go poznała, Kościany Dziadek miał około sześćdziesięciu pięciu lat. Pod względem zachowania i osobowości był jedną z najbardziej nieznośnych osób, jakie poznała. Prawie każda klinika ma swoje primadonny, Kościany Dziadek skupiał w sobie wszystkie ich wady. W szpitalu systematycznie obrażał wszystkich: stażystów, rezydentów, własnych kolegów, pacjentów; wszystkich bez wyjątku. W sali operacyjnej, jeśli tylko ktoś ośmielił się wyrazić odmienne zdanie, obrzucał obelgami pielęgniarki i asystentów używając języka rysztołów i spelunek. Gdy podano mu instrument inny niż tego chciał, zazwyczaj ciskał nim w winowajcę; będąc w trochę lepszym nastroju, rzucał przyrzędem o ścianę.

Pomijając całe to przedstawienie, Kościany Dziadek był mistrzem chirurgii. Zajmował się głównie usuwaniem zniekształceń kostnych u kalekich dzieci. Jego spektakularne sukcesy

zyskały mu światową sławę. Swych obyczajów nie zmienił nigdy i nawet dzieci traktował z równą brutalnością jak dorosłych. Jednak u swoich małych pacjentów rzadko budził lęk. Lucy wielokrotnie medytowała, czy przypadkiem instynkt dziecka nie jest lepszym barometrem niż odczucia dorosłych.

To właśnie Kościany Dziadek zdecydował o przyszłości Lucy. Gdy po raz pierwszy zobaczyła, czego może dokonać chirurgia ortopedyczna, sama postanowiła tym się zająć. Została w Montreal General na trzy lata stażu, asystując sędziwemu lekarzowi, gdy tylko nadarzyła się okazja. Naśladowała go we wszystkim oprócz zachowania, które nie zmieniło się nawet wobec niej; chociaż pod koniec okresu stażowego szczyła się, że pokrzykiwał na nią dużo rzadziej niż na pozostałych.

Od tamtej pory, prowadząc samodzielną praktykę, Lucy odnosiła już własne sukcesy. Obecnie w Burlington – dzięki temu, że inni lekarze kierowali do niej swoich pacjentów – należała do najbardziej zapracowanych osób spośród całego personelu medycznego Trzech Hrabstw. Jeden jedyny raz wróciła jeszcze do Montrealu – na pogrzeb Kościanego Dziadka. Mówiło się, że był to jeden z najokazalszych pogrzebów, jaki – w przypadku lekarza – to miasto kiedykolwiek widziało. Właściwie wszyscy, którym staruszek kiedykolwiek ubliżył przyszli do kościoła.

Wróciła myślami do teraźniejszości. Biopsja już prawie ukończona. Na znak Lucy stażysta zsztywniał, także szwami pojedynczymi. Spojrzała na zegar na ścianie: cała operacja trwała pół godziny; dochodziła trzecia po południu.

Było siedem minut przed piątą, gdy szesnastoletni goniec wszedł do laboratorium serologicznego tanecznym krokiem, kołysząc biodrami i pogwizdując. Zawsze tak robił, wiedząc, że doprowadza tym Bannistera do furii, a prowadził z nim wieczną wojnę. Jak zwykle, laborant podniósł wzrok i burknął: – Ostatni raz ci mówię, żebyś przestał robić tyle rabanu, jak wchodzisz...

– Cieszę się, że to ostatni raz – chłopak wcale nie przejął się jego słowami. – To pańskie zrzęczenie działało mi trochę na nerwy – i ponownie zaczął gwizdać, wyciągając przed siebie tacę z próbkami krwi, którą przyniósł z ambulatorium. – Gdzie mam położyć tę krew, panie Drakula?

John Alexander uśmiechnął się, ale Bannister nie wyglądał na rozbawionego.

– Dobrze wiesz, mądralo – wskazał miejsce na jednej z ław.

– Postaw tam...

– Tak jest, kapitanie – chłopak położył tacę z przesadną ostrożnością i dla żartu zasalutował.

Potem zakołysał biodrami i ruszył w stronę drzwi nucąc:

Hej, spójrz na dom, gdzie wirus krąży, gdzie insekt płąsa i mikroby, gdzie ryk wampira mózgi drąży, a próbki stoją dla ozdoby.

Drzwi zatrzasnęły się i głos zniknął na korytarzu.

Alexander roześmiał się, ale Bannisterowi żarty gońca się nie podobały: – Nie śmiej się, bo będzie jeszcze gorszy – podszedł do ławki, podniósł tacę z próbkami i rzucił okiem na dołączoną kartkę. W połowie drogi zatrzymał się.

– O, tu jest próba krwi jakiejś pani Alexander. Czy to twoja żona? Alexander odłożył pipetę i podszedł do Bannistera.

– Chyba tak. Doktor Dornberger zlecił jej wykonanie próby uczuleniowej – wziął do ręki arkusz ze zleceniem i przyjrzał mu się:

– Tak, to Elizabeth.

– Ale tu jest napisane: określić grupę krwi i zrobić próbę uczuleniową – rzekł Bannister.

– Widocznie doktor Dornberger chce się jeszcze upewnić. Elizabeth ma Rh minus... – i dodał po namyśle: – ... ja Rh plus.

Serdecznie acz z ojcowską wyższością, którą usprawiedliwiała ogromna wiedza i doświadczenie, Bannister stwierdził: – Cóż, w większości wypadków nie ma z tym żadnych kłopotów.

– Tak, wiem. Mimo wszystko każdy chce mieć pewność.

– Tu jest próbka – Bannister wyjął próbkę z napisem „Pani E. Alexander” i podał koledze.

– Czy sam chcesz zrobić analizę?

– Tak, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu. Bannister nigdy nie oponował, gdy ktoś chciał wykonać robotę, która właściwie należała do niego, więc odparł: – W porządku – i patrząc na zegar dodał: – Dzisiaj już tego nie zrobisz. Koniec dniówki – włożył na powrót próbkę do statywu i wręczył tacę Alexandrowi. – Lepiej odłóż to do jutra.

Alexander schował próbki do lodówki. Zamykając drzwiczki stanął w zamyśleniu.

– Carl, już dawno chciałem cię o coś zapytać...

Bannister zajęty był porządkowaniem laboratorium. Lubił wychodzić punktualnie o piątej. Nie odwracając głowy zapytał:

– W czym rzecz?

– Myślałem o próbach uczuleniowych, które tu wykonujemy...

– Dlaczego?

Alexander starannie wyważał słowa. Od początku zdawał sobie sprawę, że z powodu swojego wykształcenia może wzbudzić niechęć u ludzi pokroju Bannistera. Jak zawsze do tej pory, starał się go nie urazić.

– Zauważyłem, że wykonujemy tylko dwie próby – jedną w fizjologicznym roztworze soli, drugą bogatobiałkową...

– No i co?

– Cóż... – nieśmiało kontynuował John – czy ograniczanie się do tych dwóch prób nie jest trochę... anachroniczne?

Bannister skończył sprzątanie. Podeszedł do stołu i wycierając dłonie papierowym ręcznikiem zapytał drwiąco: – Może byś mi powiedział dlaczego? i Alexander zignorował kąśliwość w jego głosie. Problem był zbyt poważny.

– W większości laboratoriów robi się jeszcze trzecią próbę, próbę pośrednią Coombsa, zaraz po próbie w soli.

– Jaką?

– Pośrednią Coombsa.

– Co to jest?

– Żarty sobie stroisz? – wypowiadając te słowa zrozumiał, że popełnił błąd taktyczny. Ale zareagował impulsywnie przekonany, że każdy technik serolog powinien o tym słyszeć.

– Nie musisz się tak mądrzyć – zachnął się Bannister. Chcąc szybko naprawić pomyłkę, Alexander rzekł: – Przepraszam cię, Carl, nie chciałem, żeby tak to wyszło... Bannister zmiął ręcznik i wrzucił do kosza.

– Ale wyszło... – pochylił się gwałtownie; w jego łysinie odbijała się zapalona żarówka. – Słuchaj stary, powiem ci coś dla twojego własnego dobra. Dopiero skończyłeś szkołę i nie wiesz jednego: że niektóre rzeczy, którymi tam cię karmili, po prostu nie sprawdzają się w praktyce.

– To nie jest tylko teoria, Carl – kontynuował Alexander, zapominając o niedawnej gafie. – Dowiedziono, że niektórych przeciwciał we krwi ciężarnej kobiety nie wykryje ani roztwór solny ani bogatobiałkowy.

– A jak często to się zdarza? – Bannister zadał pytanie, nie kryjąc pewności siebie, jakby

z góry znał odpowiedź.

– Bardzo rzadko.

– No, widzisz...

– Ale to wystarczy, aby tę trzecią próbę uznać za równie ważną – Alexander zachowywał się natarczywie, starając się przełamać niechęć Bannistera do zapoznania się z problemem. – Właściwie jest to niezwykle prosty test. Po skończonej próbie w soli bierzesz tę samą próbkę...

– Odłóż swój wykład na kiedy indziej – uciął krótko Bannister. Zrzucając fartuch sięgnął po marynarkę wiszącą przy drzwiach.

Choć wiedział, że nie wygra w tej sprzeczce, Alexander ciągnął dalej: – Nie ma z tym zbyt dużo roboty. Sam chętnie ją wykonam. Potrzebna jest tylko surowica poliglobulinowa. To prawda, wówczas badania są trochę droższe...

Na tym gruncie Bannister czuł się pewnie. Teraz lepiej wiedział, o czym rozmawiają.

– Ach, tak – odparł sarkastycznie. – Pearson będzie zachwycony. Rozmowa o podwyższeniu kosztów – to dopiero będzie bomba sezonu.

– Czy ty nic nie rozumiesz? W przeciwnym razie test nie będzie wiarygodny – Alexander mówił z przejęciem, bezwiednie podnosząc głos. – Te dwie próby, które my wykonujemy, mogą dać wynik negatywny, a mimo to krew matki może zawierać przeciwciała i przez to stanowić niebezpieczeństwo dla dziecka. W ten sposób można zabić noworodka...

– To nie twoje zmartwienie – głos Bannistera brzmiał ostro, niemal bezwzględnie.

– Ale...

– Żadnego ale! Pearson nie pali się do wprowadzania żadnych innowacji, zwłaszcza gdy są kosztowne – Bannister zawahał się; ton jego głosu stał się mniej agresywny. Zdał sobie sprawę, że za minutę wybije piąta, więc chciał możliwie szybko zakończyć i wyjść. – Posłuchaj chłopcze, dam ci dobrą radę. Obaj nie jesteśmy lekarzami; niech im się wydaje, że wiemy mniej niż oni. Jesteśmy laborantami i mamy robić tylko to, co nam każą.

– Ale to nie znaczy, że mamy przestać myśleć, prawda? – teraz Alexander rozgniewał się. – Wiem tylko, że chciałbym, aby mojej żonie wykonano próbę nie tylko w solance i proteinie, ale też w surowicy poliglobulinowej. Ciebie to może nie obchodzi, ale dla nas to dziecko jest bardzo ważne.

Starszy mężczyzna stojąc przy drzwiach, bacznie przyjrzał się Johnowi. Dopiero teraz

dotarło do niego coś, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy: ten chłopak to intrygant. Co gorsza intryganci mieli zwyczaj wciągać innych ludzi w kłopotliwe sytuacje. Może trzeba by temu mędrkowi z dyplomem pozwolić, żeby sam się podłożył?

– Powiedziałem ci, jakie jest moje zdanie. Jeśli ci się nie podoba, idź do Pearsona. Powiedz mu, że nie odpowiada ci tutejszy styl pracy...

Alexander popatrzył na starszego kolegę i odparł łagodnie: – Możliwe, że tak zrobię.

Bannister szyderczo wyduł wargi.

– Jak sobie chcesz. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałem... Zerknął na zegar i wyszedł, zostawiając Johna samego w laboratorium.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Doktor David Coleman stanął przed głównym wejściem do Szpitala Trzech Hrabstw, by się rozejrzeć. Było pięć po ósmej, a ciepły sierpniowy poranek zapowiadał gorący i parny dzień. W tej chwili przed szpitalem panował niewielki ruch. Jedyne osoby znajdujące się w zasięgu wzroku byli dozorca, który właśnie gumowym węzłem splukiwał z dziedzińca wczorajszy kurz, oraz pielęgniarka w średnim wieku, która wysiadła z autobusu po przeciwnej stronie ulicy. Przypuszczał, że właściwa krzątanka zacznie się nie wcześniej niż za godzinę.

Coleman zlustrował budynki, należące do Szpitala Trzech Hrabstw. To pewne, uznał, że twórców szpitala nie można posądzić o nadmierną gorliwość w wydawaniu pieniędzy na estetykę obiektu. Architektura miała charakter wybitnie użytkowy; fasady z surowej cegły, bez żadnych upiększeń. W efekcie powstało kilka typowych prostokątów: ścian, okien, drzwi. Jedyne w pobliżu głównego wejścia konwencja została naruszona – tu kamień węgielny głosił: „Położony przez czcigodnego Burmistrza Hugo Stoutinga. Kwiecień 1918”. Wchodząc po schodach David Coleman rozmyślał, jakim naprawdę człowiekiem był ów dawno zapomniany urzędnik miejski.

Gdy Coleman zapukał do gabinetu patologa, Carl Bannister akurat segregował papiery na biurku doktora Pearsona.

– Dzień dobry.

Starszy laborant podniósł wzrok, zaskoczony: trochę za wcześnie na gości. Prawie wszyscy

pracownicy szpitala wiedzieli, że Joe Pearson rzadko pojawia się przed dziesiątą, a czasami nawet później.

– Dzień dobry – odpowiedział na pozdrowienie, lecz niezbyt uprzejmym tonem. Wczesnym rankiem Bannister rzadko bywał w dobrym humorze. – Szuka pan doktora Pearsona?

– W pewnym sensie. Dzisiaj zaczynam tu pracę – i widząc zdziwienie swojego rozmówcy, dodał: – Nazywam się doktor Coleman.

Jego reakcja, pomyślał Coleman, przypomina mi zachowanie kury, pod którą podłożono ogień bengalski. Bannister rzucił papiery i niemal biegiem okrążył biurko.

– Och, przepraszam, panie doktorze. Nie zorientowałem się. Wiedziałem, że pan przyjeżdża, lecz nie miałem pojęcia, że tak szybko.

– Doktor Pearson spodziewa się mnie. Czy może już jest? Bannister prawie osłupiał.

Za wcześnie na niego. Przyjdzie dopiero za dwie godziny – wykrzywił twarz w konfidenyjnym męsko-męskim uśmiechu, jakby chciał powiedzieć: spodziewam się, że ty także dostosujesz się do tej pory, kiedy pierwsze lody zostaną już przełamane.

– Rozumiem.

Gdy Coleman rozglądał się po pomieszczeniu, Bannister uświadomił sobie, że o czymś zapomniał.

– Och, przy okazji, panie doktorze, nazywam się Carl Bannister, jestem starszym laborantem – po chwili dodał z ostrożną jowialnością: – Sądzę, że będziemy się dość często spotykać...

Bannister nie miał zwyczaju zadzierać z kimś, kto zajmował wyższe stanowisko niż on sam.

Też tak uważam... – Coleman nie był wcale przekonany, że ten pomysł przypadł mu do gustu, ale uścisnął dłoń Bannisterowi, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu wieszaka. Zabrał z sobą płaszcz przeciwdeszczowy, gdyż z porannej prognozy wynikało, że w ciągu dnia będą przelotne burze. Bannister był gotów do usług.

– Pozwoli pan, że wezmę płaszcz – odszukał metalowy wieszak i z niezwykłą starannością powiesił płaszcz na stojaku obok drzwi.

– Dziękuję.

– Naprawdę nie ma za co, panie doktorze. Czy chciałby pan, abym oprowadził go po laboratoriach?

Coleman zawahał się; może powinien poczekać na doktora Pearsona, z drugiej jednak strony, dwie godziny to okropnie długo na bezczynne siedzenie, a przecież w tym czasie można byłoby

coś zrobić. Laboratoria i tak przejdą pod jego nadzór, więc co za różnica.

– Obejrzałem już niektóre z nich w towarzystwie doktora Pearsona, będąc tutaj przed paroma tygodniami. Ale chętnie zajrzę tam jeszcze raz, oczywiście, jeśli nie jest pan zbyt zajęty.

– Cóż, u nas zawsze jest dużo pracy, doktorze. Ale chętnie wykroję dla pana trochę czasu. – Będzie to dla mnie duża przyjemność.

Sposób myślenia Bannistera był niewiarygodnie klarowny.

– Tędy proszę – Bannister otworzył drzwi do laboratorium serologicznego i wpuścił przed siebie Colemana. John Alexander, który nie widział Bannistera od wczorajszej sprzeczki, spojrzął znad wirówki, w której właśnie umieścił próbki krwi.

– Panie doktorze, to jest John Alexander, pracuje u nas od niedawna – Carl Bannister gorliwie wypełniał swoją rolę gospodarza. Dodał żartobliwie: – Jeszcze zielony, dopiero po szkole, co John?

– Skoro tak twierdzisz – odparł Alexander z niechęcią, do żywego dotknięty jego protekcyjnym tonem. Nie chciał jednak być niegrzeczny.

Coleman podszedł i podał mu rękę.

– Nazywam się doktor Coleman.

Witając się z nim Alexander zapytał nie kryjąc ciekawości: – Jest pan nowym patologiem, panie doktorze?

– Tak – Coleman przypatrywał się otoczeniu, uznając, jak za poprzedniej wizyty, że to miejsce wymaga rozlicznych ulepszeń.

Bannister odezwał się wylewnie: – Proszę się rozejrzeć, panie doktorze, gdziekolwiek tylko pan sobie życzy...

– Dziękuję – i zwracając się do Alexandra spytał: – Nad czym pan pracuje?

– Nad próbą uczuleniową krwi – John wskazał na wirówkę. – Akurat ta należy do mojej żony.

– Rozumiem – Coleman skonstatował, że ten młody laborant robi znacznie lepsze wrażenie niż Bannister. Choćby z powierzchowności.

– Kiedy pańska żona spodziewa się dziecka?

– Mniej więcej za cztery miesiące, panie doktorze – Alexander ustawił i włączył wirówkę, później nastawił zegar. Coleman zauważył, że porusza się szybko i oszczędnie; ruchy rąk tego młodego człowieka charakteryzowały się niezwykłą płynnością. Alexander zapytał uprzejmie: –

A pan jest żonaty, panie doktorze?

– Nie – Coleman potrząsnął głową.

Alexander miał już zadać kolejne pytanie, lecz wyglądało, że zmienił zdanie.

– Chciał pan o coś spytać?

Zapadła chwilowa cisza, po czym John Alexander zdecydował się mówić: – Tak, panie doktorze. Mam pytanie.

Wszystko jedno, narazi się na kłopoty czy nie, pomyślał Alexander, przynajmniej otwarcie podzieli się swoimi wątpliwościami. Po wczorajszej rozmowie z Bannisterem wahał się, czy nie dać sobie spokoju z tymi dodatkowymi testami. Doskonale pamiętał, jaką reprimendę dostał od doktora Pearsona, gdy ośmielił się sam coś zaproponować, jednak ten nowy lekarz zdawał się być bardziej przystępny. Nawet jeśli uzna, że Alexander nie ma racji, z pewnością obejdzie się bez awantury. Zaryzykował: – Chodzi o badania krwi, jakie tu wykonujemy – myślę o próbach uczuleniowych.

Mówiąc to zdawał sobie sprawę z obecności Bannistera; stary laborant przechylał łysą głowę to w jedną, to w drugą stronę, starając się niczego nie stracić z treści rozmowy. Teraz rozwścieczony ruszył z miejsca, z zamiarem doprowadzenia Alexandra do porządku.

– Słuchaj, no! Jeśli to znowu wczorajsza śpiewka, to lepiej nie zaczynaj!

– A o czym wczoraj rozmawialiście? – spytał zaintrygowany Coleman.

Ignorując jego słowa Bannister nie przestawał pouczać Alexandra: – Nie życzę sobie, by doktorowi Colemanowi zwracano głowę takimi bzdurami, zważywszy że przebywa u nas od pięciu minut. Zapomnij o tym! Zrozumiałeś? – Bannister odwrócił się do Colemana z uśmiechem, który bezwiednie zajaśniał na jego twarzy: – Ma jakąś obsesję, doktorze... A teraz, jeśli pan pozwoli, pokażę panu nasze laboratorium histologiczne – położył dłoń na ramieniu Colemana, chcąc go odciągnąć od laboranta.

Przez kilka sekund Coleman nie reagował, a potem wystudiowanym gestem zdjął rękę Bannistera ze swojego rękawa.

– Chwileczkę – rzekł spokojnie, po czym odezwał się do Johna: – Czy to problem medyczny? – Związany z laboratorium?

Alexander nie zwracając uwagi na zagniewaną minę Bannistera odparł: – Tak.

– W porządku. W takim razie posłuchajmy...

Wszystko zaczęło się od tego testu na próbę uczuleniową mojej żony. Ona ma ujemne Rh,

a ja dodatnie...

Coleman uśmiechnął się.

– Dotyczy to bardzo wielu ludzi. To żaden problem, pod warunkiem że próba uczuleniowa daje wynik negatywny.

– O to właśnie chodzi, panie doktorze – o testy.

– Nie rozumiem – Coleman zdumiał się. Nie bardzo wiedział, do czego zmierza młody laborant.

– Uważam, że na próbkach uzyskanych z testów solankowych i bogatobiałkowych powinniśmy wykonywać pośredni test Coombsa..

– Oczywiście.

Nastąpiła cisza, którą przerwał Alexander: – Czy mógłby pan jeszcze raz powtórzyć, panie doktorze?

– Powiedziałem: oczywiście. Powinno się wykonywać pośredni test Coombsa – Coleman ciągle nie widział sensu, żeby o tym dyskutować. W laboratorium serologicznym była to rzecz elementarna, podstawowa.

– Ale my nie robimy tego testu – Alexander spojrzał triumfalnie na Bannistera. – Panie doktorze, tutaj próbę Rh wykonuje się tylko w roztworze soli i proteinie. Surowicy poliglobulinowej w ogóle się nie używa.

W pierwszej chwili Coleman doszedł do wniosku, że Alexander się myli. Najwidoczniej młody laborant pracuje od niedawna, nic więc dziwnego, że nie jest we wszystkim zorientowany. Jednakowoż chłopak przedstawiał swoje racje z takim przekonaniem. Coleman zwrócił się do Bannistera: – Czy to prawda?

– Próby wykonujemy zgodnie z poleceniem doktora Pearsona – technik laborant wyraźnie dał do zrozumienia, że cała rozmowa jest zwyczajną stratą czasu.

– Być może doktor Pearson nie wie, jakie próby Rh wykonujecie.

– Dobrze wie – tym razem Bannister pozwolił sobie na złośliwość. Z tymi nowymi zawsze jest tak samo. Nie ma pięciu minut, jak pracują, a już pojawiają się kłopoty. Starał się być uprzejmy wobec tego doktora, a on tak mu się odpląca. Cóż, jedno jest pewne – Joe Pearson pokaże mu wkrótce, gdzie jego miejsce. Bannister miał nadzieję, że będzie mógł w tym uczestniczyć.

Coleman postanowił nie zwracać uwagi na starszego laboranta. Chce czy nie jakiś czas musi

z nim współpracować. Jednak ten problem trzeba rozstrzygnąć natychmiast.

– Wydaje mi się, że nie do końca rozumiem. Na pewno pan wie, że we krwi ciężarnej kobiety niektóre przeciwciała nie zostaną wykryte ani w próbie solnej, ani proteinowej. Jedynie test Coombsa może to wyjaśnić.

Alexander wtrącił się: – Właśnie o tym mówiłem. Bannister milczał.

– W każdym razie – kontynuował Coleman – kiedyś wspomnę o tej sprawie doktorowi Pearsonowi.– Jestem pewien, że o niczym nie wiedział.

– A co z dzisiejszą próbą? – zapytał Alexander. – I następnymi?

– Proszę je wykonać w trzech zawieszinach: solance, białku i odczynie Coombsa.

– W laboratorium nie ma odczynu Coombsa, panie doktorze.

Alexander cieszył się, że poruszył ten temat. Nowy patolog podobał mu się, może wreszcie coś się zmieni na ich oddziale. Do licha, pomyślał, dużo przydałoby się zmienić.

– No, to kupcie – rzekł Coleman ożywiając się. – Tego nigdzie nie brakuje.

– Nie możemy ot, tak chodzić i kupować – wyjaśnił Bannister.

– Trzeba najpierw wypisać zlecenie – uśmiechnął się z wyższością.

W końcu znalazło się coś, czego te młokosy nie wiedzą.

Coleman starał się panować nad nerwami. Już niedługo będzie musiał postawić wszystko na ostrzu noża. Nie miał zamiaru tolerować takiego zachowania. Pierwszy dzień pracy nie był do tych celów najlepszy. Powiedział więc dość grzecznie, ale stanowczo: – Poproszę o formularz. Myślę, że mogę go podpisać. Po to tu jestem, między innymi...

Przez krótką chwilę laborant wahał się. Potem otworzył szufladę, wyciągnął bloczek i wręczył Colemanowi.

– Mógłbym dostać coś do pisania?

Bannister niechętnie podał ołówek i rzekł: – Doktor Pearson lubi osobiście sporządzać zamówienia.

Coleman nabazgrał zlecenie i podpisał je, dodając z chłodnym, wymuszonym uśmiechem: – Spodziewam się, że będę miał tu okazję podejmować dużo bardziej odpowiedzialne decyzje niż ta zlecenie na zakup króliczej surowicy za piętnaście dolarów.– Proszę...

Gdy oddawał druki i ołówek, w drugim końcu pokoju zadzwonił telefon.

Dla Bannistera był to świetny pretekst, by się odwrócić. Twarz miał poczerwieniałą z gniewu i rozczarowania. Podniósł słuchawkę, chwilę słuchał, rzucił krótką odpowiedź i rozłączył się.

– Muszę iść do przychodni – wymamrotał prawie niezrozumiale do Colemana. Ten odparł lodowatym głosem: – Może pan odejść.

Ów incydent rozgniewał Colemana bardziej, niż mu się wydawało. Jakaż tu panowała dyscyplina, skoro laborant pozwalał sobie na takie zuchwalstwo? Uchybienia w pracy były rażące, a tu, chcąc je naprawić, spotyka się sprzeciw kogoś takiego jak Bannister – nie, to nie do zniesienia. Jeśli tak się rzeczy mają, niewykluczone, że cały oddział Patologii jest w głębszym rozkładzie, niż można by sądzić.

Po wyjściu Bannistera zaczął się rozglądać baczniej po pokoju. Zużyty sprzęt, stare typy różnych urządzeń – to od razu rzuciło się w oczy. Dopiero teraz zauważył, że całe pomieszczenie było w opłakanym stanie. Stoły i ławy zarzucone bezładnie różnego rodzaju aparaturą i chemikaliami. Zwrócił uwagę na stos brudnych naczyń i stertę pożółkłych papierów. Przechadzając się po laboratorium dostrzegł, że część stołu do analiz została zaatakowana przez grzyb. Alexander z drugiego końca pokoju śledził z zażenowaniem całą tę inspekcję.

– Zawsze tutaj tak wygląda? – zapytał Coleman.

– Nie jest zbyt czysto, prawda? – Alexander zaczerwienił się ze wstydu. Jednak nie mógł się przyznać, że proponował Bannisterowi zrobienie porządków, ale ten stanowczo zaoponował.

– Delikatnie mówiąc... – Coleman przejechał palcem po półce; pokrył się kurzem. Pomyślał zdegustowany: to wszystko wymaga zmian. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że musi z tym trochę poczekać. Wiedział już, że z ludźmi należy postępować ostrożnie; jego własne doświadczenia nauczyły go, że są granice, które łatwo można przekroczyć. Tak czy inaczej – trudno mu będzie utrzymać w karchach własną niecierpliwość, szczególnie przy tak widocznym bałaganie, tuż pod nosem.

Przez jakiś czas John Alexander uważnie przyglądał się Colemanowi. Jak tylko nowy lekarz wszedł z Bannisterem do pokoju, od razu wydał mu się kimś znajomym. Był młody, prawdopodobnie niewiele starszy od Alexandra, ale raczej nie o to chodziło. John odezwał się: – Panie doktorze, przepraszam za śmiałość, ale mam wrażenie, że już gdzieś się spotkaliśmy.

– Możliwe – Coleman silił się na obojętność. Nie chciał, aby Alexandrowi przyszło do głowy, że stając po jego stronie uznał, że istnieje między nimi swego rodzaju porozumienie. Jednak zdał sobie – sprawę, że zachowuje się zbyt chłodno, więc dodał: – Staż odbywałem w Bellevue, potem byłem w Walter Reed i Massachusetts General.

– Nie, to nie to – pokręcił głową Alexander. – Chyba wcześniej. Czy był pan kiedykolwiek

w stanie Indiana? W New Richmond?

- Tak – odparł zaskoczony. – Tam się urodziłem. John Alexander pojaśniał na twarzy.
- Powinienem być skojarzyć nazwisko. Pański ojciec to... doktor Byron Coleman?
- Skąd pan wie? – już dawno nikt, oprócz niego samego, nie wymieniał nazwiska ojca.
- Ja też pochodzę z New Richmond, i moja żona.
- Naprawdę? Czy tam się poznaliśmy?

W społeczności miasta New Richmond John Alexander stał o kilka szczebli niżej od syna lekarza. Uświadamiając sobie ów fakt, usłyszał „pik” zegara wirówki. Przerwał rozmowę, by wyjąć próbkę, po czym ciągnął dalej: – Mój ojciec był farmerem. Mieszkaliśmy kilka mil za miastem. Ale może pan pamiętać moją żonę, jej rodzice prowadzili sklep z narzędziami. Nazywa się Elizabeth Johnson.

Coleman zamyślił się.

- Tak, wydaje mi się, że pamiętam. Coś z nią chyba było... miała jakiś wypadek, prawda?
- Tak. Jej ojciec zginął wówczas na przejeździe kolejowym w samochodzie. Elizabeth była razem z nim...

– Wiem, że mi o tym opowiadano... – David Coleman wrócił myślami do dawnych lat, do gabinetu wiejskiego lekarza, który wyleczył tak wiele ludzkich ciał, zanim w końcu własne go pokonało. – Byłem w szkole, ale ojciec mi opowiadał.

Elizabeth ledwo przeżyła, a to wyłącznie dzięki transfuzji krwi. Wtedy po raz pierwszy znalazłem się w szpitalu. Przez tydzień prawie tam mieszkałem – Alexander przerwał, a później dodał, zadowolony z nieoczekiwanego spotkania: – Gdyby pan miał kiedyś wolny wieczór, doktorze Coleman, moja żona z przyjemnością powitałaby pana. Mamy małe mieszkanko... – zawahał się, uzmysławiając sobie prawdę: chociaż obaj pochodzili z New Richmond, nadal dzieliła ich społeczna przepaść.

Coleman również miał tę świadomość. Szare komórki ostrzegały go: uważaj, nie spoufalaj się z podwładnymi, nawet takimi jak ten. Rozumował: to nie jest żaden snobizm, tylko kwestia szpitalnej dyscypliny i zdrowego rozsądku. Powiedział więc: – Na razie będę miał dużo pracy. Odłóżmy to na kiedy indziej, dobrze? A potem zobaczymy.

Jego słowa zabrzmiały pusto i nieszczerze. Pomyślał w duchu: mogłeś go lepiej potraktować; po czym w komentarzu do własnego zachowania dodał: nie zmieniłeś się, przyjacielu, ani trochę...

W pewnym momencie Harry Tomaselli skonstatował, iż życzyłby sobie, aby pani Straughan poszła wreszcie do swoich kuchni i już nie wracała. Jednak zaraz zreflektował się: dobra dietetyczka to perła, którą należy cenić. A pani Straughan była świetnym pracownikiem, o czym dyrektor doskonale wiedział.

Mimo to nachodziły go czasami wątpliwości, czy Hilda Straughan kiedykolwiek myślała o Szpitalu Trzech Hrabstw jako niepodzielnej całości. W rozmowie z nią odnosił zazwyczaj wrażenie, że sercem szpitala są kuchnie, z których biorą początek inne, mniej istotne działy. Doszedł jednak do wniosku – Harry Tomaselli był człowiekiem bezstronnym – że taka postawa cechuje często ludzi, którzy poważnie traktują swój zawód. Gdyby nawet uznać ją za przejaw słabości, to z całą pewnością woli to niż obojętność i niedbalstwo. I jeszcze jedno: dobry szef działu zawsze jest skłonny walczyć i wyklócać się o coś, w co mocno wierzy, a pani Straughan w każdym calu swojego korpulentnego ciała była niezmordowaną bojowniczką w dowodzeniu swoich racji.

W tej chwili walczyła z prawdziwą zaciekłością, wylewając z dyrektorskiego krzesła zażywną sylwetkę.

– Ciekawa jestem, panie T., czy ma pan pełną świadomość, że sprawa jest poważna – pani Straughan zwracając się do znajomych, niezmiennie używała pierwszej litery nazwiska; nawet do swojego męża mówiła „panie S”.

– Sądzę, że tak – odparł Harry Tomaselli.

– Moje zmywarki co najmniej pięć lat temu wyszły już z użycia. Odkąd tu pracuję, ciągle słyszę: w przyszłym roku załatwimy nowe. I gdzie są te moje zmywarki? Dowiaduję się potem, że ich zakup znowu przesunięto o kolejne dwanaście miesięcy. Tak być nie może, panie T., tak po prostu być nie może.

Mówiąc o podległym sobie sprzęcie, pani Straughan zawsze używała zaimka osobowego „mój”. Tomaselli nie miał nic przeciwko temu, jego protest budziła tylko niechęć Hildy Straughan do problemów innych niż jej własne. Uznał, że musi wyjaśnić jeszcze raz to, o czym dyskutowali niespełna tydzień czy dwa temu.

– Nie ma wątpliwości, pani Straughan, że zmywarki zostaną w końcu wymienione. Wiem o kłopotach, z jakimi boryka się pani w kuchni, ale są to bardzo kosztowne urządzenia. Jak pani sobie przypomina, ostatnio sporządzaliśmy kalkulację i wyszło nam, że potrzeba prawie jedenaście tysięcy dolarów, łącznie z wymianą instalacji do gorącej wody.

Pani Straughan oparła się na biurku, obfitym biustem przesuwając pudełko na bieżącą korespondencję i dokumenty, nazywane nie wiedzieć czemu korytkiem.

– Im później się za to weźmiecie, tym większe będą koszty..

– Niestety, zdaję sobie z tego sprawę – coraz wyższe wydatki na szpital spędzały Tomasellemu każdego dnia sen z powiek. Stwierdził więc: – Jednak obecnie budżet szpitalny jest niezwykle napięty. Częściowo z powodu rozbudowy placówki. Rzeczą idzie o ustalenie hierarchii ważności, a najważniejszy jest sprzęt medyczny...

– Co za pożytek z dobrego sprzętu, skoro pacjenci jedzą na brudnych talerzach?

– Pani Straughan – odezwał się stanowczo – sytuacja nie jest aż tak dramatyczna, obydwój o tym wiemy.

Ale niewiele do tego brakuje – dietetyczka pochyliła się jeszcze niżej, napierając na pudełko; Tomaselli uznał, że mimo wszystko wolałby, by zdjęła biust z jego biurka. Ale pani Straughan kontynuowała: – W ostatnim okresie parokrotnie zdarzyło się, że po umyciu całe sterty naczyń były brudne. Staramy się maksymalnie często je sprawdzać, ale w godzinach szczytu nie zawsze się da.

– Tak, jestem w stanie to zrozumieć.

– Obawiam się infekcji, panie T. Wśród członków personelu szpitala miało niedawno miejsce wiele przypadków grypy jelitowej. Oczywiście wszyscy uważają, że to z powodu jedzenia. Ale nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że winne są moje zmywarki.

– Musielibyśmy mieć znaczenie więcej dowodów, aby się co do tego upewnić – cierpliwość Tomasellogo była już na granicy wyczerpania. Pani Straughan pojawiła się z samego rana, gdy miał najwięcej pracy; dzisiaj po południu odbędzie się zebranie zarządu i w tej chwili powinien załatwić kilka naglących spraw. Z nadzieją, że wreszcie zakończy tę rozmowę, spytał: – Kiedy patologia wykonywała ostatni test bakteriologiczny na zmywarkach?

Hilda Straughan zamyśliła się.

– Mogę sprawdzić, ale chyba około sześciu miesięcy temu.

– Niech zrobią nowy, wówczas będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

– Świetnie, panie T. – pani Straughan zrezygnowała z podejmowania innych tematów. – Czy mam porozmawiać z doktorem Pearsonem?

– Nie, ja to załatwię – dyrektor zapisał coś w notatniku. Przynajmniej, pomyślał, oszczędzę Joe Pearsonowi podobnej dyskusji.

– Dziękuję, panie T. – dietetyczka z trudem uniosła się z krzesła. Tomaselli poczekał, aż wyjdzie, po czym sięgnął po „korytko” z dokumentami i położył je na zwykłym miejscu.

David Coleman wracał z lunchu na oddział patologii. Przemierzając korytarze a potem schody prowadzące do podziemi, rozmyślał o swoich dotychczasowych kontaktach z Joe Pearsonem. Były mało satysfakcjonujące i mało owocne.

Parę chwil temu Pearson zachowywał się dość sympatycznie, ale na początku – nie za bardzo. Zastawszy Colemana w biurze powiedział na powitanie: – Nie przesadził pan mówiąc, że chce zacząć natychmiast...

– Chyba nie było sensu z tym zwlekać – rzekł dodając uprzejmie: – Rozejrzałem się trochę po laboratoriach. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu...

– Pańskie prawo... – Pearson prawie warknął, jakby ktoś wtargnął na jego terytorium bez zezwolenia, a on musi się z tym pogodzić. Jednak uświadomiwszy sobie, że zachował się niestosownie stwierdził: – Cóż, wypadaloby się przywitać...

Gdy uścisnęli sobie ręce, starszy pan powiedział: – Najpierw muszę się z tym uporać – wskazał na bezładny stos klaserów z przeźrocami, kwitów i luźnych kartek, zalegających biurko. – Może później uda nam się ustalić, czym będzie się pan zajmował...

Coleman nie mając nic lepszego do roboty usiadł i zajął się wertowaniem czasopisma medycznego, podczas gdy Pearson grzebał w papierach. Następnie przysła dziewczyna, której coś podyktował. Później Coleman towarzyszył Pearsonowi w konferencji makroskopowej, która odbywała się w pokoju obok prosektorium. Pearson siedział w towarzystwie dwóch rezydentów – McNeila i Seddonsa; Coleman po przeciwnej stronie stołu czuł się jak młodszy rezydent. Nie miał prawie nic do powiedzenia; pokaz prowadził Pearson, a Coleman pełnił rolę widza. Patolog ani słowem nie napomknął, że Coleman jest nowym zastępcą kierownika całego oddziału.

Później poszli z Pearsonem na lunch, podczas którego sędziwy lekarz przedstawił go paru osobom. W końcu patolog przeprosił go i wyszedł, tłumacząc się pilnymi zajęciami. W tej chwili Coleman wracał samotnie na oddział, rozważając problem, który przed nim stanął.

Oczywiście, spodziewał się pewnych przejawów niechęci ze strony doktora Pearsona. Ze strzępów informacji, jakie do niego dotarły? wywnioskował, że Pearson nie życzy sobie drugiego patologa, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Był przekonany, że czeka na niego gabinet i jasno sprecyzowane obowiązki. Nie spodziewał się, że od razu przejmie większość zadań. Nie miał nic przeciwko temu, by starszy patolog nadzorował go przez jakiś czas; na miejscu Pearsona

sam wykazywałby ostrożność wobec nowego pracownika. Ale sytuacja, jaką zastał, przeszła jego wszelkie wyobrażenia. Najwidoczniej – mimo listu, który wysłał – w ogóle nie zastanawiano się nad tym, jakie obowiązki mu powierzyć. Wyglądało, że ma siedzieć i czekać, aż doktor Pearson w końcu znajdzie trochę czasu i oderwie się od korespondencji bądź innych zajęć, by wydać mu jakieś polecenia. Jeśli tak to sobie wyobrażali, trzeba to zmienić i to szybko.

David Coleman od lat był świadom paru defektów swojego charakteru, ale nie brakowało mu też pewności, że posiada wiele cennych zalet. Do najważniejszych należały zasób wiedzy i reputacja dobrego lekarza i patologa. Kent O'Donnell powiedział prawdę wspominając o jego wysokich kwalifikacjach. Mimo młodego wieku posiadał wykształcenie i praktykę, o które trudno byłoby wielu czynnym patologom. Nie miał więc powodu, by odczuwać lęk przed doktorem Josephem Pearsonem, i chociaż postanowił ustępować mu w niektórych sprawach ze względu na wiek i stanowisko – nie miał zamiaru dać się traktować jak niedoświadczony młokos.

Coleman posiadał jeszcze jedną cenną właściwość, ważniejszą niż wszelkie inne zalety: determinację. Doktor Coleman był zdecydowany wykonywać zawód lekarza bez żadnych uwarunkowań, prosto, uczciwie, a nawet – precyzyjnie, jeśli w sprawach medycznych coś takiego w ogóle jest możliwe. Każdy kto dawał z siebie mało – w ciągu niewielu lat pracy poznał takich: ugodowców, politykierów, nierobów, ludzi z przerostami ambicji – wywoływał w nim złość i odrazę.

Gdyby go zapytano, kiedy zrodziło się w nim takie odczucie, miałby kłopot z odpowiedzią. Z pewnością nie był sentymentalny, nie związał się też z medycyną z niepoahamowanej potrzeby służenia ludzkości. Mógł tutaj zaważyć wpływ ojca, ale zdaniem Davida Colemana w małym stopniu. Jak sobie teraz uświadamiał, jego ojciec był przeciętnym lekarzem ogólnym i obaj zasadniczo różnili się charakterami. Coleman senior był życzliwym, otwartym człowiekiem, otoczonym kręgiem przyjaciół; jego syn chłodnym, zamkniętym w sobie, nieprzystępnym. Ojciec dowcipkował z pacjentami i nie przykładał się do pracy. Syn zaś będąc stażystą – później patologia odcięła go od pacjentów – nigdy nie pozwalał sobie na żarty, za to cierpliwie, skrupulatnie i z wprawą dawał z siebie więcej niż inni w ogóle mieli do zaoferowania. Chociaż jego kontakty jako Patologa z pacjentami nabrały nowego charakteru, jego postawa nie zmieniła się ani trochę.

Czasami, gdy analizował własne postępowanie, musiał przyznać, że zawsze miałby takie podejście do sprawy, niezależnie od wykonywanego zawodu. Domyślał się, że przyczyn należało

szukać we wrodzonej dokładności, połączonej z nietolerancją dla błędu lub porażki, oraz w przeświadczeniu, że jeśli już służy się komukolwiek bądź czemukolwiek, to powinno się dać z siebie wszystko. Być może te dwa odczucia wzajemnie się wykluczały. Ale możliwe też, że rację miał jego kolega ze studiów, który podsumował go, wznosząc toast za „Davida Colemana – faceta o antyseptycznym sercu”.

Idąc korytarzem wrócił myślami do terażniejszości. Instynkt podpowiadał mu, że lada moment dojdzie do kolizji.

W gabinecie patologicznym zastał Pearsona pochylonego nad mikroskopem, przed nim leżał folder z przeźrociami. Stary podniósł wzrok.

– Niech pan przyjdzie i popatrzy. Chciałbym znać pańskie zdanie – odsunął się od mikroskopu, zapraszając Colemana machnięciem ręki.

– Jaka jest historia kliniczna? – Coleman wsunął pod zaciski pierwszy slajd i nastawił okular.

– Wycinki pochodzą od pacjentki Lucy Grainger, naszego chirurga-ortopedy; poznał ją pan – Pearson zajrzał do notatek. – Chora to dziewiętnastoletnia Vivian Loburton, jedna z naszych studiujących pielęgniarek. Pod lewym kolanem zrobił się guz. Towarzyszy temu uporczywy ból. Prześwietlenie wykazuje wypukłość kości. Preparaty pochodzą z biopsji.

Preparatów było osiem, Coleman obejrzał wszystkie. Od razu zorientował się, że Pearson chce usłyszeć jego opinię. Przypadek należał do niezwykle trudnych – łatwo było o błędną diagnozę.

– Moim zdaniem jest łagodny – powiedział.

– Ja sędzę, że złośliwy – rzekł spokojnie Pearson. – Kostniako-mięsak.

Coleman bez słowa podniósł jeszcze raz pierwsze szkiełko. Przyjrzał się ze stoickim spokojem, uważnie; potem to samo zrobił z pozostałymi siedmioma. Za pierwszym razem rozważał możliwość istnienia kostniako-mięsaka; teraz powtórzył to ponownie. Analizując przeźroczyście miejsca, zabarwione na czerwono i niebiesko, które tak wiele mogły powiedzieć doświadczonemu patologowi, rozważał wszystkie za i przeciw... Na kolejnych preparatach widać było sporo narośli kostnych – aktywność osteoblastyczna z wysepkami chrząstki wewnątrz niej... Sam uraz też należałoby wziąć pod uwagę. Czy formowanie się nowej kości nastąpiło w wyniku jej regeneracji – organicznych prób zwalczania urazu? Jeśli tak, narośl musi być dobrotliwa: Czy były ślady zapalenia szpiku kostnego? Przy badaniu pod mikroskopem łatwo go pomylić z kostniako-mięsakiem. Ale nie, wyraźnie brak białych krwinek z segmentowym jądrem, które

charakterystyczne są dla szpiku, wypełniającego przestrzeń w drzazdze kostnej... Nie ma inwazji naczyń krwionośnych... Zatem trzeba bazować na osteoblastach – nowej formacji kostnej. To odwieczny kłopot, przed którym staje każdy patolog: czy rozrastanie się uszkodzenia następuje jako naturalny proces wypełniania luki w czynnościach obronnych organizmu? A może rozrasta się, gdyż jest to neoplazma, czyli narośl złośliwa? Złośliwa czy dobrotliwa? Jakże łatwo się pomylić, a jedyne co można zrobić to przeanalizować materiał badawczy i na tej podstawie wydać opinię.

– Przykro mi, ale nie zgadzam się z panem – odezwał się uprzejmie do Pearsona. – Nadal twierdzę, że tkanka nie jest złośliwa.

Stary patolog stał chwilę w milczeniu, wyraźnie wążąc w myślach obydwie diagnozy. Wreszcie odezwał się: – Przyzna pan, że zawsze mogą pojawić się wątpliwości. Zarówno w jedną, jak i drugą stronę.

– To prawda.

Coleman wiedział, że w podobnych przypadkach chwile zwątpienia nie należą do rzadkości. Patologia to nie nauka ścisła, nie ma tu reguł matematycznych, za pomocą których dowodzi się prawdy lub fałszu. Tutaj jedyne czym można się posłużyć, to rozważna ocena; niektórzy mogliby ją nazwać naukowym domniemaniem. Dlatego rozumiał wahanie Pearsona, na nim spoczywała odpowiedzialność za ostateczną decyzję. Lecz takie decyzje stanowiły element pracy patologa-trzeba im stawić czoło i zaakceptować. Dodał: – Jeśli racja jest po pańskiej stronie i jest to naprawdę kostniako-mięsak, oznacza to amputację.

– Wiem o tym! – słowa wypowiedziano gwałtownie, lecz bez wrogości. Coleman miał świadomość, że niezależnie od bałaganu, jaki panował na jego oddziale, Pearson to zbyt doświadczony patolog, by oponować wobec uczciwej różnicy poglądów. Poza tym obaj zdawali sobie sprawę z niezwykle kruchych przesłanek, na których opierała się każda diagnoza.

Pearson przemaszerował przez pokój i odwracając się wykrzyknął: Do diabła ze skrajnymi przypadkami! Nie znoszę tego! Trzeba podjąć decyzję, z góry zakładając, że można się pomylić!

Coleman odparł łagodnie: – Czyżby nie dotyczyło to większości obowiązków patologa?

– Tak, ale kto oprócz nas o tym wie? Ot, co! – reakcja była impulsywna, niemal zapalczywa, jakby młody lekarz dotknął szczególnie drażliwego tematu. – Ludzie nic nie wiedzą, to pewne! Patologa oglądają w kinie i telewizji! Jest naukowcem przy odzianym w biały kitel, który idzie do mikroskopu, rzuca okiem i wyrokuje: „łagodny” lub „złośliwy”, coś w tym stylu. Ludzie

sądzą, że patrząc w to – wskazał ręką mikroskop, przy którym pracowali chwilę temu – widzisz jakiś wzorek niczym układankę z klocków. Nie mają pojęcia, jak rzadko można mieć absolutną pewność.

David Coleman myślał o tym w podobnym tonie, lecz swoich sądów nie wyrażał aż tak dobitnie. Uznał, że nagły wybuch starego spowodowany był zbyt długim tłamszeniem w sobie emocji. Ostatecznie taki punkt widzenia potrafił zrozumieć tylko inny patolog. Przerwał mu spokojnie: – Nie sądzi pan, że w większości wypadków mamy rację?

– Rzeczywiście tak jest... – Pearson przez chwilę przemierzał pokój wzdłuż i wszerz, po czym podszedł do Colemana: – Ale co zrobić z przypadkami, co do których pomylimy się? Co zrobić z tym przypadkiem? Jeśli powiem, że jest złośliwy, Lucy Grainger amputuje nogę – nie będzie miała innego wyboru. Jeśli się pomylę, dziewiętnastoletnia dziewczyna straci kończynę bez powodu. Z drugiej strony, gdyby był złośliwy i nie wykona się amputacji, prawdopodobnie w ciągu dwóch lat umrze – i po przerwie dodał z goryczą: – Może i tak umrze. Amputacja nie zawsze ratuje życie.

Coleman nigdy by nie podejrzewał Pearsona o taką reakcję, świadczącą o głębokim współczuciu dla pacjenta. Oczywiście, nic w tym złego. W zawodzie patologa dobrze jest pamiętać, że ma się do czynienia nie tylko ze strzępami tkanki, lecz przede wszystkim z ludzkim życiem, które podjęta przez ciebie decyzja może zmienić na dobre lub złe. Mając to na uwadze zawsze starasz się być czujny i dokładny, pod warunkiem że nie pozwolisz uczuciom wpływać na naukową ocenę. Coleman, choć znacznie młodszy, doświadczał już podobnych wątpliwości. Miał jednak zwyczaj zachowywać je dla siebie, co nie znaczyło, że gnębiły go w mniejszym stopniu. Idąc tropem myśli starego lekarza rzekł: – Jeśli jest złośliwy, nie mamy czasu do stracenia.

– Wiem – Pearson znowu zamyślił się głęboko.

– Może porównalibyśmy wcześniejsze przypadki z podobnymi symptomami? – zaproponował Coleman.

Stary pokręcił głową.

– Nie ma sensu. Za długo by to trwało.

Coleman starając się, by nie wypadło to zbyt nachalnie, ciągnął dalej: – Ale gdybyśmy przejrzeni katalog...

– Nie mamy katalogu – odpowiedź była ledwie słyszalna i w pierwszej chwili Coleman nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Potem, jakby chcąc uprzedzić reakcję kolegi, Pearson wyjaśnił:

– Od dłuższego czasu planowałem go założyć, ale jak dotąd mi się nie udało.

– To znaczy... nie możemy przejrzeć wcześniejszych przypadków? – zapytał osłupiały Coleman.

Trzeba by szukać przynajmniej tydzień – tym razem Pearson był wyraźnie zakłopotany. – I nie ma ich wiele. Poza tym nie mamy tyle czasu.

Żadne słowa Pearsona nie były w stanie bardziej wstrząsnąć Davidem Colemanem. Zarówno dla niego, jak i innych patologów, z którymi pracował do tej pory, katalog był podstawowym narzędziem pracy, źródłem wiedzy, do którego można było się odnieść w trudnych przypadkach, pomocą naukową, dodatkiem do umiejętności i doświadczenia patologa, detektywem, który badał i porównywał tropy i podsuwał rozwiązania, środkiem rozprasającym niepewność oraz podporą w chwilach zwątpienia.

Katalog był tym wszystkim i jeszcze czymś więcej: był dowodem, że dział patologii dobrze wykonuje swoją pracę – że poza bieżącymi obowiązkami akumuluje wiedzę na przyszłość. Był gwarancją, że pacjenci szpitala, którzy przyjdą jutro, będą mogli skorzystać z tego, czego nauczono się dziś. W nowych szpitalach na oddziałach patologicznych uważano zakładanie katalogów za zadanie nadrzędne. W starszych, uznanych ośrodkach, stosowano różne typy katalogów. Jedne proste, niezbyt skomplikowane, inne wyszukane i zawile, gromadzące dane statystyczne i naukowe oraz codzienne raporty. Jednak niezależnie od tego, jakie są – proste czy skomplikowane, mają jedną cechę wspólną: są użyteczne przy porównywaniu aktualnego przypadku z poprzednimi. Zdaniem Davida Colemana brak katalogu w Trzech Hrabstwach można było określić tylko jednym słowem: kryminał.

Do tej pory, mimo przeświadczenia iż oddział patologii w Trzech Hrabstwach pilnie potrzebuje zmian, starał się powstrzymać od osądu samego doktora Josepha Pearsona. W końcu przez dłuższy okres pracował sam, a jednemu patologowi trudno było podołać ogromowi obowiązków w tak dużym szpitalu. Mogłoby to tłumaczyć pewne niedociągnięcia w pracy laboratorium, co Coleman od razu zauważył, i chociaż wina była niewybaczalna, przynajmniej można było ją zrozumieć.

Możliwe też, że Pearson był mocny w innych sprawach. Zdaniem Colemana, dobre zarządzanie i wysoki poziom medyczny zawsze szły w parze. Ale w wypadku patologii kwestie medyczne były ważniejsze. Znał wiele pobielonych grobowców, gdzie najbardziej liczyły się świecący chrom i papierkowa robota, medycynę zaś zepchnięto na dalszy plan. Uważał, że tutaj

sytuacja mogła wyglądać zgoła odmiennie: kulejąca administracja i świetna patologia. Dlatego hamował swoją naturalną skłonność do wydawania opinii o starszym patologu wyłącznie na podstawie tego, co zdążył już obejrzeć. Teraz jednak nie potrafił dłużej udawać przed sobą. Doktor Joseph Pearson jest człowiekiem leniwym i nieudolnym. Starając się nie okazywać pogardy spytał:

– Co pan proponuje?

– Mogę zrobić tylko jedną rzecz... – Pearson podszedł do biurka, podniósł słuchawkę telefonu i wcisnął guzik do rozmowy wewnętrznej. – Niech przyjdzie tutaj Bannister... – odłożył słuchawkę i odwrócił się do Colemana: – W tej dziedzinie mamy dwóch ekspertów – Chollinghama w Bostonie i Earnharta w Nowym Jorku.

– Tak, słyszałem o ich wynikach – Coleman skinął głową. Wszedł Bannister.

– Wzywał mnie pan? – spojrzał na Colemana i ostentacyjnie zignorował jego obecność.

– Weź te preparaty – Pearson zamknął teczkę i przesunął na drugą stronę biurka – i wyślij dzisiaj dwa zestawy przesyłką specjalną z nadrukiem „pilne”. Jeden zaadresuj do doktora Chollinghama w Bostonie, drugi do doktora Earnharta w Nowym Jorku. Przygotuj odpowiednie pisma, załącz kopie historii choroby i poproś obu o natychmiastową diagnozę.

– Dobra – z teczką pod pachą Bannister wyszedł z gabinetu. Przynajmniej tutaj, pomyślał Coleman, stary sprawnie zadziałał.

Zasięgnięcie opinii dwóch ekspertów było dobrym pomysłem, niezależnie od tego czy katalog jest, czy go nie ma.

– Powinniśmy dostać odpowiedź w ciągu dwóch, trzech dni rzekł Pearson. – Tymczasem porozmawiam z Lucy Grainger zadumał się. – Nie powiem jej wszystkiego. Tylko tyle, że mamy drobne wątpliwości i chcemy – tu spojrzał porozumiewawczo na Colemana – zasięgnąć opinii z zewnątrz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Vivian leżała nieruchomo – była oszołomiona, nie mogła ogarnąć myślami tego, co usłyszała. To nie może jej dotyczyć; doktor Grainger z pewnością mówiła o kimś innym. Tak! – przemknęło jej przez głowę, jakimś sposobem zamieniono karty dwóch pacjentów. W szpitalach zdarzały się takie wypadki. Doktor Grainger ma dużo pracy; w takiej sytuacji łatwo o pomyłkę. Być może właśnie teraz rozmawia z tamtym pacjentem...

Nagle zaniechała tych myśli, zatrzymała je w oszalałym biegu, usiłując rozważyć problem na chłodno. Nie było żadnej pomyłki. Wyczytała to jasno i klarownie z twarzy doktor Grainger i Mike'a Seddonsa. Wpatrywali się w nią, siedząc po obu stronach łóżka, na którym spoczywała na poduszkach w pozycji na wznak leżącej.

– Kiedy będzie pani wiedziała... na pewno? – zwróciła się do Lucy Grainger.

– Za dwa dni. Otrzymamy odpowiedź od doktora Pearsona. Albo – albo.

– A on nie wie...

– W tej chwili nie, Vivian – odparła Lucy. – Jeszcze nie. Nie wie nic pewnego.

– Och, Mike! – wyciągnęła rękę do Seddonsa. Gdy ujął ją delikatnie, powiedziała: – Przepraszam... ale chyba... się rozplączę.

Seddons otoczył Vivian ramieniem, Lucy wstała.

– Przyjdę później. Zostaniesz chwilę? – zapytała Mike'a.

– Tak.

– Wy tłumacz Vivian, że nic jeszcze nie jest przesądzone. Chcę tylko, żeby była przygotowana na najgorsze... na wszelki wypadek.

Skinął głową, a jego ruda, niesforna czupryna zafalowała.

– Rozumiem.

Po rozmowie telefonicznej z Joe Pearsonem wczoraj po południu, Lucy nie mogła się zdecydować, czy już teraz ma powiedzieć Vivian o perspektywie leczenia, czy jeszcze się wstrzymać. Jeśli zaczeka, a wynik biopsji, jaki przyjdzie z patologii, będzie brzmiał „łagodny”, nie ma zmartwienia, Vivian nigdy się nie dowie, jaka groźba zawisła nad jej głową. Jeśli jednak za dwa dni patolog orzeknie „złośliwy”, natychmiast trzeba będzie wykonać amputację. Czy w takim wypadku Vivian zdąży się w porę przygotować, czy też wstrząs psychiczny będzie zbyt

wielki? Niespodziewająca się żadnej poważnej dolegliwości dziewczyna może doznać potwornego szoku. Zanim Vivian oswoi się z myślą o amputacji, miną dwa dni, a na taką zwłokę nie można sobie pozwolić.

Lucy zastanawiała się jeszcze nad drugą sprawą. Fakt, że Joe Pearson zasięgał opinii z zewnątrz, już sam w sobie dawał wiele do myślenia. Gdyby tkanka była zdecydowanie dobrotliwa, powiedziałby od razu. Skoro jednak w czasie rozmowy nie dał definitywnej odpowiedzi, to – pomijając zrozumiałą niechęć do wyrażania wiążącego sądu – było wielce prawdopodobne, że guz jest złośliwy.

Rozważywszy całą kwestię, Lucy postanowiła już teraz zapoznać Vivian z sytuacją. Jeśli werdykt będzie brzmiał „dobrotliwy”, dziewczyna niepotrzebnie nałyka się strachu. Ale lepsze to niż gwałtowny wstrząs, na który zupełnie nie będzie przygotowana.

Pojawienie się Mike’a Seddonsa uprościło nieco sprawę. Ubiegłego wieczoru młody rezydent przyszedł do gabinetu Lucy i opowiedział o planowanym małżeństwie z Vivian. Przyznał, że w pierwszej chwili nie miał zamiaru się ujawniać, lecz teraz zmienił zdanie. Ucieszyło to Lucy; przynajmniej dziewczyna nie będzie już sama, będzie miała kogoś, kto podtrzyma ją na duchu i pocieszy.

Bez wątpienia, trzeba jej jednego i drugiego. Lucy poinformowała go, jak mogła najdelikatniej, że podejrzewa istnienie kostniako-mięsaka – wraz ze wszystkimi tragicznymi następstwami. Jednak niezależnie od tego jak się to powie, nie sposób złagodzić ciosu. Lucy pomyślała o kolejnym obowiązku, który ma do spełnienia: musi powiadomić rodziców dziewczyny o zaistniałej sytuacji. Spojrzała na trzymany w ręku skrawek papieru – był tam adres z Salem w stanie Oregon; przepisała go z formularza szpitalnego wypełnionego przez Vivian z rubryki „najbliższy krewny”. Miała już zgodę dziewczyny na powiadomienie rodziców. Teraz musi – w sposób możliwie najbardziej powściągliwy – przekazać tę wiadomość przez telefon.

Zastanawiała się, co będzie dalej. Vivian jest niepełnoletnia, a zgodnie z prawem stanowym na amputację konieczna jest zgoda rodziców. Jeśli rodzice natychmiast przylecą z Oregonu, pisemną zgodę uzyska zapewne zaraz po ich przyjeździe; jeśli nie przylecą, będzie musiała zrobić wszystko, by takie upoważnienie przesłali drogą telegraficzną, dając Lucy szansę wykorzystania go, gdyby amputacja okazała się konieczna.

Spojrzała na zegarek. Na dzisiaj miała umówionych sporo wizyt w swoim miejskim gabinecie. Może lepiej zadzwonić od razu, jeszcze przed wyjściem ze szpitala? Na drugim piętrze

skręciła do pokoiku, który dzieliła z Gilem Bartlettem. Niewiele większy niż wnęka w ścianie, był jak małe kajutka, toteż rzadko przebywali w nim równocześnie. W tym jednak momencie był okupowany przez Bartletta i Kenta O'Donnella.

– Przepraszam, Lucy, już wychodzę – odezwał się na jej widok O'Donnell. – Tego pomieszczenia nie przewidziano dla trzech osób.

– Nie musisz wychodzić – precyzyjnie się obok kolegów i usiadła za małym biurkiem. – Załatwię dwie sprawy i znikam.

– Mądrzej zrobisz zostając – broda Gila Bartletta podskoczyła jak zawsze. W jego głosie dało się wyczuć kpiarski ton: – Dzisiaj jesteśmy z Kentem niezwykle poważni, dyskutujemy nad przyszłością chirurgii.

– Są tacy, co twierdzą, że chirurgia nie ma przyszłości – Lucy dostosowała się do nastroju Bartletta. Otworzyła szufladę i zaczęła szukać notatek, dotyczących jednej z wizyt w mieście. – Uważają, że ten zawód skazany jest na wymarcie i za parę lat będziemy już tylko rzadkimi okazami, jak ptak dodo i znachorzy.

– Nic bardziej nie mogło ucieszyć Bartletta.

– A kto, pytam, będzie kroił i zszywał te cholerne cielska?

– Nie będzie żadnego krojenia – Lucy znalazła notatki i sięgnęła po teczkę, by je schować. – Na placu boju pozostanie diagnostyka. A medycyna zatrudni siły natury, będą korygować jej własne błędy. Przeprowadzi się dowód na to, że u podstaw każdej choroby leży nasza psychika. Psychiatria będzie zapobiegać nowotworom, a psychologia stosowana je leczyć – zasunęła zamek w teczkę i dodała z uśmiechem: – Jak się pewnie domyślacie, posłużyłam się cytatem.

– Będę czekał na te czasy z utęsknieniem – roześmiał się Kent O'Donnell. Jak zwykle obecność Lucy sprawiła mu przyjemność. Dlaczego więc zachowywał się jak żaloszny głupiec, nie godząc się, by ich stosunki stały się bardziej intymne? Czego się obawiał? Może powinni spędzić jeszcze jeden wspólny wieczór i wtedy, kto wie, co z tego wyniknie? Lecz teraz – w obecności Gila Bartletta – ani czas, ani miejsce na rozmowy o randkach.

– Wątpię, czy komukolwiek z nas uda się dożyć tych czasów – gdy mówiła zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i oddała ją Bartlettowi: – Do ciebie.

– Słucham...

– Mówi Rawson z izby przyjęć. Mam wiadomość od doktora Clifforda.

Clifford był starszym rezydentem na chirurgii.

– Słucham.

– Doktor Clifford prosi, żeby – jeśli to możliwe – zszedł pan tutaj i przygotował się do operacji. Mamy parę osób ciężko rannych w wypadku drogowym; jedna osoba z poważnym urazem klatki piersiowej. Doktor Clifford potrzebuje pańskiej pomocy.

– Proszę mu powiedzieć, że już idę – Bartlett odłożył słuchawkę.

– Przepraszam, Lucy, dokończymy rozmowę innym razem – ruszył ku drzwiom, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. – Coś wam powiem: nie boję się bezrobocia. Jak długo będzie się konstruować coraz większe i coraz szybsze samochody, dla chirurga zawsze znajdzie się zajęcie.

Wyszedł, skinąwszy przyjaźnie głową, a za nim O'Donnell. Lucy została sama. Po dłuższym zastanowieniu podniosła słuchawkę. Zgłosiła się centrala.

– Zamawiam międzymiastową: Salem, Oregon – powiedziała sięgając po kartkę papieru z adresem.

Kent O'Donnell energicznym krokiem zmierzał do swojego gabinetu, lawirując w zatłoczonym korytarzu z wprawą wieloletniego praktyka. On też miał dzisiaj mnóstwo spraw na głowie. Za niespełna pół godziny musi być na piętrze operacyjnym; później ma spotkanie medycznego zespołu kierowniczego, a potem czeka go w mieście kilku pacjentów – cały ten program wypełni mu czas aż do wieczora.

Idąc, znowu rozmyślał o nich obydwójgu. Kiedy widział Lucy Grainger i był tak blisko niej, jak przed chwilą, zawsze nachodziły go związane z nimi refleksje. Jednak stare wątpliwości, że wspólnota zainteresowań może źle wpłynąć na trwałość związku – wróciły.

Zastanawiał się, dlaczego od jakiegoś czasu tak dużo o niej myśli – i w ogóle o kobietach. Może dlatego, że mężczyzna, któremu stuknęła czterdziestka, zwykle zaczyna szaleć. Uśmiechnął się na myśl o tym, że do rzadkości należały okresy, gdy nie zdarzały mu się romanse, takie czy inne – w które angażował się zgodnie ze zwykłym porządkiem rzeczy. W ostatnich czasach trafiały się jednak dłuższe przerwy. Ale też z konieczności zmuszony był do znacznie większej dyskrecji niż przed laty.

Przeniósł się myślami do Denise Quantz. Pod wpływem jej zaproszenia, które padło owego wieczoru, gdy poznali się w domu Eustace'a Swayne'a, O'Donnell potwierdził swój udział w zjeździe chirurgów w Nowym Jorku. Uzmysłował sobie, że to już w przyszłym tygodniu; jeśli ma odwiedzić panią Quantz, powinien jak najszybciej się umówić.

Wchodząc do gabinetu, spojrzął na zegar nad biurkiem; do godziny, którą wyznaczono na pierwszą operację, brakowało jeszcze dwadzieścia minut. Podniósł słuchawkę, bo doszedł do wniosku, że każdą sprawę, jaka przyjdzie do głowy, dobrze jest załatwiać od ręki.

Usłyszał, jak telefonistka szuka numeru w informacji nowojorskiej, potem usłyszał sygnał i ktoś podniósł słuchawkę. Jakiś głos oznajmił: – Tu mieszkanie pani Quantz.

– Między miastowa do pani Denise Quantz – powiedziała telefonistka z Burlington.

– Pani Quantz nie ma w domu.

– A gdzie można ją znaleźć? – trwała rutynowa wymiana zdań.

– Pani Quantz jest w Burlington w Pensylwanii. Podać numer?

– Bardzo proszę – to znowu burlingtońska telefonistka.

– Hunter 6-5735.

– Dziękuję ci, Nowy Jork – O'Donnella doszedł trzask odkładanej słuchawki, a później głos telefonistki: – Zanotował pan numer?

– Tak, dziękuję – odparł i sięgnął po książkę telefoniczną miasta Burlington. Przerzucił kartki, wreszcie znalazł: *Swayne Eustace R.* Jak się spodziewał, numer w książce telefonicznej pokrywał się z tym, który mu podano.

Słuchawkę podniósł mężczyzna: – Rezydencja pana Eustace'a Swayne'a.

– Chciałbym rozmawiać z panią Quantz.

– Chwileczkę... Po chwili usłyszał:

– Quantz przy telefonie.

Dopiero teraz O'Donnell przypomniał sobie, jak zachwyił się jej głosem. Miękki, matowy, dodawał wdzięku najprostszym słowom.

– Ciekaw jestem, czy mnie pani pamięta – rzekł. – Mówi Kent O'Donnell.

– Oczywiście, doktorze! Jak to miło, że pan dzwoni! Oczywiście wyobraźni widział ją przy telefonie, z puszystymi, – ciemnymi włosami opadającymi na ramiona.

– Dzwoniłem do Nowego Jorku, tam mi podano pani numer.

– Przyleciałam wczoraj wieczorem – odparła. – Ojciec miał zapalenie oskrzeli. Postanowiłam zostać z nim przez parę dni.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego... – stwierdził uprzejmym głosem.

– Ależ skąd! – roześmiała się. – Mój ojciec ma żelazne zdrowie. Upór także.

Wierzę w to, pomyślał, a głośno powiedział: – Chciałem zaprosić panią na kolację w Nowym

Jorku. Będę tam w przyszłym tygodniu.

– Przyjmuję zaproszenie – odpowiedź była błyskawiczna i zdecydowana. – Z pewnością wrócę już do tego czasu...

Pod wpływem nagłego impulsu zapytał: – A może spotkalibyśmy się wcześniej? Dysponuje pani wolnym wieczorem w Burlington?

Po krótkiej przerwie odparła: – Tylko dzisiaj.

O'Donnell pośpiesznie kalkulował. Pacjenci zajmą mu czas do siódmej. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego...

– Och, chwileczkę! – przerwała mu tok myśli. – Zapomniałam, że doktor Pearson będzie u ojca na kolacji, powinnam chyba zostać – i dodała: – A może miałby pan ochotę dołączyć do nas?

Zaśmiał się w duchu. Joe Pearson byłby ogromnie zdziwiony, gdyby go tam spotkał. Instykt podpowiadał mu, że to niezbyt szczęśliwy pomysł.

– Dziękuję, nie. Odłóżmy więc nasze spotkanie na później...

– Oczywiście... – w jej głosie wyczuł rozczarowanie, ale zaraz się rozchmurzyła. – A może spotkalibyśmy się po kolacji, jeśli to panu odpowiada. Ojciec i doktor Pearson na pewno zasiądą do partyjki szachów, a wtedy żadne towarzystwo nie jest im potrzebne.

Ucieszył się.

– Świetnie. O której będzie pani wolna?

– Sądzę, że około wpół do dziesiątej.

– Przyjechać po panią?

– Zaoszczędzimy czasu spotykając się w mieście. Proszę tylko powiedzieć gdzie.

Zastanowił się przez moment, po czym rzucił: – W Regency Room?

– Dobrze, o wpół do dziesiątej. A zatem – do zobaczenia.

O'Donnell odłożył słuchawkę, o władnięty miłym uczuciem ożywionej nadziei. Znowu spojrzął na zegar. Jeśli chce być punktualny, musi pospieszyć na salę operacyjną.

Eustace Swayne i doktor Joseph Pearson rozgrywali swoją partię szachów od czterdziestu minut. Obaj panowie siedzieli naprzeciw siebie przy niskim stolczku do gry z różanego drzewa w tej samej bibliotece, gdzie trzy tygodnie temu O'Donnell toczył ze starym magnatem potyczkę na słowa. W pomieszczeniu paliły się tylko dwie lampy – pojedynczy klosz nad stolikiem oraz rokokowy kinkiet przy drzwiach holu.

Obaj mężczyźni ukryci byli w cieniu, światło padało wprost na intarsjowaną szachownicę pośrodku stolika. Tylko wtedy, gdy jeden bądź drugi pochylał się, by wykonać ruch, można było w słabym, odległym od źródła światła blasku, rozróżnić rysy twarzy.

W tej chwili obaj milczeli; obicia mebli pogłębiały zalegającą pokój ciszę. Eustace Swayne rozparł się wygodnie w bukowym fotelu w stylu Ludwika XV. Trzymając delikatnie w palcach kieliszek do koniaku z rubinowego kryształu, obserwował rozwój gry.

Ruch należał do Pearsona, który powoli uniósł hetmana z bogato rzeźbionej indyjskiej kości słoniowej i postawił na sąsiednim polu. Teraz Eustace Swayne, odstawiwszy kieliszek, podniósł pionka z prawego skrzydła i posunął go dwa pola w przód. Następnie, przerywając ciszę, odezwał się burkliwym tonem: – Słyszałem, że w szpitalu nastąpiły jakieś zmiany...

Joe Pearson wlepił wzrok w szachownicę. Gdy już był gotów, pochylił się i przesunął swojego pionka o jedno pole do przodu, blokując przeciwnika. Dopiero wtedy zareagował dwoma słowami: – Jakież nastąpiły...

Znowu milczenie, spokój; jakby czas się zatrzymał. Po czym stary magnat poruszył się w fotelu: – Pochwalasz je? – wyciągnął rękę i przesunął gońca o dwa pola w prawo. Na wpół rozbawiony wpatrywał się w półmrok; jego oczy mówiły: „No, rozbij tę linię, jeśli potrafisz”.

– Niezupełnie – odpowiedział Joe Pearson, przymierzając się do kolejnego ruchu. Pozostał w cieniu, obserwując grę przeciwnika i zastanawiając się nad dalszymi posunięciami. Bez pośpiechu, delikatnie ujął figurę i przestawił wieżę o jedno pole w lewo, opanowując otwartą linię.

Eustace Swayne czekał. Minęła jedna minuta, potem druga i trzecia. W końcu sięgnął po czarną wieżę i przestawił ją na tę samą otwartą linię, rzucając swemu przeciwnikowi wyzwanie.

– Jeśli zechcesz, będziesz mógł skorzystać z prawa weta – powiedział.

– Jakiego weta?

Pytanie zadane było od niechcienia, ale akcja, która mu towarzyszyła, błyskawiczna. Pearson szybko chwycił skoczka w palce, przeniósł nad figurami i umieścił pośrodku pola walki.

Obserwując szachownicę Swayne rzekł: – Powiedziałem Ordenowi Brownowi oraz ordynatorowi chirurgii, że chcę ofiarować ćwierć miliona dolarów na fundusz rozbudowy szpitala – wypowiadając ostatnie słowo powtórzył ruch Pearsona i postawił swojego skoczka obok groźnie wyglądającej figury przeciwnika.

Tym razem cisza zapadła na dłużej. Wreszcie lekarz podniósł gońca i przesuwając go wzdłuż

szachownicy zbił czarnego pionka.

Szach – powiedział spokojnym głosem, a potem: – To ogromna suma.

Ale postawiłem pewien warunek – Swayne broniąc się uciekł z królem o jedno pole w prawo. – Otrzymają pieniądze, jeśli pozwolą ci rządzić twoim oddziałem tak, jak uważasz i tak długo, jak będziesz chciał.

Pearson nie wykonał teraz żadnego ruchu. Siedział w zadumie i wpatrywał się w ciemność ponad głową gospodarza. Po chwili odezwał się skromnie: – Jestem wzruszony.

Popatrzył na szachownicę. Po namyśle skoczkiem zaatakował czarnego króla.

Eustace Swayne badawczo obserwował całą akcję. Zanim zrobił ruch, wziął karafkę i nalał brandy, najpierw Pearsonowi, później sobie. Odstawiając ją rzekł: – Ten świat należy do młodych i wydaje mi się, że zawsze tak było. Z wyjątkiem tych starych ludzi, którzy ciągle mają władzę i... potrafią jej użyć.

Z błyskiem w oku wyciągnął rękę, przesunął pionka stojącego przed królem i zbił kłopotliwego skoczka.

Pearson gładził brodę w zamyśleniu. Następnie podniósł hetmana, przesunął go o sześć pól w dół i zdobył czarnego pionka.

Mówisz... Orden Brown i O'Donnell... wiedzą o tym?

Postawiłem sprawę jasno – stary magnat uniósł swojego gońca i zbił gońca przeciwnika.

Naraz Joe Pearson zachichotał. Nie wiadomo, co było powodem rozbawienia: gra czy rozmowa. Lecz wykonał błyskawiczny ruch.

Przesunął swojego hetmana na pole obok czarnego króla i cicho wybąkał: – Szach i mat!

Pokonany Eustace Swayne spojrzął z podziwem na szachownicę, pokiwał głową, jakby na potwierdzenie własnego sądu: – Joe! Nie mam żadnych wątpliwości, jak zawsze jesteś w świetnej formie!

Muzyka umilkła i parkiet w niewielkim eleganckim klubie nocnym – jednym z niewielu istniejących w Burlington – szybko opustoszał.

– Proszę mi powiedzieć, co pan sobie wtedy pomyślał? – odezwała się Denise Quantz i uśmiechnęła do Kenta O'Donnella, siedzącego po przeciwnej stronie małego czarnego stolika.

– Szczerze mówiąc, pomyślałem, że miło byłoby powtórzyć to jeszcze raz.

Powolnym gestem uniosła szklaneczkę z niedopitym koktajlem.

– Oby takich pomysłów było więcej...

– Wypiję za to... – wychylił swoją whisky i dał znak kelnerowi, by napełnił szkło. – Zatańczymy? – znowu słyszeć było muzykę.

– Z przyjemnością – uniosła się i poszła za nim na niewielki, skąpo oświetlony krąg taneczny. Wpadła w wyciągnięte ramiona. Tańczyli przytuleni. O'Donnell nigdy nie był dobrym tancerzem; zawód lekarza pozostawiał mało czasu na rozrywki. Lecz Denise potrafiła się dostosować, z minuty na minutę wyczuwał jej ciało – smukłe, giętkie, kołyszące się uległe w rytm melodii i jego ruchów. W pewnej chwili jej włosy lekko musnęły jego twarz; to był ten sam zapach, na który zwrócił uwagę przy pierwszym spotkaniu.

Pięciosaobowa orkiestra grała spokojną melodię, pieczołowicie dobraną do intymnej atmosfery wnętrza. Tym razem była to popularna ballada sprzed lat:

Spójrz na piramidy wzdłuż Nilu, na wschód słońca na wyspie tropiku. I wiedz, miła – z każdą chwilą jesteś mi bliższa.

Przez moment odniósł wrażenie, że jego czas się zatrzymał, Przeniósł go w próżnię, daleko od medycyny, Trzech Hrabstw i codziennych zajęć. Niespodziewanie muzyka się ożywiła, nabrała tempa i O'Donnell uśmiechnął się, stwierdziwszy, że robi się sentymentalny. W końcu zapytał: – Często pani tu bywa? Mam na myśli Burlington.

– Nie, tylko czasami, by odwiedzić ojca. Prawdę mówiąc, nie lubię tego miasta – i śmiejąc się do siebie stwierdziła: – Mam nadzieję, że nie uraziłam pańskich obywatelskich uczuć.

– Nie, nie mam jasno sprecyzowanych poglądów na temat tego miasta. Ale wydawało mi się, że pani się tu urodziła? – i dodał:

– Denise – jeśli mi wolno tak powiedzieć.

– Oczywiście, nie bądźmy aż tacy oficjalni – spojrzała mu w oczy i roześmiała się. Odpowiadając na pytanie rzekła: – Tak, tu się urodziłam, mieszkałam i tu chodziłam do szkoły. Wtedy żyła jeszcze moja matka.

– Skąd zatem Nowy Jork?

– Jego mieszkanką zostałam mimo woli. Poza tym mieszkał tam mój mąż, zresztą nadal mieszka.

– Po raz pierwszy wspomniała o małżeństwie. Wyraziła się o tym w sposób naturalny, bez skrepowania i – Gdy zdecydowaliśmy się na separację, postanowiłam nigdzie nie wyjeżdżać. Nie ma drugiego takiego miasta.

– Tak, to chyba prawda. – Patrząc na nią, ponownie skonstatował, że jest piękną kobietą;

opanowana, prostolinijna, co rzadko zdarza się młodszymi. Nie brakowało jej wdzięku, wręcz przeciwnie. Gdy ją obejmował, a ich ciała poruszały się harmonijnie w rytm muzyki, wydała mu się wyjątkowo pociągająca. Domyślał się, że jest także nieprzeciętnie zmysłowa.

Roztropnie skupił się na myśleniu o czym innym. Na to jeszcze za wcześnie. Ponownie zwrócił uwagę na jej sukienkę – uszytą z drogiego lśniącego jedwabiu w kolorze purpury, bez ramion, doskonale dopasowaną do figury, poszerzaną poniżej bioder. Wyglądała w niej intrygująco, elegancko, strojnie.

Ta myśl kończyła wcześniejszą, która przyszła mu do głowy dzisiejszego wieczoru – że Denise musi być bardzo bogatą kobietą. Pod Regency Room podjechali niemal równocześnie. Zaparkował samochód i szedł w stronę głównego wejścia do klubu, gdy nagle zatrzymał się lśniący cadillac i szofer w liberii pośpiesznie obszedł auto dookoła, by otworzyć Denise drzwi. Po przywitaniu, Denise zwróciła się do szofera, który dyskretnie ustawił się kilka kroków za nią:

– Dziękuję, Tom. Jesteś wolny. Myślę, że doktor O'Donnell odwiezie mnie do domu.

Mężczyzna odparł uprzejmie: – Dziękuję, pani – a potem zwracając się do O'Donnella rzekł: – Dobranoc panu – i odjechał.

Oczywiście, gdyby w ogóle nad tym się zastanawiał, z pewnością musiałby dojść do wniosku, że córka Eustace'a Swayne'a jest jego spadkobierczynią. Nie, żeby go to jakoś szczególnie interesowało – jego obecne dochody w zupełności mu wystarczały na wygodne życie i pewne oszczędności. Niemniej, autentycznie majątna kobieta to coś zupełnie nowego w jego dotychczasowych kontaktach. Znów przyłapał się, że porównuje ją z Lucy Grainger.

Orkiestra zakończyła wiązanekę melodii łagodnym crescendo. O'Donnell i Denise nagrodzili występ krótkimi brawami i zeszli z parkietu. Kent trzymając ją lekko pod ramię poprowadził do stolika. Natychmiast pojawił się kelner; odsunął krzesła i podał drinki zamówione przez O'Donnella.

– Do tej pory rozmawialiśmy o mnie – odezwała się Denise, popijając koktajl. – Opowiedz mi teraz coś o sobie.

Dolał sobie do whisky trochę wody; lubił bardziej rozcieńczoną, do czego większość kelnerów miała chyba wstręt.

– To okropnie nudne.

– Jestem dobrym słuchaczem, Kent – Denise tylko w części skupiła się na swoich słowach, kontemplując równocześnie sylwetkę swego towarzysza. To jest mężczyzna – prawdziwy

mężczyzna! Objęła wzrokiem roslą postać, szerokie barczyste ramiona, twarz o ostrych rysach. Była ciekawa, czy dzisiaj ją pocałuje i co z tego wyniknie na przyszłość. Była przekonana, że w doktorze Kencie O'Donnellu drzemią interesujące możliwości.

Opowiedział jej o Trzech Hrabstwach, swojej pracy i zamierzeniach. Spytała go o przeszłość, doświadczenia, ludzi, których znał – cały czas zachwycając się głębią myśli i wrażliwością, przebijającą ze wszystkiego, o czym mówił.

Zatańczyli, potem kelner przyniósł kolejne drinki; rozmawiali, znowu tańczyli, kelner przyszedł jeszcze raz i wszystko powtórzyło się od nowa. Denise opowiedziała Kentowi o swoim małżeństwie; zawarła je osiemnaście lat temu, trwało dziesięć. Jej mąż jest wziętym adwokatem nowojorskim z rozległą praktyką. Mają dwoje dzieci – bliźniaki Alexa i Philippę, które pozostają pod jej opieką; za parę tygodni zaczną siedemnasty rok życia.

– Mój mąż jest uosobieniem rozsądku – stwierdziła. – To oczywiste, że nie pasowaliśmy do siebie. Sporo czasu minęło, zanim doszliśmy do tego wniosku.

– Widujesz się z nim?

– Och, często. Na przyjęciach i w mieście. Czasem jemy razem lunch. Pod pewnymi względami Geoffrey jest cudowny. Jestem przekonana, że polubiłbyś go.

Mówili oboje dużo i bez skrępowania. Nie czekając na wezwanie kelner postawił przed nimi pełne kieliszki. O'Donnell zapytał ją o rozwód; czy istnieją jakieś przeszkody?

– Żadne – odparła szczerze. – Geoffrey chce się rozwieść, lecz nalega, abym to ja dostarczyła dowodów. W stanie Nowy Jork musi to być zdrada. Do tej pory jeszcze się nie zdecydowałam.

– Twój mąż nie chce się ponownie ożenić?

– Geoffrey? Nie sądzę. W każdym razie, on ożenił się z prawem.

– Rozumiem.

Pusty kieliszek zawirował w palcach Denise.

– Geoffrey zawsze uważał, że łóżko to doskonale miejsce na czytanie protokołów sądowych – powiedziała to miękko, prawie wstydliwie. O'Donnell zrozumiał, dlaczego ich małżeństwo rozpadło się. Ta myśl go podekscytowała.

Kelner przystanął obok: – Przepraszam państwa, ale za kilka minut zamykamy bar. Czy chciałby pan jeszcze coś zamówić?

O'Donnell spojrzął na zegarek zaskoczony. Dochodziła pierwsza. Nawet nie pomyślał, że spędzili razem trzy i pół godziny. Podniósł wzrok na Denise, ta pokręciła głową.

– Nie, dziękuję – odpowiedział kelnerowi i zapłacił rachunek. Dokończyli drinki i zabrali się do wyjścia. Kelner uprzejmie życzył im dobrej nocy – napiwek był hojny. O'Donnell czuł się odprężony i zadowolony.

Czekał na Denise w holu, w tym czasie portier poszedł na parking po jego samochód. Gdy przyszła, wzięła go pod ramię.

– Jaka szkoda, że trzeba już iść. Zaczynam żałować, że nie zamówiliśmy tego ostatniego drinka.

Po krótkim wahaniu powiedział pogodnie, niezobowiązująco: – Jeśli chcesz, możemy pojechać do mnie. Mam dobrze zaopatrzone barek i jest to po drodze...

Przez chwilę lękał się, że postąpił głupio. Wydawało mu się, że nagle dostrzegł w jej twarzy chłód, jakby cień przykrego zaskoczenia. Po chwili wszystko minęło. Odparła z prostotą: – Dlaczego nie?

Buick czekał przy wejściu, drzwi auta były otwarte, silnik pracował. Jadąc przez miasto prowadził ostrożnie, wolniej niż zwykle, wiedząc, że sporo wypił. Noc była ciepła, okna w samochodzie opuszczone. Z miejsca dla pasażera doszedł go subtelny zapach perfum. Dojechawszy do domu zaparkował na ulicy, po czym pojechali windą na górę.

Przygotował drinki i podał Denise jej ulubiony koktajl. Stała przy otwartym oknie pokoju, patrząc na światła daleko w dole. Płynąca przez miasto rzeka wyglądała jak czarna wstęga.

Stanął przy niej i powiedział cicho: – Dawno nie przyrządzałem tego koktajlu. Mam nadzieję, że nie jest zbyt słodki.

Spróbowała i odparła miękkim, matowym głosem: – Tak jak wszystko w tobie, Kent, jest absolutnie doskonały.

Ich oczy spotkały się i Kent wyciągnął rękę po jej szklankę. Gdy ją odstawił, przytuliła się do niego delikatnie. Całując jej usta, mocno objął ją ramionami.

W tym momencie ostro, natarczywie zadzwonił w pokoju obok telefon. Nie dało się go zignorować.

Denise łagodnie wyzwoliła się z jego objęć.

– Kochanie, lepiej odbierz – i musnęła czoło Kenta ustami.

Przechodząc przez pokój zauważył, jak zbiera torebkę, etolę i rękawiczki. Jasne było, że wieczór dobiegł końca. Niemal z gniewem podniósł słuchawkę. Naraz złość mu przeszła; dzwoniła stażystka z dyżuru nocnego – u jednego z pacjentów O'Donnella zauważono objawy,

które wydały się groźne. Postawił dwa krótkie pytania, po czym rzucił: – Dobrze, niedługo przyjadę. Tymczasem proszę zawiadomić bank krwi i przygotować pacjenta do transfuzji.

Przerwał rozmowę i zadzwonił do nocnego stróża, by sprowadził dla Denise taksówkę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Doktor Joseph Pearson miał zwyczaj wcześniej chodzić spać. Za to wtedy, gdy grywał z Eustace'em Swayne'em w szachy, z konieczności kładł się znacznie później i okoliczność ta sprawiała, że następnego ranka był zmęczony i bardziej rozdrażniony niż zwykle. Tak było i tego dnia.

Przeglądając zlecenia dotyczące zakupów dla laboratorium, zachnął się – nie cierpiał tego zajęcia, szczególnie dzisiejszego ranka – i odłożył jeden kwit na bok. Złożył jeszcze parę podpisów, znowu się zastanowił nad kolejnym papierkiem i wyrwał go ze stosu. Tym razem nie tylko obruszył się, ale i rozgniewał. Ktoś kto znał go bliżej, uznałby to za oznakę grożącego niebezpieczeństwa – doktor Pearson był bliski wybuchu.

Nad trzecim kwitem zawahał się. Gwałtownie odrzucił ołówek, złapał bezładny plik papierków i ruszył w stronę drzwi. Wpadł do laboratorium serologicznego i rozejrzał się w poszukiwaniu Bannistera. Znalazł go w rogu pokoju – stary laborant akurat preparował kał na badania bakteriologiczne.

– Rzuć to i chodź do mnie! – Pearson cisnął kartki na stół. Kilka spadło na podłogę i John Alexander schylił się, by je podnieść. Poczul ulgę, że to Bannister, a nie on jest obiektem złości Pearsona.

– O co chodzi? – Bannister podszedł nie spiesząc się. Przyzwyczał się już do tych napadów furii i czasami działały one na niego wręcz uspokajająco.

– Powiem ci o co chodzi: o te zlecenia – Pearson opanował się nieco, jakby jego zły humor znalazł się teraz w fazie gotowania na wolnym ogniu, a nie wrzenia: – Od czasu do czasu zachowujesz się jakbyśmy pracowali w klinice Mayo.

– Chyba musimy mieć odczynniki, nie?

Zlekceważywszy jego pytanie Pearson warknął: – Zastanawiam się nieraz, czy przypadkiem ich nie zjadasz. Ponadto kazałem ci pisać na każdym kwicie, który wykracza poza rutynowe zapotrzebowanie, jaki jest cel zakupu.

– Chyba zapomniałem – odparł Bannister z rezygnacją w głosie.

– W porządku, możesz sobie od nowa odświeżyć pamięć – Pearson podniósł formularz, leżący na samym wierzchu. – Po co ten tlenek wapnia? Nigdy go nie używaliśmy.

Twarz Bannistera wykrzywiła się w ironicznym uśmiechu.

– Sam kazał pan go zamówić. Może chodziło o ogródek? – Laborant przypomniał o czymś, o czym obaj wiedzieli, lecz rzadko rozmawiali. Pearson, należący do grupy wyróżniających się hodowców róż w towarzystwie ogrodniczym hrabstwa, wykorzystywał znaczne ilości dostaw do laboratorium szpitalnego do ulepszania jakości gleby w swoim ogrodzie.

Miał na tyle przyzwoitości, by okazać zakłopotanie.

– Aha... tak... dobrze, niech to idzie – odłożył kwitek i podniósł drugi. – A ten? Dlaczego nagle kupujemy surowicę Coombsa? Kto to zamówił?

Doktor Coleman – odparł Bannister skwapliwie; spodziewał się, że ten temat zostanie omówiony szerzej. Na stojącego obok Johna Alexandra spadło przeczucie nieszczęścia.

– Kiedy?

– Wczoraj. Doktor Coleman podpisał już zlecenie – Bannister wskazał ręką na kwit i dodał złośliwie: – W tym samym miejscu, gdzie pan zwykle składa swój podpis.

Pearson rzucił okiem na formularz. Wcześniej nie zauważył podpisu. Zapytał Bannistera: – Do czego mu to potrzebne? Wiesz może?

Laborant rozluźnił się. Puścił w ruch maszynę zemsty i mógł z radością przyglądać się całej scenie jako widz. Zwrócił się do Alexandra: – Powiedz mu, śmiało...

Niepewnym głosem Alexander wyjaśnił: – To do próby uczuleniowej krwi, panie doktorze. Dla mojej żony. Doktor Dornberger zlecił jej wykonanie.

– Tylko po co ten odczyn Coombsa?

– Do wykonania pośredniego testu Coombsa, panie doktorze.

– Powiedz mi, czy twoja żona jest kimś szczególnym? – Pearson użył sarkastycznego tonu. – Próby solankowe i bogatobiałkowe nie wystarczą? Takie same jak dla innych kobiet?

Alexander nerwowo przełknął ślinę. Zapadła cisza, którą przerwał Pearson: – Czekam na odpowiedź.

– Cóż, panie doktorze – Alexander wahał się przez chwilę, po czym wydusił: – Ja to zasugerowałem doktorowi Colemanowi, a on się zgodził... że badanie będzie bardziej wiarygodne, jeśli po tych próbach wykonamy...

– Ty zasugerowałaś doktorowi Colemanowi? – brzmienie głosu Pearsona nie pozostawiało wątpliwości co do dalszego przebiegu rozmowy.

Alexander przeczuwał, co się święci, ale brnął dalej: – Tak, panie doktorze. Uważaliśmy, że

skoro pewnych przeciwciał nie da się wykryć w solance i proteinie, wykonanie dodatkowego testu...

– Milcz! – słowo, które teraz padło, zostało wypowiedziane głośno, ostro, brutalnie. Równocześnie Pearson wyrzwał mocno pięścią w stertę formularzy, leżących na stole. W laboratorium zapanowała grobowa cisza.

Z trudem łapiąc oddech stary patolog mierzył wzrokiem Alexandra. Gdy już się przygotował do ataku, rzekł poważnie:

– Jest z tobą, Alexander, jeden wielki problem: zbyt śmiało sobie poczynasz popisując się bzdurami wyniesionymi ze szkoły – z tonu Pearsona przebijała zaciętość, zaciętość przeciw każdemu kto był młodszy, kto wtrącał się i usiłował pozbawić go władzy – absolutnej i niepodważalnej – którą on dzierżył w swoich rękach. Gdyby był w lepszym nastroju, mógłby wykazać się większą tolerancją. Teraz jednak zdecydował, że raz na zawsze pokaże temu pyszałkowi, gdzie jego miejsce. – Słuchaj mnie, żebyś dobrze zrozumiał! Już raz ci to powiedziałem, nie próbuj więcej robić takich numerów! – tak przemawia Władza Absolutna, kierownik oddziału szpitala do szeregowego pracownika zawiadamiając, że koniec z ostrzeżeniami i że od tej chwili może spodziewać się jedynie drastycznych posunięć. Stojąc twarzą w twarz z Alexandrem Pearson mówił dalej: – Ja odpowiadam za ten oddział, a jeśli ty lub ktokolwiek inny nie jest tego pewien, niech przyjdzie do mnie. Zrozumiałeś?

– Tak, panie doktorze.

W tym momencie Alexander marzył tylko, aby to wszystko już się wreszcie skończyło. Wiedział, że nigdy więcej niczego nie zaproponuje. Jeśli tak się płaci za myślenie, to od tej chwili zajmie się wyłącznie swoją pracą, a wnioski zachowa dla siebie. Niech inni się martwią – i ponoszą za to odpowiedzialność.

Lecz Pearson jeszcze nie skończył: – Nie rób niczego za moimi plecami, wykorzystując fakt, że doktor Coleman jest od niedawna...

Alexander ożywił się: – Nie wykorzystywałem...

– A ja twierdzę, że tak! I rozkazuję ci z tym skończyć! – sędziwy patolog krzyczał z wściekłością; jego twarz wykrzywił gniew, oczy rzuciły groźne błyski.

Alexander zamilkł kompletnie przybity.

Przez parę minut Pearson mierzył go wrogim spojrzeniem, potem, jakby zadowolony z tego co się stało, powiedział: – Coś ci powiem...

– W jego głosie nie wyczuwało się serdeczności, ale przynajmniej nie brzmiał tak ostro jak przed chwilą: – Jeśli chodzi o tę próbę krwi, to znaczy testy solankowe i bogatobiałkowe, to dostarczy nam wszelkich potrzebnych informacji. I pozwól, że ci jeszcze przypomnę, że przypadkiem jestem z zawodu patologiem i wiem, co mówię. Czy to do ciebie dotarło?

– Tak, panie doktorze – zgodził się bezbarwnie Alexander.

– Powiem ci, co zrobię – Pearson mówił już w miarę spokojnie; odnosiło się wrażenie, że to propozycja zawieszenia broni. – Skoro tak ci zależy, aby ten test został dobrze przeprowadzony, wykonam go sam. Teraz, tutaj. Gdzie jest próbka?

– W lodówce – powiedział Bannister.

– Wyjmij ją...

Przechodząc przez pokój Bannister doszedł do wniosku, że ta wymiana zdań nie przebiegała po jego myśli. To prawda, że chłopakowi należało trochę utrzeć nosa, lecz stary – mimo wszystko – zareagował zbyt ostro. Bannister wolałby, żeby cała burza spadła na tego pyszałkowego doktora. A może stary zostawia go sobie na później? Wybrał próbki z krwią oznaczone nazwiskiem „Pani Elizabeth Alexander” i zamknął lodówkę.

Pearson wybrał próbkę, z której zdjęto już skrzep. W tym momencie Bannister zauważył, że zlecenie, które wywołało tyle zamieszania, spadło na podłogę, więc schylił się, podniósł je i zapytał Pearsona: – Co z tym zrobić?

Stary patolog wyjął dwie czyste próbki. Do każdej nabrał pipetą odrobinę surowicy krwi. Nie podnosząc wzroku zapytał poirytowany:

– Co to jest?

– Zlecenie na zakup odczynu Coombsa.

– Nie będzie nam potrzebne, podrzyj je – Pearson bacznie przyglądał się butelce zawierającej aglutyninę. Przygotowanego w aptece roztworu używało się jako odczynnika przy próbach krwi z ujemnym Rh.

Bannister zawahał się. Choć nie znosił Colemana, wiedział, że obowiązuje ich kodeks medyczny i nie powinno się go naruszać: – Trzeba by powiedzieć o tym doktorowi Colemanowi – odezwał się niepewnie. – Może ja to zrobię?

Pearson mocował się z korkiem przy butelce, więc odrzekł zniecierpliwiony: – Nie, sam mu powiem.

Bannister wzruszył ramionami. Zrobił, co do niego należało; jeśli będą kłopoty, to już nie

jego zmartwienie. Podarłszy kwit patrzył, jak strzępki papieru wpadają do kosza.

Rezydent patolog Roger McNeil był pewien, że bez względu na liczbę lat przepracowanych w zawodzie lekarskim, nigdy nie uodporni się na sekcję zwłok dzieci. Właśnie ją skończył, a przed nim na stole leżało ziejące czerwienią, koszmarnie okaleczone ciało czteroletniego chłopca. Taki widok zawsze bardzo poruszał McNeila. Wiedział, że tej nocy znowu nie będzie mógł zasnąć, i obraz dziecka ciągle będzie mu stał przed oczami, zwłaszcza gdy przypomni sobie, a ma taką pewność, jak niepotrzebna i bezsensowna była ta śmierć. Podniósłszy wzrok zauważył, że Mikę Seddons przygląda mu się.

– Biedny mały... – powiedział cicho młody chirurg i dodał z goryczą: – Jakże głupi bywają ludzie!

– Policja jeszcze czeka? – zapytał McNeil.

– Tak, inni także – kiwnął głową Seddons.

– Lepiej zawołaj Pearsona.

– Dobrze – Seddons wszedł do małego pomieszczenia obok prosektorium, gdzie był telefon.

McNeil zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to z jego strony tchórzostwo, że nie chce brać na siebie odpowiedzialności. Tak czy inaczej, o tym przypadku należy powiadomić starego, wtedy on sam zdecyduje, kto ma przekazać informację dalej.

Seddons wrócił.

– Pearson był na serologii – rzekł. – Już idzie.

Czekali w milczeniu. Po chwili usłyszeli szuranie i pojawił się Pearson. Spojrzał na ciało, a w tym czasie McNeil wyrecytował szczegóły zdarzenia: około dwóch godzin temu chłopca potracił przed domem samochód, przywieziono go do szpitala karetką, ale już nie żył. Powiadomili o tym koronera, który zarządził sekcję. McNeil opowiedział też o jej wynikach.

– Uważasz, że to wszystko? – zapytał stary patolog z niedowierzaniem.

– To spowodowało śmierć, nic innego – odparł McNeil. Pearson zrobił parę kroków w stronę stołu, lecz naraz zatrzymał się.

Zbyt dobrze znał McNeila, by sądzić, że się pomylił.

– A więc wszyscy tylko stali... i przyglądali się – stwierdził. Seddons wtrącił się: – Najprawdopodobniej nikt nie wiedział, co się dzieje.

Pearson powoli kiwnął głową. Seddons zastanawiał się, o czym ten stary człowiek teraz myśli. Patolog zapytał: – Ile lat miało dziecko?

– Cztery. Ładny dzieciak.

Wszyscy popatrzyli na stół, gdzie leżała mała, nieruchoma postać. Oczy dziecka były zamknięte; jasne, rozwichrzone włosy zasłaniały miejsce, przez które wyjęto mózg. Pearson pokręcił głową, po czym ruszył do drzwi, rzucając przez ramię: – Dobrze, pójdę im powiedzieć.

Gdy Pearson wszedł do poczekalni, trzy osoby podniosły głowy. Jedną z nich był policjant w mundurze; wysoki mężczyzna siedzący obok niego miał zaczerwienione oczy. Trzeci siedział sam na drugim końcu ławki z wyrazem przygnębienia na twarzy – nieśmiały, drobnej postury, z rzadkim wąsem.

Pearson przedstawił się, na co odezwał się policjant: – Nazywam się Sevens, Piąty Komisariat – wyciągnął notes i ołówek.

– Był pan na miejscu wypadku? – zapytał Pearson.

– Przyjechałem zaraz po... – wskazał na wysokiego mężczyznę:

– To ojciec chłopca. Tamten pan jest kierowcą samochodu. Nieśmiały mężczyzna podniósł oczy i zwracając się do Pearsona powiedział: – Wybiegł prosto... prosto zza domu na jezdnię. Prowadzę bardzo ostrożnie. Sam mam dzieci. Nie jechałem szybko. Gdy to się stało, jechałem z minimalną prędkością.

– Uważam, że pan kłamie – to ojciec; głos mu się łamał z żalu i rozpacz. – Zabiłeś go i mam nadzieję, że wylądujesz za to w więzieniu.

Pearson przerwał łagodnie: – Chwileczkę, panowie – w głuchej ciszy wpatrywali się w patologa, który zwróciwszy uwagę na policyjny notes, kontynuował: – Przygotowujemy dla koronera pełny raport, ale już w tej chwili mogę wam przekazać wyniki sekcji – zawiesił głos.

– Sekcja wykazała, że to nie samochód spowodował śmierć dziecka. Policjant zrobił zaskoczoną minę.

– Ale ja tam byłem! Mówię panu... – odezwał się ojciec.

Chciałbym przekazać to państwu inaczej, ale chyba nie ma innego sposobu – powiedział lekarz i zwrócił się do ojca: – Po zderzeniu z samochodem chłopiec upadł i stracił przytomność w rezultacie lekkiego wstrząśnienia mózgu. Nastąpiło również złamanie nosa, zupełnie nieznaczące, które, niestety, wywołało obfity krwotok – Pearson skierował teraz swoje słowa do policjanta: – Domyślam się, że dziecko cały czas leżało na plecach, w miejscu upadku.

– Tak, panie doktorze, zgadza się. Nie chcieliśmy go ruszać, dopóki nie przyjedzie karetka – odparł policjant.

– Jak długo to trwało?

– Sądzę, że około dziesięciu minut.

Pearson z wolna skinął głową. Dostatecznie długo, wystarczy pięć minut.

– Niestety, obawiam się, że to jest prawdziwa przyczyna śmierci. Krew z nosa spływała do gardła. Chłopiec nie mógł oddychać, a krew dostała się do płuc. Zmarł na skutek uduszenia.

Twarz ojca wyrażała grozę i niedowierzanie.

– Chce pan powiedzieć, że... gdybyśmy go tylko odwrócili... Pearson uniósł ręce.

– Powiedziałem dokładnie, jak było, choć wolałbym tego nie mówić. Ale mogę jedynie przekazać prawdę: pierwotny uraz był nieznaczny.

– A więc uderzenie samochodu...

– Nigdy nie ma się całkowitej pewności, ale moim zdaniem, było stosunkowo słabe i powierzchowne.– Pearson wykonał gest ręką w stronę kierowcy, który już stał za nimi: – Sądzę, że ten pan mówi prawdę twierdząc, że samochód jechał bardzo wolno...

– Matko Boska! – rozległ się jęk rozpaczony i cierpienia; ojciec łkał zasłaniając twarz rękoma. Kierowca odprowadził go do sofy; w jego oczach pojawiły się łzy.

Policjant zbladł.

– Panie doktorze, byłem tam cały czas. Mogłem odwrócić chłopca, ale... nie wiedziałem.

– Chyba nie powinien się pan obwiniać.

Ale mężczyzna sprawiał wrażenie, że nie słyszy, co się do niego mówi. Kontynuował swoją wypowiedź jakby w oszołomieniu: – Zrobiłem kurs pierwszej pomocy. Dostałem odznaczenie. Zawsze uczyli nas, żeby nie ruszać ciała. Cokolwiek robicie, nie ruszać!

– Wiem... – Pearson delikatnie dotknął ramienia policjanta i odparł pomału: – Niestety, bywają wyjątki – jeden z nich to krwotok z ust.

David Coleman idąc na lunch głównym korytarzem ujrzał Pearsona, który wychodził z poczekalni. W pierwszej chwili wydało mu się, że patolog zachorował. Był zamyślony, jakby nieświadom tego, co się wokół dzieje. Na widok Colemana ruszył w jego kierunku. Młody lekarz przystanął.

– Aaa... doktorze Coleman... chciałem panu coś powiedzieć – Coleman czuł, że Pearson z jakiegoś powodu ma problemy z uporządkowaniem myśli. Patolog wyciągnął rękę w roztargnieniu i chwycił klapę białego fartucha młodszego kolegi. Coleman zauważył, że dłonie starego lekarza drżą ze zdenerwowania. Zdjął jego rękę ze swojego fartucha.

– O co chodzi, doktorze Pearson?

– O coś, co dotyczy laboratorium – Pearson pokręcił głową.

– Och, nie pamiętam... przypomnę sobie później – już miał odejść, gdy przyszła mu do głowy pewna myśl: – Może pan przejąć prosektorium, od jutra. Proszę uważać na wszystko i pilnować, żeby dobrze pracowali.

– Świetnie. Chętnie tym się zajmę – David Coleman miał własny pogląd na temat sposobu wykonywania sekcji, będzie to okazja do wprowadzenia go w życie. A skoro już rozmawiają, skonstatował, może poruszyć jeszcze jedną kwestię: – Zastanawiam się czy moglibyśmy porozmawiać – właśnie o laboratoriach.

– Laboratoriach? – stary człowiek ciągle błędził gdzieś myślami.

– Pamięta pan, że proponowałem w liście powierzenie mi pieczy nad częścią laboratoriów...

– Dziwne to było miejsce i czas na dyskusję, ale Coleman wyczuwał, że podobna okazja może nieprędko się nadarzyć.

– Tak... tak pamiętam coś takiego – Pearson obserwował trzy osoby idące korytarzem w znacznej odległości od nich: policjanta i drobnego mężczyznę, prowadzących trzeciego, postawnego.

– Może mógłbym zacząć od serologii – rzekł Coleman. – Chciałbym sprawdzić, czy badania wykonywane są prawidłowo – taka rutynowa kontrola.

– Aaa... O co chodzi?

Powtarzanie tej samej kwestii było irytujące.

– Powiedziałem, że chciałbym przeprowadzić kontrolę badań na serologii...

– Tak, tak... proszę bardzo – Pearson znowu wydawał się nieobecny. Coleman odszedł, a on ciągle stał i patrzył przed siebie w dół korytarza.

Elizabeth Alexander czuła się dobrze. Siedząc w stołówce szpitalnej uzmysłowiła sobie, że od kilku dni jest w niezłej kondycji, a dzisiaj rano wręcz znakomitej. Dziecko żyło; nawet w tej chwili wyczuwała słabe ruchy. Niedawno wróciła z domu towarowego, gdzie na wyprzedazy, walcząc w tłumie kobiet, kupiła piękny materiał do mieszkania i kawałek płóciénka na pościel dla maleństwa. A teraz spotkała się z Johnem.

Pierwszy raz jedli razem lunch w szpitalu. Korzystanie ze stołówki przez rodziny pracowników było niepisany przywilejem, na który szpital zezwalał, a o którym John dowiedział się przed kilkoma dniami. Parę minut temu stali w kolejce po jedzenie, Elizabeth

wybrała sałatkę jarzynową, zupę, bułkę, pieczeń cielęcą z ziemniakami i kapustą. Ciasto z serem i mleko. John spytał rozbawiony: – Jesteś pewna, że to wystarczy?

Elizabeth wzięła w palce kosteczkę selera, ugryzła i odpowiedziała:

– Ten dzieciak to głodomorek.

John uśmiechnął się. Jeszcze parę minut temu, w drodze na lunch, czuł się przybity dzisiejszą połajanką. Dobry humor Elizabeth udzielił mu się, oddalając przykre wspomnienia przynajmniej na chwilę. Zresztą, pomyślał, kłopoty z laboratorium skończą się, gdyż od dzisiaj zamierza działać z rozwagą. Poza tym doktor Pearson wykonał już osobiście badania uczuleniowe krwi w roztworze soli i bogatobiałkowe i obydwa dały wynik ujemny. „Jeśli chodzi o krew twojej żony – powiedział – to nie ma żadnych powodów do obaw”. Co więcej, wyraził to w sposób uprzejmy, przynajmniej w porównaniu z wcześniejszym zachowaniem.

Musi ponadto pamiętać o jednym: doktor Pearson jest patologiem, a on nie. Może ma rację twierdząc, że przykładą zbyt dużą wagę do szkolnej wiedzy? Wiadomo, szkoły włączają do głów mnóstwo informacji teoretycznych, które nie mają zastosowania w praktyce. Dobry Boże, w szkole średniej i college’u jest tak wiele przedmiotów, do których po egzaminie nigdy się nie wraca; niewykluczone, że chodzi o jeden z tych przypadków. Może John zbyt poważnie wziął sobie do serca teorię o potrzebie wykonywania trzeciej próby uczuleniowej podczas gdy Pearson, fachowiec z kilkudziesięcioletnią praktyką dobrze wie, że jest zbędna?

Jak to powiedział doktor Pearson dzisiaj rano? „Gdybyśmy za każdym razem, gdy pojawi się jakaś nowość medyczna, chcieli zmieniać metody naszych badań laboratoryjnych, nie byłoby im końca. Medycyna każdego dnia jest zasypywana nowymi pomysłami lecz zanim zaczniemy stosować je w szpitalu, musimy się upewnić, że zostały sprawdzone i rzeczywiście mają jakąś wartość. W naszych rękach jest ludzkie życie i nie możemy pozwalać sobie na żadne ryzyko”.

John niezupełnie rozumiał, dlaczego dodatkowe badania krwi miałyby narazić kogoś na niebezpieczeństwo, z drugiej jednak strony rozumiał, dlaczego doktor Pearson sceptycznie odnosi się do wszelkich nowych teorii; był obeznany z fachową literaturą i wiedział, że raz po raz pojawiają się jakieś nie zawsze godne uwagi nowinki medyczne. Co prawda, doktor Coleman widział konieczność przeprowadzenia trzeciej próby uczuleniowej, ale jest przecież dużo młodszy od Pearsona i nie dorównuje mu doświadczeniem.

– Zupa ci stygnie – przerwała jego rozmyślenia Elizabeth. – O czym tak dumasz?

– O niczym szczególnym, kochanie – postanowił wyrzucić z pamięci całą sprawę. Czasami

Elizabeth z łatwością potrafiła odgadnąć jego myśli. – Już w ubiegłym tygodniu miałem cię zapytać, co z twoją wagą?

– Jest prawidłowa – odparła pogodnie. – Ale doktor Dornberger powiedział, że powinnam dobrze się odżywiać – skończyła zupę i z apetytem rzuciła się na pieczeń cielęcą.

Alexander podniósł wzrok i ujrzał Colemana, kierującego się w stronę stolików zajmowanych zwykle przez personel medyczny. Odruchowo poderwał się z krzesła i zawołał: – Doktorze Coleman!

David Coleman zatrzymał się.

– Słucham?

– Panie doktorze, chciałbym, żeby poznał pan moją żonę – gdy Coleman podszedł, Alexander dokonał prezentacji: – Kochanie, to doktor Coleman. „„.

– Miło panią poznać, pani Alexander – Coleman stał ściskając w rękach tacę z posiłkiem, którą dopiero co zabrał z lady.

– Pamiętasz, kochanie? Opowiadałem ci, że on również pochodzi z New Richmond – odezwał się dość niefortunnie John.

– Tak, rzeczywiście – odparła Elizabeth i uśmiechnęła się do Colemana. – Dzień dobry, doktorze Coleman, doskonale pana pamiętam. Od czasu do czasu zaglądał pan do sklepu mojego ojca.

– To prawda – dopiero teraz przypomniał sobie pogodną, długonogą dziewczynę, która zazwyczaj kręciła się po zagraconym, staromodnym sklepiku, usiłując odnaleźć jakieś przedmioty zawieruszone w tym bałaganie. Niewiele się zmieniła od tamtej pory.

Któregoś dnia sprzedała mi pani sznur do bielizny.

– Pamiętam – powiedziała wesoło. – Dobry był? Zastanowił się i odparł: – Teraz, gdy pani o tym wspomina, wydaje mi się, że zaraz się zerwał. Elizabeth roześmiała się.

– Jeśli go pan odniesie, matka z pewnością wymieni na nowy. Nadal prowadzi sklep. Panuje tam jeszcze większy rozgardiasz.

– Jej dobry humor był zaraźliwy. Coleman odpowiedział uśmiechem.

John Alexander odsunął krzesło.

– Może pan się przysiadzie doktorze?

Coleman zawahał się, zdał sobie jednak sprawę, że odmawiając wyjdzie na gbura.

– Dobrze – postawił tacę ze skromnym lunchem: niewielką porcją sałatki owocowej

i szklanką mleka, i usiadł. Przyjrzał się Elizabeth: – Jeśli dobrze pamiętam, nosiła pani kucyki?

– Tak – zareagowała błyskawicznie – i aparat ortodontyczny; – Już z tego wyrosłam.

Davidowi Colemanowi spodobała się ta dziewczyna. Przypomniała mu dawne lata. Dzisiejsze spotkanie było jak niespodziewanie odwrócona kartka z przeszłości. Przyjemnie mieszkało się w stanie Indiana, pamiętał wakacje spędzane w domu, podczas których jeździli z ojcem jego wysłużonym, pogruchofanym chevroletem. Powiedział zadumany: – Dawno nie byłem w New Richmond. Ojciec zmarł, jak pani wiadomo, a matka przeprowadziła się do West Coast. Nic mnie tam już nie ciągnie – otrząsnął się ze wspomnień i spytał: – Proszę mi powiedzieć, jak się pani czuje jako żona medyka?

– Nie medyka, tylko laboranta – wtrącił pośpiesznie John Alexander i od razu zaczął się zastanawiać, dlaczego to zrobił. Może pod wpływem wydarzeń dzisiejszego ranka. Przed chwilą, zanim Coleman do nich podszedł, John rozważał, czy ma opowiedzieć o incydencie w laboratorium, ale szybko zrezygnował. Już dość miał kłopotów z powodu szczerości, którą zademonstrował podczas wcześniejszej rozmowy z Colemanem. Na razie wystarczy.

– Proszę nie lekceważyć analityki, jest ogromnie ważna. Elizabeth wyjaśniła: – On jej nie lekceważy, tylko czasami żałuje, że nie został lekarzem.

– Naprawdę? – zapytał Coleman.

Alexander nie był zadowolony, że Elizabeth poruszyła ten temat. Odparł z niechęcią: – Myślałem o tym. Kiedyś.

Coleman nabrał owoce na widelec.

– Dlaczego nie poszedł pan na medycynę?

– Z kilku powodów, głównie finansowych. Byłem bez pieniędzy, a chciałem jak najszybciej zacząć zarabiać.

Między jednym a drugim kęsem Coleman powiedział: – Nic straconego. Ile ma pan lat?

– Już jest za stary – odparła za niego Elizabeth – za dwa miesiące skończy dwadzieścia trzy...

No tak, rzeczywiście jest stary – wszyscy roześmiali się, po czym Coleman dodał: – Ma pan jeszcze sporo czasu...

– Och, nie wiem – John Alexander mówił powoli, z namysłem, jakby z góry wiedział, że posłużył się mało przekonującym argumentem. – Taka decyzja oznaczałaby nowe problemy finansowe; dopiero zaczynamy się urządzać. Poza tym przy małym dziecku... – urwał.

Coleman podniósł szklankę z mlekiem. Wypił parę łyków i stwierdził: – Mnóstwo ludzi ma

dzieci i kończy studia medyczne. Mają też kłopoty finansowe.

– To samo mówiłam! – żywo zareagowała Elizabeth, pochylając się nad stołem. – Tak się cieszę, że ktoś jeszcze ma podobne zdanie.

Coleman wytarł usta w serwetkę i spojrzał na Alexandra. Czuł, że przy pierwszym spotkaniu właściwie oceniał młodego laboranta. Był inteligentny, sumienny, lubił swoją pracę i udowodniał to każdego dnia.

– John, wie pan, co myślę? Jeśli nie pójdzie pan na studia medyczne, póki są takie możliwości, będzie pan żałował do końca życia.

Alexander siedział ze spuszczonego wzrokiem i bezwiednie bawił się nożem i widelcem.

– W dalszym ciągu jest zapotrzebowanie na patologów, prawda? – zapytała Elizabeth.

– Oczywiście – przytaknął stanowczo Coleman. – Może nawet większe niż na lekarzy innych specjalności.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Przede wszystkim z przyczyn naukowych – ta specjalizacja pozwala na poszerzanie wiedzy medycznej, wypełnianie luk w tej dziedzinie.

– Na przykład?...

Colemanowi przemknęła myśl, że rozmawia z większą swobodą niż zazwyczaj. Miał nawet ochotę mówić o sprawach, z których do tej pory nikomu się nie zwierzał. Obcowanie z tą dwójką wpływało na niego odprężająco; po wielu godzinach spędzonych z doktorem Pearsonem, stanowiło jakąś odmianę. Odpowiadając na pytanie Elizabeth rzekł:

– Pod pewnymi względami medycyna przypomina wojnę. Tu także, jak podczas konfliktu zbrojnego, zdarzają się spektakularne uderzenia, kiedy to armia, w tym wypadku lekarze, posuwając się szybko na głównym kierunku natarcia, pozostawia znaczne obszary do późniejszego rozpoznania.

– I do patologa należy wypełnienie tych obszarów?

– Nie, to zajęcie dla wszystkich działów medycyny, ale czasami patologia ma tutaj więcej okazji – Coleman zadumał się na moment, po czym kontynuował: – I jeszcze jedno: pracę naukowo-badawczą w medycynie można porównać z budowaniem muru. Ktoś powiększa określony zasób wiedzy – kładzie jedną cegłę na drugą; ktoś inny dokłada jeszcze jedną i mur stopniowo rośnie. W końcu przychodzi ktoś jeszcze inny i stawia ostatnią cegłę na szczycie – uśmiechnął się. – Nie wszyscy mają szansę robić wielkie odkrycia i zostać Flemingiem czy

Salkiem. Najlepsze co patolog może zdziałać, to wnieść wkład w rozwój wiedzy medycznej na miarę swoich możliwości i czasów, w których żyje. Przynajmniej tyle powinien zrobić.

John Alexander słuchał z uwagą, a teraz zapytał podniecony:

– Będzie pan tu prowadził badania?

– Mam nadzieję.

– Nad czym?

Coleman nie mógł się zdecydować. Jeszcze nigdy o tym nie rozmawiał. Ale doszedł do wniosku, że skoro już tyle powiedział, jedna informacja więcej nie robi różnicy.

– Cóż, przede wszystkim nad tłuszczakami – łagodnymi guzami komórek tłuszczowych. Mało o nich wiemy – w miarę jak rozgrzewał go temat, nieufność ustępowała. – Czy wiecie, że zdarzały się przypadki, iż ludzie umierali z głodu zżerani przez wewnętrzne guzy? Spodziewam się, że... – urwał raptownie. – Pani Alexander, czy coś się stało?

Elizabeth gwałtownie złapała powietrze i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili opuściła rękę i potrząsnęła głową.

– Elizabeth! Co ci jest? – John Alexander, przestraszony, poderwał się z krzesła.

– Nic... wszystko w porządku – uspokoiła go gestem. Na moment zamknęła oczy i zaraz je otworzyła. – To był tylko chwilowy ból, później poczułam zawrót głowy. Już mi przeszło.

Łyknęła trochę wody. Tak, to prawda, już przeszło. Lecz przez parę sekund wydawało jej się, że coś kłuje ją gorącymi szpilkami i to w miejscu, gdzie czuła ruchy dziecka. Poza tym głowa... cała stołówka zawirowała jej w oczach.

– Czy wcześniej zdarzyło się pani coś podobnego? – zapytał Coleman.

– Nie.

– Jesteś pewna, kochanie? – głos Johna wyrażał niepokój. Elizabeth wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni.

– Nie martw się. Na dziecko jeszcze za wcześnie. Mamy co najmniej cztery tygodnie.

– Mimo wszystko powinna pani zadzwonić do swojego lekarza – rzekł poważnie Coleman – i powiedzieć, co się stało. Może będzie chciał panią zbadać.

– Dobrze – Elizabeth uśmiechnęła się serdecznie. – Obiecuję. Elizabeth była wtedy przekonana, że tak zrobi, ale później, z dala od szpitalnej atmosfery, doszła do wniosku, że głupio byłoby zwracać doktorowi Dornbergerowi głowę z powodu jakiejś przypadkowej dolegliwości. Jeśli się powtórzy, powie mu – teraz nie. Postanowiła czekać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Czy coś już wiadomo?

Vivian siedząc w fotelu na kółkach spojrzała na Lucy Grainger, która właśnie weszła do pokoju. Już cztery dni minęły od biopsji, a trzy od chwili, gdy Pearson wysłał preparaty do Nowego Jorku i Bostonu.

Lucy pokręciła głową.

– Jak tylko się czegoś dowiem, Vivian, zaraz cię powiadomię.

– A kiedy... kiedy pani spodziewa się tej informacji?

– Prawdopodobnie dzisiaj – odparła rzeczowo; nie chciała okazać, że ją także denerwuje to czekanie. Wczoraj wieczorem znowu rozmawiała z Joe Pearsonem; obiecał, że jeśli diagnozy konsultantów nie nadejdą do południa, zadzwoni do nich z ponagleniem. Każdemu ciężko było czekać, nie wyłączając rodziców Vivian, którzy dzień wcześniej przyjechali z Oregonu.

Lucy odwinęła opatrunki z kolana Vivian; blizna po biopsji goiła się prawidłowo. Bandażując je na powrót, rzekła: – Wiem, że najłatwiej o rady, ale postaraj się myśleć o czym innym.

Na twarzy dziewczyny pojawił się wąty uśmiech.

– To nie takie proste.

Lucy otworzyła drzwi: – Może miły gość ci w tym pomoże. Wyjątkowo wczesne odwiedziny – przekraczając próg skinęła głową.

Do pokoju wszedł Mikę Seddons, ubrany w biały szpitalny fartuch.

– Ukradłem dziesięć minut. Wszystko dla ciebie – podszedł do krzesła i pocałował Vivian. Zamknęła oczy i przytuliła się. Przeczesał palcami jej włosy. Łagodny głos zabrzmiał tuż przy jej uchu: – Trudno jest czekać, prawda?

– Och, Mikę, gdybym tylko wiedziała, co będzie! Chyba byłoby mi już wszystko jedno. – Najgorsze są... myśli... brak pewności.

Odsunął się i spojrzał jej w twarz: – Vivian, kochanie, tak bardzo chciałbym coś dla ciebie zrobić...

– Już bardzo dużo zrobiłeś – roześmiała się. – Przez to, że istniejesz i że jesteś ze mną. Nie wiem, co bym zrobiła bez... – urwała, ponieważ położył palec na jej ustach.

– Nie mów tak. Widać musiałem znaleźć się w tym miejscu. To dzieło przeznaczenia, niedającej się ogarnąć kosmicznej koincydencji – uśmiechnął się do niej szczerze, radośnie, choć czuł, że na dzień tego uśmiechu nie było nic, pustka. Mikę Seddons, podobnie jak Lucy, zdawali sobie sprawę, co może oznaczać brak odpowiedzi patologów.

Jednak udało mu się rozweselić Vivian.

– Nonsens! – wykrzyknęła. – Gdybym wtedy nie przyszła na sekcję i dopadła cię wcześniej inna dziewczyna...

– Ho, ho! – pokręcił głową. – Mogłoby się tak wydawać, ale któż ujdzie swemu przeznaczeniu. Od kiedy nasi prapraprzodkowie zeszli z drzew i zaczęli się czochrać pod pachami, nasze geny wędrują z pyłem Czasu, Życia i Losu... – mówił bez zastanowienia, cokolwiek, byle tylko osiągnąć zamierzony skutek.

– Och, Mikę – powiedziała Vivian – opowiadasz takie cudowne głupstwa. Ale i tak bardzo cię kocham.

– To dla mnie oczywiste – pocałował ją jeszcze raz, delikatnie.

– Twoja mama też mnie chyba lubi. Podniosła rękę do ust.

– Widzisz, co ze mną wyrabiasz? Najpierw powinnam zapytać... Czy wszystko było w porządku po waszym wyjściu stąd wczoraj wieczorem?

– Jasne. Odprowadziłem ich do hotelu; posiedzieliśmy chwilę, pogadaliśmy. Twoja matka niewiele mówiła, za to ojciec taksował mnie wzrokiem i zastanawiał się: kim jest ten facet, który ośmiela się żenić z moją śliczną córką?

– Dzisiaj mu powiem... – rzekła Vivian.

– Co mu powiesz?

– Och, nie wiem – wyciągnęła ręce i chwyciła Mikę'a za uszy, kręcąc jego głowę w obie strony i przyglądając mu się badawczo.

– Mogłabym powiedzieć tak: „ma najładniejsze, choć rozwichrzone rude włosy; gdy się zagłębi w nich palce, są wyjątkowo miękkie” – po czym swoje słowa wcieliła w czyn.

– Cóż, to na pewno bardzo pomoże. Bez tego żadne małżeństwo się nie obejdzie. Co jeszcze?

– Powiem mu: „Oczywiście, specjalnie nie ma na co patrzeć. Ale to złote serce i będzie wspaniałym chirurgiem”.

Seddons zmarszczył brwi.

– A nie mogłabyś powiedzieć „wyjątkowo wspaniałym”?

– Mogłabym, gdybyś...

– Gdybym co?

– Gdybyś mnie jeszcze raz pocałował.

Lucy Grainger zapukała do drzwi mieszczącego się na trzecim piętrze gabinetu naczelnego chirurga i weszła do środka. Kent O'Donnell podniósł wzrok znad sterty papierów.

– Cześć, Lucy, pozwól odpocząć swoim zmęczonym kościom...

– Skoro już o tym mówisz, naprawdę są zmęczone – opadła na wielki skórzany fotel po drugiej stronie biurka.

– Dzisiaj z samego rana miałem wizytę pana Loburtona – O'Donnell obszedł biurko i stanąwszy w pobliżu Lucy, oparł się o nie. – Zapalisz? – wyciągnął grawerowaną papierośnicę.

– Dzięki – wzięła jednego. – Tak, to ojciec Vivian. O'Donnell podał jej ogień i Lucy zaciągnęła się głęboko; dym chłodził, uspokajał.

– Obydwoje przyjechali wczoraj. Są ogromnie zaniepokojeni, a o mnie nic nie wiedzą. Zaproponowałam więc panu Loburtonowi, żeby porozmawiał z tobą.

– Porozmawialiśmy – O'Donnell mówił spokojnie. – Powiedziałem, że moim zdaniem jego córka nie mogłaby trafić w lepsze ręce i że wśród personelu nie ma nikogo, do kogo miałbym większe zaufanie. Muszę ci powiedzieć, że chyba podniosło go to na duchu.

– Dziękuję – słowa O'Donnella sprawiły jej ogromną radość. Chirurg roześmiał się.

– Nie dziękuj, to uczciwa ocena – urwał. – Co z dziewczyną, Lucy? Co dotąd wiadomo?

Lucy opowiedziała mu o zwłoce w diagnozie. Rozmyślał przez krótką chwilę, po czym odparł: – Wydaje mi się, że to rozsądne posunięcie. Chyba nie możemy mieć pretensji. Ale nie odstępuj Joe'go; nie należy czekać z tym do jutra.

– Nie będę – Lucy spojrzała na zegarek. – Chcę się z nim spotkać po lunchu. Powinien już wiedzieć coś konkretnego.

O'Donnell uśmiechnął się z goryczą: – Jeśli w takiej sprawie w ogóle można wiedzieć coś konkretnego – i dodał zadumany:

– Biedactwo. Jak mówiłaś, ile ma lat?

– Dziewiętnaście.

Lucy obserwowała twarz Kenta. Była zwierciadłem jego charakteru, myśli i intelektu. Nosi w sobie cechy wielkości, których nie potrafi ukryć, gdyż stanowią jego nieodłączną część, pomyślała. Dlatego wcześniejsze słowa Kenta na temat jej umiejętności cieszyły i nabierały

większego znaczenia. I nagle Lucy jakby pod wpływem olśnienia uzmysłowiła sobie coś, o czym myślała od wielu miesięcy, lecz starała się zdusić to w sobie: że kocha tego mężczyznę – gorąco i prawdziwie. Dobitnie zdała sobie sprawę, że broniła się przed tym uczuciem prawdopodobnie z obawy, że zostanie zraniona. Ale teraz niech będzie, co ma być, nie jest w stanie dalej się opierać. Myślenie o tym odebrało jej na moment siły; przelęknęła się, czy przypadkiem twarz jej nie zdradziła.

O'Donnell odezwał się przepaszajaco: – Muszę cię zostawić, Lucy, mamy kolejny ciężki dzień – roześmiał się. – Chyba wszystkie są takie, prawda?

Z bijącym sercem, mocno wzruszona wstała i podeszła do drzwi. O'Donnell otwierając je otoczył Lucy ramieniem. Był to nic nieznaczący, przyjacielski gest, który mógł wykonać każdy z jej kolegów. Lecz w tej chwili odniósł zupełnie inny skutek: wstrząsnął nią i przyprawił o utratę tchu.

– Gdyby były jakieś problemy, Lucy, zaraz daj mi znać. Jeśli się zgodzisz, wpadnę dzisiaj i obejrzę twoją pacjentkę.

– Na pewno będzie zadowolona, ja zresztą też – odparła. Będąc już za drzwiami, na chwilę przymknęła powieki, starając się uspokoić rozbiegane myśli.

Na Mike'u Seddonsie oczekiwanie na diagnozę porządnie się odbiło. Zazwyczaj wesoły i pogodny, uchodził w szpitalu za duszę towarzystwa, przewodząc na kwaterze najbardziej hałaśliwej grupie rezydentów. Jednak przez ostatnie kilka dni wyraźnie stronił od kolegów; zadreślał się myślą, czym dla Vivian i dla niego samego będzie negatywna diagnoza patologów.

Jego uczucie do Vivian nie zmieniło się; może nawet przybrało na sile. Miał nadzieję, że udało mu się przekonać o tym rodziców Vivian podczas wczorajszej pogawędki po wizycie w szpitalu. Z początku, czego można było się spodziewać, cała czwórka – państwo Loburton, Vivian i Mikę – zachowywała się powściągliwie; rozmowa nie kleiła się, momentami nabierała charakteru służbowej wymiany zdań. Później także. Choć wydawało się, że spotkanie Loburtonów z przyszłym zięciem powinno stać się ważnym wydarzeniem, to jednak zeszło ono na dalszy plan z powodu stanu zdrowia Vivian. W tej sytuacji Mikę Seddons uznał, że został zaakceptowany, a na podjęcie tematu zabrakło po prostu czasu.

Później rozmawiali z nim krótko w hotelu, w saloniku ich apartamentu. Henry Loburton, którego zwalista sylwetka ledwie mieściła się w miękkim krześle, pytał go o plany na przyszłość bardziej – jak podejrzewał Mikę – z uprzejmości niż autentycznego zainteresowania. Seddons

powiedział o zamiarze odbycia praktyki chirurgicznej w Filadelfii tuż po zakończeniu stażu w Trzech Hrabstwach. Loburtonowie ze zrozumieniem kiwali głowami i nie zadawali dalszych pytań.

Wydawało się, że nie będą sprzeciwiali się ich małżeństwu. – Vivian zawsze wiedziała, czego chce – zauważył w pewnym momencie Henry Loburton. – Tak samo było z wyborem zawodu. My mieliśmy wątpliwości, ale ona uparła się, że zostanie pielęgniarką, i niewiele mieliśmy do powiedzenia.

Mikę Seddons wyraził nadzieję, że ich córka nie jest zbyt młoda na małżeństwo. Wówczas Angela Loburton uśmiechnęła się i powiedziała: – Trudno byłoby nam się sprzeciwić. Widzi pan, ja wyszłam za mąż mając siedemnaście lat. Z tego powodu uciekłam z domu – spojrzęła z uśmiechem na męża. – Nie mieliśmy pieniędzy, ale daliśmy sobie radę.

Seddons odparł pogodnie: – Pod tym względem niczym się nie różnimy, w każdym razie dopóki nie skończę stażu.

Tak było wczoraj wieczorem; dzisiejszego ranka, po wizycie u Vivian, z niewiadomych powodów poczuł lekkość i ulgę. Może zbyt długo żył w napięciu i jaśniejsze myśli szukały dla siebie ujścia? Niezależnie od tego, jaka była przyczyna, oładnęło nim radosne przekonanie, że wszystko ułoży się dobrze. To uczucie nie opuszczało go aż do chwili, gdy w prosektorium asystował Rogerowi McNeilowi w sekcji zwłok starszej pacjentki, zmarłej w nocy w szpitalu. Mikę był kopalnią dowcipów, dzięki czemu zdobył sobie miano kawalarza. Ta sekcja również stanowiła dla niego okazję do opowiedzenia McNeilowi zabawnej dykteryjki. Nie dokończywszy kawału zapytał McNeila:

– Masz papierosy?

Rezydent kiwnął głową. Kroił właśnie serce.

Seddons przeszedł przez pokój, odnalazł paczkę w kieszeni McNeila i zapalił. W drodze powrotnej kontynuował opowieść: – Powiedziała do grabarza: „Dziękuję, że pan to zrobił. Z pewnością miał pan mnóstwo kłopotu”. A grabarz na to: „Nic podobnego, naprawdę. Zamieniłem tylko głowy”.

Żart był makabryczny, szczególnie w takich okolicznościach, lecz McNeil roześmiał się głośno. Gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich David Coleman, uśmiech ciągle nie schodził mu z twarzy.

– Doktorze Seddons, czy mógłby pan zgasić papierosa? – Coleman powiedział to spokojnym

głosem.

Mikę Seddons obejrzał się i odparł uprzejmie: – O, dzień dobry, doktorze Coleman. Dawno pana nie widziałem...

– Papieros, doktorze Seddons! – nagle ton głosu Colemana stał się lodowaty, w oczach pojawił się błysk.

Z początku Seddons niezbyt dobrze pojął, w czym rzecz. Później rzekł: – Ach... tak – rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby zgasić papierosa, lecz nie znalazłszy nic odpowiedniego, wyciągnął rękę w stronę stołu, gdzie spoczywało ciało.

– Nie tam! – ostry ton Colemana sprawił, że młody chirurg zatrzymał się osłupiały. Po chwili ruszył na drugi koniec pokoju, znalazł popielniczkę i odłożył niedopałek.

– Doktorze McNeil...

– Słucham, doktorze Coleman – McNeil zareagował ze stoickim spokojem.

– Czy mógłby pan... zakryć twarz?

McNeil poczuł się niezręcznie, gdyż wiedział, o co Colemanowi chodzi. Sięgnął po prześcieradło; było już używane, o czym świadczyły krwawe plamy. Łagodnie acz z zaciętością Coleman zażądał: – Czyste, proszę! To samo dotyczy dolnej partii brzucha!

McNeil skinął na Seddonsa, który przyniósł dwa czyste prześcieradła i starannie rozłożył jedno na twarzy zmarłej, drugie na jej łonie.

Teraz młodzi lekarze zwrócili głowy w stronę Colemana. Obaj wyglądali na zakłopotanych, przeczuwając dalszy bieg wypadków.

– Panowie, zdaje mi się, że muszę wam o czymś przypomnieć – David Coleman mówił bez zdenerwowania – od chwili gdy tu wszedł, ani razu nie podniósł głosu – lecz z wyczuwalną stanowczością i powagą. – Sekcję wykonujemy za zgodą rodziny zmarłej kobiety. Bez tego nie byłoby sekcji. Myślę, że sprawa jest całkiem jasna, prawda?

– Całkowicie – odparł Seddons, a McNeil przytaknął.

– To bardzo dobrze – Coleman obrzucił spojrzeniem stół, po czym przeniósł wzrok na lekarzy. – Celem naszego działania jest postęp w naukach medycznych. Rodzina powierza nam zwłoki w zaufaniu, że potraktujemy je z należną troską, szacunkiem i powagą... urwał i w pokoju

zaległa cisza. McNeil i Seddons stali jak zamurovani. – I tak będziemy je traktować, panowie – Coleman jeszcze raz powtórzył: – ... z troską, szacunkiem i powagą. Podczas każdej sekcji twarz i genitalia mają być zakryte i nie będzie palenia papierosów. Co do waszego

zachowania, a w szczególności zamiłowania do żartów – na tę uwagę Mikę Seddons mocno się zarumienił decyzję pozostawiam waszej wyobraźni. – Coleman spojrział każdemu z nich prosto w oczy i zakończył: – Dziękuję, panowie, proszę kontynuować – skinął głową i wyszedł.

Przez parę sekund obaj milczeli. Dopiero po jakimś czasie Seddons szeptem skomentował zdarzenie: – Ale nam się oberwało... McNeil dorzucił ponuro: – Chyba były powody, nie sądzisz?

Elizabeth Alexander postanowiła, że jak tylko będzie ich stać na taki wydatek, kupi odkurzacz. Stara szczotka do dywanów zbierała tylko kurz z wierzchu i nic poza tym. Jeszcze parę razy przejechała nią po mieszkaniu i krytycznym okiem przyjrzała się efektom swojej pracy. Nie za dobrze wyszło, ale lepiej nie będzie. Dzisiaj wieczorem porozmawia z Johnem. Odkurzacze nie są znowu tak drogie, więc dodatkowy zakup w miesiącu nie powinien stanowić problemu. Z drugiej jednak strony brakuje im tylu różnych rzeczy i może wpiertw należałoby się zdecydować, w co powinni się zaopatrzyć w pierwszej kolejności.

W pewnym sensie John ma rację, pomyślała. Łatwo mówić o poświęceniu i rezygnacji z wielu spraw na rzecz jego studiów medycznych, ale gdy przychodzi co do czego, nie zawsze da się ograniczyć wydatki, skoro już raz człowiek przyzwyczaił się do pewnego standardu. Weźmy, na przykład, szpitalną pensję Johna. Nie zaliczała się do wysokich, mimo to pozwalała na wygodną egzystencję, a nawet drobne luksusy, które jeszcze parę miesięcy temu znajdowały się poza zasięgiem ich możliwości. Czy będą umieli z tego wszystkiego zrezygnować? Elizabeth uważała, że tak, choć nie bez rozterki. Studia medyczne to kolejne cztery lata zmagania z najprzeróżniejszymi problemami, należy też wziąć pod uwagę lata stażu, może nawet na stanowisku rezydenta, jeśli John zdecyduje się na jakąś specjalizację. Czy warto? Czy nie powodziłoby się im lepiej, gdyby zaakceptowali swoje dotychczasowe życie, z jego aktualną pozycją, mimo iż nie jest za wysoka?

Czy to rozumowanie ma jakiś sens? Elizabeth nie była do końca pewna, czy powinna dalej nakłaniać Johna, by piął się wyżej, poszedł na studia, nie bacząc na cenę, jaką za to zapłaci. Naturalnie doktor Coleman uważał, że tak. Co powiedział Johnowi?: „Jeśli nie pójdzie pan na medycynę, póki są takie możliwości, będzie pan żałował do końca życia”. Te słowa wywarły na Elizabeth ogromne wrażenie; przypuszczała, że na Johnie również. W tej chwili, kiedy sobie o nich przypominała, nabrały jeszcze większego znaczenia. Zmarszczyła brwi; może trzeba by przedyskutować tę kwestię jeszcze raz dziś wieczorem? Jeśli pozna rzeczywiste pragnienia

Johna, może uda się jej nakłonić go do podjęcia właściwej decyzji? Zresztą niejedną raz przeforsowała własne zdanie w sprawach dotyczących obydwojga.

Elizabeth odłożyła szczotkę i zaczęła się kręcić po mieszkaniu, sprzątała i wycierała kurze. Na chwilę odrzuciła poważne myśli i z cicha sobie podśpiewywała. Poranek był przepiękny; promienie ciepłego, sierpniowego słońca, rozświetlając niewielki, ale przytulny pokój, sprawiały, że zasłony, które wczoraj wieczorem uszyła i powiesiła na oknach, wyglądały uroczo. Elizabeth zatrzymała się przy stole, by ułożyć bukiet w wazonie. Oderwała dwa przekwitłe kwiaty i ruszyła w kierunku maleńkiej kuchenki. Nagle poczuła ból. Spadł na nią niespodziewanie, bez ostrzeżenia, jak palący, obezwładniający płomień; był mocniejszy, znacznie mocniejszy niż wczoraj w stołówce. Wciągnęła powietrze i przygryzając wargi, by nie krzyknąć, opadła na fotel. Ból gwałtownie ustąpił, po czym wrócił ponownie, jakby z większą intensywnością, cyklicznie. Raptem zdała sobie sprawę, co to oznacza, i mimo woli jęknęła: „Och, nie, nie!”

Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że musi działać błyskawicznie. Numer szpitalnego telefonu znajdował się na kartce. Ni stąd, ni zowąd dotarcie do urządzenia po drugiej stronie pokoju stało się niedościgłym celem. Wyczuwając odpowiedni moment między atakami bólu i trzymając się kurczowo stołu, Elizabeth wyprostowała się i ruszyła w stronę aparatu. Wykręciła numer i usłyszawszy głos w słuchawce wymamrotała, dysząc ciężko: – Z doktorem Dornbergerem... pilne...

Po chwili zgłosił się lekarz.

– Tu... Elizabeth Alexander – wydusiła. – Zaczęłam... rodzić.

David Coleman zastukał do gabinetu doktora Pearsona i wszedł. Starszy patolog siedział za biurkiem, tuż obok stał Carl Bannister. Twarz laboranta zdradzała napięcie; na widok Colemana uciekł ze spojrzeniem.

– Zdaje się, że chciał pan się ze mną widzieć – Coleman usłyszał własne nazwisko w megafonie w chwili, gdy skończył właśnie badanie zamrożonych wycinków.

– Tak – Pearson zachowywał się chłodno, oficjalnie. – Doktorze Coleman, członek naszego zespołu, obecny tu Carl Bannister, złożył na pana skargę...

– Oooo? – Coleman uniósł brwi zaskoczony. Bannister wciąż stał ze wzrokiem wlepionym przed siebie.

– Jak rozumiem – ciągnął Pearson – dziś rano mieliście małe spięcie.

– Wcale bym tego tak nie nazwał – Coleman starał się zachować spokój.

– A jak? – Pearson zapytał cierpko. Coleman nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Szczerze mówiąc”, nie miałem zamiaru zaprzętać panu tym głowy, ale skoro pan Bannister zdecydował inaczej, będzie lepiej, jak dowie się pan o wszystkim.

– Jeśli nie sprawi to panu zbyt wielkiego kłopotu... Ignorując cierpką uwagę Pearsona, Coleman zaczął opowiadać:

– Wczoraj po południu powiedziałem obu laborantom – serologom, że co jakiś czas mam zamiar kontrolować pracę laboratorium. Właśnie dzisiaj rano przeprowadziłem taką kontrolę – spojrzał na Bannistera.

– Wziąłem jedną próbkę, której jeszcze nie przekazano na serologię, i podzieliłem na dwie części. Później na zleceniu dopisałem tę drugą próbkę, przeznaczając do oddzielnego badania. Po sprawdzeniu okazało się, że pan Bannister posiada dwa różne wyniki, podczas gdy, co jest oczywiste, powinny być identyczne – i zaraz dodał: – Jeśli pan sobie życzy, możemy to sprawdzić.

Pearson pokręcił głową. Podniósł się z krzesła i odwrócił; wyraźnie nad czymś medytował. Colemana aż świerbiło, żeby dowiedzieć się, jak zareaguje. Uznał, że sam może czuć się bezpieczny. Postąpił tak, jak postępuje się w większości dobrze prowadzonych laboratoriów szpitalnych. Takie działanie bierze w obronę interesy pacjentów, ponadto zapobiega niedbalstwu. Sumienni laboranci bez szemrania godzili się na kontrole, uważając je za nieodłączny element swojej pracy. Co więcej, Coleman postąpił wczoraj zgodnie ze zwyczajem, uprzedzając Bannistera i Alexandra o swoich planach.

Nagle Pearson naskoczył na Bannistera.

– I co masz mi teraz do powiedzenia?

– Nie lubię, gdy ktoś depcze mi po piętach – laborant był urażony, zachowywał się agresywnie. – Nigdy nie pracowałem w takich warunkach i nie widzę powodu, bym musiał to robić teraz...

– A ja ci powiem, że jesteś kompletnym durniem! – wrzasnął Pearson: – Durniem... bo stać cię na popełnienie tak idiotycznego błędu, a nawet jeszcze większym, bo masz odwagę przyjść z tym do mnie, skoro cię przyłapano na gorącym uczynku – urwał i zacisnął usta, dysząc ciężko.

Coleman czuł, że starszy pan rozgniewał się raczej przez wzgląd na siebie samego; dla niego jako szefa działu fakt był na tyle nieprzyjemny, że nie miał wyboru i musiał stanąć w obronie młodszego kolegi, niezależnie od tego czy mu się to podoba czy nie.

Stojąc przed Bannisterem Pearson warknął: – I czego się spodziewałeś: że poklepię cię po ramieniu i wręcę medal?

Mięśnie twarzy Bannistera drgnęły. Po raz pierwszy nie wiedział, co powiedzieć. Pearson mierząc go surowym spojrzeniem szykował się do kolejnego ataku, lecz nagle zrezygnował. Odwracając się machnął ręką: – Wynoś się! Wynoś się stąd!

Bannister bez słowa, z kamienną twarzą, nie patrząc na boki, wyszedł z gabinetu i zamknął drzwi.

Pearson obejrzał się raptownie.

– Co to, do diabła, ma znaczyć?!

Coleman zauważył, że oczy Pearsona rzucają gniewne błyski. Uzmysłował sobie, że afera z Bannisterem to dopiero wstęp do większej kłótni. Postanowiwszy trzymać nerwy na wodzy, odparł łagodnie: – Nie bardzo wiem, o co panu chodzi, doktorze Pearson.

– Do cholery, wie pan doskonale! Chodzi o kontrole w laboratorium – bez mojej zgody!

Coleman odrzekł chłodno: – Naprawdę potrzebna jest pańska zgoda? Do takich rutynowych czynności? Pearson walnął pięścią w biurko.

Gdy konieczna będzie kontrola w laboratorium, to ją zlecę!

Jeśli chodzi o ścisłość – Coleman nadal mówił opanowanym głosem – miałem pańską zgodę. Przez grzeczność wspomniałem wczoraj, że chciałbym przeprowadzać rutynowe kontrole w laboratorium serologicznym i pan się zgodził.

Pearson odpowiedział z niedowierzaniem: – Nie pamiętam.

– Zapewniam pana, że taka rozmowa miała miejsce. Nie mam zwyczaju zmyślać podobnych rzeczy – w Davidzie Colemanie narastała wściekłość; trudno mu było ukryć pogardę dla nieudolnego starca. Chciał sprawdzić Pearsona, przynajmniej do pewnego stopnia. Dodał: – Muszę przyznać, że robił pan wówczas wrażenie nieco roztargnionego.

– Wierzę, skoro pan tak twierdzi – wymamrotał stary lekarz – ale ostatni raz zrobił pan coś na własną rękę. Jasne?

Coleman uznał, że miarka się przebrała. Zapytał lodowatym głosem: – Czy byłby pan uprzejmy zapoznać mnie z zakresem moich obowiązków na tym oddziale?

– Dostanie pan to, co ja zadecyduję.

– Niestety, mnie to nie zadowala.

– Nie zadowala, tak? – Pearson stał naprzeciw młodszego kolegi z głową wysuniętą do

przodu. – Cóż, jest parę rzeczy, które mnie też nie zadowalają.

– Na przykład? – David Coleman nie miał zamiaru dać się zastraszyć. Jeśli stary chce grać w otwarte karty, on się zgadza. Tu i teraz.

– Na przykład: słyszałem, że wprowadza pan nowe porządki w prosektorium.

– Prosił mnie pan, abym nim pokierował...

– Kazałem panu nadzorować, a nie wymyślać nowe przepisy. Rozumiem zakaz palenia... Czy mnie również ma dotyczyć?

– Myślę, że o tym powinien pan sam zdecydować, panie doktorze.

– I sam zdecyduję! – widoczny spokój Colemana coraz wyraźniej irytował Pearsona. – Niech pan teraz słucha, i to uważnie. Może posiada pan jakieś wymyślne kwalifikacje, mój panie, ale wiele musi się pan jeszcze nauczyć, a ja nadal kieruję tym oddziałem. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że dość długo tu zostanie. Musi pan zdecydować: jeśli nie podobają się panu moje porządki, to wie pan, co ma robić...

Zanim Coleman zdążył odpowiedzieć, usłyszeli pukanie do drzwi. Pearson krzyknął ze zniecierpliwieniem: – Proszę!

Do pokoju weszła sekretarka i spojrzała na obu mężczyzn z zaciekawieniem. Coleman uświadomił sobie, że podniesiony głos Pearsona na pewno słychać było na korytarzu.

– Przepraszam, doktorze Pearson. Mam dla pana dwa telegramy, przyszły przed chwilą.

Pearson wziął z rąk dziewczyny dwie brązowe koperty. Kiedy wyszła, Coleman już miał odpowiedzieć na atak patologa, lecz ten powstrzymał go machnięciem ręki. Usiłując rozerwać kciukiem pierwszą kopertę rzekł: – To chyba dotyczy pacjentki Lucy Grainger – ton jego głosu zupełnie się zmienił. – Dużo czasu im to zajęło.

Mimowolnie w Davidzie Colemanie odezwała się ciekawość. w milczeniu przyjął sugestię Pearsona, by sprzeczkę odłożyć na później – sprawa dziewczyny była ważniejsza. Gdy Pearson odkleił kopertę, rozległ się ostry dzwonek telefonu. Z okrzykiem irytacji odłożył przesyłkę i podniósł słuchawkę: – Słucham?

– Doktorze Pearson, tu oddział położniczy – usłyszał czyjś głos. – Doktor Dornberger chce z panem rozmawiać, proszę chwilę zaczekać.

Po krótkiej przerwie usłyszał Dornbergera. Ginekolog był rozżalony.

Joe, co się u was, na patologii, dzieje? – nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: – Żona twojego laboranta, pani Alexander, zaczęła rodzić, poród jest przedwczesny. Właśnie wiozą ją

tutaj karetką, a ja nie mam wyników próby uczuleniowej. Szybko przynieście je tutaj!

Dobrze, Charlie – Pearson rzucił słuchawkę i chwycił plik formularzy, leżących w korytku z napisem: *Do podpisu*. W zasięgu jego wzroku znalazły się obie koperty z telegramami. Podał je pośpiesznie Colemanowi mówiąc: – Proszę otworzyć i zobaczyć, co piszą.

Pearson przewertował formularze. Za pierwszym razem przeoczył ten, o który mu chodziło; dopiero za drugim mu się udało.

Podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i rzucił ostro: – Przyślijcie Bannistera – odkładając ją złożył podpis na karcie.

– Jestem potrzebny? – z tonu i wyrazu twarzy Bannistera wynikało, że wciąż przeżywa wcześniejszą reprimendę.

– Oczywiście, że jesteś potrzebny! – Pearson podał mu podpisany formularz. – Zanieś to doktorowi Dornbergerowi, ale szybko. Znajduje się na oddziale położniczym. Żona Johna Alexandra ma kłopoty. Rodzi przed czasem.

Wyraz twarzy Bannistera zmienił się.

– Czy chłopak wie o tym? Jest w...

Pearson przerwał rozdrażniony: – Ruszaj! Ruszaj!

Bannister wybiegł.

David Coleman tylko częściowo orientował się w sytuacji. Jeszcze nie uporządkował wszystkich faktów. Przez chwilę skupił się na groźnych implikacjach, jakie wynikały z treści trzymany w ręce telegramów.

Pearson zwrócił się do niego z pytaniem: – I co, straci dziewczyna nogę czy nie? Dają stanowczą odpowiedź?

Coleman pomyślał: Tu zaczyna się i kończy patologia; są sytuacje kiedy trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć, jak niewiele w rzeczywistości wiemy; taki jest zakres wiedzy medycznej, próg ciemności, skłębione fale wielkiej niewiadomej. Odezwał się cicho: – Tak, obaj są zdecydowani: doktor Chollingham z Bostonu pisze: „Wycinek zdecydowanie złośliwy”, a doktor Earnhart z Nowego Jorku: „Próba jest dobrotliwa. Żadnych oznak o charakterze nowotworowym”.

W pokoju zrobiło się cicho. Po chwili Pearson rzekł powolnym głosem, miękko: – Dwaj najlepsi lekarze w kraju i jeden jest „za”, drugi „przeciw” – podniósł wzrok na Colemana i powiedział z ironią, lecz bez gniewu: – Cóż, mój młody przyjacielu patologu, Lucy Grainger

chce mieć dzisiaj odpowiedź. I musi ją dostać. I ta odpowiedź musi być ostateczna – po czym z uśmiechem goryczy dodał: – Czy nie ma pan przypadkiem uczucia, że gra rolę Boga?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Policjant pełniący służbę na skrzyżowaniu ulic Main i Liberty usłyszał syrenę ambulansu, kiedy ten znajdował się sześć przecznic dalej. Zszedł na jezdnię i z wprawą długoletniego praktyka zaczął kierować ruchem, chcąc zrobić miejsce karetce. Gdy wycie syreny nasiliło się i zobaczył migające światło ostrzegawcze samochodu, nadął policzki i dwukrotnie zagwizdał. Potem ruchem rąk zatrzymał auta i zdecydowanym gestem przepuścił karetkę, mimo że na skrzyżowaniu paliły się czerwone światła. Piesi, którzy z zaciekawieniem odwrócili głowy, mogli dostrzec w przemykającym ambulansie niewyraźne kontury bladej kobiecej twarzy.

Elizabeth, siedząc w samochodzie, nie za bardzo zdawała sobie sprawę, że jadą najbardziej ruchliwymi ulicami miasta. Czuła tylko, że poruszają się z dużą prędkością i domy oraz ludzie za oknem samochodu tworzą zamazany obraz, który szybko znika z oczu. W przerwach pomiędzy napadami bólu spoglądała na szofera i jego dwie ogromne dłonie, kręcące kierownicą to w lewo, to prawo, dzięki czemu karetka wciskała się w każde wolne miejsce. Później ból wrócił, nie potrafiła więc myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by nie krzyczeć, nie krzyczeć bez końca.

– Proszę chwycić mnie za nadgarstki i trzymać z całej siły – sanitariusz pochylił się nad nią. Widząc jego kilkudniowy zarost i podbródek z pionowym zagłębieniem przez chwilę sądziła, że to ojciec przyszedł ją podtrzymać na duchu. Ale ojciec podobno nie żyje, zginął w wypadku na przejeździe kolejowym. A może nie, może towarzyszy jej w karetce, która wiezie ich dokądś, gdzie się nimi zajmą. Potem wróciła jej świadomość i zobaczyła, że to wcale nie ojciec, tylko jakiś nieznajomy mężczyzna, na którego nadgarstkach widać było wklęsłe, czerwone ślady po jej paznokciach.

Przed kolejnym napadem bólu jeszcze raz udało się jej dotknąć tych dłoni. Była to tylko niezdarna próba, lecz nic więcej nie potrafiła uczynić. Mężczyzna potrząsnął głową.

– Proszę się nie przejmować i ścisnąć. Zaraz będziemy na miejscu. Stary Joe jest najlepszym kierowcą w tym mieście.

I znowu ten ból, jeszcze mocniejszy, a odstępów między napadami coraz krótsze; miała wrażenie, że wszystkie jej kości wyginają się do granic cierpienia. Przeszywający ból, którego epicentrum znajdowało się w krzyżu, pulsował przed oczyma czerwono-żółto-purpurowymi językami ognia. Mocniej wbiła paznokcie w rękę mężczyzny i krzyknęła.

– Czuje pani ruchy dziecka? – sanitariusz pochylił się nisko, gdy atak bólu nieco zelżał.

Z trudem kiwnęła głową i dysząc wykrztusiła: – Tak... chyba tak.

– W porządku... – delikatnie zwolnił jej uchwyt. – Proszę to chwilę potrzymać – podał jej mocno skręcony ręcznik, po czym odwinął koc rozpostarty na noszach i zaczął rozpinąć jej ubranie. Mówił przy tym łagodnie: – Zrobimy to najlepiej, jak potrafimy – jeśli zajdzie taka potrzeba. Niejednego noworodka już odbierałem w tych warunkach. Wiesz, jestem już dziadkiem i znam się na tych sprawach.

Jego ostatnie słowa utonęły w krzyku. Kolejny atak – w okolicy krzyża, wszechogarniający, obezwładniający, przejmujący paroksyzmem narastającej udreki; druzgocący i bezlitosny.

Proszę! – ponownie wpiła się w jego rękę. Wąskie strużki krwi popłynęły po skórze sanitariusza, który odwracając się do kierowcy zapytał: – Jak tam, Joe?

Właśnie minęliśmy Main i Liberty – potężne dłonie gwałtownie przekreśliły kierownicę w prawo. – Stał tam gliniarz, który zrobił nam miejsce. Dzięki temu zyskaliśmy dobrą chwilę – skręt w lewo, po czym kierowca zwrócił się do sanitariusza: – Jesteś już ojcem chrzestnym?

– Nie, Joe. Ale wydaje mi się, że niedługo zostanę. Znowu obrót kierownicą i ostry zakręt w prawo.

– Jesteśmy prawie w domu, chłopie – rzekł szofer. – Postarajcie się wytrzymać jeszcze minutę.

Elizabeth, zanim pochłonął ją niekończący się potworny ból, wykrzesła z siebie tylko jedną myśl: Moje dziecko urodzi się za wcześnie! Umrze! O, Boże, spraw, żeby nie umarło! Nie tym razem! Nie znowu!

Na oddziale położniczym doktor Dornberger czekał w przepisowym fartuchu i z wyszorowanymi rękami. Opuściwszy umywalnię wszedł do maleńkiego korytarzyka mieszczącego się pomiędzy pokojami pacjentek a salą porodową i rozejrzał się. Pani Yeo, przełożona pielęgniarek, dostrzegłszy lekarza przez szklane przepierzenie swojej dyżurki, wstała i podeszła do niego.

– Tu jest wynik próby uczuleniowej krwi pańskiej pacjentki, doktorze Dornberger. Właśnie przynieśli z patologii – wyciągnęła kartę przed siebie, by mógł przeczytać bez dotykania gołymi rękami.

– Najwyższa pora! – reakcja przypominała warknięcie i w zachowaniu Dornbergera była czymś zupełnie nieznanym. Śledząc uważnie treść dokumentu rzekł: – Wynik ujemny, co? Zatem

z tą sprawą nie będzie kłopotu. Czy wszystko inne jest już przygotowane?

– Tak, panie doktorze – uśmiechnęła się pani Yoe. Była człowiekiem tolerancyjnym i wiedziała, że każdy mężczyzna, nawet jej własny mąż, ma prawo czasem pogderać.

– Co z inkubatorem?

– Przygotowany.

Gdy Dornberger rozejrzył się w jego poszukiwaniu, pielęgniarka otworzyła szeroko drzwi, umożliwiając sanitariuszce wjazd z inkubatorem. Przytrzymując kabel, który zwisał nad podłogą, sanitariuszka spojrzała pytająco na panią Yeo.

– Do dwójki, proszę.

Sanitariuszka skinęła głową i popchnęła inkubator. Gdy odeszła, z dyżurki pielęgniarek wysunęła się postać urzędniczki.

– Przepraszam, pani Yeo.

– Słucham?

– Dzwonili właśnie z izby przyjęć – dziewczyna zwróciła się do Dornbergera. – Przywieźli pańską pacjentkę, już jedzie na górę. Powiedzieli, że poród jest w zaawansowanym stadium.

Z pozycji szpitalnego wózka, na którym ją położono po przyjeździe, Elizabeth obserwowała młodego stażystę; szedł wolnym, równym krokiem, torując przejście między ludźmi, zapelniającymi ruchliwy korytarz głównego piętra.

– Uwaga... uwaga... – mówił spokojnie, niemal nonszalancko, lecz efekt był natychmiastowy. Ludzie stawali, a grupki rozrzedzały się i usuwały z drogi, przepuszczając skromniutką procesję: lekarza stażystę, wózek i popychającą go pielęgniarkę. Z końca korytarza dojrzał ich windziarz i przytrzymał gotową do jazdy kabinę.

– Proszę zaczekać na następną. Mamy pacjentkę z nagłego wypadku.

Pasażerowie posłusznie opuścili windę i do kabiny wtoczył się wózek. Dzięki sprawnie działającej procedurze szpitalnej łatwo można było przyjąć kolejnego pacjenta.

Spokój młodego człowieka udzielił się Elizabeth. Co prawda ból towarzyszył jej nieprzerwanie, znowu czuła parcie w macicy, lecz te męki znosiła lepiej niż do tej pory. Odkryła, że przygryzając dolną wargę i miętosząc brzeg prześcieradła, którym ją przykryto, jest w stanie zapanować nad krzykiem. Wiedziała, że to ostatni etap porodu; podświadomie zaczęła przecć, a wtedy między udami poczuła odpływające wody płodowe.

Znajdowali się w windzie, drzwi zasunęły się. Pielęgniarka pochyliła się nad wózkiem

i dotknęła jej dłoni.

– Jeszcze minutkę, dwie i będzie po wszystkim.

Potem znów otworzyły się drzwi i zobaczyła doktora Dornbergera, który czekał na nią, ubrany w operacyjny fartuch.

Jakby w nadziei, że pomylił się czytając telegramy, doktor Pearson ponownie wziął do ręki koperty. Przeczytał i odłożył kartki, jedna po drugiej.

– Złośliwy! Łagodny! I żaden z nich nie ma wątpliwości! Znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.

– Niezupełnie – zareagował chłodno doktor Coleman. – Straciliśmy prawie trzy dni.

– Wiem! Wiem – Joe Pearson bębnił zaciśniętą pięścią po dłoni; dręcząca niepewność otulała go niczym opończa. – Jeśli jest złośliwy, nogę trzeba amputować natychmiast, w przeciwnym razie może być za późno – stanął twarzą w twarz przed Colemanem. – Ale ta dziewczyna ma dopiero dziewiętnaście lat. Gdyby miała pięćdziesiąt, bez mrugnięcia okiem orzekłbym: „złośliwy”. Ale dziewiętnaście?! I mieć amputowaną nogę? I do tego kto wie, czy potrzebnie?!

Mimo swego stosunku do Pearsona i przekonania, że guz jest łagodny, a nie złośliwy, David Coleman współczuł staremu. Do niego należała ostateczna diagnoza; zrozumiałe, że tak to przeżywa, bo trudno ją postawić.

– Trzeba mieć wiele odwagi, by podjąć decyzję w takiej sytuacji – powiedział młody patolog.

Wyglądało, jakby Coleman przytknął główkę zapalnika do palnika; Pearson eksplodował: – Nie życzę sobie wysłuchiwać tych pańskich szkolnych banałów! Zajmuję się tym od trzydziestu lat! – popatrzył na Colemana iskrzącym wzrokiem, z niechęcią. W tym momencie odezwał się telefon.

– Słucham? – rzucił szorstko, lecz w miarę upływu czasu jego rysy łagodniały. – Dobrze, Lucy. Sądzę, że powinnaś tu przyjść. Będę czekał – odłożył słuchawkę i stał nieruchomo, wpatrując się w jakiś punkt pośrodku biurka. Później, nie podnosząc głowy, rzekł do Colemana: – Idzie tutaj Lucy Grainger. Może pan zostać, jeśli chce.

Coleman zatopiony w myślach odezwał się, jakby nie słyszał słów Pearsona: – Wie pan, można by zrobić jeszcze jedną rzecz, byłaby dodatkowa informacja.

– Co?! – Pearson gwałtownie podniósł głowę.

– Prześwietlenie – Coleman nie spieszył się; cedził słowa dopasowując je do biegu myśli. – Poprzednie pochodzi sprzed dwóch tygodni. Jeśli ten guz istnieje i nacieka, drugie prześwietlenie to wykaże.

Pearson nie odezwał się, tylko sięgnął po telefon. Usłyszawszy trzask w słuchawce rzekł: – Proszę połączyć mnie z doktorem Bellem z oddziału radiologicznego – czekając obserwował Colemana. Potem, zakrywszy dłonią mikrofon, stwierdził z uznaniem, w którym dało się wyczuć niezbyt przychylną nutę: – Muszę przyznać, że dobrze pan myśli.

John Alexander zgniótł w popielniczce na wpół wypalonego papierosa, po czym podniósł się ze skórzanego fotela, stojącego w małym pomieszczeniu, nazywanym żartobliwie przez personel szpitalny „sauną tatuśków”. Spędził tutaj półtorej godziny, wpatrując się w drzwi i pojawiające się na korytarzu osoby, ale wiadomości ciągle otrzymywali inni; z piątki oczekujących zostało ich już tylko dwóch.

Podszedł do ogromnego okna, wychodzącego na szpitalne podwórze i obiekty przemysłowego centrum miasta. Zauważył, że dachy i ulice są mokre; gdy tu siedział, musiało się rozpadać. Najbliższe otoczenie szpitala przedstawiało widok najgorszy z możliwych: brudne dachy nędznych domów i kamienic czynszowych ciągnęły się aż po zakłady produkcyjne i zakopcone kominy po obu stronach rzeki. Spoglądając w dół na ulicę, przy której usytuowany był szpital, ujrzał grupkę malców, wybiegających z alejki i zwinnie przeskakujących przez kałuże na wyboistym chodniku. Nagle zobaczył, jak jeden ze starszych chłopców stanął i podstawił nogę dzieciakowi, który biegł tuż za nim. Była to mała dziewczynka, mogła mieć cztery, najwyżej pięć lat. Upadła twarzą prosto w wielką kałużę, rozpryskując wodę. Wstała z płaczem i zaczęła wycierać z policzków strugi błota; wzruszająco usiłowała wykręcić wodę z przemoczonej, zabrudzonej sukienki. Cała grupka zatrzymała się i skupiła wokół dziewczynki, podskakując i chyba wyśmiewając się z małej.

– Głupie bachory! – głos, który zadźwięczał tuż obok, nie krył odrazy. John dopiero teraz zorientował się, że mężczyzna, który razem z nim czekał na rozwiązanie, podszedł do okna. Spojrzał ukradkiem i zobaczył wysokiego, przeraźliwie chudego i wyglądającego na wycieńczonego mężczyznę o zapadniętych, pokrytych zarostem policzkach; mógł być nawet o dwadzieścia lat starszy od Johna. Miał na sobie poplamioną marynarkę sztruksową, a pod nią brudny kombinezon; bił od niego zapach potu i zwiędzłego piwa.

– Bachory! Wszystkie takie same! – mężczyzna odwrócił się od okna i zaczął grzebać po kieszeniach. Po chwili wyciągnął bibułkę i tytoń i zabrał się za skręcanie papierosa. Popatrzył ostro na Johna i zapytał: – To pierwsze dziecko?

– Niezupełnie, drugie. Ale pierwsze umarło.

– My też jedno straciliśmy – między czwartym a piątym. No i dobrze – przeszukując kieszenie spytał: – Ma pan ogień?

John podał mu zapalniczkę.

– Mówi pan, że to szóste dziecko?

– Nie, ósme – chudzielec zaciągnął się dymem. – Czasami wydaje mi się, że o osiem za dużo – i dodał opryskliwie: – Pan chyba chciał mieć...

– Ma pan na myśli dziecko?

– Tak.

– Oczywiście – w głosie Johna dało się wyczuć zdziwienie.

– My nigdy nie chcieliśmy. W każdym razie już po pierwszym miałem dzieci powyżej uszu.

– To dlaczego zdecydowaliście się na ośmioro? – John uważał, że musi go o to zapytać; był niemal zahipnotyzowany tą rozmową.

– Moja żona mogłaby więcej o tym powiedzieć, to ona ma taki temperament. Postaw jej dwa piwa, przyciśnij w tańcu i już jest gotowa, bez zawracania głowy powrotem do domu – chudzielec wypuścił kłęb dymu i ciągnął dalej obojętnie: – Chyba wszystkie nasze dzieciaki zostały spółdzone w dziwnych miejscach. Kiedyś poszliśmy na zakupy do Macy’ego i zrobiliśmy to w suterenie, w schowku na szczotki. Potem urodziło się nasze czwarte... tak, chyba tak – w suterenie Macy’ego, ale głowy bym nie dał...

John już miał ochotę roześmiać się w głos, lecz przypomniał sobie, co go tu sprowadziło, i spoważniał. Powiedział jedynie: – Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku, mówię o porodzie...

– Mizerak odparł ponuro: – Zawsze jest w porządku, to całe nasze zmartwienie – wrócił do stolika i zajął się gazetą.

Stojąc przy oknie John znowu spojrzął na zegarek. Od czasu gdy tu przyszedł, minęła godzina i trzy kwadranse; z pewnością już niedługo czegoś się dowie. Żałował, że nie widział się z Elizabeth przed pójściem na salę porodową. To wszystko stało się tak nagle, że nawet nie było kiedy. Carl Bannister przyniósł wiadomość, był akurat w kuchni, gdzie poszedł na polecenie Pearsona, który kazał mu wziąć próbki z talerzy wyjętych ze zmywarek. Jak się domyślał, podejrzewano, że maszyny nie spełniają swojego zadania, bo są niehigieniczne. Ale kiedy Bannister powiedział mu o Elizabeth, przerwał pracę i pobiegł do izby przyjęć, spodziewając się, że tam ją zastanie. Niestety, była już na oddziale położniczym. Wtedy poszedł wprost do

poczekalni i wciąż tu przebywał.

Drzwi na korytarz otwarły się; tym razem pojawił się doktor Dornberger. John daremnie usiłował wyczytać jakąś informację z jego twarzy. Lekarz zapytał: – John Alexander to pan?

– Tak, panie doktorze – kilka razy widział już starszego ginekologa w szpitalu, lecz nigdy dotąd z sobą nie rozmawiali.

– Z pańską żoną wszystko w porządku – Dornberger nie tracił czasu na wstępy.

Na dźwięk tych słów John poczuł ogromną ulgę. Potem zapytał:

– Co z dzieckiem?

– Ma pan syna odparł spokojnie Dornberger. – To wcześniak, i muszę ci powiedzieć, John – jest bardzo słaby.

– Będzie żył? – dopiero gdy zadał pytanie, uświadomił sobie, jak wiele zależy od odpowiedzi.

Dornberger wyciągnął fajkę i zaczął nabijać tytoń. Odparł cicho:

– Powiedzmy inaczej: szanse byłyby większe, gdyby urodził się w terminie.

John kiwnął głową i nie odezwał się ni słowem. Nie było już nic do dodania, nic co by miało większe znaczenie.

Starszy lekarz urwał na chwilę, by schować woreczek z tytoniem, po czym zaczął wyjaśniać tym samym wyważonym tonem: – Mogę tylko powiedzieć, że pańskie dziecko urodziło się w trzydziestym drugim tygodniu, a więc osiem tygodni przed czasem – i dodał współczująco: – Nie było jeszcze przygotowane do przyjścia na świat, John; nikt z nas nie byłby przygotowany...

– Nie, chyba nie – John z ledwością zdawał sobie sprawę, że coś mówi. Myślał o Elizabeth i o tym, czym to dziecko było dla nich obydwójga.

Doktor Dornberger wyjął zapalki i wreszcie zapalił.

– Waga noworodka wynosiła trzy funty i osiem uncji. Może będzie bardziej zrozumiałe, gdy powiem, że obecnie za wcześniaka uważa się każde dziecko, którego waga po urodzeniu jest mniejsza niż pięć funtów i osiem uncji.

– Rozumiem.

– Dziecko przebywa w inkubatorze. Naturalnie, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

John spojrział lekarzowi prosto w oczy: – Czyli jest jakaś nadzieja?

– Zawsze jest nadzieja, synu – odparł Dornberger bez emocji. – Gdy nie ma nic innego, pozostaje tylko nadzieja.

Nastąpiła cisza, którą przerwał John: – Czy mogę odwiedzić żonę?

– Tak – rzekł Dornberger. – Pójdę z tobą do dyżurki pielęgniarek. Gdy wychodzili, John zauważył, że wysoki chudzielec rzucił za nim pełne ciekawości spojrzenie.

Vivian nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Jedna z pielęgniarek weszła do jej pokoju i oznajmiła, że zaraz pójdą na oddział radiologii. Przy pomocy uczennicy przeniesiono ją na wózek i w tej chwili wieziono korytarzami, po których jeszcze niedawno sama chodziła. Ów sposób poruszania się po szpitalu przypominał senne majaki, stanowił dopełnienie tego wszystkiego, co się do tej pory z nią i wokół niej działo. Na moment opuścił ją strach – jakby najbliższa przyszłość nie znaczyła już nic: nie dało się jej ani odwrócić, ani zmienić biegu rzeczy. Zastanawiała się, czy nie jest to wyraz rozpacz, utraconej nadziei. Ten dzień bowiem może przynieść wyrok, który napawał ją przerażeniem; ów wyrok może uczynić ją kaleką, pozbawiając swobody ruchów i zabierając jej – jednym błyskawicznym ciosem – tak wiele z tego, czego posiadanie było do tej pory sprawą najzupełniej oczywistą. Z ostatnią refleksją powróciło uczucie trwogi. Rozpaczliwie pragnęła, aby Mikę był teraz przy niej.

Lucy Grainger czekała na nią przy wejściu na oddział radiologii.

– Postanowiliśmy jeszcze raz wykonać prześwietlenie, Vivian. To nie potrwa długo – wskazała na mężczyznę ubranego na biało, który stał obok. – To doktor Bell.

– Cześć, Vivian – uśmiechnął się do niej zza grubych szkieł w rogowych oprawkach, po czym zwrócił się do pielęgniarki: – Po proszę kartę choroby.

Czytał uważnie, szybkim ruchem przewracając kartki.

Vivian podniosła głowę i rozejrzała się. Znajdowali się w małym pokoiku recepcyjnym z wydzieloną oszkloną dyżurką pielęgniarek w rogu. Pod ścianą siedziało kilku pacjentów: dwaj mężczyźni na wózkach, w piżamie i szpitalnym szlafroku, oraz kobieta i mężczyzna w cywilnych ubraniach, którzy zapewne przyszli prosto z przychodni lub izby przyjęć. Mężczyzna miał unieruchomiony nadgarstek i najwyraźniej czuł się nieswojo; w zdrowej ręce trzymał drukowany formularz, ścisnął go tak, jakby to był list żelazny uprawniający do wejścia i wyjścia z tego obcego, nieznanego terytorium.

Doktor Bell przestudiował do końca historię choroby i oddał kartę pielęgniarce. Powiedział do Lucy: – Dzwonił Joe Pearson. Jak rozumiem, chciałaś powtórzyć prześwietlenie i zobaczyć, czy w obrazie kości zaszły jakieś zmiany.

Lucy przytaknęła.

– Joe uważa, że coś – zawahała się, zdając sobie sprawę z obecności Vivian – ...może się pojawić po tych paru dniach.

– Całkiem prawdopodobne – Bell podszedł do dyżurki i wypisał zlecenie. Zapytał dziewczynę siedzącą za biurkiem: – Którzy technicy radiolodzy są wolni?

Przejrzała listę.

– Jane i pan Firban.

– Poprosimy Firbana, żeby to zrobił. Czy mogłaby go pani odszukać? – rzekł, po czym wrócił i odezwał się do Lucy: – Firban to jeden z najlepszych techników, a nam potrzebne są dobre zdjęcia – uśmiechnął się do Vivian: – Doktor Pearson prosił, żebym osobiście panią się zajął, co też czynię. Przejdźmy teraz do tamtego pokoju.

Pomógł pielęgniarce wydostać się wózkiem z recepcji, po czym wjechali do ogromnego pomieszczenia obok. Większą część pokoju zajmował stół rentgenowski zawieszony na rolkach, a nad nim monitor. W sąsiednim mniejszym pokoju Vivian zauważyła pulpit sterowniczy. Prawie natychmiast pojawił się niski, dość młody mężczyzna z krótko przystryżoną czupryną, ubrany w biały fartuch. Ruchy miał szybkie, energiczne, jakby wszystko, co było do zrobienia, chciał wykonać natychmiast, ale bez zbędnego nakładu energii. Popatrzył na Vivian, a potem odezwał się do doktora Bella: – Słucham, doktorze?

– Karl, chciałbym, żebyś zajął się panią. Przy okazji, czy znasz doktor Lucy Grainger? – powiedziawszy to Bell zwrócił się do Lucy:

– To jest Karl Firban.

– Chyba się jeszcze nie znamy – Lucy podała mu rękę.

– Miło panią poznać.

– A nasza pacjentka nazywa się Vivian Loburton – Bell uśmiechnął się do dziewczyny. – To przyszła pielęgniarka, dlatego robimy tyle szumu.

– Cześć, Vivian – powitanie Firbana było równie energiczne jak jego ruchy. Opuszczając stół z pozycji pionowej do poziomej cały czas szczebiotał wesoło: – Dla specjalnych klientów mamy specjalny wybór: Vista Vision albo CinemaScope w przepięknych odcieniach szarości i czerni – rzucił okiem na zlecenie, które podał mu Bell.

– Lewa noga, tak? Są jakieś życzenia, doktorze?

– Potrzebne nam dobre AP, widok boczny i skośny, a poza tym może jeszcze stożkowe zdjęcie kolana – Bell urwał i zastanowił się:

– Jakieś pięć, sześć zdjęć. Później to samo z drugiej kończyny.

– Życzy pan sobie zdjęcia w formacie czternaście na siedemnaście, żeby obejmowały kość piszczelową i strzałkową od przodu?

Po chwili Bell skinął głową.

– To może być dobry pomysł – rzekł, a potem do Lucy: – Jeśli istnieje zapalenie szpiku, niżej w kości może wystąpić reakcja – odczyn okołokostnowy.

– W porządku, panie doktorze. Za pół godziny powinienem już mieć coś dla pana – Firban delikatnie dawał do zrozumienia, że woli pracować bez świadków.

– Wypijemy kawę i zaraz wrócimy – Bell uśmiechnął się do Vivian: – Jesteś w dobrych rękach – powiedział i wyszedł za Lucy.

– Dobra, teraz do roboty – radiolog skinął na pielęgniarkę i wspólnie przenieśli Vivian z wózka na stół. Po dość miękkim wózku, czarny ebonitowy blat wydawał się okropnie twardy, sztywny.

Niezbyt wygodnie, co? – Firban ostrożnie przesunął Vivian na właściwe miejsce i odkrył lewe kolano. Gdy pokręciła głową niezadowolona, mówił dalej: – Przyzwyczaisz się. Wiele razy spałem na tym stole, gdy nic się nie działo podczas nocnego dyżuru.

Skinął głową w stronę pielęgniarki i dziewczyna poszła do siebie.

Vivian obserwowała, jak radiolog wykonuje rutynowe czynności. Pośpiesznie wyjął kasetę z filmem z szafki wbudowanej w ścianę i wsunął ją zręcznie na tackę pod blatem stołu, następnie przesunął tackę w miejsce pod kolanem Vivian, a potem przyciskając guziki na grubym przewodzie elektrycznym, zwisającym z sufitu, przesunął ogromną lampę poziomą na rolkach i w dół, tak że po chwili znalazła się tuż nad kolanem Vivian. Strzałka na kalibrowanej skali określającej wysokość wskazywała czterdzieści cali.

W przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń szpitalnych, ten pokój miał wygląd wręcz niesamowity, obcy. Błyszcząca czernią i chromem maszyneria, przesuując się powoli, z hałasem na szynach, robiła wielkie wrażenie. Panowała tu atmosfera nauki oraz pełnej niezależności, w pewnym sensie zupełnie różna od atmosfery towarzyszącej innym działom, tak jak różna mogła się wydawać maszynownia ogromnego statku od części pokładowej, tonącej w słonecznym blasku. A jednak te złowieszcze, niezgrabne urządzenia wykonywały prawdziwie detektywistyczną pracę, bez której medycyna nie potrafiłaby się obyć. Myśl o tym na moment przeraziła ją. Było to wszystko bardzo bezosobowe; tak niewiele ludzkiego elementu było

w owych maszynach. Cokolwiek wykrywały, przekazywały suchą informację bez emocji, żalu czy smutku. Dobra wiadomość czy zła – obojętne. Przez chwilę wyobraziła sobie, że ta lampa zwisająca nad nią to oko sędziego, zawziętego, beznamiętnego. Jaki wyda wyrok? Czy Vivian znajdzie w nim choćby cień nadziei lub choćby szansę zawieszenia wyroku? A może wyrok będzie skazujący, bez szans na apelację? Znow zateęskniła za Mike'em; zadzwoni do niego, jak tylko wróci na salę.

Technik radiolog zakończył przygotowania.

– No, chyba wystarczy – po raz ostatni rzucił okiem dookoła.

– Powiem ci, kiedy masz się nie ruszać. Wiesz, jest to jedyne miejsce w szpitalu, o którym można powiedzieć z całym przekonaniem, że nie robi się w nim nic, co by bolało – stanął za szklanym ekranem grubości jednego cala, który chronił go przed napromieniowaniem. Kątem oka Vivian dostrzegła, jak Firban porusza się, trzymając w ręce instrukcję i ustawiając wyłączniki.

Stojąc za pulpitem głównego układu sterowania, Firban pomyślał: ładna smarkuła, ciekawe, co jej jest. Na pewno coś poważnego, skoro sam Bell tak bardzo się nią interesuje; zazwyczaj szef w ogóle nie zwraca uwagi na pacjentów, dopóki zdjęcia nie są zrobione. Powtórnie sprawdził urządzenie sterujące: przy takiej robocie człowiek nauczył się, że nie wolno zostawiać najmniejszego miejsca przypadkowi. Wskaźniki były jak należy – 84 kilowaty, 200 miliamperów, czas naświetlania piętnaście setnych sekundy. Wcisnął guzik, który uruchamiał obrotową anodę lampy. Potem wypowiadając rutynową formułkę: „Proszę się nie ruszać”, wcisnął drugi przycisk. Wiedział, że cokolwiek dostrzegło oko rentgena, zostało to zarejestrowane.

Doktor Bell i Lucy Grainger czekali w gabinecie przeglądów radiologicznych; zasunięte żaluzje zupełnie nie przepuszczały światła z zewnątrz. Za parę minut będą mogli porównać zdjęcia wykonane przez Firbana z tymi sprzed dwóch tygodni. Radiolog włożył już negatywy do automatycznego wywoływacza, który przypominał wielkie palenisko na ropę. Wywołane filmy jeden po drugim spadały do otworu, znajdującego się w przedniej części urządzenia.

Bell wyciągał kolejne zdjęcia i przypinał je do przeglądarki, podświetlonej lampami fluorescencyjnymi. W drugiej przeglądarce, powyżej tamtej, umieścił wcześniejsze klisze.

– Zdjęcia są dobre? – zapytał technik z dumą w głosie.

– Doskonałe – odpowiedź padła odruchowo; Bell w skupieniu oglądał dzisiejsze negatywy

porównując odpowiednie miejsca w obu zestawach. Pomagał sobie wskazując odpowiednie punkty ołówkiem, więc Lucy mogła nadążyć za tokiem jego myślenia.

Gdy skończyli, Lucy zapytała: – Widzisz jakąś różnicę? Bo ja, niestety, żadnej.

Lekarz radiolog pokręcił głową.

– Widać pewne zmiany okołokostnowe – pokazał ołówkiem dwa punkty, różniące się odcieniem szarości. – Ale to chyba rezultat twojej biopsji. Poza tym żadnych istotnych różnic – Bell zdjął okulary, potarł prawe oko i powiedział prawie skruszony:

– Przykro mi, Lucy. Muszę odbić piłeczkę patologom. Ty powiesz Pearsonowi, czy ja mam to zrobić?

Zaczął odpinać zdjęcia.

– Ja mu powiem – odparła zafrasowana. – Od razu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pielęgniarka Wilding odrzuciła kosmyk siwych włosów, który bezustannie wymykał się jej spod wykrochmalonego czepka, i energicznym krokiem podążyła w kierunku oddziału położniczego na trzecim piętrze, prowadząc za sobą Johna Alexandra. Na wysokości piątych drzwi zatrzymała się, zajrzała do pokoju i zaanonsowała pogodnie: – Gość do pani, pani Alexander.

Wprowadziła Johna do niewielkiej półprywatnej sali.

– Johnny, kochanie! – Elizabeth wyciągnęła ręce, krzywiąc się lekko, gdyż każdy ruch sprawiał jej ból. John podszedł i ucałował ją czule. Objęła go mocno. Czuł jej ciepło, a pod dotykiem dłoni szorstkość świeżej koszuli szpitalnej. Zapach włosów stanowił mieszaninę potu i eteru; był wspomnieniem czegoś, czego nie był w stanie z nią dzielić, jakby dotąd przebywała gdzieś daleko i właśnie wróciła, przynosząc z sobą poczucie obcości. Na moment uświadomił sobie, że oboje są skrępowani tą sytuacją: że po tej rozłące muszą odnaleźć się i poznać na nowo. Elizabeth odsunęła się nieco.

– Chyba okropnie wyglądam...

– Wyglądasz przepięknie – odparł.

– Nie było czasu, żeby zabrać z sobą cokolwiek – popatrzyła na niezgrabny strój szpitalny. – Ani koszuli, ani szminki...

– Wiem – odparł współczująco.

– Zrobię listę potrzebnych rzeczy, a ty mi je przyniesiesz. Pani Wilding odsłoniła kotarę maleńkiego przepierzenia oddzielającą ich od drugiego łóżka.

– No, teraz ma pani cały pokój dla siebie – wzięła szklankę ze stolika przy łóżku Elizabeth i nalała z dzbanka zimnej wody.

– Jak wrócę, panie Alexander, będzie pan mógł zobaczyć swoje dziecko.

– Dziękuję – oboje uśmiechnęli się z wdzięcznością do pielęgniarki.

Gdy drzwi zamknęły się, Elizabeth zwróciła twarz w stronę Johna. Jej twarz wyrażała napięcie, oczy przyglądały mu się badawczo.

– Johnny, kochanie, chcę wiedzieć, jakie są szanse dziecka?

– Wiesz, najdroższa... – zawahał się. Położyła rękę na jego dłoni.

– Johnny, chcę znać prawdę. Pielęgniarki nic nie powiedzą. Muszę tu usłyszeć od ciebie – głos jej zadrżał.

John wyczuł, że żona jest bliska płaczu. Rzekł miękko: – I tak byś się dowiedziała... – starał się dobierać słowa: – Rozmawiałem z doktorem Dombergerem. Powiedział, że są pewne szanse. Może dziecko przeżyje, albo... – urwał nie dokończywszy zdania.

Elizabeth opuściła głowę na poduszki. Patrząc w sufit zapytała niemal szeptem: – Nadzieja jest niewielka, prawda?

John ważył w myślach, co ma powiedzieć. Gdyby dziecko miało umrzeć, lepiej będzie, jeśli obydwójce przygotowują się do tej myśli już teraz; po co łudzić Elizabeth nadzieją, która za dzień, dwa zostanie bezlitośnie pogrzebana? Rzekł łagodnie: – Wiesz, on jest... taki mały. Urodził się dwa miesiące za wcześnie. W razie jakiegokolwiek infekcji... nawet najdrobniejszej... nie będzie miał dość sił...

– Dziękuję ci – Elizabeth leżała nieruchomo, ściskając mocno jego rękę; uciekała ze spojrzeniem. Na jej policzkach pokazały się łzy. John też poczuł, że wilgotnieją mu oczy.

– Elizabeth, najdroższa... – starał się powstrzymać drzenie głosu – cokolwiek się stanie... Jesteśmy jeszcze młodzi. Mamy przed sobą długie życie.

– Wiem – ledwo było ją słyszeć. Znowu objął dziewczynę. Łkała z głową wtuloną w jego ramiona. – Ale... dwoje dzieci... tak samo... – podniosła twarz, zanosząc się płaczem. – To niesprawiedliwe!

Łzy spływały mu po policzkach, szepnął: – Trudno się z tym pogodzić... Ale mamy jeszcze siebie...

Tulił ją przez chwilę; płakała cicho, później wydusiła: – Daj mi chusteczkę...

Wyjął chusteczkę z kieszeni i podał jej.

– Już dobrze... – wycierała oczy. – Tylko czasami...

Płacz, kochanie... jeśli to pomaga – mówił łagodnie. – Ile tylko chcesz...

Uśmiechnęła się krzywo i oddała chusteczkę.

– Chyba całą zabrudziłam... – po czym dodała zmienionym głosem: – Johnny... leżąc tutaj... myślałam sobie...

– O czym?

– Chcę, żebyś poszedł na studia. Zaprotestował spokojnie: – Teraz, skarbie?

– Posłuchaj... – przerwała mu Elizabeth; nadal mówiła półgłosem, lecz stanowczo. – Zawsze

chciałam, żebyś studiował medycynę. Doktor Coleman też uważa, że powinieneś się kształcić.

– Masz pojęcie, ile by to kosztowało?

– Mam. Mogę pójść do pracy.

– Przy dziecku?

Chwilową ciszę przerwała Elizabeth: – Może nie będzie dziecka.

Drzwi otwały się bezszelestnie i weszła pani Wilding. Zauważywszy czerwone obwódki wokół oczu Elizabeth, dyskretnie odwróciła wzrok. Odezwała się do Johna: – Jeśli ma pan ochotę, zaprowadzę pana do dziecka.

Doktor Dornberger zostawiwszy Johna Alexandra przy stanowisku pielęgniarskim poszedł na oddział noworodków.

Oddział znajdował się przy końcu długiego jasnego korytarza, pomalowanego w wesołe pastelowe kolory. Ta część gmachu została przebudowana dwa lata temu, ukazując nowe tendencje w budownictwie, które kładły nacisk na światło i przestrzeń. Zbliżając się do celu Dornberger usłyszał, jak zawsze, płacz niemowlęcy, zróżnicowany pod względem wysokości i siły głosu: od pełnego, ile sił w płucach wrzasku po nieśmiały falset. Bardziej z przyzwyczajenia niż świadomie zatrzymał się, by zajrzeć przez grubą szklaną ściankę, która otaczała oddział noworodków z trzech stron. Interes – zauważył, widząc, że większość łóżeczek jest zajęta – idzie pełną parą. Przebiegł wzrokiem po równych rzędach.

Są to, pomyślał, normalne, zdrowe zwierzątka, które chwilowo wygrały batalię o życie i za parę dni wejdą w nowy, inny świat. Ich przeznaczeniem będzie dom, szkoła, walka o byt, gonitwa za sławą i materialnymi dobrami. Niektórzy poczują smak sukcesu, inni będą cierpieć porażki; są wśród nich tacy, co wyjąwszy przypadki losowe, będą cieszyć się młodością i wiekiem średnim, by w końcu dożyć smutnej starości. To dla nich zaprojektuje się bardziej sprawne i lśniące samochody, na ich usługi samoloty polecą szybciej i dalej, o ich zachcianki i gusty będą zabiegali inni ludzie, nieco do nich podobni, lecz dysponujący dodatkowo produktami do sprzedania. Część z nich stanie twarzą w twarz z nieznaną przyszłością; większość z nadzieją, wielu odważnie, nieliczni z lękiem. Być może niektórym z tych osobników będzie dane pokonać barierę zakreśloną przez przestrzeń kosmiczną; będą i tacy, co doprowadzą bliźnich do gniewu lub rozpaczę dzięki umiejętnemu posługiwaniu się sztuką słowa. Znaczna większość tych maleństw osiągnie dojrzałość biologiczną w ciągu dwudziestu lat, podtrzymując pierwotne żądze, te same, które zasiały ziarno i sprowadziły ich tutaj, by popłakiwały,

wymiotowały. Na razie te maluchy odniosły zwycięstwo: przez swoje urodzenie i natarczywe domaganie się opieki. Pierwsza, najważniejsza i największa przeszkoda została pokonana, inne batalie mają dopiero przed sobą.

Po przeciwnej stronie korytarza znajdowało się drugie, mniejsze pomieszczenie dla noworodków. Tam, w ciszy, każde w oddzielnym inkubatorze, leżały wcześniaki; te miały nieudany start, ich życie wisiało na włosku, pierwsza bitwa jeszcze niezakończona. Właśnie do tej sali wszedł Domberger.

Przyjrząwszy się najmłodszemu pacjentowi – maleńkiemu okruchowi bezbronnej natury ludzkiej – zacisnął usta i pokręcił głową z powątpiewaniem. Później, jak zwykle starannie, wydał dokładne instrukcje, jak postępować z niemowlęciem. Następnie wyszedł jednymi drzwiami, drugimi zaś wkroczyła pani Wilding w towarzystwie Johna Alexandra.

Jak każdy, kto pojawiał się w pododdziale wcześniaków, musieli założyć wyjąłowione fartuchy i maski na twarz, choć szklana szyba oddzielała ich od pomieszczenia z kontrolowaną wilgotnością. Przystanąwszy pani Wilding pochyliła się i zastukała lekko w szybę. Młodsza pielęgniarka w masce spojrzała na nich pytającym wzrokiem, po czym podeszła bliżej.

– Mały Alexander! – pani Wilding podniosła głos na tyle, by pielęgniarka mogła ją usłyszeć, jednocześnie wskazując na Johna. Dziewczyna kiwnęła głową i ruchem ręki dała do zrozumienia, gdzie mają się ustawić. Zgodnie z jej wskazówką znaleźli się przy końcu szklanej ściany. Pokazała inkubator – jeden z dwunastu – i odwróciła go nieco, by mogli zajrzeć do środka.

– Mój Boże! To niemożliwe! – bezwiednie wyrwało się Johnowi. Pani Wilding spojrzała ze współczuciem.

– Nie jest zbyt duży, prawda?

John przyglądał się dziecku z niedowierzaniem.

– Nigdy nie widziałem czegoś tak... tak nieprawdopodobnie małego.

Stał i patrzył na inkubator. Czy to jest naprawdę istota ludzka? Ta maleńka, pomarszczona, przypominająca małą figurkę, niewiele większa od jego dłoni?

Dziecko leżało bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Po ledwo widocznych, regularnych ruchach można było wywnioskować, że oddycha. Nawet w tym inkubatorze, przeznaczonym dla najmniejszych noworodków, drobne, bezradne ciało wyglądało na samotne, zagubione. Aż niewiarygodne, że taka kruszyna w ogóle może żyć.

Młodsza pielęgniarka opuściła salkę i podeszła do nich.

Pani Wilding zapytała: – Ile ważył w chwili narodzin?

– Trzy funty i osiem uncji – odpowiedziała dziewczyna i zwróciła się do Johna:– Czy jest pan zorientowany, co się tutaj dzieje, panie Alexander? Jak postępujemy z pańskim dzieckiem?

Potrząsnął głową. Ani na moment nie potrafił oderwać oczu od maleństwa.

Niektórzy ojcowie lubią wiedzieć. Wydaje im się, że to pomaga. John przytaknął.

– Tak. Jeśli będzie pani tak uprzejma... Pielęgniarka wskazała na inkubator.

Wewnątrz inkubatora temperatura wynosi dziewięćdziesiąt pięć stopni*[*w skali Fahrenheita 350 C.]. Powietrze uzupełnia się tlenem – około czterdziestu procent, wówczas dziecku łatwiej oddychać. Wie pan, ma takie małe płuca. Nie zdążyły się rozwinąć do porodu.

– Rozumiem – znowu obserwował słabe pulsowanie klatki piersiowej. Dopóki poruszała się, znaczyło, że żyje, że maleńkie serce pracuje, nie łącząca noworodka ze światem nie została zerwana.

Pielęgniarka mówiła dalej: – Dziecko jest zbyt małe, by ssać samo, więc musimy stosować zgłębnik żołądkowy. Widzi pan tę rurkę? – wskazała na plastikową żyłkę z otworkiem w środku, która biegła od szczytu inkubatora do buzi niemowlęcia. – Wchodzi wprost do żołądka. Tą drogą co półtorej godziny będzie otrzymywał wodę i glukozę.

John wahał się przez moment, po czym spytał: – Widziała pani dużo takich przypadków?

– Tak – pielęgniarka skinęła głową poważnie, przeczuwając kolejne pytanie. Zauważył, że jest ładna, drobna, spod czepka wystawały rude włosy. Była też zaskakująco młoda, mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Lecz nie można było odmówić jej fachowości.

– Myśli pani, że będzie żył? – ponownie zerknął na szklaną szybę.

– Trudno cokolwiek powiedzieć – pielęgniarka zmarszczyła czoło. Chciała być uczciwa, wolała nie odbierać wiary, ale też jej nie rozbudzać. – Jednym się udaje przeżyć, innym nie. Czasami wydaje mi się, że w niektórych wcześniakach jest ogromna wola życia. One walczą o przetrwanie.

– A on: walczy?

– Jeszcze za wcześnie, by to stwierdzić na pewno. Te osiem tygodni mogły diametralnie zmienić sytuację... – i dodała cicho: – To będzie trudna walka.

Wzrok Johna ponownie powędrował w stronę maleńkiej istotki. Pierwszy raz pomyślał: „To mój syn, mój własny, ułamek mojego życia”. Nagle poczuł się przepelniony bezgraniczną miłością do tej kruchej drobiny, toczącej samotną walkę w małej, przytulnej skrzynce. Miał

ochotę krzyknąć przez szybę: „Nie jesteś sam, synku, przyszedłem ci pomóc”. Chciał podbiec do inkubatora i powiedzieć: „Oto moje ręce, weź je, niech dodadzą ci sił. Oto moje płuca, pozwól, bym za ciebie oddychał. Ale nie poddawaj się synku, nie poddawaj się! Tak wiele jeszcze przed tobą, tak wiele możemy działać razem – jeśli tylko będziesz żył! Posłuchaj mnie i wytrzymaj! Jestem twoim ojcem i kocham cię!”.

Uświadomił sobie, że dłoń pani Wilding spoczęła na jego ramieniu. Usłyszał miękki głos: – Chodźmy już...

Kiwnął głową, nie mogąc wydusić słowa. Ostatni raz spojrzął za siebie i odszedł.

Lucy Grainger zapukała do gabinetu patologów i weszła. Joe Pearson siedział za biurkiem, a David Coleman przeglądał dokumenty w drugim końcu pokoju. Gdy ją usłyszał, odwrócił się.

– Mam nowe zdjęcia Vivian Loburton – rzekła.

– Co na nich widać? – Pearson natychmiast okazał zainteresowanie. Odepchnął od siebie papiery i wstał.

– Niestety, niewiele – Lucy podeszła do przeglądarki wiszącej na ścianie, a dwaj mężczyźni podążyli za nią. Coleman zaśwycił wyłącznik i po dwóch sekundach zamigotała jarzeniówka.

Analizowali kolejno zdjęcia, porównując po jednym z obu zestawów. Lucy pokazała, tak jak to zrobił doktor Bell, miejsca reakcji okołokostnowej, spowodowanej przez biopsję. Poza tym, stwierdziła, nie ma żadnych zmian.

Pearson potarł w zadumie podbródek i patrząc na Colemana rzekł:

– Pański pomysł chyba nic nie dał.

– Na to wygląda – Coleman wysilił się na obojętny ton. Tak czy owak musieli przecież odpowiedzieć na podstawowe pytanie, a zdania były podzielone. Ciekaw był, jak stary postąpi.

– Jednak warto było spróbować... – nawet najskromniejsze słowa uznania Pearson miał zwyczaj wyrażać w nieprzyjazny sposób. Jednak Coleman podejrzewał, że w tej chwili odezwał się tylko dlatego, że chciał zyskać na czasie i ukryć brak zdecydowania.

Patolog zwrócił się do Lucy niemal wyzywająco: – Jak rozumiem, radiologia umywa ręce?

– Można by tak powiedzieć...

– I zostawia decyzję mnie, to znaczy patologii?

– Tak, Joe – odparła spokojnie.

Na dziesięć sekund zrobiło się cicho, potem odezwał się Pearson. Mówił wyraźnie, stanowczo: – Diagnoza jest następująca: twoja pacjentka ma złośliwego guza, kostniako-mięsaka.

Lucy uchwyciła jego spojrzenie i zapytała: – Jesteś pewien?

– Całkowicie! – w głosie patologa nie wyczuwało się ani cienia wątpliwości czy wahania. – Szczerze mówiąc od początku byłem o tym przekonany, spodziewałem się tylko, że to – wskazał na zdjęcia – uwiarygodni moją opinię.

– W porządku – Lucy kiwnęła głową. Zastanawiała się teraz, od czego ma zacząć.

Pearson zapytał rzeczowo: – Kiedy będziesz amputować?

– Chyba jutro rano – pozbierała zdjęcia i podeszła do drzwi. Rzucając okiem na Colemana powiedziała: – Powinnam pójść i przekazać wiadomość – skrzywiła się. – To jedna z najtrudniejszych misji do spełnienia.

Gdy drzwi zamknęły się za Lucy, Pearson zwrócił się do Colemana zadziwiająco uprzejmie: – Ktoś musiał podjąć decyzję. Nie pytałem pana o zdanie, gdyż wolałem nie mówić, że są jakieś wątpliwości. W przeciwnym razie Lucy musiałaby poinformować o tym dziewczynę i jej rodziców. Wówczas zażądałby odłożenia zabiegu. Ludzie zawsze tak robią i nie można mieć o to pretensji – urwał, a potem dorzucił: – Nie muszę panu mówić, jakie bywają konsekwencje, jeśli się zwleka przy kostniako-mięsaku.

Coleman przytaknął. Nie miał wcale pretensji do Pearsona, że sam podjął decyzję. Jak powiedział, ktoś musiał wreszcie to zrobić. A jednak Coleman zastanawiał się, czy planowana na jutro amputacja jest konieczna. Co prawda będą wtedy przynajmniej mieli pewność; odcięta kończyna zostanie odesłana do laboratorium i analiza wykaże, czy diagnoza była słuszna. Jeśli jednak odkryje się, że popełniono pomyłkę, nic to nie da pacjentce. Chirurgia zna mnóstwo sposobów amputacji kończyny, lecz ani jednego, jak ją z powrotem skutecznie przyszyć.

Samolot z Burlington wylądował na lotnisku La Guardia parę minut po szesnastej. Stamtąd Kent O'Donnell pojechał taksówką na Manhattan. W drodze do miasta siedział z tyłu, rozparty wygodnie i po raz pierwszy od kilku dni zażywał relaksu. Zawsze starał się odpoczywać w nowojorskich taksówkach, gdyż denerwowało go zarówno oglądanie ruchu ulicznego, jak i zmaganie się z nim; już dawno temu doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem jest wtedy przyjęcie postawy fatalistycznej: nastawiasz się, że spotyka cię nieszczęście, a jeśli przypadkiem nic się nie wydarzy, gratulujesz sobie wielkiej łaski losu.

Był jeszcze inny powód, dla którego starał się zrelaksować: przez ubiegły tydzień pracował w pocie czoła w szpitalu i nie tylko; przedłużył nawet godziny zajęć szpitalnych i zaplanował dodatkowe operacje, by pozwolić sobie na czterodniową nieobecność w Trzech Hrabstwach.

Dwa dni temu przewodniczył specjalnemu zebraniu personelu medycznego, na którym – korzystając z danych przygotowanych przez Harry'ego Tomasello – przedstawił proponowany system składek na fundusz budowy szpitala. Jak się spodziewał, było dużo sarkania, lecz nie wątpił, że będą napływały i deklaracje słowne, i pieniądze.

Choć psychicznie wyłączył się z otoczenia, był świadom żywotności ogromnego miasta; na horyzoncie dostrzegł nawet Manhattan, położony w samym sercu metropolii, znajomy, o nieregularnych kształtach, przybliżający się z niesamowitą szybkością. Przejeżdżali przez Queensborough Bridge, i promienie ciepłego południowego słońca przecinały niczym lancet sylwetki ponurych, zielonych dźwigarów; poniżej widział East River, a na niej Welfare Island, na której przycupnęły ponure miejskie szpitale, dostrzegł też centralną aleję urzędów i instytucji. Przyszło mu do głowy, że ilekroć pojawiał się w Nowym Jorku, miasto wydawało się jeszcze brzydsze niż za poprzednim razem, a brud i nieład jeszcze bardziej uderzające. A mimo to, nawet dla kogoś z zewnątrz, robiło wrażenie bliskiego i sympatycznego, witało podróżnego gościnnie, po przyjacielsku, bez zastrzeżeń, tak jak wita się dobrego kumpla, nie bacząc na jego stare, złachane ubranie. Uśmiechnął się, ale zaraz potem zganił za sposób myślenia, który nie miał nic wspólnego z medycyną – wygląd miasta wpływał przecież hamująco na walkę z zanieczyszczeniem środowiska czy ze slumsami. Doszedł do wniosku, że marzycielstwo to podpora i źródło dobrego samopoczucia dla przeciwników postępu.

Zjechali z mostu i przejechali przez Sześćdziesiątą Ulicę w kierunku Madison, potem na następnym skrzyżowaniu skręcili na zachód w Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę. W miejscu gdzie Siódma Aleja dochodzi do Central Parku pojechali na światłach w lewo, by w końcu zatrzymać się cztery przecznice dalej, przed Park Sheraton Hotel.

Zameldował się w recepcji, a później w swoim pokoju wziął prysznic i przebrał się. Wyciągnął z torby harmonogram zjazdu chirurgów – oficjalny powód podróży do Nowego Jorku. W programie znalazł trzy wykłady, których chciał wysłuchać: dwa na temat operacji na otwartym sercu, trzeci – zastępowania chorych tętnic przeszczepami. Pierwszy był przewidziany dopiero nazajutrz, na godzinę jedenastą, miał więc dużo wolnego czasu. Zerknął na zegarek, dochodziła siódma – do spotkania z Denise miał jeszcze godzinę. Zjechał windą na dół i korzystając z przejścia przez foyer poszedł do Pyramid Lounge.

Nadeszła pora cocktailu i pomieszczenie zaczęło zapełniać się ludźmi, którzy czekali na obiad bądź rozpoczęcie spektaklu w teatrze – w większości, jak on sam, przyjezdnymi. Kelner

zaprowadził go do stolika. Idąc zauważył pełne zainteresowania spojrzenie wyjątkowo atrakcyjnej kobiety, która siedziała samotnie. Nie było w tym nic; nowego, w przeszłości podobne sytuacje kończyły się czasem wcale interesująco. Jednak dzisiaj pomyślał: przykro mi, ale mam inne plany. Kelner przyjął zamówienie na whisky z wodą sodową. Gdy szklanka wylądowała na stoliku, sączył napój kroplami, leniwie, bujając w obłokach.

W Burlington rzadko zdarzały się takie chwile. Dlatego dobrze było od czasu do czasu gdzieś wyjechać; taka podróż wyostrzała widzenie wielu spraw, zmuszając do refleksji, a niektóre z nich nabierały z dystansu zupełnie innej wagi: traciły na znaczeniu. W ostatnich dniach doszedł do wniosku, że jego osobiste przywiązanie do szpitala i jego problemów zakłóciło te proporcje. Rozejrzał się wokół. Sala wypełniła się ludźmi, kelnerzy uwijali się jak w ukropie roznosząc drinki, przygotowane przez trzech barmanów; jedna lub dwie grupki klientów już opuszczały salę. Zastanawiał się, kto z tych ludzi – mężczyzna siedzący z dziewczyną przy sąsiednim stoliku, kelner przy drzwiach, cztery osoby, które właśnie wychodziły z lokalu – słyszał o Szpitalu Trzech Hrabstw? A nawet jeśli słyszeli, to kogo z nich ciekawiło, co się tam dzieje. Tymczasem jemu do niedawna sprawy szpitalne przesłaniały cały świat. Czy to zdrowy objaw? Czy korzystny z zawodowego punktu widzenia? O'Donnell nigdy nie darzył zaufaniem ludzi, którzy poświęcali się dla dobrej sprawy; mieli zwyczaj popadać w przesadę: zamiast kierować się zdrowym rozsądkiem, podporządkowywali się emocjom. Czy jemu samemu groziło coś takiego?

Weźmy dla przykładu sprawę Pearsona. Czy w tym wypadku nie zawiodło go czasem nadmierne zaangażowanie w problemy szpitala? Był pewien, że drugi patolog jest placówce niezbędny, czy jednak nie przejawiał skłonności do przesadnej krytyki starego, do wyolbrzymiania jego słabostek organizacyjnych – przecież w każdym oddziale coś by się znalazło – a to z powodu braku dystansu do sprawy? Przez jakiś czas O'Donnell poważnie zastanawiał się, czy nie zaproponować Pearsonowi przejścia na emeryturę; czy to również nie był przypadkiem przejaw nieprzemysłanego osądu, zbyt pośpiesznego wyroku, potępiającego starszego pana przez młodszego wiekiem kolegę? Oczywiście, tak chyba było, lecz potem Eustace Swayne dał do zrozumienia, że swoją darowiznę w wysokości ćwierć miliona dolarów uzależnia od tego, czy Joe Pearson pozostanie na dotychczasowym stanowisku, czy nie; nawiasem mówiąc, Swayne do tej pory nie potwierdził darowizny. O'Donnell uważał, że mimo wszystko potrafi wznieść się ponad takie okoliczności, niezależnie od tego, jak są ważne. Prawdopodobnie Joe Pearson miał jeszcze wiele do zaproponowania szpitalowi; nagromadzone

przez lata doświadczenia na pewno miały swoje znaczenie. To prawda, pomyślał O'Donnell, na wyjeździe myśli stają się klarowniejsze – nawet jeśli musi się szukać spokojnego cocktail-baru, aby je pozbiierać i przeanalizować.

Do stolika podszedł kelner.

– Powtórzyć, proszę pana? O'Donnell potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję.

Mężczyzna wyciągnął rachunek. O'Donnell dał mu napiwek i skrobął podpis.

Gdy wychodził z hotelu było wpół do ósmej. Miał jeszcze trochę czasu, więc poszedł spacerkiem Pięćdziesiątą Piątą Ulicą aż do Piątej Alei. Później zatrzymał taksówkę i pojechał do ekskluzywnej dzielnicy, kierując się adresem, który otrzymał od Denise. Kierowca stanął w pobliżu Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy przed budynkiem z szarego kamienia. O'Donnell zapłacił za jazdę i wysiadł.

Na jego widok portier w liberii uklonił się z szacunkiem. Zapytał o nazwisko, po czym rzucił okiem na listę gości.

Pani Quantz zostawiła wiadomość, że oczekuje pana – powiedział i ruchem ręki wskazał windę, przy której stał identycznie ubrany windziarz.

Mieszkanie znajduje się na samej górze, na dziewiętnastym piętrze. Zawiadomię panią Quantz, że jest pan w drodze.

Na dziewiętnastym piętrze drzwi windy otworzyły się bezszelestnie, ukazując przestronny hol wyściełany dywanami. Większą część ściany zajmował gobelin ze sceną myśliwską. Po drugiej stronie zobaczył dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi z dębowego drewna, które gwałtownie się otworzyły i pojawił się w nich służący.

– Dobry wieczór. Pani Quantz prosiła, żeby pan zaczekał w salonie. Przyjdzie za moment...

Idąc za służącym minął kolejny hol i znalazł się w salonie, który wielkością przypominał całe jego mieszkanie w Burlington; utrzymany był w tonacji beżu, brązu i koralu. Po obu stronach półkoliście ustawionych kanap znajdowały się stoliczki z drewna orzechowego w kolorze głębokiego brązu, wyraźnie kontrastujące z jasnym beżem luźno tkanych narzut. Drzwi z pokoju prowadziły na kamienny taras, który rozświetlały ostatnie promienie zachodzącego słońca.

– Czy życzy pan sobie drinka? – zapytał służący.

– Nie, dziękuję – odparł. – Zaczekam na panią Quantz.

– Nie musisz – usłyszał głos Denise. Podeszła do niego wyciągając ręce. – Kent, mój drogi,

jakże się cieszę, że cię widzę.

Spojrzał na nią i rzekł: – Ja też... – po czym dodał szczerze: – Nawet nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo...

Denise uśmiechnęła się i skłoniłaby pocałować go lekko w policzek. O'Donnell chciałby ją wziąć w ramiona, lecz powstrzymał się.

Z tym promiennym uśmiechem była jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał. Miała na sobie krótką, poszerzaną od bioder suknię wieczorową z czarnej koronki, podbitą czarnym jedwabiem; koronka wokół ramion wyraźnie podkreślała biel jej skóry. W talii przypięła czerwoną różę.

Pociągnęła go na taras. Przed nimi szedł służący ze srebrną tacą, kieliszkami i dzbankiem z koktajlem; po chwili służący wycofał się dyskretnie.

– Martini gotowe – Denise spojrzała pytająco na O'Donnella. – Jeśli chcesz, przyniosą coś innego.

– Może być martini...

Denise nalała koktajl do kieliszków i podała mu drinka, uśmiechając się serdecznie.

– Jednoosobowy komitet powitalny kłania się nisko w Nowym Jorku...

Wypił łyk martini – koktajl był chłodny, wytrawny. Odparł swobodnie: – Proszę komitetowi gorąco podziękować...

Na ułamek sekundy ich oczy spotkały się, po czym Denise wzięła go pod ramię i poprowadziła do balustrady.

– Jak się miewa ojciec? – zapytał.

Świetnie, dziękuję – odparła. – Jest nie do zdarcia i zdrowie mu dopisuje. Czasami myślę, że nas wszystkich przeżyje – i zaraz dodała – Jestem do niego bardzo przywiązana...

Zatrzymali się na skraju tarasu i spojrzeli w dół. Zapadał zmierzch: ciepły, łagodny zmierzch późnego lata. W oddali migotały światła Nowego Jorku. Z ulicy dobiegał monotony, uporczywy hałas, przerywany wyciem silników autobusowych i niecierpliwym trąbieniem klaksonów. Po drugiej stronie jezdni majaczyły niewyraźne kontury Central Parku, gdzie rzadko rozmieszczone latarnie wyznaczały trasy alejek. Nieco powyżej ulice zachodniej dzielnicy niknęły już w ciemnościach zalegających nad Hudsonem; okrętowe latarnie na rzece stapały się w mroku z dalekimi światłami New Jersey. Jeszcze dalej O'Donnell dostrzegł Most Jerzego Waszyngtona, którego lampy tworzyły coś na kształt naszyjnika z białych, połyskujących pereł; poniżej światła samochodów, nieprzerwanym strumieniem śmigły kilkoma pasami przez most, byle dalej od

miasta. O'Donnell pomyślał: wszyscy wracają do domów.

Owiewała ich przyjemna, delikatna bryza; Kent wyczuwał obecność Denise. Odezwała się miękko: – Jest pięknie, prawda? Choć masz pełną świadomość, że za tymi światłami kryje się zło i nienawiść. Uwielbiam to miasto, szczególnie o takiej porze.

– Czy kiedykolwiek myślałaś o powrocie? Myślę o Burlington...

– Żeby tam zamieszkać?

– Tak.

– Nie ma powrotów – odpowiedziała szeptem. – To jedna z życiowych prawd, których się nauczyłam. Och, nie chodzi mi tylko o Burlington, ale wiele innych rzeczy – czas, ludzi, miejsca. Można kogoś odwiedzić, odnowić znajomość, lecz to nigdy nie będzie to samo, co kiedyś; obojętniejsz i przechodzisz obok, nie należysz już do dawnego świata, bo od niego odszedłeś... – urwała. – Ja należę do innego miejsca. Nie potrafiłabym wyjechać z Nowego Jorku... Opowiadam bzdury, prawda?

– Nie – rzekł. – Mówisz bardzo mądrze. Poczuł dłoń na swoim ramieniu.

– Napijmy się jeszcze – powiedziała – a potem możesz mnie zabrać na kolację.

Pojechali do Maisonette, przytulnego i gustownie urządzonego klubu nocnego przy Piątej Alei. Zjedli kolację, pokręcili się po parkiecie, a teraz wrócili do swojego stolika.

– Jak długo zostaniesz w Nowym Jorku?

– Wracam za trzy dni. Przekrzywiła głowę.

– Dlaczego tak szybko?

– Pracuję – uśmiechnął się. – Czekają na mnie pacjenci, a poza tym w szpitalu jest jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

– Chyba będę za tobą tęsknić – powiedziała.

Zamyślił się, po czym spojrzał jej w oczy i rzekł bez żadnych wstępów: – Wiesz, że nigdy nie byłem żonaty.

– Wiem – skinęła głową.

– Mam czterdzieści dwa lata. Prowadząc samotne życie nabiera się pewnych nawyków, które trudno zmienić i które innym trudno zaakceptować – urwał. – Usiłuję ci wyjaśnić, że życie ze mną może nie być łatwe.

Denise położyła dłoń na jego rękę.

– Kent, kochanie, czy możesz mi coś powiedzieć? – uśmiech prawie że zniknął z jej twarzy.

– Czy ty przypadkiem nie składasz mi propozycji małżeńskiej?

O'Donnell roześmiał się szeroko; czuł się jak sztubak.

– Skoro o tym wspomniałaś... – odparł – ...chyba tak. Denise zamyśliła się na chwilę, z jej głosu można było wywnioskować, że chce zyskać na czasie.

– Bardzo mi to pochlebia, ale czy zbytnio się nie pośpieszyłeś? Przecież prawie się nie znamy.

– Kocham cię, Denise – rzekł wprost, bez ogródek. Spojrzała na niego badawczo.

– Ja też mogłabym cię pokochać – starała się dobierać słowa. – W tym momencie mam ochotę powiedzieć „tak” i rzucić ci się w ramiona. Ale głos rozsądku podpowiada mi co innego: jeśli już raz popełniło się błąd, człowiek musi być ostrożny, by go znów nie powtórzyć.

– Tak, rozumiem.

– Nigdy nie byłam zwolenniczką dość modnego poglądu, że należy zmieniać partnerów i nie przejmować się niczym, jak po zażyciu tabletki przeczyszczającej. Myślę, że to jeden z powodów, dla których dotąd się nie rozwiodłam.

– A nie miałabyś z tym kłopotu?

– Raczej nie. Mogłabym to załatwić w Nevadzie lub gdziekolwiek indziej. Ale jest jeden problem – ty mieszkasz w Burlington, a ja w Nowym Jorku.

– Denise, czy mówiłaś poważnie, że nie chcesz mieszkać w Burlington? – zapytał ostrożnie.

– Zadumała się..

– Tak, niestety, tak. Nie mogłabym tam mieszkać na stałe. Nie ma sensu udawać, Kent. Zbyt dobrze siebie znam...

Pojawił się kelner z kawą.

– Nagle uzmysłowiłem sobie, że chciałbym być z tobą sam na sam...

– Więc chodźmy stąd – odparła miękko.

– Poprosił o rachunek, zapłacił, a potem pomógł Denise ubrać się. Portier przywołał taksówkę. O'Donnell podał adres apartamentu przy Piątej Ulicy.

W samochodzie Denise spytała: – Może pytanie zabrzmiało nieco egoistycznie, ale czy nigdy nie myślałeś o przeniesieniu swojej praktyki do Nowego Jorku?

– Tak. Teraz o tym myślę.

Gdy wchodzili do budynku i wjeżdżali na górę, ciągle się zastanawiał nad pytaniem. Sprowokowany przez Denise, najpierw sam musiał sobie odpowiedzieć, dlaczego nie miałby się

przenieść do Nowego Jorku? Są tu doskonałe szpitale, to miasto medyków; ze znalezieniem posady nie byłoby żadnych problemów. Również otwarcie prywatnej praktyki nie sprawiłoby większych kłopotów; jego dotychczasowy dorobek, a także starzy przyjaciele, którzy tu mieszkają, zagwarantowałyby mu wystarczające referencje. Rozmyślał dalej: co mnie wiąże z Burlington? Czy moje życie należy wyłącznie do tego miasta – teraz i w przyszłości? Czy nie nadeszła pora, by zmienić otoczenie? Nie brałem ślubu z Trzema Hrabstwami, nie jestem też człowiekiem niezastąpionym. To prawda, są pewne rzeczy, za którymi bym tęsknił: świadomość, że coś kreuję, tworzę, no i ludzie, z którymi pracuję. W zamian za to jeszcze więcej bym zyskał, temu nie da się zaprzeczyć. A Nowy Jork to Denise. Czy nie warto podjąć takiej decyzji?

Na dziewiętnastym piętrze Denise otworzyła drzwi własnym kluczem. Po służącym nie było ani śladu.

Jakby to wcześniej ustalili, pierwsze kroki skierowali na taras.

– Kent, masz ochotę na drinka? – zapytała Denise.

– Może później.

Wziął ją w ramiona. Poddawała mu się bez wahania. Ich usta połączyły się w długim pocałunku. Przytulił ją mocniej, a wtedy poczuł, że jej ciało odpowiada na jego uścisk. Po chwili łagodnie uwolniła się z jego objęć.

Odwróciła się i powiedziała: – Jest tyle spraw do przemyślenia – w jej głosie wyczuwało się zatroskanie.

– Naprawdę? – zdziwił się Kent.

– Mało o mnie wiesz. Przede wszystkim jestem strasznie zaborcza. Wiedziałeś o tym?

– To nic strasznego.

– Gdybyśmy się pobrali, musiałabym cię mieć wyłącznie dla siebie, nie potrafiłabym się tobą dzielić, nawet ze szpitalem. Nic nie mogę na to poradzić.

Roześmiał się.

– Sądzę, że moglibyśmy pójść na kompromis. Wielu ludziom się to udaje.

Spojrzała na niego.

– Kiedy tak mówisz, prawie ci wierzę... – Denise zawiesiła głos.

– Czy przyjedziesz znów do Nowego Jorku?

– Tak.

– Kiedy?

– Kiedy tylko mnie wezwiesz.

Instynktownie przysunęła się do niego, znowu ją pocałował, z jeszcze większym pożądaniami. Naraz usłyszeli jakiś odgłos, a później przez uchylone drzwi wpadła do salonu smuga światła. Denise łagodnym ruchem wyzwoliła się z jego objęć. Na tarasie pojawiła się szczupła postać w pizamie.

– Wydawało mi się, że ktoś rozmawia – usłyszeli czyjś głos.

– Myślałam, że już śpisz – powiedziała Denise. – To jest doktor O'Donnell – i zwracając się do Kenta: – To moja córka Philippa. Połowa moich niezwykłych bliźniaków – dodała z czułością. Philippa spojrzała na O'Donnella nie kryjąc zainteresowania.

– Cześć, słyszałam o panu.

O'Donnell przypomniał sobie, jak Denise mówiła, że jej dzieci mają po siedemnaście lat. Dziewczyna wyglądała na młodszą, dopiero nabierała cech kobiecych. Ale poruszała się z gracją, jak matka.

– Cześć, Philippo. Przepraszam, że cię obudziliśmy.

– Nie mogłam zasnąć i czytałam – dziewczynka zerknęła na książkę, którą trzymała w ręce. – To poezje Herricka. Czytał pan?

– Chyba nie – odparł. – Szczerze mówiąc, gdy studiowałem medycynę, niewiele miałem czasu na czytanie wierszy. Od tamtej pory jeszcze się do nich nie zabrałem.

Philippa otworzyła książkę.

– Jest tu coś dla ciebie, mamoo... – czytała ładnie, ze zrozumieniem, akcentując właściwe frazy.

Najlepsza pora, to początek, Gorące, młode lata: Gdy czas ten minie, życia wątek coraz się gorzej splata.

*Więc niechaj każda śmiało kocha, Z weselem nie śmie zwlekać: Gdy przemknie wiosna życia płocha, próżno będzie czekać**[* Fragment wiersza pt. *Do panien, aby czasu próżno nie trwoniły* Roberta Herricka (1591-1674), w tłum. Stanisława Barańczaka.]

– Zrozumiałam aluzję – rzekła Denise i zwróciła się do O'Donnella: – Muszę ci powiedzieć, Kent, że moje dzieci ciągle namawiają mnie, bym powtórnie wyszła za mąż...

Po prostu uważamy, że byłoby to dla ciebie najlepsze wyjście...

– Przerwała jej Philippa i zamknęła książkę.

– Udają, że to ze względów praktycznych – ciągnęła Denise – a właściwie oboje są

beznadziejnie sentymentalni – po czym odezwała się do córki. – Co byś powiedziała, gdybym wyszła za mąż za doktora O'Donnella?

– Poprosił cię o rękę? – zapytała prędko i nie czekając na odpowiedź wykrzyknęła: – Oczywiście, że wyjdiesz za niego...

– To będzie zależało od wielu rzeczy. Na przeszkodzie stoi choćby pewien drobny szczegół: nie jestem rozwiedziona.

– Ach, o to chodzi! Przecież tata ciągle nalega, żebyś się tym zajęła. Jakie to głupie! Po co czekać? – popatrzyła na O'Donnella.

– Przecież możecie zamieszkać razem. Wtedy od razu znajdzie się powód do rozwodu i mama nie będzie musiała wyjeżdżać do jakiegoś okropnego Reno.

– Bywają chwile – rzekła Denise – że wątpię, czy jest sens stosować nowoczesne metody wychowawcze... To by było na tyle – zrobiła krok w stronę Philippy. – Dobranoc, kochanie.

– Och, mammo! Czasami jesteś taka zacofana.

– Dobranoc, kochanie – powtórzyła stanowczo Denise. Philippa zwróciła się do O'Donnella: – Chyba muszę już iść.

– Miło było cię poznać, Filippo.

Dziewczyna podeszła do niego i powiedziała bez skrępowania:

– Skoro ma pan zostać moim ojczymem, chyba wolno mi pana pocałować, co?

– Dlaczego nie? Możemy spróbować – niezależnie od tego, jak się sytuacja rozwinie...

Pochylił się, a wtedy Philippa pocałowała go w usta. Potem cofnęła się i z uśmiechem skonstatowała: – Fajny jesteś – a matce dała przestrozę: – Mammo, cokolwiek masz zamiar zrobić, nie rezygnuj z niego!

– Filippo! – tym razem w głosie Denise zabrzmiała przygana. Philippa roześmiała się serdecznie i ucałowała matkę. Niedbałym gestem podniosła tomik i wyszła z tarasu.

O'Donnell oparł się plecami o ścianę i wybuchnął śmiechem. W tej chwili jego kawalerski żywot w Burlington wydał mu się koszmarnie pusty i nudny, za to perspektywa życia z Denise bardziej pociągająca.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Amputację lewej nogi Vivian rozpoczęto dokładnie o ósmej trzydzieści rano. Punktualność na salach operacyjnych była czymś, czego O'Donnell zaczął wymagać zaraz po przyjęciu funkcji ordynatora chirurgii w Trzech Hrabstwach, i większość jego kolegów stosowała się do tego zalecenia.

Operacja nie była zbyt skomplikowana, więc Lucy nie przewidywała żadnych problemów z jej przeprowadzeniem. Postanowiła amputować nogę dość wysoko, znacznie powyżej kolana, w górnej partii kości udowej. Był moment, że chciała nawet uciąć ją w stawie biodrowym, sądząc, że dzięki temu uda jej się powstrzymać rozrastające się złośliwe tkanki. Jednak w takiej sytuacji o wiele trudniej byłoby dopasować protezę. Dlatego zdecydowała się na wyjście pośrednie i pozostawienie części uda.

Przemyślała także, w którym miejscu uciąć płaty skóry, by dokładnie pokryła kikut. Zrobiła to podczas wizyty u Vivian wczoraj wieczorem, udając przed nią, że to jeszcze jedno rutynowe badanie.

Oczywiście wcześniej przekazała dziewczynie wiadomość; była to smutna, pełna napięcia rozmowa. Z początku dziewczyna trzymała się dzielnie, nie uroniwszy ani jednej łzy, ale później, gdy okazało się, że nie ma już żadnej nadziei, załamała się i łkając rozpaczliwie całym ciałem przywarła do Lucy. Lucy, która przez lata praktyki i ćwiczenie własnej woli, nauczyła się zachowywać powściągliwie i nie okazywać emocji w podobnych chwilach, tym razem sama się rozkleiła.

Późniejsza rozmowa z rodzicami, a następnie z Seddonsem miała mniej osobisty charakter, choć była równie dramatyczna. Lucy uważała, że nigdy nie będzie w stanie całkowicie zdystansować się od nastrojów swoich pacjentów, tak jak niektórzy koledzy: niekiedy sama musiała przyznać, że za jej pozorną obojętnością kryje się zwyczajna, choć konieczna poza. Lecz na sali operacyjnej nie było mowy o jakimkolwiek udawaniu, w tym miejscu okazywanie obojętności było jak najbardziej wskazane. Dlatego chłodna i opanowana zabrała się do wykonywania zabiegu.

Anestezjolog, który stał u szczytu stołu, wyraził już zgodę na rozpoczęcie operacji. Przez kilka minut asystent Lucy – dzisiaj był nim jeden ze stażystów – trzymał nogę, przeznaczoną do

amputacji, wysoko w górze, aby krew odpłynęła jak najdalej. Teraz Lucy umocowała na udzie automatyczną opaskę uciskową, zostawiając jej na chwilę trochę luzu.

Instrumentariuszka bez pytania podała jej nożyce i Lucy zaczęła rozcinać bandaż, w której noga, ogolona i odkażona sześciochlorofenolem, została wczoraj zawinięta. Kiedy skończyła, salowa zabrała je z podłogi.

Lucy spojrzała na zegar. Noga znajdowała się w prawie pionowym ułożeniu przez pięć minut i ciało zrobiło się już kredowobiałe. Stażysta zmienił uchwyt.

– Ręce zmęczone, co? – zapytała. Uśmiechnął się zza maski.

– Nie wiem, czy wytrzymałbym w takiej pozycji przez godzinę. Anestezjolog popatrzył na uchwyt opaski i pytająco zerknął w stronę Lucy. Skinęła głową.

– Tak, proszę.

Anestezjolog zaczął pompować do gumowej opaski powietrze, odcinając w ten sposób krążenie w nodze. Jak skończył, stażysta opuścił nogę układając ją na stole. Następnie razem z instrumentariuszką przykryli pacjentkę sterylnym zielonym prześcieradłem: widać było jedynie fragment kończyny, przeznaczony do operowania. Lucy rozpoczęła końcowe przygotowania, które polegały na wysmarowaniu tej części alkoholowym roztworem zefirami.

Dzisiaj na sali operacyjnej mieli dodatkowych widzów – dwóch studentów medycyny z miejscowego uniwersytetu. Lucy przywołała ich ruchem głowy. Instrumentariuszka podała nóż, a wtedy Lucy zaczęła czubkiem ostrza delikatnie nacinać odsłoniętą skórę, przy okazji objaśniając kolejne ruchy.

– Zauważcie, że najpierw staram się zaznaczyć miejsce nacięcia piatów przez zdrapanie skóry. Będzie to dla nas linia orientacyjna – w tej chwili cięta głębiej, aż ukazały się powięzi z warstwą żółtej tkanki tłuszczowej. – Szczególnie istotne jest, by przedni płat był dłuższy niż tylny, gdyż wówczas linia szwu wypadnie na tylnej powierzchni uda. Dzięki temu pacjent nie będzie miał widocznej blizny na brzegu kikuta. Inaczej przy większym obciążeniu odczuwałby znaczny ból.

Cięcie sięgnęło już dużej wysokości, linie obu płatów zaznaczone były krwią, która zaczęła wyciekać. Zwisająca skóra przypominała dwie poły koszuli – dłuższą i krótszą – by później można było połączyć brzegi i starannie zszyć.

Lucy krótkimi, ostrymi ruchami skalpela zaczęła odcinać skórę, odsłaniając krwawą czerwoną masę tkanki.

– Hak, proszę.

Instrumentariuszka podała narzędzie i Lucy oderwała luźną odciętą skórę od warstwy leżącej pod spodem. Stażyscie dała znak, by przytrzymał przez chwilę hak, sama zaś nacięła głębiej warstwę mięśnia czwórgłowego.

– Zaraz zobaczymy główne naczynia. Tak, już są, najpierw żyła udowa – dwaj studenci pochyłili się z uwagą. Lucy dalej wyjaśniała ze stoickim spokojem: – Później postaramy się jak najwyżej uwolnić naczynia krwionośne, które wyciągniemy i podwiążemy odciągając od kikuta.

Igła, którą podała instrumentariuszka, śmigła w rękach Lucy to w jedną, to w drugą stronę. Lekarka dwukrotnie zawiązała duże naczynia krwionośne, by mieć pewność, iż są należycie zabezpieczone; jakkolwiek krwotok w tym miejscu mógłby się okazać dla pacjentki katastrofalny w skutkach. Wyciągnęła rękę po nożyczki i przecięła tętnicę, prowadzącą krew do dolnej kończyny. Pierwszy nieodwracalny, krok został już zrobiony.

To samo zrobiła z pozostałymi tętnicami i żyłami. Następnie, przecinając mięsień jeszcze raz, wymacała nerw, biegnący równolegle w dół. Kiedy jej dłonie w rękawiczkach badały linię jego przebiegu, Vivian nagle poruszyła się. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę anestezjologa, który uspokajająco kiwnął głową: – Z pacjentką wszystko w porządku; nic się nie dzieje – jedną rękę przytknął do policzka dziewczyny; był blady, lecz oddech równy, głęboki. Oczy miała otwarte, lecz niewidzące. Głowę odsuniętą mocno do tyłu, nieprzekrzywioną. Powieki pełne wody – jej własnych łez, z których istnienia nawet nie zdawała sobie sprawy.

– Z nerwem zrobimy to samo co z tętnicami i żyłami: naciągniemy go, podwiążemy jak najwyżej, potem utniemy, ułatwiając jego cofnięcie – opisując poszczególne etapy zabiegu Lucy zachowywała się jak automat; pouczenie stało się jej nawykiem. Ciągnęła spokojnie:

Jeśli chodzi o sposób postępowania z końcówkami nerwów, zdania są podzielone. Oczywiście celem jest wyeliminowanie bólu w kikucie zgrabnie zawiązała węzeł i skinęła na stażystę, który odciął zwisające końce. – Próbowano różnych metod: wstrzykiwania alkoholu, przypalania zakończeń nerwowych za pomocą elektrokauteryzacji, ale metoda, jaką dzisiaj wykonujemy zabieg, jest najprostsza i najczęściej stosowana.

Lucy rzuciła okiem na zegar ścienny, wskazywał dziewiątą piętnaście. Od rozpoczęcia operacji minęło czterdzieści pięć minut. Przeniosła wzrok na anestezjologa.

– Nadal w porządku? Lekarz kiwnął głową.

– Lepiej być nie może, Lucy. To naprawdę zdrowa dziewczyna – rzekł i zażartował: – Jesteś

przekonana, że ucinasz nogę właściwej pacjentce?

– Tak, jestem.

Lucy nie lubiła, gdy żartowano na temat pacjentów, którzy akurat znajdowali się na stole operacyjnym, choć знаła paru chirurgów, którzy dowcipkowali bez przerwy – od pierwszego nacięcia po nałożenie szwów. Uważała, że to kwestia punktu widzenia. Może dla niektórych takie swobodne zachowanie miało na celu ukrycie prawdziwych odczuć, a może nie. W każdym razie wolała zmienić temat. Przechodząc do cięcia mięśni w dolnej części kończyny, zapytała anestezjologa: – Jak tam rodzina?

Przerwała nacinanie i drugim hakiem odgarnęła tkanki.

– Świetnie. W przyszłym tygodniu wprowadzamy się do nowego domu.

– Och! A dokąd? – i zwróciła się do stażysty. – Trochę wyżej, proszę. Niech pan przytrzyma, żeby nie przeszkadzało.

– Do Somerset Heights – to nowa dzielnica w północnej części miasta.

Mięśnie z tyłu nogi były już prawie uwolnione.

– Wydaje mi się, że słyszałam tę nazwę – rzekła Lucy. – Przypuszczam, że żona jest bardzo zadowolona.

Kość była już widoczna; nacięcie wyglądało jak duża, czerwona, rozdarta jama.

– Jest w siódmym niebie – odparł anestezjolog – kupuje dywany, przebiera w zasłonach i innych drobiazgach. Mamy tylko jeden problem...

Lucy palcami odsunęła mięśnie z kości i zwracając się do studentów wyjaśniła: – Teraz jak najdalej odsuwam mięśnie; będziemy mogli dość wysoko obciąć kość, którą mięśnie całkowicie zakryją.

Stażysta miał kłopoty z utrzymaniem zwisających płatów mięśni za pomocą dwóch haków. Pomogła mu poprawić uchwyt i mruknęła: – Następnym razem zaopatrzę się w trzecią rękę... – Piłę, proszę.

Instrumentariuszka była na to przygotowana. Wsunęła rączkę piły w otwartą dłoń Lucy.

– Co to za problem? – pytanie skierowane było do anestezjologa. Przykładając ostrze jak mogła najwyżej, zaczęła ciąć krótkimi, regularnymi pchnięciami. Rozległ się głuchy, przejmujący chrzęst kości, rozdieranej zębami piłki.

– Kto za to wszystko zapłaci... – odparł anestezjolog. Lucy roześmiała się.

– Będziemy musieli dołożyć ci pracy – to znaczy zaplanować więcej operacji.

Do połowy przepiłowała kość; było to trudniejsze niż zazwyczaj, gdyż młode kości z natury rzeczy są twardsze. Nagle zastanowiła się: taki tragiczny moment, a my rozmawiamy o tak banalnych sprawach; nawet dowcipkujemy. Za parę sekund noga będzie odcięta i dziewczyna, dziecko prawie, na zawsze utraci możliwość korzystania z pełni życia. Nigdy nie będzie swobodnie biegać ani tańczyć, ani pływać, ani jeździć konno, ani kochać się bez skrępowania. Wykonywania jednych czynności w końcu się nauczy, drugie będą wymagały wysiłku i pomocy innych ludzi; nigdy nie będzie taka sama, wesoła, naturalna czy samodzielna, jak była do tej pory. Na tym polegała cała tragedia; zdarzyła się za wcześnie.

Lucy przerwała na moment piłowanie kości, by sprawdzić dotykiem, czy nacięcie jest wystarczające. Nagle usłyszeli chrupnięcie i zaraz potem ostry trzask: pod ciężarem prawie rozdzielonej kończyny pękł ostatni fragment kości. Noga spadła na stół. Lucy po raz pierwszy podniosła głos: – Łap! Szybko!

Ostrzeżenie przyszło zbyt późno. Stażysta usiłował zareagować na polecenie, ale nie zdążył: noga ześliznęła się ze stołu i zleciała z łoskotem na podłogę.

– Nie ruszaj! – ostro krzyknęła Lucy widząc, że stażysta zapomniawszy o swoich wyjąłowych rękawicach zamierza podnieść kończynę. Wyprostował się zmieszany.

Podeszła salowa, podniosła nogę i zawinęła ją w gazę i papier. Później goniec z innymi zawiniątkami, zawierającymi pozostałe wycinki operacyjne, zabierze ją i zanieśie na oddział patologii.

– Proszę trzymać kikut nad stołem – Lucy skinęła na stażystę, który posłusznie zastosował się do polecenia.

Instrumentariuszka przygotowała raspator i Lucy wygładziła nierówne brzegi kości, powstałe przy złamaniu. Znowu odezwała się do studentów: – Zawsze pamiętajcie, by wyczyścić zakończenia kości – nie wolno zostawiać żadnych wiór kostnych, inaczej utworzą się narośla, które bywają bardzo bolesne – i nie podnosząc wzroku spytała: – Jak wyglądamy z czasem?

– Minęło siedemdziesiąt minut – odpowiedział anestezjolog. Lucy odłożyła narzędzie.

– W porządku. Teraz możemy wziąć się za szycie.

Widząc, że operacja zbliża się ku końcowi, z radością pomyślała o filiżance kawy, która czeka na nią w gabinecie chirurgów po drugiej stronie korytarza.

Mike'owi Seddonsowi czas dłużył się niemiłosiernie. Razem z rodzicami Vivian, którzy postanowili zatrzymać się w Burlington parę dni, trafili do poczekalni przeznaczonej dla rodzin

operowanych właśnie pacjentów. Wcześniej, gdy szpital dopiero budził się do życia, spotkał się z Loburtonami przed głównym wejściem i zaprowadził ich do pokoju córki. Jednak niewiele było do powiedzenia, ponieważ dziewczyna, po zażyciu środków uspokajających, była senna i ledwo zdawała sobie sprawę z ich obecności. Parę minut później została zawieziona na blok operacyjny.

W tej chwili w poczekalni – skąpo umeblowanej niewygodnymi, obitymi sztuczną skórą fotelami, oraz politurowanymi stolikami – panowała ciężka atmosfera; żadne z nich nie wykazywało najmniejszej ochoty do jakiegokolwiek rozmowy. Henry Loburton, wysoki, mocno zbudowany mężczyzna z przeredzoną czupryną stalowoszarych włosów, twarzą poorly zmarszczkami i ogorzałą od ciągłego przebywania na powietrzu, stał przy oknie i obserwował ruch uliczny. Mikę Seddons był pewien, że za parę minut Loburton odwróci się od okna, podejście do fotela, znowu wstanie i znowu podejście do okna. Tak zachowywał się od ponad godziny i Mikę wręcz marzyłby przynajmniej na parę minut urozmaicił ową monotonię, która tak działała mu na nerwy; mógłby choć raz przyśpieszyć kroku albo zmienić od czasu do czasu rytm powtarzanych czynności.

Matka Vivian, w przeciwieństwie do ojca, zachowywała się spokojnie; od wejścia do poczekalni nie wykonała żadnego ruchu. Zamiast fotela wybrała krzesło i siedziała w nim wyprostowana, sprawiając wrażenie, że świadomie narzuciła sobie wewnętrzną dyscyplinę. Od dłuższego czasu Angela Loburton spoglądała prosto przed siebie, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w nieskończonej przestrzeni i rękami lekko zaciśniętymi na podolku. Twarz miała bledszą niż zwykle, lecz wystające kości policzkowe, podkreślające jej wrodzoną dumę oraz równowagę psychiczną, były widoczne jak zawsze. Emanowała z niej delikatność i zarazem ogromna siła.

Od ich pierwszego spotkania parę dni temu Mikę Seddons kilkakrotnie wracał myślami do pani Loburton. Nie okazywała swoich uczuć jak jej mąż, a mimo to, z upływem czasu, Seddons doszedł do wniosku, że były równie głębokie, a może nawet głębsze. Przypuszczaj też, że Henry Loburton mimo swojej tężyzny fizycznej był człowiekiem słabszego charakteru niż jego żona; przez lata małżeństwa ta kobieta stała się opoką, na której można się było oprzeć.

Zastanawiał się, jak w przyszłości ułożą się stosunki między nim a Vivian. Które z nich okaże się bardziej stanowcze i bardziej wytrzymałe? Zdawał sobie sprawę, że nie ma dwojga ludzi do siebie podobnych ani siłą charakteru, ani zdolnością przewodzenia, ani też umiejętnością kochania, i różnica płci niewiele ma z tym wspólnego; niejednokrotnie kobiety okazują się silniejsze od mężczyzn, zarówno duchem jak i sercem, natomiast oni dysponują jedynie

zewnątrzną siłą, która jest zwyczajną pozą, maskującą ich wewnętrzne słabostki.

Czy Vivian jest od niego silniejsza? Czy ma lepszy charakter, większą odwagę? To pytanie dręczyło go od wczoraj. Wiedząc, że zapadła decyzja o amputacji i Vivian została o tym poinformowana, poszedł ją odwiedzić. Nie płakała, wręcz przeciwnie – uśmiechała się.

– Mikę, kochanie, wejdź – powiedziała – i nie bądź taki markotny. Doktor Grainger zapoznała mnie z sytuacją. Wyplakałam się i po wszystkim – a już na pewno będzie po wszystkim jutro rano.

Słyszac te słowa poczuł przyływ jeszcze gorętszej miłości. Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. A wtedy Vivian z czułością zagłębiła palce w jego włosach i odchyliwszy mu głowę spojrzała głęboko w oczy.

– Będę miała tylko jedną nogę, Mikę – rzekła – do końca życia. Nie będę tą samą dziewczyną, którą poznałeś – nie taką, jaką poznałeś, ani nie taką, jaką znasz teraz. Jeśli chcesz się wycofać, zrozumieć to.

– Nie mów tak! – zaproponował zdecydowanie.

– Dlaczego? Boisz się o tym rozmawiać?

– Nie! – W jego głosie zabrzmiał głośny, stanowczy protest; dopiero później uświadomił sobie, że to nieprawda. Mike Seddons bał się, a czuł, że Vivian jest wolna od strachu – teraz i będzie wolna zawsze.

Patrząc na matkę widział w niej lustrzane odbicie dziewczyny – albo, jak sądził, odwrotnie. Niemniej z obydwu emanowała jakaś wewnętrzna siła. Czy potrafi jej sprostać? Po raz pierwszy ogarnęło go zwątpienie.

Pan Loburton zmienił nieco swoje zachowanie i przystanął w połowie drogi spod okna w stronę fotela.

– Michael – odezwał się – minęło już półtorej godziny. Czy długo to jeszcze potrwa?

Seddons zauważył, że matka Vivian też spogląda w jego stronę. Pokręcił głową.

– Nie sądzę. Doktor Grainger obiecała, że przyjdzie tutaj... jak będzie po wszystkim – i dodał: – Już niebawem czegoś się dowiemy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Doktor Dornberger włożył ręce do inkubatora przez dwa otwory w kształcie iluminatorów i ostrożnie zbadał niemowlę. Od porodu minęły już trzy i pół doby, co samo w sobie byłoby faktem pozytywnym i mogło budzić pewne nadzieje, gdyby nie symptomy, zresztą coraz wyraźniejsze, które go niepokoiły.

Skończył badanie bez większego pośpiechu, po czym wyprostował się i stał przez chwilę zadumany, ważąc w myślach wnioski i odwołując się pamięcią do lat praktyki – i niezliczonych przypadków, z którymi zetknął się do tej pory. W końcu jego zawodowa mądrość potwierdziła coś, co wcześniej podpowiadała intuicja: że szanse dziecka są zatrważająco małe.

– Wiesz powiedział przez jakiś czas myślałem, że mu się uda... Młoda pielęgniarka, prowadząca oddział wcześniaków, ta sama, z którą John Alexander rozmawiał parę dni temu, spojrzała na Dornbergera: – Jeszcze godzinę temu oddech był wyrównany, ale potem zaczął słabnąć. Wtedy pana zawiadomiłam.

Stojąca po drugiej stronie inkubatora praktykantka uważnie przysłuchiwała się rozmowie. Spojrzenie jej nieosłoniętych maską oczu wędrowało od Dornbergera do pielęgniarki, i z powrotem.

– Ma trudności z oddychaniem – rzekł lekarz powoli; głośno myślałby się upewnić, iż nie pominął istotnych szczegółów. – Zażółcenie jest większe niż być powinno, stopy spuchnięte. – Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, ile było krwinek?

Pielęgniarka zerknęła w kartę.

– Czerwone krwinki: cztery miliony dziewięćset tysięcy. Siedem jądrzastych krwinek czerwonych na sto białych.

Dornberger w milczeniu rozważał dane. To prawda, wystąpiła niedokrwistość, pomyślał, choć może się to zdarzyć w każdym przypadku. Powiedział do pielęgniarek, które nie odrywały od niego wzroku: – Gdyby nie wyniki badań podejrzewałbym, że dziecko ma erytoblastozę.

Pielęgniarka rzekła zdziwiona: – Ależ panie doktorze... – i zaraz zmitygowała się.

– Wiem, że to niemożliwe... – wyciągnął rękę po kartę. – Ale proszę mi pokazać jeszcze raz wynik badań laboratoryjnych, oryginalny. Chodzi mi o analizę krwi matki.

Pielęgniarka odcinkowa przewróciła kilka kartek, znalazła właściwą, odpięła i podała

lekarzowi. Dokument był podpisany przez doktora Pearsona w dniu sprzeczki z Davidem Colemanem. Dornberger uważnie przestudiował informację i oddał kartkę pielęgniarce.

– No, cóż, niby wszystko jasne, nie ma uczulenia. Oczywiście, to powinno wystarczyć, a jednak Dornbergera nadal coś dręczyło: czy mogła zaistnieć jakaś pomyłka? Nie, to wykluczone, przekonywał sam siebie: oddział patologii nigdy nie popełniłby tak poważnego błędu. Mimo wszystko zdecydował, że po obchodzie wpadnie do Joe Pearsona na rozmowę.

W tej chwili nie możemy zrobić nic więcej – powiedział do pielęgniarki. – Gdyby były jakieś zmiany, proszę mnie wezwać.

– Dobrze, panie doktorze.

Kiedy Dornberger wyszedł, studentka zapytała: – Co doktor powiedział? Co to jest ta erytro... – zająknęła się.

– Erytroblastozą to choroba krwi noworodków. Może wystąpić wówczas, gdy krew matki ma Rh ujemne, a ojca Rh dodatnie.

Młoda rudowłosa pielęgniarka odcinkowa udzieliła precyzyjnej odpowiedzi z typową pewnością siebie. Studentki lubiły z nią pracować: miała w szpitalu opinię jednej z najzdolniejszych, niespełna rok temu ukończyła studia z doskonałą lokatą. Jej młodsze koleżanki wiedziały o tym i nie obawiały się zadawać pytań.

– Myślałam, że w takiej sytuacji przetacza się dziecku krew zaraz po urodzeniu...

– Masz na myśli transfuzję wymienną?

– Tak.

– Tylko czasami... – pielęgniarka wyjaśniała cierpliwie. – To zależy od wyników badań uczuleniowych krwi matki. Dodatni wynik oznacza, że dziecko urodzi się z erytroblastozą i trzeba przeprowadzić transfuzję wymienną zaraz po porodzie. Tutaj otrzymaliśmy wynik ujemny, więc transfuzja nie była konieczna – po chwili dodała zamyślona: – Chociaż zastanawiające są te objawy.

Od czasu kłótni z Colemanem na temat kontroli w laboratorium Pearson ani razu nie wrócił do sprawy. Coleman nie miał pojęcia jak to wytłumaczyć: czyżby osiągnął swój cel i może kierować serologią? A jeśli Pearson dopiero szykuje się do nowego ataku? Tymczasem młodszemu patologowi weszło w nawyk regularne odwiedzanie laboratorium i sprawdzanie wykonanej pracy. W efekcie poczynił już parę obserwacji, które podsunęły mu gotowe pomysły co do zmian w sposobie wykonywania analiz; kilka mniej istotnych usprawnień wprowadzono

już dwa dni wcześniej.

Między Colemanem a Carlem Bannisterem, podstarzałym laborantem, istniało coś w rodzaju zawieszenia broni. Natomiast John Alexander wyraźnie stwierdził, że cieszy go zainteresowanie Colemana pracą w laboratorium i w ostatnich dniach sam wysunął kilka propozycji, które patolog zaakceptował.

Alexander wrócił do swoich zajęć nazajutrz po przywiezieniu Elizabeth do szpitala, mimo iż Pearson zaproponował mu, w szorstki sposób, choć życzliwie, by wziął trochę wolnego. Coleman słyszał wówczas odpowiedź młodego laboranta: – Dziękuję za wyrozumiałość, panie doktorze, ale miałbym za dużo czasu do rozmyślenia, a to nic nie pomoże. – Wtedy Pearson kiwnął głową ze zrozumieniem i powiedział, że daje mu wolną rękę i może odwiedzać żonę i dziecko, kiedy tylko chce.

Otworzywszy drzwi laboratorium serologicznego David Coleman zobaczył, jak John Alexander, stojący przy stole pośrodku pokoju, odrywa się od mikroskopu i zwraca twarz w stronę jakiejś kobiety z ogromnym biustem, ubranej w biały fartuch. Coleman jak przez mgłę przypomniał sobie, że kilkakrotnie już spotkał ją w szpitalu. Wchodząc usłyszał słowa Johna: – Sądzę, że powinna pani zwrócić się do doktora Pearsona lub doktora Colemana, którym przekażę wyniki moich analiz.

– Jakie wyniki? – na dźwięk głosu Colemana obydwójce odwrócili głowy.

Kobieta odezwała się pierwsza: – Och, doktorze... – zaczęła i spojrzała pytającym wzrokiem: – Przepraszam, czy doktor Coleman?

– Zgadza się.

– Nazywam się Hilda Straughan – podała mu rękę – naczelną dietetyczką.

– Miło mi panią poznać. – zauważył, że kiedy potrzasała jego ręką, jej wspaniałe, ogromne piersi poruszały się rytmicznie: falowały i kołysały niczym dwa gigantyczne wieloryby. Starając się nie myśleć na ten temat zapytał: – Czy możemy pani w czymś pomóc?

Wiedział z własnego doświadczenia, że w dziedzinie higieny żywienia patologdy i dietetycy blisko ze sobą współpracują.

– W ostatnich tygodniach mieliśmy sporo przypadków zidentyfikowanych jako grypa z zaburzeniami jelitowymi – wyjaśniła – głównie wśród personelu szpitalnego.

Coleman roześmiał się.

– Proszę mi powiedzieć, w którym szpitalu nie zdarza się coś takiego?

– Och, wiem – pani Straughan dała delikatnie do zrozumienia, że lekceważący ton Colemana spotkał się z jej dezaprobatą. – Ale jeśli powodem jest jedzenie, a zazwyczaj tak bywa, to chciałbym, jeśli to możliwe, dowiedzieć się, gdzie leży przyczyna. Dopiero wtedy będzie można temu zapobiec.

Niezwykła żarliwość tej kobiety wzbudziła w Colemanie szacunek. Zapytał uprzejmie: – Czy ma pani jakieś podejrzenia?

– Zdecydowanie tak. Podejrzewam moje zmywarki do naczyń, doktorze C.

Coleman aż zaniemówił słysząc, jak się do niego zwróciła. Ochłonąwszy nieco z wrażenia spytał: – A to dlaczego?

Kącikiem oka ujrzał Bannistera, wchodzącego do pokoju. Teraz obaj laboranci przysłuchiwali się rozmowie.

– Mój system grzewczy jest zupełnie nieodpowiedni. Słyszac tę frazeologię miał ochotę roześmiać się, lecz zachował powagę.

– Czy tą sprawą zajmowano się kiedykolwiek?

– Oczywiście, doktorze C. – wyglądało na to, że panią Straughan ów temat dogłębnie interesuje. Mówiła dalej: – Rozmawiałam kilkakrotnie z dyrektorem administracyjnym, panem Tomasellim. To właśnie pod wpływem rozmowy ze mną pan T. poprosił doktora Pearsona o przeprowadzenie badań laboratoryjnych tych zmywarek.

– Rozumiem – Coleman zwrócił się do Alexandra: – Przeprowadził pan testy?

– Tak, panie doktorze.

– Jakie są wyniki?

– Temperatura wody jest niewystarczająca – Alexander zajrzał do notatek, które składały się z kilku stron. – Wykonałem po trzy testy na każdej ze zmywarek o różnych porach dnia. Temperatura wahała się od stu dziesięciu do stu trzydziestu stopni*.[* w skali Fahrenheita, czyli 43,3-54,4°C.]

– Widzi pan? – dietetyczka uniosła ręce w pełnym patosu geście.

– Tak, rzeczywiście jest za niska – przytaknął Coleman.

– Ale to nie wszystko, panie doktorze – John Alexander odłożył swoje sprawozdanie i podniósł ze stołu preparat: – Wydaje mi się, że natrafiłem na bakterie wytwarzające toksyny. Znajdowały się na talerzach, wyjętych ze zmywarek.

– Proszę mi to pokazać – Coleman wziął próbkę i stanął przy mikroskopie. Od razu zauważył

charakterystyczne pałeczkowate bakterie. Wyprostował się.

– Co to jest? O co chodzi? – zaniepokoiła się pani Straughan. Coleman odparł z troską w głosie: – Preparat wykazuje pałeczki Shigella, produkujące toksyny. W ciepłej wodzie powinny zginąć, tymczasem tutaj znajdują się na czystych talerzach.

– Czy są groźne?

Nie odpowiedział od razu.

– I tak, i nie. Prawdopodobnie ich obecność jest przyczyną owych przypadków, jak to pani powiedziała, grypy z zaburzeniami jelitowymi, ale same w sobie nie są zbyt groźne. Prawdziwe niebezpieczeństwo pojawiłoby się dopiero wtedy, gdyby się okazało, że w szpitalu mamy nosiciela choroby.

– Nosiciela? – powtórzyła dietetyczka.

– To osoba, która nosi w sobie zarazki, nie mając żadnych objawów klinicznych. Nosiciel może wyglądać normalnie, jak każdy zdrowy człowiek. Podobne wypadki zdarzają się o wiele częściej, niż nam się wydaje.

– Tak, rozumiem – pani Straughan zamyśliła się. Coleman odwrócił się do techników: – Spodziewam się, że regularnie wykonujemy badania osób, które stykają się w szpitalu z żywnością.

Bannister odpowiedział z wyraźną pewnością siebie: – O, tak. Doktor Pearson bardzo o to dba...

– I robimy to na bieżąco?

– Tak – laborant zastanowił się przez chwilę, po czym dodał: – Ale nie sądzę, żebyśmy ostatnio czymś takim się zajmowali.

– Kiedy przeprowadzono ostatnie badania? – Coleman zadał pytanie obojętnym tonem, rutynowo.

– Chwileczkę... Zajrzę do rejestru... – Bannister poszedł na drugą stronę pokoju.

Coleman zastanawiał się nad przyczynami, które mogły doprowadzić do tej sytuacji. Jeśli zmywarki są niesprawne, a wygląda, że tak jest w istocie, trzeba działać natychmiast; co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Z drugiej strony, dopóki osoby stykające się z żywnością są poddawane badaniom, jak go zapewnił Bannister, nie ma powodu do paniki. Jednak sprawy nie można lekceważyć.

– Byłoby lepiej, gdyby pan szybko oddał sprawozdanie doktorowi Pearsonowi – odezwał się

do Johna Alexandra.

– Dobrze, panie doktorze.

Tymczasem w drugim końcu pokoju Bannister podniósł wzrok znad książki, którą rozłożył na szafce z dokumentami, i zawołał:

– Dwudziestego czwartego lutego!

– Powiedział pan: lutego? – powtórzył Coleman zdziwiony.

– Tak jest.

– To prawie sześć miesięcy temu – skomentował lekarz i zwrócił się do dietetyczki. – Czy ma pani duży ruch w zatrudnieniu personelu kuchennego?

– Niestety, tak – pani Straughan pokiwała energicznie głową.

– Od lutego przyjęliśmy sporo nowych pracowników, doktorze C. Coleman nie mogąc wyjść ze zdumienia dopytywał się:

– Jest pan pewien tej daty?

– Nie ma późniejszej – odparł chełpliwie Bannister: jak to miło powiedzieć wreszcie coś stanowczego temu przemądrzałemu doktorkowi. – Sam pan może zobaczyć.

Coleman zignorował jego uwagę.

A co z nowymi pracownikami, których przyjęto w tym okresie?

– Nie wiadomo – Bannister wzruszył ramionami. – Jeśli dział inspekcji sanitarnej nie przyśle nam próbek, nie mamy możliwości zbadania nowych pracowników. – Zachowanie laboranta cechowała kompletna obojętność, niemal lekceważenie.

W Colemanie z wolna narastało oburzenie. Opanował się jednak i powiedział spokojnie do dietetyczki: – Uważam, że powinna pani tego dopilnować – po raz pierwszy miał w rękach niezbity dowód, że coś tu naprawdę szwankuje.

Pani Straughan podzielała zapewne jego opinię, gdyż powiedziała:

– Oczywiście, zrobię to natychmiast. Dziękuję, doktorze C. – i wyszła z laboratorium falując biustem.

W pokoju zaległa ciężka cisza. Colemanowi wydawało się, że Bannister nagle stracił pewność siebie; napotkawszy wzrok laboranta zapytał lodowatym głosem: – Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, dlaczego nie otrzymujecie żadnych próbek, należących do pracowników, którzy mają kontakt z żywnością?

– No... – Bannister kręcił się niespokojnie; jego charakterystyczny tupet zniknął bez śladu. –

Przypuszczałem, że prędzej czy później je dostaniemy...

Coleman obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i rzekł ze złością: – Ja bym powiedział, że później, a pan? Zwłaszcza gdy trzeba by trochę pomyśleć – i stojąc przy drzwiach dodał: – Będę u doktora Pearsona.

Stary laborant stał nieruchomo i wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął David Coleman. Krew odpłynęła mu z twarzy. Z goryczą i poczuciem klęski mruknął: – On o wszystkim wie. O wszystkim, co jest w tej książce. O każdej cholernej sprawie.

W tym momencie Bannister uświadomił sobie, że oto nadszedł dzień kapitulacji. Jego własny, tak dobrze znany mu świat, w którego nienaruszalność wierzył i dlatego nie zrobił nic, by go ochronić, rozpadał się w gruz. Nastawał nowy porządek, w którym dla niego nie było już miejsca, i to z powodu jego własnych niedostatków. Zgnębiony, odrzucony przez wszystkich, robił teraz wrażenie słabej, wzruszającej istoty, której czas dobiegł końca.

Gdy Coleman wszedł do gabinetu Joe Pearsona, ten podniósł głowę znad biurka.

Bez zbędnych wstępów młody patolog oznajmił: – Na czystych talerzach wyjętych ze zmywarek John Alexander odnalazł pałeczki Shigella.

Pearson nie wyglądał na zaskoczonego.

– To wina zmywarek do naczyń – odparł lodowatym głosem.

– Wiem – Coleman starał się opanować złość, lecz bezskutecznie: – Czy ktokolwiek starał się temu zaradzić?

Starszy pan spojrział na niego pytającym wzrokiem i odparł spokojnie: – Jak przypuszczam, uważa pan, że wszystko tutaj jest prowadzone w sposób naganny.

– Skoro pan pyta, odpowiem: tak, tak uważam – Coleman zacisnął usta. Zastanawiał się, jak długo jeszcze ich współpracy będzie towarzyszyła taka atmosfera.

Pearson wysunął szufladę z biurka i, wertując jakieś dokumenty i papierki, zaczął mówić z mieszaniną gniewu i troski: – Jest pan taki młody, niedoświadczony i pełen ideałów. Otóż dział administracji ma nowe kierownictwo, dzięki któremu jest więcej pieniędzy niż w ubiegłych latach. Tymczasem panu wydaje się, że przyczyny tego stanu należy upatrywać w fakcie, że wcześniej nikt nie pomyślał o wprowadzeniu jakichkolwiek zmian i dlatego jest jak jest. Że nikt nawet nie próbował pomyśleć! – znalazł w końcu opasłą teczkę i rzucił ją na biurko.

– Tego nie powiedziałem – Coleman wyrzucił z siebie, jakby zamierzał się bronić.

Pearson pchnął teczkę w jego stronę.

– To korespondencja w sprawie aparatury kuchennej. Jeśli zechce się panu poczytać, dowie się pan, że od lat zabiegałem o nową – mówił coraz donośniejszym głosem, jakby prowokująco:

– No, proszę, śmiało, niech pan spojrzy!

Coleman otworzył teczkę i przeczytał pierwszy monit. Odwrócił drugą kartkę, trzecią, następną, później jeszcze parę i natychmiast zorientował się, że jest w błędzie. Sformułowane w ostrym tonie pisma wyraźnie krytykowały stan higieny w szpitalnej kuchni; słowa były mocniejsze, znacznie mocniejsze niż sam by to zrobił. Korespondencja trwała kilka lat.

– I co!? – Pearson bacznie mu się przyglądał.

– Przepraszam. Nie miałem racji, przynajmniej w tej sprawie – odparł Coleman bez wahania.

– Nie ma o czym mówić – Pearson machnął ręką z irytacją, a później zapytał: – Czyżby chciał pan powiedzieć, że ma jeszcze jakieś uwagi?

Coleman zareagował spokojnie: – Zajmując się tą kwestią natknąłem się na informacje, że od ponad sześciu miesięcy nie prowadzono badań wśród personelu kuchennego.

– A to dlaczego?

– Widocznie nie przysłano próbek z działu inspekcji sanitarnej. Teraz główna dietetyczka to sprawdza.

– A pan sądzi, że nie żądaliśmy tego? Że nikt na oddziale patologii nie interesował się, dlaczego nie było badań?

– Chyba tak.

– Ten dureń Bannister! To poważna sprawa – Pearson przejął się na dobre; jego wcześniejsza wrogość do Colemana zniknęła.

– Uważałem, że będzie pan chciał o tym wiedzieć – odezwał się półgłosem Coleman.

Pearson podniósł słuchawkę i rzucił: – Proszę mnie połączyć z dyrektorem administracyjnym.

Rozmowa była krótka i treściwa. Pearson odłożył słuchawkę i wstał.

– Tomaselli już schodził na dół – powiedział do Colemana.

– Spotkamy się z nim w laboratorium.

Sprawdzenie informacji, które przekazał Coleman, zajęło im zaledwie parę minut. Pearson i Harry Tomaselli wysłuchali Johna Alexandra, który zreferował swoje obserwacje, następnie Pearson obejrzał preparaty pod mikroskopem. Gdy skończył, weszła naczelna dietetyczka. Dyrektor zapytał: – Czego pani się dowiedziała?

– To niewiarygodne, lecz prawdziwe, doktorze P. – pani Straughan pokręciła głową z niedowierzaniem i odparła: – Na początku roku dział inspekcji sanitarnej zatrudnił nową pracownicę. Nikt jej nie powiedział, że personel kuchenny musi poddawać się badaniom. Dlatego nie przystali próbek.

– A zatem od tego czasu nie wykonywano żadnych testów... Jak długo?

– Około sześciu i pół miesiąca.

Coleman zauważył Carla Bannistera, który stał z dala od nich, zajęty jakąś pracą; wyglądało na to, że stara się wyłowić z rozmowy każde słowo.

– Co pan proponuje? – zapytał Pearsona dyrektor.

Najpierw trzeba zbadać wszystkich nowych pracowników i to jak najszybciej – tym razem starszy patolog podejmował decyzję bez zastanowienia. – Później to samo zrobi się z pozostałym personelem. Należy przeprowadzić badania kału, zrobić prześwietlenie płuc i badania ogólne. Powinny one obejmować wszystkich zatrudnionych w kuchni i pozostałych ludzi mających kontakt z żywnością.

– Załatwi to pani, pani Straughan? – zapytał Tomaselli. – Proszę porozumieć się z działem inspekcji sanitarnej, oni powinni zająć się szczegółami.

– Tak, panie T., zaraz tego dopilnuję – rzekła i wyszła z laboratorium.

– Coś jeszcze? – Tomaselli ponownie zwrócił się do Pearsona.

Niezbędna jest nowa nagrzewnica do zmywarek, a najlepiej byłoby je usunąć i zastąpić nowoczesnymi – Pearson podniósł głos:

– Od lat to powtarzam.

– Wiem – przytaknął Tomaselli. – Odziedziczyłem w spadku to zamówienie i nagrzewnica ciągle znajduje się na liście przyszłych zakupów. Problem w tym, że mamy zbyt wiele wydatków – zastanowił się. – Ciekaw jestem, ile by to kosztowało...

Pearson zareagował z irytacją: – Skąd mam to wiedzieć? Nie jestem instalatorem.

– Znam się trochę na robotach instalacyjnych, może mógłbym w czymś pomóc? – na dźwięk tych słów wszyscy odwrócili głowy: doktor Dornberger ze swoją nieodłączną fajką w ręce pojawił się w laboratorium cicho, niepostrzeżenie. Widząc Tomasellogo spytał:

– Przeszkodziłem w czymś?

– Nie, w porządku – burknął Pearson.

Dornberger zauważył na sobie wzrok Johna Alexandra i odezwał się do niego: – Byłem

przed chwilą u twojego dziecka, synu. Niestety, nie jest dobrze.

– Czy jest jakaś szansa, panie doktorze? – głos Alexandra brzmiał spokojnie.

Wszyscy spojrzeli na młodego laboranta ze współczuciem. Bannister odłożył szklaną pipetę i przysunął się nieco bliżej.

Obawiam się, że niewielka – odparł Dornberger powoli. Pokój zaległo milczenie, po chwili Dornberger, jakby sobie coś przypomniał, rzekł do Pearsona: – Joe, nie ma żadnych wątpliwości co do próby uczuleniowej krwi pani Alexander?

– Wątpliwości?

– To znaczy – czy nie zaszła żadna pomyłka? Pearson potrząsnął głową.

– Nie ma mowy o pomyłce, Charlie. Szczerze mówiąc, sam przeprowadzałem analizę, zresztą bardzo starannie – i dodał z zaciekawieniem: – Dlaczego pytasz?

– Sprawdzam tylko – Dornberger wypuścił smugę dymu.

– Dzisiaj rano podejrzewałem przez moment, że dziecko może mieć erytroblastozę. Ale, jak widzę, myliłem się.

– To absolutnie niemożliwe – stanowczo odparł Pearson.

– Tak, tak sądziłem.

Znowu zaległo milczenie, wszyscy wpatrywali się w Alexandra. David Coleman postanowił się odezwać, byle tylko zmienili obiekt zainteresowania. Prawie bez namysłu powiedział do Dornbergera:

– Wątpliwości pojawiały się tylko wtedy, gdy do prób uczuleniowych stosowano wyłącznie metodę solankową i bogatobiałkową. Zdarzało się bowiem, że przypadki, które w rzeczywistości miały dodatnie wyniki, dawały wyniki ujemne. Ale dzisiaj, gdy przeprowadza się pośrednią próbę Coombsa, takie pomyłki raczej się nie zdarzają – gdy skończył mówić, uświadomił sobie, że dopiero po jego przybyciu do Trzech Hrabstw wprowadzono tę zmianę. Nie miał zamiaru być uszczypliwym wobec Pearsona; wierzył, że stary nawet nie zwrócił uwagi na jego słowa. Już tyle waśni było między nimi, że Coleman nie chciał już dolewać oliwy do ognia.

Ale doktorze Coleman... – Alexander zaczął coś mówić, a w jego oczach pojawił się strach.

Słucham? O co chodzi? – zdziwił się Coleman. Nie powiedział nic, co uzasadniałoby taką reakcję.

– Nie przeprowadziliśmy pośredniej próby Coombsa. Współczuł Alexandrowi, a mimo to był na niego zły. Ze względu na Pearsona nie chciał już wracać do tego tematu, jednak nie miał

innego wyboru.

– Ależ tak, przeprowadzaliście... – odparł bezceremonialnie. – Pamiętam, że osobiście podpisywałem zlecenie na zakup surowicy poliglobulinowej.

Alexander popatrzył na niego błagalnym wzrokiem.

– Doktor Pearson stwierdził, że jest niepotrzebna. Próbę wykonano tylko w solance i białku.

Zanim informacja dotarła do Colemana, minęło parę dobrych sekund. Zwrócił uwagę, że Harry Tomaselli obserwuje tę scenę z dużym zainteresowaniem, niczego nie rozumiejąc. Dornberger też nadstawił uszu.

Pearson odezwał się do Colemana zakłopotany: – Miałem panu powiedzieć, ale wyleciało mi z głowy.

W tym momencie wszystko było jasne, Davida Colemana słuch nie mylił. Jednak zanim coś zrobi, musi się jeszcze upewnić: – Czy dobrze zrozumiałem: nie przeprowadzono próby Coombsa? – zapytał Alexandra.

Kiedy Alexander przytaknął, Dornberger odezwał się: – Chwileczkę! Muszę wiedzieć dokładnie: chcecie powiedzieć, że matka, to znaczy pani Alexander, może mieć uczuloną krew?

– Oczywiście! – Coleman wybuchnął, nie bacząc na reakcję obecnych, co więcej, w miarę mówienia ton jego głosu podnosił się: – W wielu wypadkach próby solankowe i bogatobiałkowe są wystarczające, ale nie we wszystkich. Każdy, kto na bieżąco śledzi nowości z dziedziny hematologii, powinien o tym wiedzieć – rzucił okiem na Pearsona, który ani nie drgnął, i powiedział do Dornbergera: – Dlatego zleciłem wykonanie pośredniej próby Coombsa.

Dyrektor administracyjny starał się wyłowić medyczne implikacje tych słów: – Skoro pan zlecił wykonanie próby, dlaczego jej nie zrobiono?

Coleman obrócił się w kierunku Bannistera, a w jego spojrzeniu nie było cienia litości.

– Co się stało ze zleceniem, które osobiście podpisywałem na zakup surowicy Coombsa? – Widząc wahanie laboranta, ponaglił go: – No?

Bannister trząsł się jak galareta. Ledwie słyszalnym głosem wykrztusił: – Podarłem je...

Dornberger zapytał z niedowierzaniem: – Podarłeś zlecenie wypisane przez lekarza, nawet mu o tym nie mówiąc?

– Na czyje polecenie pan je podarł? – Coleman był nieustępliwy. Bannister wbił wzrok w podłogę i ociągając się odparł: – Na polecenie doktora Pearsona.

Dornberger odezwał się do Colemana: – To znaczy, że dziecko może mieć erytroblastozę,

właściwie wszystko na to wskazuje.

– A więc przeprowadzi pan transfuzję wymienną, tak? – dopytywał się Coleman.

Dornberger odparł z goryczą: – Jeśli była konieczna, należało ją przeprowadzić zaraz po urodzeniu. Ale może jest jeszcze jakaś szansa, nawet tak późno – spoglądał na młodego patologa wzrokiem, który dawał do zrozumienia, iż w tej sytuacji uważa go za jedynego partnera do dyskusji. – Niemniej muszę się upewnić. Dziecko jest zbyt słabe, aby pozwolić sobie na ryzyko.

W takim razie trzeba szybko przeprowadzić na krwi niemowlęcia pośrednią próbę Coombsa – Coleman zareagował w mgnieniu oka, fachowo. W tej chwili dialog prowadzili wyłącznie on i Dornberger; stary patolog stał bez ruchu; wyglądał, jakby błyskawiczne tempo zdarzeń oszołomiło go.

– Czy w szpitalu mamy odczyn Coombsa? – warknął do Bannistera Coleman.

Laborant przełknął ślinę.

– Nie.

Tomaselli, w którego zakresie obowiązków mieściły się takie sprawy, zapytał krótko: – Gdzie można go dostać?

– Nie ma czasu na szukanie – Coleman pokręcił głową. – Musimy przeprowadzić badanie gdzie indziej, tam gdzie mają stosowne możliwości.

– Może zrobią to na uniwersytecie. Ich laboratorium jest lepiej wyposażone od naszego – rzekł Harry Tomaselli, podszedł do telefonu i powiedział do telefonistki: – Proszę mnie połączyć ze szpitalem uniwersyteckim – po czym zwrócił się do zebranych:

– Kto tam jest szefem patologii?

– Doktor Franz – odparł Dornberger.

– Z doktorem Franzem, proszę – a później zapytał: – Kto będzie rozmawiał?

– Ja – Coleman przejął słuchawkę i za moment usłyszeli: – Czy rozmawiam z doktorem Franzem? Mówi doktor Coleman z Trzech Hrabstw, młodszy anatomopatolog. Czy moglibyście zaraz wykonać dla nas pośrednią próbę Coombsa? – a po przerwie odrzekł: – Tak, natychmiast ją wyślemy. Dziękuję, panie doktorze. Do widzenia – a następnie stwierdził: – Potrzebna jest natychmiast próbka krwi...

– Ja pomogę, panie doktorze – powiedział Bannister. W rękach trzymał tackę z narzędziami.

Coleman już się szykował do odrzucenia jego propozycji, lecz widząc błagalne spojrzenie w oczach laboranta zawahał się i rzekł:

– Bardzo dobrze, proszę pójść ze mną.

Gdy wychodzili, dyrektor krzyknął za nimi:

– Załatwię wóz policyjny, to próbka szybciej dotrze do szpitala.

– Proszę! Chciałbym jechać z nimi... chciałbym ją zawieźć – błagalnym tonem odezwał się John Alexander.

– W porządku – dyrektor już miał słuchawkę przy uchu. Rzucił krótko: – Proszę z policją miejską – a do Alexandra rzekł: – Niech pan idzie z nimi, a potem zejdzie do wyjścia awaryjnego. – Tam będzie czekał radiowóz.

– Dobrze – Alexander biegiem opuścił laboratorium.

– Mówi dyrektor administracyjny Szpitala Trzech Hrabstw – przedstawił się Tomaselli. – Potrzebujemy pilnie radiowóz do przewiezienia próbki krwi – słuchał przez chwilę, po czym odparł:

– Tak, nasi ludzie będą czekać przy wyjściu awaryjnym. Dobra i odkładając słuchawkę powiedział: – Pójdę dopilnować, żeby się nie szukali.

Wyszedł zostawiając Pearsona sam na sam z Dornbergerem.

Od paru chwil w głowie starego położnika wręcz kotłowało się. Podczas wieloletniej praktyki lekarskiej zdarzało się, że pacjenci Charlesa Dornbergera umierali, niekiedy śmierć była wręcz ich przeznaczeniem. Lecz doktor zawsze walczył o ich życie, czasami z ogromną zaciekłością, nie poddając się do końca. W każdym z tych przypadków, których finałem był sukces bądź porażka, mógł powiedzieć o sobie, że zachował się z godnością; zawsze stawiał sobie wysokie wymagania, unikał działań przypadkowych, starał się być maksymalnie sumienny. Wiedział, że niektórzy lekarze nie przykładają się do pracy. Ale on, nigdy, jak daleko sięgał pamięcią wstecz, nie skrzywdził pacjenta z powodu braku kompetencji czy zaniedbania.

Aż do dzisiaj.

Teraz, pod koniec kariery zawodowej, miał zebrać gorzkie żniwo cudzego dyletanctwa, co gorsza, winy dopuścił się człowiek, którego nazywał swoim przyjacielem.

– Joe – odezwał się do Pearsona – chciałbym coś wyjaśnić... Pearson opadł na krzesło: twarz miał kredowobiałą, tępy wzrokiem patrzył przed siebie. Podniósł oczy.

– To był wcześniak, Joe, normalny wcześniak i mogliśmy po porodzie zrobić transfuzję wymienną. – Dornberger urwał na moment; gdy zaczął znów mówić, jego głos kipiał od emocji. – Joe, przyjaźnimy się od dawna, wiele razy kryłem cię i pomagałem odpierać cudze ataki. Tym

razem, jeśli dziecko umrze, to, wybacz mi Panie, postawię cię przed radą medyczną i rozerwę na strzępy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– Na miłość Boską, co oni tam tak długo robią? Dlaczego nie ma żadnej wiadomości?

Doktor Joe Pearson bębnił nerwowo palcami o blat biurka. Godzinę i piętnaście minut temu pobrano krew niemowlęciu i pośpiesznie wysłano ją do szpitala uniwersyteckiego. W tej chwili stary patolog i David Coleman przebywali w gabinecie sami.

Coleman odparł łagodnie: – Dzwoniłem do doktora Franza po raz drugi; obiecał, że odezwie się zaraz po uzyskaniu wyników.

Pearson pokiwał apatycznie głową.

– Gdzie jest ten chłopak... ten Alexander?

– Policja przywiozła go z powrotem do szpitala, poszedł zobaczyć się z żoną – Coleman zawahał się, po czym rzekł: – Skoro i tak musimy czekać, czy nie sądzi pan, że dobrze byłoby dowiedzieć się w dziale inspekcji sanitarnej, jak wygląda sytuacja w kuchni i upewnić się, czy zajmują się badaniem personelu?

Pearson pokręcił głową.

– Wolałbym później, jak będzie po wszystkim. Dopóki ta sprawa się nie wyjaśni, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym... – odparł dobitnie.

Dopiero teraz, kiedy minęło już trochę czasu od zdarzeń, jakie rozegrały się w laboratorium, David Coleman pomyślał o Pearsonie. Stary patolog nie tylko nie wystąpił z żadnym argumentem, który by podważał słuszność wypowiedzi Colemana na temat prób uczuleniowych, ale jego milczenie można było uznać wręcz za fakt cichego przyznania, iż młodszy kolega jest lepiej zorientowany, przynajmniej w tej kwestii. Coleman rozważał: to musi być dla niego naprawdę przykre, i po raz pierwszy zaczął mu współczuć.

Pearson przestał bębnić palcami i gwałtownie uderzył otwartą dłonią w blat.

– Na miłość Boską, dlaczego nie dzwonią?

– Czy przyszły już jakieś informacje z patologii?

Doktor Dornberger czekał przygotowany do operacji w małej salce na oddziale położniczym. Pytanie skierował do pielęgniarki odcinkowej, która właśnie pojawiła się w drzwiach.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie, panie doktorze.

– Kiedy możemy rozpocząć zabieg?

Pielęgniarka napełniała wodą dwa gumowe termofory i umieściła je pod prześcieradłem na maleńkim stole operacyjnym, przeznaczonym dla niemowląt.

– Za parę minut.

Do Dornbergera podszedł stażysta i zapytał:

– Czy zamierza pan przeprowadzić transfuzję, mimo iż brak wyników próby poliglobulinowej?

– Tak – odparł lekarz. – Straciliśmy dużo czasu, nie chcę marnować więcej – zastanowił się, a po chwili ciągnął dalej: – W każdym razie objawy anemii u dziecka są na tyle wyraźne, by podjąć decyzję o przetaczaniu krwi bez oglądania się na wyniki.

– Przy okazji, panie doktorze – wtrąciła pielęgniarka – pępowina została bardzo krótko obcięta. Nie wiem, czy pan pamięta...

– Tak, dziękuję, pamiętam.

Dornberger wyjaśnił młodemu lekarzowi: – Jeśli wcześniej jesteśmy zdecydowani na transfuzję, zostawiamy przy porodzie dłuższą pępowinę; to doskonały łącznik. Niestety, w tym wypadku pępowina została odcięta, bo o niczym nie wiedzieliśmy...

– I co pan teraz zrobi?

– Zastosuję znieczulenie miejscowe i wypreparuję żyłę, tuż nad żyłą pępkową – zwrócił się do pielęgniarki: – Czy podgrzewacie krew?

– Tak, panie doktorze – kiwnęła głową.

Dornberger kontynuował: – Istotne jest, by obca krew miała temperaturę zbliżoną do temperatury ciała. W przeciwnym razie powiększa się niebezpieczeństwo szoku.

Dornberger uświadomił sobie, że opowiada o tym, by nauczyć czegoś młodego stażystę, ale też ze względu na siebie. Podtrzymując rozmowę mógł przynajmniej oderwać się od myślenia o dziecku, a od tego problemu chciał być jak najdalej. Gdy wyznał Pearsonowi, co o nim myśli i zostawił samego w laboratorium, zaczęły go męczyć sprzeczne myśli: czuł się niespokojny i pełen winy. Z punktu widzenia praktyki zawodowej on sam nie popełnił żadnego błędu, a jednak nie miało to żadnego znaczenia. To jego pacjent znalazł się w niebezpieczeństwie, to jego pacjent mógł umrzeć, a powodem były zaniedbania w najgorszym stylu i on, Dornberger, był za to osobiście odpowiedzialny.

Położnik chciał kontynuować swoje wyjaśnienia, lecz nagle urwał. Coś było nie tak:

zawróciło mu się w głowie, w skroniach pulsowało, pokój zawirował przed oczami. Przymknął na chwilę powieki. Kiedy je otworzył, wszystko było w normie, zawrót głowy niemal ustąpił. Ale spojrzawszy w dół zobaczył, że trzęsą mu się ręce. Próbował to opanować, lecz bezskutecznie.

W tym momencie wtoczono inkubator z małym Alexandrem. Usłyszał pytanie: – Doktorze Dornberger, czy dobrze się pan czuje?

Już miał na końcu języka odpowiedź twierdzącą. Wiedział, że zatajając cały incydent będzie mógł dalej wykonywać swój zawód. Być może nawet w ostatniej chwili, dzięki jego umiejętnościom i trafnej decyzji uda się ocalić tego malca, przy okazji ratując własne sumienie i uczciwość zawodową.

Równocześnie przypomniał sobie słowa, które powtarzał co jakiś czas i w które wierzył przez lata: że starzy ludzie zbyt długo i zbyt kurczowo trzymają się stołków, że sam się przechwalał kiedyś, iż z nadejściem jego pory będzie o tym pamiętał i sam się usunie; wreszcie, że postanowił odstąpić od wykonywania jakiegokolwiek zabiegu, gdyby się okazało, że siły go zawodzą. Pomyślał i spojrzął na rozedrgane dłonie.

– Nie – odpowiedział – chyba nie czuję się dobrze – urwał, gdyż samo to stwierdzenie bardzo go poruszyło, nie pozwalając zapanować nad głosem. Zapytał: – Czy ktoś mógłby wezwać doktora O'Donnella? Proszę mu powiedzieć, że nie mogę przeprowadzić operacji. Chciałbym, żeby on się tym zajął.

W tej chwili doktor Charles Dornberger zrezygnował, w sensie praktycznym i psychologicznym, ze swojego zawodu.

Na dźwięk telefonu Pearson rzucił się do słuchawki.

– Tak? – przerwa. – Tu Pearson. – Słuchał. – Rozumiem. Dziękuję.

Nie odkładając słuchawki wcisnął guzik i poprosił o połączenie wewnętrzne. Usłyszał trzask, potem zgłosił się numer. Pearson rzekł: – Dawajcie doktora Dornbergera.

Osoba po drugiej stronie wyjaśniła coś krótko, później znowu odezwał się Pearson: – Dobrze, proszę mu przekazać ode mnie wiadomość. Przed chwilą był telefon z uniwersytetu. Próba krwi dziecka pani Alexander wypadła dodatnio. Ma erytroblastozę.

Skończywszy rozmowę, podniósł głowę i spojrzął na Davida Colemana, który nie odrywał od niego wzroku.

Doktor Kent O'Donnell szedł właśnie korytarzem głównego piętra w stronę oddziału neurologii, gdzie miało odbyć się zebranie konsultacyjne na temat jednego z pacjentów, który

uległ częściowemu porażeniu. Był to jego pierwszy dzień po powrocie z Nowego Jorku. Przyleciał wczoraj wieczorem i dziś czuł się wypoczęty, pełen animuszu; zmiana otoczenia, jak zwykł mawiać, jest potrzebna każdemu lekarzowi. Czasami codzienny kontakt z medycyną oraz ludzkimi dolegliwościami może wpłynąć na człowieka stresująco i zniszczyć go; w sensie ogólniejszym taka odmiana działa też ożywczo i kształcąc na szare komórki. Kiedy myślał o tym, przywoływał w pamięci spotkanie z Denise, a wtedy coraz częściej powracała kwestia zakończenia kariery w Trzech Hrabstwach i wyjazdu z Burlington na zawsze. Rozważał tę decyzję na wszystkie strony i za każdym razem dochodził do wniosku, że wszystkie argumenty raczej za nią przemawiają. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że ogromny wpływ na tę decyzję wywarły jego uczucia do Denise, gdyż przedtem nawet nie zaświtała mu myśl o opuszczeniu Burlington. Ale zadał sobie pytanie: czy jest coś złego w tym, że przy wyborze swojej drogi zawodowej człowiek kieruje się osobistym szczęściem? Przecież nie rozstaje się z medycyną, a jedynie zmienia otoczenie i pole działania, gdzie również daje z siebie wszystko. Przecież na ludzkie życie składa się wiele czynników; jeśli się już znalazło miłość, nie wolno jej porzucać, bo wtedy człowiek może stetryczeć i okazać się nic niewart. Kochając stajesz się kimś lepszym, kimś pełnym żarliwości i poświęcenia, bo twoje życie jest wtedy pełniejsze. Znowu pomyślał o Denise ze wzruszeniem i nadzieją.

– Doktor O'Donnell, doktor O'Donnell...

Usłyszawszy własne nazwisko w megafonie od razu wrócił do rzeczywistości. Przystanął i rozejrzał się w poszukiwaniu telefonu. Parę jardów dalej, w oszklonym biurze działu księgowości zobaczył aparat, zgłosił się na centrali i chwilę później przekazano mu wiadomość od Dornbergera. Natychmiast zmienił kierunek i wszedł do windy, która zawiozła go na trzecie piętro, gdzie mieścił się oddział położniczy.

Podczas gdy Kent O'Donnell mył ręce do operacji, Dornberger stał obok i opisywał przypadek oraz wyjaśniał powody, dla których wezwał tutaj ordynatora oddziału chirurgii. Niczego nie dramatyzował ani nie ukrywał, dokładnie i bez emocji odtworzył scenę w laboratorium patologicznym oraz zdarzenia, które do niej doprowadziły. O'Donnell tylko dwa razy mu przerwałby o coś zapytać, poza tym słuchał uważnie, z coraz bardziej zaciętą miną.

Pod wpływem tego, co usłyszał, jego radosny nastrój prysł, zdeptany w sposób nagły i nieoczekiwany: z powodu zaniedbania i ignorancji, za co osobiście odpowiadał, życie pacjenta wisiało na włosku. Pomyślał zawiedziony: mogłem zwolnić Joe Pearsona, było wiele powodów.

Ale nie, grałem na zwłokę i marnowałem czas, bawiąc się w politykowanie i wmawiając sobie, że idę za głosem rozsądku, a tymczasem sprzeniewierzyłem się celom, jakie stawia przede mną medycyna. Wytarł ręce w wyjałowiony ręcznik i wsunął dłonie w rękawice, które podała pielęgniarka.

– W porządku – rzekł do Dornbergera. – Chodźmy.

O'Donnell przebiegł wzrokiem po niewielkiej sali operacyjnej, skupiając uwagę na narzędziach. Znał technikę wykonywania transfuzji wymiennej – Dornberger wiedział o tym i dlatego wezwał Kenta – gdyż współpracę z szefami oddziałów pediatrii i położnictwa uczynił obowiązującą praktyką, a takie doświadczenia wyniósł z innych szpitali.

Małeńkie kruche ciało zostało przeniesione z inkubatora na rozgrzany stół operacyjny. Pielęgniarka przy pomocy stażysty pieluchami unieruchomiła niemowlę, kładąc długie wąskie paski wokół ramion i nóg dziecka. Końce pasków przypięła agrałkami do pokrycia stołu. O'Donnell zauważył, że niemowlę zachowuje się wyjątkowo spokojnie i prawie nie reaguje na to, co się z nim dzieje. Nie był to optymistyczny objaw.

Pielęgniarka rozwinęła jałowe prześcieradło, zostawiając jedynie odkrytą głowę i pępek, który jeszcze nie zdążył się zagoić po porodzie. Już wcześniej wykonano znieczulenie miejscowe i teraz dziewczyna podała chirurgowi szczypce. Lekarz chwycił tampon z gazy i zaczął przygotowywać miejsce operacyjne. Stażysta chwycił notes i ołówek. O'Donnell zapytał: – Będzie pan robił notatki?

– Tak, panie doktorze.

Słyszając w głosie stażysty odcień szacunku, miał ochotę uśmiechnąć się. Wiadomo powszechnie, że stażyści i rezydenci demonstrowali swą niezależność i skwapliwie wyłapywali wszelkie potknięcia starszych lekarzy, i w ustach któregośkolwiek z nich zwrot „panie doktorze” brzmiał jak wyróżnienie.

Parę minut wcześniej do sali wśliznęły się dwie studentki, więc O'Donnell, zgodnie z obyczajem, zaczął opisywać wykonywane czynności:

– Jak już pewnie wiecie, transfuzja wymienna – spojrzał na pielęgniarki – polega na procesie wypłukiwania krwi. Najpierw usuwamy jedną partię krwi dziecka i zastępujemy ją taką samą ilością krwi dawcy. Postępujemy tak kilkakrotnie, aż większość chorej krwi zostanie wymieniona.

Pielęgniarka przestawiła półlitrową butelkę na statywie nad stołem.

O'Donnell ciągnął dalej: – Bank krwi wyszukał nam krew dawcy, odpowiadającą krwi pacjenta, gdyż obie muszą być zgodne. Musimy mieć również pewność, że przetaczamy dokładnie taką ilość krwi, jaką pobieramy. Dlatego prowadzimy notatki – wskazał na brulion stażysty.

– Temperatura dziewięćdziesiąt sześć*[*w skali Fahrenheita (35,6°C).] – oznajmiła pielęgniarka.

– Nóż, proszę – O'Donnell wyciągnął rękę.

Delikatnie wyciął suchy odcinek żyły pępkowej, aż ukazała się wilgotna tkanka. Odłożył nóż i poprosił cichym głosem:

– Hemostat...

Stażysta pochylił się i obserwował jego ruchy.

– Wyizolowaliśmy żyłę pępkową. Teraz wejdę w nią i usunę skrzep.

Wyciągnął dłoń po szczypce, które w pogotowiu trzymała pielęgniarka. Skrzep był maleńki, ledwo dostrzegalny gołym okiem. Wyjął go ostrożnie. Taka operacja to jak zabieg na maleńkiej lalce. Jakie są szanse powodzenia, zastanawiał się O'Donnell, to znaczy szanse dziecka na przeżycie. W normalnych warunkach byłyby duże, nawet bardzo duże. Lecz teraz, po kilku dniach zmalowały w drastyczny sposób. Spojrzał na maciupką buzię. To dziwne, ale nie była wcale brzydka, jak to się często dzieje u wcześniaków; nawet ładna, z dobrze zarysowaną szczęką, która wyraża utajoną siłę wewnętrzną. Oderwał się myślami, co w takich sytuacjach było rzadkością, i skonstatował: cóż za skandal urodzić się na przekór tyłu przeciwnościom losu!

Pielęgniarka przygotowała plastikowy cewnik z igłą; przez ten cewnik zostanie wyssana krew dziecka a potem wymieniona na nową. O'Donnell zabrał od niej instrument i z najwyższą ostrożnością wbił igłę w żyłę pępkową.

– Proszę sprawdzić ciśnienie żyłne krwi – trzymał cewnik pionowo, a pielęgniarka zmierzyła wysokość słupka.

– Sześćdziesiąt milimetrów. Stażysta wpisał dane do zeszytu.

Druga plastikowa rurka prowadziła do butelki z krwią, zawieszoną nad stołem; trzecia do jednej z dwóch metalowych miseczek pod blatem. O'Donnell połączył wszystkie trzy rurki ze strzykawką o pojemności dwudziestu mililitrów, zaopatrzoną z jednej strony w trójdrożny zawór. Obrócił jeden z kurków o dziewięćdziesiąt stopni.

– Teraz zaczniemy wyciągać krew.

Z doskonałym wyczuciem w palcach delikatnie pociągnął tłoczek strzykawki. Przy każdej transfuzji jest to moment krytyczny; gdy krew nie chce płynąć, trzeba odłączyć cewnik i zacząć wszystko od początku. O'Donnellowi ciążyła nieco obecność Dornbergera, który stał tuż za nim i pochylał się nad stołem. Lecz krew popłynęła bez kłopotu, łagodnym strumieniem, napełniając rurkę cewnika i dalej strzykawkę.

– Proszę zwrócić uwagę, że wyciągam krew bardzo powoli, ostrożnie. W tym wypadku zawsze będziemy pobierać niewielką ilość, ponieważ niemowlę ma niedowagę. Jeśli dziecko jest urodzone o czasie, pobiera się jednorazowo dwadzieścia mililitrów. Tutaj pobiorę tylko dziesięć, aby nie dopuścić do nadmiernych wahań ciśnienia żylnego.

Stażysta zapisał: *Pobrano 10 mililitrów.*

O'Donnell jeszcze raz przekręcił kurek na strzykawce, po czym nacisnął tłoczek. Pobrana krew spłynęła do metalowej miseczki.

Przekręciwszy ponownie kurek nabrał trochę ' krwi dawcy do strzykawki, a następnie powoli i delikatnie, jak poprzednio, wstrzyknął ją dziecku.

Młody lekarz odnotował: *Wstrzyknięto 10 mililitrów.*

O'Donnell kontynuował zabieg z niezmienną precyzją. Każde pobranie krwi i jej wymiana, wykonane bez pośpiechu, starannie, zajmowało pięć minut. Taką czynność chciałoby się przyspieszyć, zwłaszcza w krytycznej sytuacji jak ta, lecz O'Donnell wiedział, że szybkie działanie nie wchodzi w rachubę. Małe istota spoczywająca na stole miała i tak małą odporność; najmniejszy szok mógłby wywołać natychmiastowy i nieodwracalny skutek.

W tej chwili, w dwudziestej piątej minucie operacji, dziecko poruszyło się i zakwiliło.

Był to wąty, urywany płacz – słaby, ledwo słyszalny protest, który ledwie się podniósł i natychmiast ucichł. Ale przynajmniej był sygnałem życia i w odpowiedzi na to wszystkie pary oczu zwięziły się nad maskami w uśmiechu zadowolenia. Zaświtała nadzieja.

O'Donnell daleki był od wyciągania pochopnych wniosków, mimo to odezwał się przez ramię do Dornbergera: – Chyba się na nas złości. To może być pozytywny objaw.

Dornberger też zareagował. Pochylił się, by przeczytać zapiski stażysty, po czym nieśmiało, jako że nie on był tutaj szefem, zasugerował:

– Może by dodać trochę glukonianu wapniowego? Co o tym sądzisz?

– Tak.

O'Donnell odkręcił strzykawkę od podwójnego kurka i zastąpił ją inną, o pojemności

dziesięciu centymetrów sześciennych, zawierającą glukonian wapniowy, którą podała pielęgniarka. Wstrzyknął jeden centymetr sześcienny i oddał strzykawkę. Pielęgniarka na powrót umocowała poprzednią strzykawkę, wcześniej wyplukawszy ją w metalowej misce.

O'Donnell wyczuwał, że napięcie na sali nieco opadło. Zaczął się zastanawiać, czy mimo wszystko niemowlęciu nie uda się z tego wyjść. W swojej praktyce spotkał się z dziwniejszymi przypadkami i dawno temu przyjął do wiadomości, że nie ma rzeczy niemożliwych; że w medycynie można być zaskakiwanym zarówno w dobrym znaczeniu tego słowa, jak i złym.

– W porządku, jedziemy dalej...

Usunął dziesięć mililitrów krwi niemowlęcia i uzupełnił ją nową. Wyciągnął dziesięć i znów uzupełnił. Potem kolejne dziesięć i to samo. I jeszcze dziesięć...

Po pięćdziesięciu minutach od rozpoczęcia zabiegu pielęgniarka oznajmiła przyciszonym głosem: – Ciepłota ciała pacjenta spada, panie doktorze. Wynosi dziewięćdziesiąt cztery, przecinek trzy*.[* w skali Fahrenheita (34,6°C).]

– Proszę sprawdzić ciśnienie żyłne – zarządził szybko. Wynosiło trzydzieści pięć. Stanowczo za mało.

– Niedobrze oddycha – odezwał się stażysta. – Kolor też budzi zastrzeżenia.

– Sprawdź puls – O'Donnell wydał polecenie młodemu lekarzowi, a do pielęgniarki powiedział: – Tlen proszę.

Sięgnęła po gumową maskę i przytrzymała ją nad buzią niemowlęcia. Chwilę później usłyszeli syk; zaczął wydobywać się tlen.

– Puls bardzo słaby – rzekł stażysta.

– Temperatura poniżej dziewięćdziesięciu trzech*.[* w skali Fahrenheita, czyli poniżej 34°C.]

– dodała pielęgniarka.

Młody lekarz przyłożył stetoskop do ciała dziecka. Podniósł wzrok.

– Oddech słabnie – i po chwili: – Przestał oddychać. O'Donnell wziął od niego stetoskop i nasłuchiwał sam. Słyszał bicie serca, ale bardzo, bardzo słabe. Polecił energicznie: – Koramina, jeden centymetr.

Stażysta pobiegł przygotować lek, wtedy O'Donnell zdarł prześcieradło okrywające ciało niemowlęcia i zaczął stosować sztuczne oddychanie. Za moment młody lekarz był z powrotem: nie marnował czasu, w ręce trzymał wypełnioną strzykawkę.

– Prosto w serce – rzekł O'Donnell. – To nasza jedyna szansa.

Siedzący w gabinecie oddziału patologii doktor David Coleman zaczął się niecierpliwić. Po otrzymaniu informacji o wynikach badania krwi niemowlęcia obaj z Pearsonem postanowili czekać. Rozdzielili między siebie jakieś zaległe sprawozdania z analiz pooperacyjnych, lecz praca posuwała się bardzo wolno, gdyż obaj lekarze myślami błędzili daleko stąd. Minęła niemal godzina i ciągle nie było żadnych wieści.

Piętnaście minut wcześniej Coleman wstał i odezwał się niepewnie: – Może powinienem pójść sprawdzić, czy w laboratorium czegoś nie wiedzą...

Stary patolog spojrzął na niego przygasłym wzrokiem i zapytał niemal błagalnie: – Nie mógłby pan zostać?

– Oczywiście – odparł zdziwiony Coleman – jeśli panu na tym zależy...

Po czym obaj wrócili do swoich zajęć.. Davidowi Colemanowi to czekanie dłużyło się niemiłosiernie. Znał swój charakter na tyle, by wiedzieć, że również jego zawodzą nerwy, choć Pearson wyraźniej to okazywał. Dopiero teraz Coleman uzmysłowił sobie, jak bardzo zaangażował się w tę sprawę.

Nie odczuwał żadnej satysfakcji, że rację miał on, a nie Pearson. W tej chwili pragnął wręcz rozpaczliwie, by dziecko Alexandrów żyło. Był zaskoczony siłą własnych odczuć; do tej pory nie przejął się jeszcze żadnym przypadkiem tak jak tym. Zdał sobie sprawę, że Johna Alexandra polubił od pierwszego spotkania w Trzech Hrabstwach, a później, gdy zobaczył jego żonę i dowiedział się, że wszyscy troje pochodzą z tego samego miasteczka, odnalazł w sobie pewien rodzaj pokrewieństwa z tymi ludźmi – niewypowiedzianego, choć realnego.

Czas jakby stanął w miejscu, każda minuta wydawała się dłuższa od poprzedniej. Usiłował stworzyć sobie jakiś problem zastępczy, byle tylko zająć myśli czym innym; to zawsze pomagało. Postanowił skupić się na pewnych aspektach przypadku małego Alexandra. Punkt pierwszy, skonstatował, wiąże się z faktem, iż próba poliglobulinowa wypadła dodatnio, co dowodzi, że krew matki jest również uczulona. Zaczął się zastanawiać, jakie mogą być tego przyczyny.

Matka dziecka mogła zostać uczulona podczas poprzedniej ciąży. David Coleman rozumował następująco: uczulenie nie musiało mieć żadnego wpływu na pierwsze dziecko, to, które zmarło. Jaka była przyczyna śmierci, co mu powiedziano? – ach, tak, na zapalenie oskrzeli. O wiele częstsze były przypadki, że uczulenie dawało o sobie znać dopiero podczas drugiej ciąży.

Możliwy był również inny wariant: Elizabeth mogła otrzymać krew o czynniku Rh dodatnim podczas jakiejś transfuzji. Przerwał rozmyślenia. Gdzieś na dnie czaszki kołatała jakaś jeszcze nie do końca uformowana, lecz natrętna myśl; czuł, że jest bliski rozwiązania zagadki, lecz ciągle nie potrafił jej skonkretyzować. Zmarszczył brwi. Niespodziewanie fragmenty łamigłówek ułożyły się w całość; to czego szukał było o krok – jasne, wyraźne. Szare komórki zarejestrowały jedno słowo: transfuzja! Wypadek w New Richmond! Przejazd kolejowy, na którym zginął ojciec Elizabeth. Wówczas ona sama była ranna, ale przeżyła.

Coleman jeszcze raz wytężył wszystkie myśli. Próbował odtworzyć słowa Johna Alexandra, który opowiadał o swojej żonie: Elizabeth o mało nie zginęła. Ale przeprowadzono transfuzję i jakoś z tego wyszła. Wtedy po raz pierwszy trafiłem do szpitala. Przez tydzień prawie stamtąd nie wychodziłem.

Oczywiście, nie da się tego udowodnić, od tamtych lat upłynęło zbyt wiele czasu, ale gotów był pójść o zakład, że właśnie tak to wyglądało. Dumał dalej: medycyna odkryła istnienie czynnika Rh dopiero w latach czterdziestych; później minęło kolejne dziesięć, zanim szpitale i medycy zaczęli stosować badanie Rh na większą skalę. W tamtym okresie w wielu miejscowościach przeprowadzano transfuzje nie oznaczając czynnika Rh i do takich zapewne należało New Richmond. Daty zgadzały się. Wypadek zdarzył się prawdopodobnie w 1949 roku; przypomniał sobie, że ojciec mu o nim później opowiadał.

Jego ojciec! Przyszło mu na myśl, że to przecież jego własny ojciec, doktor Byron Coleman, był domowym lekarzem Alexandrów i to on musiał zlecić transfuzję, którą wykonano Elizabeth. Jeśli zabiegów było kilka, krew musiała pochodzić od paru dawców; przynajmniej część z nich miała dodatnie Rh, tego nie można było uniknąć. Przy tej okazji krew dziewczyny została uczulona, teraz był tego pewien. Oczywiście, wówczas nie nastąpiła żadna reakcja. Żadna, poza jedną – jej własna krew wytworzyła przeciwciała, które pozostały w ukryciu i których istnienia nikt nie podejrzewał, aż do chwili, gdy dziewięć lat później odezwały się zagrażając życiu jej dziecka.

Naturalnie, nie można za to winić ojca, pomyślał Coleman, jeśli nawet hipoteza ta była prawdziwa. Zlecił transfuzję w dobrej wierze, wykorzystując ówczesny stan wiedzy. Jasne, że wiedziano już o istnieniu czynnika Rh i gdzieś tam już go oznaczano. Ale od zaharowanego prowincjonalnego lekarza nie można wymagać, by dotrzymywał kroku wszelkim medycznym nowinkom. A może doszło do tego z innych powodów. Przecież niektórzy ówczesni lekarze, nie

wyłuczając ogólnych, świadomi byli perspektyw, jakie otwiera przed nimi możliwość przetaczania krwi. Ci reagowali natychmiast, stosując najnowocześniejsze metody. Lecz kto wie, rozumował David Coleman, może byli to ludzie młodzi? W tym czasie jego ojciec był już starym człowiekiem; zbyt długo i zbyt dużo pracowałby mieć czas na specjalistyczną lekturę. Czy jednak jest to wystarczające usprawiedliwienie? Czy on, David Coleman, uznałby taką argumentację u innych? A może zachodzi tu przypadek podwójnej moralności, bo jest się bardziej tolerancyjnym wobec własnych krewnych, a tym bardziej wobec swojego ojca. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Czuł się zażenowany, że jego prywatne, wypracowane przez lata zasady etyczne nie były wolne od złe pojętej lojalności. David Coleman żałował teraz, że jego rozważania poszły w tym kierunku. Zaczął wątpić, już nie był tak absolutnie pewien... czegokolwiek.

Pearson, który bacznie mu się przyglądał, spytał: – Jak długo to już trwa?

Coleman zerknął na zegarek.

– Ponad godzinę.

– Zadzwoń do nich – Pearson gwałtownie sięgnął po słuchawkę. Zawahał się jednak i cofnął dłoń. – Nie. Chyba lepiej nie.

Johnowi Alexandrowi, który przebywał w laboratorium serologicznym, czas dłużył się jeszcze bardziej. Przed godziną wrócił od żony i później parę razy zabierał się do pracy. Wiedział jednak, że myślami jest daleko od spraw zawodowych, zrezygnował więc z wcześniejszego zamiaru, obawiając się, że popełni jakiś błąd. Wziął do ręki probówkę, by zająć się testowaniem preparatu, ale Bannister ją odebrał. Spojrzał na zlecenie i powiedział zyczliwie: – Daj, ja to zrobię.

John zaprotestował, choć bez przekonania, a wtedy Bannister dodał: – Daj, chłopcze, zostaw to mnie. Może byś poszedł na górę do żony?

– Dziękuję bardzo, ale raczej zostanę tutaj. Doktor Coleman obiecał, że jak tylko czegoś się dowie... da mi znać – skierował wzrok na zegar ścienny i rzekł spokojnym głosem: – To już chyba niedługo potrwa.

Bannister odwrócił się plecami i wydusił: – Tak, chyba niedługo...

Elizabeth Alexander była sama w pokoju szpitalnym. Leżała nieruchomo, z głową na poduszkach i otwartymi oczami. Gdy weszła pani Wilding, zapytała: – Czy już coś wiadomo?

Siwowłosa, starzejąca się pielęgniarka pokręciła głową: – Powiem pani, jak tylko czegoś się

dowiem – i stawiając na szafce szklanę z sokiem pomarańczowym dodała: – Zostanę tutaj przez chwilę, jeśli pani sobie życzy.

– Tak, bardzo proszę – uśmiechnęła się niemrawo Elizabeth.

Pielęgniarka przysunęła krzesło do łóżka i usiadła. Poczula ogromną ulgę mogąc dać odpocząć stopom; ostatnio bardzo ją bolały, podejrzewała nawet, że z tego powodu będzie musiała zrezygnować z pracy w szpitalu, czy chce tego, czy nie. Właściwie była przekonana, że już niebawem powinna odejść.

Mimo wszystko pani Wilding chciałaby jeszcze coś zrobić dla tych dwojga młodych ludzi. Polubiła ich od samego początku: dla niej ta para – małżeństwo – to prawie dzieci. W pewnym sensie opieka nad dziewczyną, która jak wszystko na to wskazywało, miała utracić swoje małżeństwo, przypominała opiekę nad córką, której pani Wilding tak pragnęła, lecz nigdy się nie doczekała. Czy to nie głupota stawać się na starość sentymentalną? Mając za sobą tyle lat praktyki pielęgniarskiej? Zwróciła się do Elizabeth: – O czym pani myślała, gdy tu weszłam?

– Myślałam o dzieciach – tłusciutkich, pulchniutkich bobaskach, które baraszkują na trawniku w blasku popołudniowego słońca – odparła Elizabeth rozmarzonym głosem. – Pamiętam z Indiany, byłam wtedy małą dziewczynką. Już wówczas chciałam mieć dzieci i patrzeć jak biegają po trawie w promieniach słońca.

Z dziećmi różnie bywa – rzekła pani Wilding. – Czasami wszystko dzieje się inaczej, niż sobie to wyobrażaliśmy... Wie pani, mam syna, jest już dorosłym mężczyzną...

– Nie wiedziałam...

Proszę mnie źle nie zrozumieć – mówiła dalej pielęgniarka.

– Jest wspaniałym chłopcem – oficerem marynarki wojennej. Miesiąc czy dwa temu ożenił się, zawiadomił mnie o tym listownie.

Elizabeth zastanawiała się, jak to jest urodzić syna, a potem otrzymać list z informacją o jego ślubie.

Zdawałam sobie sprawę, że niewiele wiemy o sobie. Przypuszczam, że to po części moja wina. Rozwiodłam się i nie umiałam mu stworzyć prawdziwego domu.

– Ale będzie go pani odwiedzać? Na pewno urodzą się wnuki...

– Dużo o tym myślałam. Zawsze wydawało mi się, że to wielka frajda, no, wie pani, mieć wnuki, mieszkać w pobliżu, chodzić wieczorami, żeby ich popilnować, no i takie tam rzeczy...

– Ale teraz już pani tego nie chce? Pani Wilding pokręciła głową.

– Mam wrażenie, że jadąc tam czułabym się, jakbym wizytowała obcych ludzi. Poza tym częste spotkania są niemożliwe. Widzi pani, jednostka mojego syna stacjonuje na Hawajach, pojechali tam w ubiegłym tygodniu. – I dodała z wyzywającą szczerością: – Miał przyjechać do mnie i przywieźć żonę, ale potem coś im wypadło i nie udało się...

Zapadła cisza, którą przerwała pani Wilding: – Muszę już iść...

– Wstała i stojąc przy drzwiach stwierdziła: – Proszę wypić sok, pani Alexander. Jak się czegoś dowiem, zaraz do pani przyjdę.

Kent O'Donnell był mokry od potu, więc pielęgniarka przysunęła się, by wytrzeć mu czoło. Od rozpoczęcia sztucznego oddychania minęło pięć minut, lecz maleńkie ciało pod uciskiem jego rąk w ogóle nie reagowało. Kciuki chirurga spoczywały na piersiach dziecka, zaś pozostałe palce ogarniały plecy. Dziecko było tak maleńkie, że z łatwością mieściło się w jego dłoniach. Musiał uważać, by nie naciskać zbyt mocno, gdyż kruche kości mogłyby trzasnąć jak gałązki. Raz jeszcze nacisnął delikatnie i zwolnił ucisk. Tlen syczał mając za zadanie pobudzić oddech, zachęcić maleńkie, zmęczone płuca do życia.

O'Donnell całą siłą woli pragnąłby to dziecko żyło. Zdał sobie sprawę, że jeśli umrze, będzie to oznaczać, że Trzy Hrabstwa – jego szpital – haniebnie zawiodły, nie dopełniając podstawowego obowiązku: zapewnienia właściwej opieki słabym i chorym. Nie wykazano właściwej troski o pacjenta, zapewniono mu opiekę najmarniejszą z możliwych, gdy potrzebowało najlepszej, a niedbalstwo wzięło górę nad fachowością. Próbował nawiązać kontakt z maleństwem, opuszkami palców przekazać temu drżącemu sercu, które spoczywało pod jego dłońmi, swój żarliwy zapal. Potrzebowałeś nas, a myśmy cię zawiedli; chciałeś sprawdzić nasze możliwości i nie wytrzymałyśmy tej próby. Ale proszę cię, spróbujmy jeszcze raz, wspólnymi siłami. Czasami nam się udaje, nie osądzaj nas tak krytycznie po tym jednym niepowodzeniu. Na świecie wiele jest ignorancji i głupoty, krzywdy i zaślepienia – sam się z tym spotkałeś. Lecz jest także wiele innych rzeczy, dobrych i wartościowych, dla których warto żyć; Oddychaj więc! To takie proste, a jakże istotne. Dłonie O'Donnella poruszały się w tył i w przód... uciskały... zwalniały... uciskały... zwalniały... uciskały... zwalniały... uciskały... zwalniały...

Po kolejnych pięciu minutach stażysta ponownie przyłożył stetoskop do ciała dziecka, nasłuchując w skupieniu. Wyprostował się. Uchwycił spojrzenie O'Donnella i pokręcił głową. Chirurg przerwał sztuczne oddychanie; rozumiał, że kontynuowanie zabiegu nie ma już żadnego sensu.

Zwracając się do Dornbergera powiedział cichym głosem: – Obawiam się, że nie żyje.

Spojrzeni na siebie, wiedząc, że obaj czują to samo.

O'Donnella ogarnęła rozpalona do białości furia. Gwałtownym ruchem zerwał maskę i czepek, ściągnął rękawice i rzucił z wściekłością o podłogę.

Miał świadomość, że wszyscy patrzą na niego. Zacisnąwszy usta w wąską, krzywą linię, rzekł do Dornbergera: – Dobra, idziemy – a potem, chrapliwym głosem odezwał się do stażysty: – Gdyby mnie ktoś potrzebował, będę u doktora Pearsona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W gabinecie oddziału patologii ostro zabręczczał telefon. Pearson wyciągnął rękę po słuchawkę, lecz w ostatniej chwili cofnął się i z pobladłą twarzą, rozdrażniony, zwrócił się do Colemana: – Proszę odebrać...

Zanim David Coleman dotarł do aparatu, rozległ się drugi, niecierpliwy dzwonek.

– Tu Coleman – powiedział młodszy patolog. Słuchał z obojętną miną, a potem rzekł: – Dziękuję – i odłożył słuchawkę.

Patrząc w oczy Pearsonowi odezwał się półgłosem: – Dziecko właśnie zmarło...

Stary lekarz nic nie odpowiedział, spuścił wzrok. Skurczony w krześle, z nieprzeniknioną twarzą, częściowo ukrytą w cieniu, nieruchomy, wyglądał, jakby nagle przybyło mu lat.

– Pójdę do laboratorium. Ktoś powinien porozmawiać z Johnem – powiedział miękko Coleman.

Żadnej reakcji.

Coleman wyszedł z gabinetu, a Pearson nadal siedział jak skamieniały, z niewidzącymi oczyma, pogrążony w myślach.

Na widok Colemana Carl Bannister opuścił pomieszczenie, zostawiając Johna Alexandra przycupniętego na stołku przy ścianie; nad jego głową wisiał zegar. Gdy Coleman wolnym krokiem szedł w jego stronę, skrzypiąc butami, nawet się nie odwrócił.

W pokoju zaległa cisza, potem Alexander, nadal nie zmieniając pozycji, odezwał się cicho: – Już... po wszystkim?

Coleman bez słowa wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu kolegi.

Alexander niemal wyszeptał: – Umarł, prawda?

– Tak, John – odparł Coleman łagodnie. – Umarł. Przykro mi...

Alexander pomału odwrócił się. Po zgnębionej twarzy młodego człowieka płynęły łzy. Cicho, lecz impulsywnie spytał: – Dlaczego, panie doktorze? Dlaczego?

Usiłując starannie dobierać słowa, Coleman powiedział:

– Wasze dziecko było wcześniakiem, John. Nie miało dużych szans, nawet gdyby... to... się nie wydarzyło.

Alexander nie odrywał wzroku od lekarza.

– Ale mogłoby żyć...

Nadeszła chwila szczerości. W takim momencie nie wolno robić uników.

– Tak. Mogłoby.

John Alexander podniósł się z miejsca. Stanąwszy twarzą w twarz z Colemanem wydusił: – Jak mogło do tego dojść... w szpitalu... gdzie jest tylu lekarzy?

– John, nie potrafię odpowiedzieć ci na to pytanie – i dodał: – Sam sobie nie potrafię odpowiedzieć...

Alexander pokiwał głową w milczeniu. Wyjął chusteczkę i otarł oczy, po czym rzekł spokojnie: – Dziękuję, że przyszedł mi pan powiedzieć. Pójdę teraz do Elizabeth.

Przemierzając szpitalne korytarze w towarzystwie doktora Dornbergera, Kent O'Donnell milczał; gdy patrzył na martwe niemowlę, ogarnęła go taka wściekłość i frustracja, że na nic nie miał ochoty. Cały czas robił sobie wyrzuty, że powodem był brak zdecydowanego stanowiska wobec Joe Pearsona i całego oddziału patologii w Trzech Hrabstwach. Bóg jeden wie, pomyślał, z iloma oznakami niebezpieczeństwa się spotykał; Rufus i Reubens wyraźnie go ostrzegali, poza tym na własne oczy przekonał się, że z biegiem lat Pearson zawodzi coraz częściej – po prostu w tym ruchliwym, rozbudowującym się szpitalu jego własne poczucie odpowiedzialności okazało się niewystarczające. Ale on, Kent O'Donnell nie pomyślał o tym – on doktor nauk medycznych, członek brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Chirurgów, członek Amerykańskiego Towarzystwa Chirurgów, ordynator oddziału chirurgii, prezes rady medycznej – czapki z głów, panowie, przed taką personą! „Daj mu zwycięstwo, szczęście i chwałę, niech nam długo panuje! Boże, chroń O'Donnella” – był zbyt zajęty, by podjąć zdecydowane działania i twardo stawić czoło wynikającym z tego konsekwencjom. Patrzył i udawał, że wszystko jest w porządku, podczas gdy doświadczenie oraz instynkt podpowiadały mu, że niepotrzebnie się ludzi. I co robił przez cały czas – on, znana osobistość w świecie medycyny? Nurzał się w politycznych rozgrywkach szpitalnych, spotykał się na kolacyjkach z Ordenem Brownem i płaszczył przed Eustace'em Swayne'em w nadziei, że jeśli da spokój Joe Pearsonowi i zgodzi się na jego dotychczasowy status, stary bogacz szczerze sypnie groszem na budowę wspaniałych, nowych obiektów szpitalnych i w ten sposób spełni się marzenie O'Donnella o imperium, w którym on obejmie tron. Cóż, bez względu na to, czy szpital otrzyma pieniądze, czy ich nie otrzyma – swoją cenę już zapłacił. Rachunek znajdziecie na górze – pomyślał – maleńkie, martwe ciało w sali operacyjnej na trzecim piętrze. Wchodząc do gabinetu Pearsona, był już nieco spokojniejszy;

miejsce dotychczasowego gniewu zajął smutek. Zapukał i wszedł, a za nim doktor Dornberger.

Od wyjścia Colemana Joe Pearson nie zmienił pozycji. Spojrzał na gości, lecz nie wykonał żadnego ruchu, żeby wstać.

Pierwszy odezwał się Dornberger. Mówił łagodnie, bez wrogości, jakby chciał nadać tej wizycie charakter przysługi, którą przyjaciel wyświadcza przyjacielowi: – Dziecko zmarło, Joe. Sądzę, że już o tym wiesz...

Pearson odpowiedział cedząc słowa: – Tak, wiem.

– Opowiedziałem doktorowi O'Donnellowi o wszystkim – głos Dornbergera zadrżał. – Przykro mi, Joe. Nic innego nie mogłem zrobić.

Pearson wykonał nieznaczny gest rękami, świadczący o jego bezradności. Dawna napastliwość zniknęła. Odparł obojętnie: – Rozumiem.

Teraz zabrał głos O'Donnell; mówił tym samym tonem co Dornberger: – Czy chciałbyś jeszcze coś powiedzieć, Joe?

Pearson dwukrotnie pokręcił głową.

– Joe, gdyby chodziło o tę jedną sprawę... – O'Donnell szukał odpowiednich słów, choć wiedział, że takich nie znajdzie – Wszyscy popełniamy błędy. Może mógłbym... – nie, nie to miał zamiar powiedzieć, uspokoił się nieco i kontynuował już bardziej stanowczym głosem: – Ale lista zarzutów jest bardzo długa. Joe, wolałbym uniknąć przedstawiania tej kwestii na radzie medycznej, bo wiesz, jak by zareagowali. Myślę, że będzie to mniej przykre zarówno dla ciebie, jak i dla nas wszystkich, jeśli twoja rezygnacja pojawi się jutro przed dziesiątą rano na biurku dyrektora administracyjnego.

Pearson spojrzał na O'Donnella.

– Będziesz to miał... Przed dziesiątą rano – rzekł.

Po krótkiej przerwie O'Donnell odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, lecz zatrzymał się jeszcze: – Joe, przykro mi. Ale wiesz chyba, że nie mam innego wyjścia.

– Tak, wiem – odparł szeptem Pearson, kiwając tępo głową.

– Oczywiście, należy ci się emerytura. Uczciwie na nią zapracowałeś... po trzydziestu dwu latach pracy... – gdy tylko wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że zabrzmiały fałszywie.

Dopiero teraz twarz Pearsona nabrała innego wyrazu. Popatrzył na O'Donnella z lekkim, sardonicznym uśmiechem: – Dzięki za wszystko.

Trzydzieści dwa lata! O'Donnell pomyślał: Mój Boże, toż to większa część zawodowego

życia człowieka. I żeby tak skończyć! Chciał jeszcze coś dodać: aby ułatwić tę rozmowę, pokazać dobre strony działalności starego patologa, zwłaszcza że musi być tego sporo. Zastanawiał się, co powiedzieć, gdy w pokoju pojawił się Harry Tomaselli.

Dyrektor prawie wbiegł, nawet zapomniał zapukać. Popatrzył na Pearsona, potem Dornbergera i O'Donnella.

– Kent, dobrze że tu jesteś – rzekł pośpiesznie. Zanim O'Donnell zdążył zareagować, Tomaselli zwrócił się do Pearsona: – Joe, czy możesz zaraz przyjść do mojego pokoju? Za godzinę odbędzie się nadzwyczajne zebranie personelu. Przedtem chciałbym z tobą porozmawiać.

O'Donnell był zaskoczony.

– Nadzwyczajne zebranie? Po co?

Tomaselli spojrział na niego z poważną miną. Widać było, że jest zatroskany.

– Mamy w szpitalu dur brzuszny – oznajmił. – Doktor Chandler zgłosił dwa przypadki, a podejrzewamy jeszcze cztery. Jesteśmy o krok od epidemii i musimy zlokalizować źródło zakażenia.

Elizabeth podnosząc wzrok ujrzała Johna, wchodzącego do pokoju. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

Nie padły żadne słowa, porozumieli się wzrokiem, w którym dało się wyczytać smutek, błaganie i ogromną miłość.

Wyciągnęła do niego ramiona.

– Johnny! Johnny, kochanie! – tylko tyle zdołała wykrztusić i rozplakała się.

– Objął żonę mocno, a po chwili odsunął i otarł jej łzy tą samą chusteczką, którą ocierał swoje.

– Elizabeth, skarbie, jeśli ciągle trwasz przy swoim, jestem zdecydowany to zrobić...

– Cokolwiek to będzie, moja odpowiedź brzmi „tak”.

– Wydaje mi się, że zawsze tego chciałaś – powiedział. – Teraz ja też chcę: jutro napiszę prośbę o przysłanie dokumentów. Mam zamiar zdawać na medycynę.

Mikę Seddons wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po małej salce szpitalnej.

– Ależ to absurdalny pomysł – odezwał się z zapalczywością.

– Głupi i bezzasadny, nie zrobię tego.

– Proszę cię, kochanie, to dla mojego dobra – Vivian przekreśliła się na łóżku, zwracając

twarz w jego stronę.

– Dla jakiego „dobra”, Vivian? To jakiś cholernie idiotyczny pomysł, wzięty z trzeciorzędnej powieści sentymentalnej.

– Mike, kochanie. Tak bardzo cię kocham, gdy się złościś – to pasuje do twoich pięknych rudych włosów – uśmiechnęła się do niego czule, po raz pierwszy odrywając się od bieżących problemów:

– Obiecuj mi coś...

– Co? – rzucił sucho, nie kryjąc złości.

– Obiecuj mi, że gdy będziemy małżeństwem, od czasu do czasu będziesz się złościł, ale naprawdę złościł, żebyśmy mogli się pokłócić, a potem cieszyć pojednaniem.

To prawie tak samo niedorzeczna propozycja jak poprzednia – był oburzony. – A właściwie, po co mówić o małżeństwie, skoro chcesz, abym trzymał się od ciebie z daleka?

– Tylko przez tydzień, Mike, kochanie, jeden tydzień, nie dłużej...

– Nie!

– Posłuchaj, kochanie – nalegała. – Proszę cię, chodź tutaj usiądź i posłuchaj mnie, proszę!

Zawahał się, po czym z ociąganiem wrócił na krzesło obok łóżka. Vivian oparła głowę na poduszkach i patrząc na niego uśmiechnęła się. Gdy wyciągnęła rękę, ujął ją delikatnie, gniew go opuścił. Pozostało jedynie niezbyt zrozumiałe, niepokojące uczucie zwątpienia.

Mijał czwarty dzień od operacji i jak na razie wszystko układało się dobrze. Udo się goiło; niekiedy Vivian dokuczał jeszcze miejscowy ból, lecz potworne obezwładniające męczarnie miała już za sobą. Wczoraj doktor Grainger, za wiedzą i zgodą Vivian, zrezygnowała z zastrzyków demerolu, pomagających uśmierzyć ból w najgorszym okresie. Dziewczynę niepokoiło tylko jedno – dziwna rzecz, której się nie spodziewała: stopa amputowanej nogi, stopa, której przecież już nie miała, często ją swędziła, przysparzając dodatkowej udręki; Vivian cierpiała nie mogąc się podrapać. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, usiłowała zdrową nogą skrobnąć podeszwę drugiej, przez moment zaczęła nawet wierzyć, że nie było żadnej amputacji. Dopiero gdy doktor Grainger powiedziała jej, że to normalne i że zdarza się większości osób, które poddano amputacji kończyny, dziewczyna zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie łudziła się nadzieją. Mimo wszystko było to niesamowite uczucie.

Jej stan psychiczny również był dobry. Od kiedy na dzień przed operacją pogodziła się z losem i pokazała, że niczego się nie boi, czym tak zaimponowała Mike'owi, spokój jej nie

opuszczał, a wręcz promieniował z niej. Co prawda, zdarzały się chwile rozpacz, lecz tylko w samotności. Dwukrotnie obudziła się w nocy i w pełnej tajemnic ciszy szpitala popłakała sobie cichutko. Najczęściej jednak starała się odganiać złe myśli, panując nad uczuciami dzięki wewnętrznej sile woli.

Lucy Grainger wiedziała o tym i była Vivian wdzięczna, takie bowiem zachowanie ułatwiało kierowanie procesem leczenia. Była też świadoma, że prawdziwy sprawdzian hartu ducha ma Vivian dopiero przed sobą. Gdy minie pierwszy szok i dotrze do niej rzeczywiste znaczenie tego, co się stało, i gdy jaskrawiej i w sposób bardziej namacalny uzmysłowi sobie, jakie są tego faktu implikacje na przyszłość. Kto wie, może ów moment nadejdzie w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, może dopiero za rok, lecz prędzej czy później Vivian stanie twarzą w twarz z tym problemem. Lucy zdawała sobie sprawę, że wtedy dziewczyna pograży się w rozpacz, by w końcu wypracować w sobie taką postawę, którą zachowa do końca życia, bez względu na to, jaka ona będzie. Ale to dopiero sprawa przyszłości, na razie prognozy wydawały się optymistyczne.

Lucy oczywiście wiedziała – i obawiała się, że Vivian też o tym wie – że istnieje prawdopodobieństwo, iż kostniako-mięsak mógł, a taką diagnozę postawił doktor Pearson, sięgnąć powyżej miejsca amputacji i rozpełznąć się po całym ciele. W takim wypadku ani Szpital Trzech Hrabstw, ani w ogóle medycyna niewiele będą w stanie jej pomóc, poza chwilowym przynoszeniem ulgi. Lecz później będzie wystarczająco dużo okazji, by stwierdzić, jak naprawdę wygląda sytuacja. Teraz dla dobra pacjentki najważniejsze jest upewnić ją, że ma przed sobą długą przyszłość i ułatwić jej aktywne przystosowanie się do życia w nowych warunkach.

Dzisiaj również Vivian robiła wrażenie osoby, która wraca do zdrowia. Po raz pierwszy od operacji zrobiła sobie makijaż, przywracając twarzy żywsze kolory. Wcześniej przyszła matka, by ją uczesać i w tym momencie, ubrana w tę samą koszulę, która kiedyś o mały włos nie sprowokowała Mike'a do nierozważnego czynu, znowu emanowała młodzieńczą pięknnością.

Gdy Mike ujął jej dłoń, powiedziała: – Nie rozumiesz, kochanie? Chcę być pewna, pewna dla naszego wspólnego dobra.

– Pewna, czego? – na policzkach Mike'a pojawiły się rumieńce.

– Pewna, że naprawdę mnie kochasz – odparła spokojnie.

– To jasne, że cię kocham – zareagował gwałtownie. – Czy nie powtarzałem ci tego przez ostatnie pół godziny? Czy nie mówiłem, że chcę żebyśmy się pobrali, tak jak zaplanowaliśmy,

zanim – zająknął się – zanim to się stało? Nawet twoi rodzice zgadzają się. Zaakceptowali mnie.

– Dlaczego ty nie możesz?

– Och, Mikę, ależ ja cię akceptuję. Jestem wdzięczna losowi i szczęśliwa. Jakkolwiek ułoży się między nami, nie wierzę, by w przyszłości było tak samo; w każdym razie – głos jej się załamał – nie dla mnie...

– Ale dlaczego?

– Proszę cię, Mikę. Wysłuchaj mnie. Obiecałeś.

– Dobrze, mów – rzucił niecierpliwie.

– Cokolwiek powiesz, Mikę, nie jestem już tą samą dziewczyną, którą poznałeś i nigdy taką nie będę – mówiła dalej cichym głosem, lecz impulsywnie: – Dlatego muszę mieć pewność, pewność że mnie kochasz taką, jaka jestem teraz, a nie jaką byłam. Nie rozumiesz, kochanie, że mając w perspektywie wspólne życie nie mogłabym znieść myśli – później, właściwie nigdy – że ożeniłeś się ze mną z litości. Nie, nie przerywaj, tylko słuchaj. Wiem, uważasz, że jest inaczej, że nie mam racji. Mam nadzieję, że się mylę i wierzę w to całym sercem. Mikę, ty jesteś dobrym, wspaniałomyślnym człowiekiem i może sam przed sobą nie chcesz się przyznać...

– Sugerujesz, że nie znam motywów własnego postępowania? – przerwał jej gwałtownie.

– Czy ktokolwiek z nas tak naprawdę je zna? – odparła miękko.

– Ja swoje znam – delikatnie ujął jej dłonie i powiedział przysuwając twarz do jej twarzy: – Wiem, że cię kocham – całą, czy nie, wczoraj, dzisiaj czy jutro. Wiem także, że chcę się z tobą ożenić – nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie ma mowy o żadnej litości, nie chcę już czekać ani chwili dłużej niż to będzie konieczne.

– Więc zrób tylko to jedno dla mnie – właśnie dlatego, że mnie kochasz. Zostaw mnie teraz i nie przychodź tutaj przez tydzień, nawet wówczas gdy będziesz na dyżurze: pełnych siedem dni – spojrzała na niego łagodnym wzrokiem i powiedziała: – W tym czasie myśl o wszystkim – o mnie, o tym jakie będzie nasze życie, jakie będzie dla ciebie, człowieka, który jest obciążony żoną kaleką, o sprawach, których nie będziemy mogli dzielić, i o tych, w których odnajdziemy się razem, o naszych dzieciach i wpływie, jaki ta sytuacja wywrze na nie, a za ich pośrednictwem na ciebie – o wszystkim, Mikę, o wszystkim, co nas dotyka. A potem wróć i powiedz mi, jakie wyciągnąłeś z tego wnioski, a jeśli nadal będziesz pewny swoich uczuć, obiecuję, że nigdy o nic nie będę pytać... To zaledwie siedem dni, kochanie – siedem dni naszego życia. To nie jest dużo.

– Cholera, ale jesteś uparta...

– Wiem – uśmiechnęła się. – Zrobisz tak?

– Ale tylko cztery dni – nie więcej. Pokręciła głową.

– Sześć – nie mniej.

– Niech będzie pięć – odparł – i umowa stoi. – Widząc jej wahanie dodał: – To moja ostateczna oferta.

– Roześmiała się pierwszy raz.

– W porządku. Pięć dni – od zaraz.

– Też coś – od zaraz! Może za dziesięć minut? Najpierw muszę nadrobić pewne zaległości. Dla młodego krewkiego faceta pięć dni to strasznie długo. – Przynal krzesło bliżej łóżka i pochylił się. Pocałunek był namiętny i czuły.

W pewnym momencie Vivian skrzywiła się i odsunęła od niego. Przekręcając się na łóżku westchnęła.

Mikę zapytał z niepokojem: – Czy coś się stało? Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Niezupełnie – i spytała: – Mikę, gdzie oni trzymają moją nogę, tę obciętą?

– Na oddziale patologii, chyba w lodówce – odpowiedział spłoszony.

Vivian wzięła głęboki oddech i wykrztusiła powoli: – Mikę, kochanie, proszę cię, zjedź na dół i podrap mnie w stopę.

W sali konferencyjnej panował tłok nie do opisanego. Wiadomość o nadzwyczajnym zebraniu szybko obiegła szpital: lekarzy, którzy dzisiaj nie mieli dyżurów, odszukano w miejskich gabinetach lub w domach. Pogłoski o wpadce Joe Pearsona i jego rychłym odejściu również rozeszły się lotem błyskawicy, stając się w tej chwili tematem poufnych rozmów. Z nadejściem starego patologa, który wszedł w towarzystwie dyrektora administracyjnego i Davida Colemana, rozmowy przycichły.

Kent O'Donnell stał już u szczytu długiego stołu i rozglądał się po sali. Zauważył większość znajomych twarzy. Gil Bartlett, którego bródka jak zwykle podskakiwała gwałtownie, gawędził z Rogerem Hiltonem, młodym chirurgiem, zatrudnionym w Trzech Hrabstwach od dwóch, może trzech miesięcy. John McEwan, laryngolog, prowadził ożywioną dyskusję z Ding-Dongiem Bellem i tęgim Lewisem Toynbee, internistą. Bill Rufus, którego z tłumu wyróżniał krawat w jaskrawozielone i żółte wzorki, właśnie usiłował usadowić się w drugim rzędzie. Tuż przed nim, wpatrując się w kartkę zapisaną odręcznym pismem, siedział doktor Harvey Chandler, ordynator oddziału internistycznego. Było też paru lekarzy rezydujących w szpitalu; wśród nich

O'Donnell zauważył McNeila, rezydenta oddziału patologii. Obok dyrektora administracyjnego siedziała pani Straughan, główna dietetyczka, która na to zebranie otrzymała specjalne zaproszenie. Obok niej Ernie Rebens, który z kpiarskim wyrazem twarzy wpatrywał się w jej falujący biust. Wśród zebranych brakowało Charlie Dombergera, który już wcześniej zgłosił chęć natychmiastowego przejścia na emeryturę.

Kent wpatrując się w drzwi ujrzał wchodzącą Lucy Grainger. Zauważyła jego wzrok i lekko się uśmiechnęła. Widok Lucy przypomniawszy mu o tym, że musi podjąć decyzję co do własnej przyszłości, kiedy tutaj wreszcie wszystko się pozalátwia. Nagle uświadomił sobie, że od rana ani razu nie pomyślał o Denise. Jego uwagę całkowicie pochłonęły zajęcia szpitalne, wiedział też, że i w ciągu najbliższych dni będzie podobnie. Zastanawiał się, jak Denise ustosunkuje się do faktu, że zajmuje drugie miejsce, po sprawach zawodowych. Czy potrafi być wyrozumiała? Tak wyrozumiała, jak – powiedzmy – Lucy? Myśląc o tym poczuł się nieswojo, jakby takie porównania dowodziły skrajnej nieuczciwości. Mimo wszystko postanowił teraz skupić się na problemach bieżących. Zdecydował, że nadszedł już czas, by rozpocząć zebranie.

Zastukał w blat stołu i czekał aż ucichną rozmowy, a ci, co jeszcze nie zajęli miejsc, wślizną się na krzesła. Zaczął spokojnym tonem:

– Szanowni państwo, myślę, że każdy z nas dobrze wie, że epidemie w szpitalach nie są niczym nadzwyczajnym, a właściwie zdarzają się znacznie częściej, niż się to wydaje osobom postronnym. Można by wręcz powiedzieć, że są nieodłącznym elementem ryzyka naszego zawodu. Pamiętając o zagrożeniach, jakie niosą choroby, z którymi stykamy się w tych ścianach, można się tylko dziwić, że nie zdarzają się częściej. – Oczy wszystkich wlepione były w O'Donnella, który urwał na moment, ale zaraz kontynuował: – Nie mam zamiaru bagatelizować tego, co się stało, chcę jedynie, abyśmy odnieśli się do sprawy z należyтым umiarem. Doktorze Chandler, może będzie pan uprzejmy przejąć prowadzenie zebrania...

Ordynator oddziału wewnętrznego wstał: – Na początek krótkie sprawozdanie – Harvey Chandler, trzymając w ręce plik notatek, teatralnym spojrzeniem przejechał po zebranych. Jest w swoim żywiole, pomyślał O'Donnell, zawsze chciał być w centrum uwagi. Tymczasem Chandler ciągnął dalej: – Jak dotąd sytuacja wygląda następująco: mamy dwa stwierdzone przypadki duru brzuszego oraz cztery podejrzenia, we wszystkich chorzy są pracownikami szpitala. Właściwie możemy uważać się za szczęściarzy, bo żaden z pacjentów nie choruje – jeszcze. Ze względu na liczbę zachorowań, musimy przyjąć, że nosiciela pałeczek duru

brzusznego mamy u siebie w szpitalu. A przy okazji: jestem ogromnie zaskoczony, zresztą każdy by był na moim miejscu, że nie przeprowadzono tu badań pracowników, mających kontakt z żywnością...

O'Donnell usłyszawszy, że ordynator interny zaczyna mówić o personelu kuchennym, nadstawił uszu, po czym przerwał jego wypowiedź, łagodnie i jak tylko mógł najuprzejmiej: – Przepraszam, doktorze...

– Słucham? – z tonu można było wywnioskować, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

Do tego przejdziemy za moment, Harvey. Proponowałbym, abyś najpierw przedstawił krótką informację o aspektach klinicznych.

Widać było, że czuje się dotknięty. Harvey Chandler, który w hierarchii szpitalnej zajmował stanowisko równe O'Donnellowi, nie lubił, gdy się ktoś do niego wtrącał. Ponadto uwielbiał długie przemowy; znany był powszechnie z tego, że zamiast jednego słowa, wolał powiedzieć dwa lub trzy. Zaczął marudzić: – Skoro sobie życzysz, ja jednak...

O'Donnell ponownie mu przerwał, uprzejmie, ale stanowczo:

– Bardzo proszę...

Chandler rzucił mu spojrzenie, które ostrzegało: „Porozmawiamy o tym na osobności”, i po chwili podjął temat: – Tym, którzy nie wiedzą, co to jest dur brzuszny, a zdają sobie sprawę, że wobec rzadkich przypadków występowania tej choroby tacy się znajdują, opiszę główne symptomy pierwszego stadium. Najogólniej rzecz biorąc, należą do nich wysoka i długotrwała gorączka, relatywnie wolne tętno, dreszcze. Na tułowiu, głównie brzuchu, pojawia się charakterystyczna różowa wysypka. Chory może skarżyć się na silne bóle głowy i w ogóle całego ciała oraz brak apetytu. Niektórzy pacjenci w ciągu dnia są ospali, w nocy zaś dokuczają im bezsenność. Często towarzyszy temu nieżyt górnych dróg oddechowych, a także krwotok z nosa. W tym czasie występują zaparcia i wzdęcia brzucha...

Ordynator interny usiadł.

– Czy są jakieś pytania? – zapytał O'Donnell.

Pierwsza odezwała się Lucy Grainger: – Jak rozumiem, przygotowuje się szczepienia przeciw durowi...

– Tak – odparł Chandler – dla wszystkich pracowników, a także dla pacjentów, którzy są na tyle zdrowi, aby je przyjąć...

– A jakie są zarządzenia co do kuchni? – chciał wiedzieć Bill Rufus.

O'Donnell powiedział: – Jeśli pozwolisz, za chwilę do tego przejdziemy. Czy są jeszcze jakieś pytania czysto medyczne? – rozejrzał się; wszyscy przecząco kręcili głowami. – A więc dobrze... posłuchamy co ma do powiedzenia patologia – i oznajmił spokojnym głosem: – Doktor Pearson.

Do tej pory z sali dobiegały różne odgłosy – ludzie nerwowo wiercili się, skrzypieli krzesłami, szeptali, prowadząc rozmowy poza zasadniczą dyskusją. Teraz zaczęli uciszać się wzajemnie; oczy zebranych zwróciły się w stronę długiego stołu, przy którym siedział Joe Pearson. Dotąd stary patolog nie odzywał się ani słowem. Siedział bez ruchu i tępy wzrokiem patrzył przed siebie. Po raz pierwszy nie zapalił cygara, i odczuwało się brak znajomego zapachu. Nawet teraz, gdy wywołano jego nazwisko, nie wykonał żadnego gestu.

O'Donnell czekał cierpliwie. Już miał zamiar powtórzyć prośbę, gdy Pearson drgnął. Odsunął krzesło i stanął wyprostowany.

Powolnym spojrzeniem przebiegł cały pokój. Najpierw popatrzył na zebranych, po czym skoncentrował się na osobach siedzących u szczytu stołu. Nie odrywając wzroku od O'Donnella powiedział: – Ta epidemia nie powinna mieć miejsca. I nie zdarzyłaby się, gdyby oddział patologii był bardziej czujny na wszelkie zaniedbania dotyczące higieny żywienia. Za ten stan rzeczy odpowiada cały mój oddział, a w szczególności ja sam...

Zapadła cisza; moment był prawdziwie historyczny. Tu, w tej sali, Joe Pearson wielokrotnie wytykał błędy innym. W tej chwili sam występował w charakterze oskarżyciela i oskarżonego.

O'Donnell zastanawiał się, czy nie powinien mu przerwać, ale nie zrobił tego. Pearson znowu rozejrzał się dookoła i rzekł powoli:

– Mamy już winnych, a teraz musimy zrobić wszystko, aby nie dopuścić do rozprzestrzeniania się choroby. – Popatrzył na Harry'ego Tomasellogo, który znajdował się po przeciwnej stronie stołu: – Dyrektor administracyjny, ordynatorzy oddziałów i ja zdecydowaliśmy o natychmiastowym podjęciu pewnych działań. Przedstawię je państwu...

Przerwał, a gdy znowu się odezwał, w jego głosie pojawiła się jakby silniejsza nuta. Wygląda, pomyślał O'Donnell, jakby nagle ubyło mu lat; taki musiał być w młodym wieku – zaangażowany, sumienny, kompetentny. Sarkastyczny humor, skłonność do traktowania wszystkich z góry ulotniły się na dobre. Ich miejsce zajęły powaga, poczucie fachowości oraz prostota osoby mającej pełną świadomość, iż rozmawia z równymi sobie.

– Pierwszą, najważniejszą sprawą – kontynuował Pearson – jest zlokalizowanie źródła

infekcji. Ponieważ w ciągu ostatnich sześciu miesięcy badania personelu kuchennego nie były prowadzone w należyty sposób, należy podejrzewać, iż źródłem zakażenia jest kuchnia i od niej musimy rozpocząć poszukiwania. Dlatego przed wydaniem kolejnego posiłku trzeba przebadać wszystkie osoby mające kontakt z jedzeniem – z postrzępionej wełnianej kamizelki wyjął zegarek i położył go na stole. – Jest piętnaście po drugiej, mamy więc do dyspozycji dwie godziny i trzy kwadransy. W tym czasie każdy pracownik, który w jakikolwiek sposób styka się z żywnością zostanie przebadany. Przychodnia już przygotowuje, co trzeba. Spodziewam się, że wszyscy interniści i rezydenci zostali powiadomieni przed zebraniem, co mają robić – popatrzył na potakujące głowy kolegów.

– Świetnie. Zaraz po spotkaniu doktor Coleman – tu spojrzął na siedzącego obok Davida Colemana – przydzieli państwu gabinety...

Przerwał na chwilę, po czym rzekł, wykonując ruch dłonią w stronę naczelnej dietetyczki: – Pani Straughan zbierze pracowników; będzie ich przekazywać do przychodni w grupach dwunastoosobowych. W ten sposób w okresie, jakim dysponujemy, przebadana zostanie pięć osób.

Znów przerwał.

– Gdy będziecie przeprowadzali badania ogólne, proszę pamiętać, że nosiciel, a zakładamy, że ktoś taki istnieje, prawdopodobnie nie ma żadnego z objawów opisanych przez doktora Chandlera. Stąd niezbędne jest, abyście zwracali szczególną uwagę na brak higieny osobistej. W wypadku najmniejszych wątpliwości osoba taka powinna być czasowo zawieszona w czynnościach.

Pearson urwał, jakby się nad czymś zastanawiał; do tej pory nie zaglądał do żadnych notatek, dalej też mówił z pamięci: – Oczywiście, wszyscy zdajemy sobie sprawę, że same oględziny nie dadzą pełnego obrazu. Może dopisze nam szczęście i tą drogą znajdziemy poszukiwaną osobę, ale równie dobrze może nic z tego nie wyjść. Prawdopodobnie ów podstawowy obowiązek spadnie na laboratoria, do których będzie należał następny etap prac, po zakończeniu badań ogólnych. Wszystkie osoby należy poinformować o konieczności przeprowadzenia analizy kału; próbki muszą się znaleźć w szpitalu do jutra rana – na twarzach zebranych pojawiły się uśmiešky. – Zaparcie nie może być żadnym usprawiedliwieniem, a jeśli ktoś dostarczy próbkę już dzisiaj, będziemy oczywiście bardzo wdzięczni... Laboratoria przygotowują się do przeprowadzenia wszelkich koniecznych analiz. Naturalnie minie kilka dni, przynajmniej dwa

lub trzy, zanim uporamy się z tym problemem.

– Jakiś głos, O'Donnell podejrzewał Gila Bartletta, odezwał się spokojnie: – Dziewięćdziesiąt pięć osób – to będzie strasznie wielka kupa!

– Cała sala gruchnęła śmiechem.

Pearson odwrócił się w tamtą stronę.

– Tak – odparł – wielka. Ale zrobimy, co się da. Usiadł.

Lucy podniosła rękę i O'Donnell dał znak, że może mówić: – Jeśli nie znajdziemy od razu źródła infekcji, czy nadal będzie się korzystać ze szpitalnej kuchni i wydawać posiłki?

– Na razie tak – rzekł O'Donnell.

Moi pracownicy – wtrącił się Tomaselli – robią teraz rozeznanie, czy znajdzie się w mieście jakaś stołówka, która mogłaby dostarczać nam jedzenie, gdyby zaistniała taka potrzeba. Wątpię jednak, by którakolwiek z nich miała takie możliwości i była w stanie się tego podjąć, zwłaszcza w tak krótkim czasie.

– Jaką przewidujemy politykę przyjęć? – zapytał Bill Rufus.

– Przepraszam, powinienem być o tym uprzedzić: z tą chwilą wstrzymujemy przyjęcia pacjentów. Izba przyjęć jest już poinformowana. Ale mamy nadzieję, że oddział patologii szybko odnajdzie źródło infekcji i będziemy mogli odwołać zarządzenie. Coś jeszcze? Więcej pytań nie było. O'Donnell zwrócił się do Colemana: – Doktorze Coleman, czy chciałby pan może coś dodać?

– Nie – David Coleman pokręcił głową.

O'Donnell zamknął notatnik, który leżał przed nim na stole.

– Bardzo dobrze. W takim razie proponuję, abyście państwo podjęli stosowne działania – słysząc rozmowy i szuranie krzesłami, zwrócił się do Pearsona: – Joe, czy mógłbym z tobą porozmawiać?

Podeszli do okna, z dala od tłumu. O'Donnell odezwał się spokojnym, opanowanym głosem: – Joe, do końca tej afery pozostajesz szefem patologii. Muszę jednak podkreślić, że jeśli chodzi o pozostałe kwestie, sytuacja pozostaje bez zmian.

Pearson powoli skinął głową.

– Tak. Już to przemyślałem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Doktor Joseph Pearson rozejrzał się po laboratorium anatomii patologicznej niczym generał, szacujący przed bitwą stan swoich wojsk. Poza nim w pokoju znajdowali się: David Coleman, Roger McNeil, Carl Bannister oraz John Alexander. Pearson, Coleman i McNeil trafili tu wprost z nadzwyczajnego zebrania personelu lekarskiego. Dwaj pozostali, zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami, uporządkowali już laboratorium, pozostawiając do wykonania jedynie najpilniejsze, aktualne prace.

Zakończywszy inspekcję Pearson zwrócił się do całej czwórki:

– Mamy przed sobą zadanie, przypominające coś w rodzaju śledztwa. W dziewięćdziesięciopięciosobowej grupie ludzi, którzy mają kontakt z żywnością, musimy odnaleźć osoby przenoszące bakterie duru brzuszego... Kolejny problem to czas: im dłużej potrważą poszukiwania, tym większe będzie zagrożenie epidemią. Przedmiotem analiz będą próbki kału, które zaczną do nas napływać już dzisiaj. Większość dostaniemy jutro...

Następne słowa skierował do Rogera McNeila: – Doktorze McNeil, proszę dopilnować, by w laboratorium przez kilka dni nie wykonywano żadnych zbędnych analiz. Niech pan przejrzy wszystkie napływające zlecenia i zadecyduje, które zaraz muszą być wykonane, a które można odłożyć, co najmniej na dzień lub dwa. Te, które uzna pan za ważne, może przekazać Carlowi Bannisterowi. Ale proszę go zbytnio nie obciążać, gdyż będzie nam potrzebny do ważniejszych celów – McNeil przytaknął; Pearson kontynuował:

– Na panu będzie spoczywało zajęcie się raportami pooperacyjnymi. Proszę zająć się tylko najpilniejszymi, pozostałe mogą poczekać. Jeśli pojawią się jakieś wątpliwości, proszę wołać doktora Colemana lub mnie.

– W porządku. Idę do gabinetu – powiedział McNeil i wyszedł – Do każdej próbki kału, przeznaczonej do badania – kontynuował Pearson – musimy mieć oddzielną płytkę. Nie mogę ryzykować pozostawienia kilku preparatów obok siebie, gdyż mogłyby na siebie narastać; wtedy stracilibyśmy czas i musielibyśmy wszystko zaczynać od nowa – zapytał Alexandra: – Czy dysponujemy taką ilością pożywki McConkey'a, by wystarczyła na około stu posiewów?

John Alexander blady, z czerwonymi obwódkami wokół oczu, gdyż dopiero pół godziny temu wrócił od Elizabeth, zareagował natychmiast: – Nie. Wątpię, by było tego więcej niż

dwadzieścia. Dotychczas taka ilość wystarczała nam na kilka dni.

John miał świadomość, że odpowiadając na pytanie, kierował się wyłącznie odruchem. Zastanawiał się, co czuje do doktora Pearsona, i nie potrafił tego określić. Powinien był nienawidzić tego człowieka, który przez niedbalstwo doprowadził do śmierci jego syna; może ta wrogość odezwie się w nim później, na razie nosił w sobie tępy, dojmujący ból i smutek. Może to i dobrze, że czeka ich tyle pracy, przynajmniej będzie mógł jakoś rozładować emocje.

– Rozumiem – odparł Pearson. – Czy w tej sytuacji mógłbyś przypilnować by przygotowano płytki? Dzisiaj musimy mieć cały komplet. Już idę – Alexander wyszedł za McNeilem.

– Będziemy mieć dziewięćdziesiąt pięć posiewów, no, powiedzmy sto. – Pearson myślał głośno. – Jeśli założymy, że pięćdziesiąt procent okaże się laktozododatnich, pozostałe będzie można zanalizować później; nie powinno być tego więcej – spojrzał na Colemana oczekując potwierdzenia.

– Zgadza się – przytaknął młodszy patolog.

– W porządku, na każdy posiew będziemy potrzebowali po dziesięć próbek cukrowych; pięćdziesiąt posiewów to pięćset hodowli pochodnych – rzekł i odwracając się do Bannistera spytał: – Ile mamy probówek cukrowych – czystych, wysterylizowanych?

Bannister zamyślił się.

– Chyba dwieście.

– Jesteś pewien? – Pearson przyjrzał mu się badawczo. Bannister oblał się rumieńcem.

– No, na pewno ze sto pięćdziesiąt.

– W takim razie zamów jeszcze trzysta pięćdziesiąt. Zadzwoń do magazynu i powiedz, żeby dostarczyli je dzisiaj, bez żadnych wykrętów. Powiedz, że papierki wypełnimy później. Następnie zaczniesz przygotowywać po dziesięć probówek; najpierw te, które są w naszym posiadaniu, a potem resztę, jak przyślą. Sprawdź też zapasy cukrów. Pamiętaj, że będziesz potrzebował glukozę, laktozę, dulcyt, sacharozę, mannitol, maltozę, ksylozę, arabinozę, ramnozę i jeden zestaw do produkcji indolu.

Wszystkie te nazwy Pearson wymienił jednym tchem. Z cieniem uśmiechu na ustach dodał: – Wykaz i tabelę reakcji na pałeczki *Salmonella ty phi* znajdziesz na stronie sześćdziesiątej szóstej w książce stałych zleceń. To tyle, ruszaj się.

Bannister rzucił się do telefonu.

Teraz Pearson zapytał Colemana: – Jak pan uważa, nie zapomniałem o czymś?

David Coleman pokręcił głową. Stary lekarz ogarnął sytuację błyskawicznie i zrobił to wyjątkowo starannie; zrobił wrażenie na Colemanie, a nawet go zaskoczył.

– Nie – odparł. – Niczego pan nie pominął.

Pearson przez chwilę lustrował twarz młodszego kolegi, po czym rzekł: – W takim razie chodźmy na kawę. W najbliższych dniach taka okazja na pewno nam się nie trafi.

Po wyjściu Mike'a Seddonsa Vivian uświadomiła sobie, że bardzo będzie jej go brakować. Była jednak przekonana, iż miała rację, prosząc Mike'a, by nie pokazywał się przez parę dni. W ten sposób oboje będą mieli okazję dostosować się do nowej sytuacji i trzeźwo pomyśleć o przyszłości. Sama Vivian nie potrzebowała czasu do namysłu, była absolutnie pewna swoich uczuć, lecz wydawało się jej, że wymaga tego jej uczciwość. Czy na pewno o to chodzi? Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że tę prośbę Mikę może odczytać zupełnie inaczej, uznając, że dla Vivian ma to być dowód jego miłości, podczas gdy on sam niczego takiego nie żądał.

Ale ona miała dobre intencje! Wpadła w popłoch. Czy Mikę właściwie ją zrozumiał, czy przypadkiem nie uznał, że nie ma ona do niego zaufania i nie wierzy na słowo. Kiedy z sobą rozmawiali, na pewno nie trapiły go żadne wątpliwości, ale teraz, gdy będzie miał okazję jeszcze raz wszystko przemyśleć, tak jak ona w tej chwili, może dojść do takiego wniosku. Rozważała, czy przypadkiem nie powinna zadzwonić lub przesłać jakiegoś listu z wyjaśnieniem swoich intencji. Czy jednak sama była ich pewna? Niekiedy trudno zrozumieć własne postępowanie; zacznie się robić coś, co wydaje się słuszne, a później człowiek martwi się, czy ten ktoś właściwie to odczyta. A może będzie się doszukiwał jakichś podtekstów, które człowiekowi nawet nie przyszły do głowy. Skąd można wiedzieć, jak należy postępować z czymkolwiek... gdziekolwiek... zawsze...?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i weszła pani Loburton. Na jej widok Vivian natychmiast zapomniała, że jest dorosłą, dwudziestoletnią kobietą, zdolną do podejmowania samodzielnych decyzji. Wyciągnęła do niej rękę: – Och, mamo, taka jestem skołowana.

Badania ogólne pracowników stołówki przebiegały sprawnie. W niewielkim gabinecie ambulatorium doktor Harvey Chandler kończył przyjmować jednego z kucharzy.

– W porządku – powiedział do pacjenta – może się pan ubrać. W pierwszym momencie Chandler uznał, że zajmowanie się badaniem pacjentów będzie uwłaczało jego godności, jednak ostatecznie postanowił przyłączyć się do innych, wchodząc niejako w rolę głównodowodzącego, którego moralnym obowiązkiem jest stanąć na czele wojsk podczas natarcia na przyczółek

wroga.

Właściwie doktor Chandler miał żal do O'Donnella i Pearsona, że to oni kierują całą akcją. Wprawdzie O'Donnell jest prezesem rady medycznej i w związku z tym ma prawo dbać o dobro szpitala, lecz mimo wszystko, rozumował Chandler, jest tylko chirurgiem, a sprawa duru brzusznego należy zdecydowanie do kompetencji lekarza internisty.

I w pewnym sensie ordynator oddziału chorób wewnętrznych uważał się za człowieka odartego z roli przywódcy. W marzeniach, z którymi nigdy się nie zdradzał, doktor Chandler widział siebie jako męża opatrnościowego szpitala, lecz rzadko zdarzały się okazje, by mógł się wykazać. Teraz mając taką okazję w zasięgu ręki, został odsunięty jeśli nie na daleki, to przynajmniej na drugi plan. Musiał jednak przyznać, że zarządzenia wydane przez O'Donnella i Pearsona dawały dobre rezultaty, a przynajmniej miały jeden cel wspólny: jak i najszybsze uporanie się z tą godną ubolewania sprawą. Marszcząc brwi odezwał się do kucharza, który nie skończył się jeszcze ubierać: – Proszę pamiętać o zachowaniu higieny. Podczas pracy w kuchni należy przestrzegać absolutnej czystości.

– Tak jest, panie doktorze.

Ledwo drzwi za nim się zamknęły, do gabinetu wszedł Kent O'Donnell.

– Cześć, jak leci?

W pierwszym odruchu Chandler chciał pokazać, że jest obrażony, jednak zmitygował się, dochodząc do przekonania, że właściwie nie ma o co robić hałasu. O'Donnell poza jedną drobną wadą – zdaniem Chandlera był zbyt demokratą – na stanowisko prezesa rady medycznej nadawał się dużo bardziej niż jego poprzednik. Dlatego odpowiedział w miarę uprzejmym tonem: – Straciłem rachubę. Wydaje mi się, że zbliżamy się do końca. Ale nie ma jeszcze gotowych wyników.

– A co z chorymi, którzy mają już objawy? I czterema innymi?

– Mamy cztery osoby zarażone. Natomiast dwie pozostałe są poza podejrzeniem.

– Czy jest ktoś w stanie ciężkim?

– Nie sędzę. Dzięki Bogu istnieją antybiotyki! Piętnaście lat temu mielibyśmy znacznie więcej kłopotów.

– Tak, chyba tak – O'Donnell nawet nie musiał pytać, czy pacjentów umieszczono w izolatkach. Mimo pompatycznego sposobu bycia Chandlera można było mieć pewność, że z medycznego punktu widzenia zrobi wszystko jak należy.

Dwie pacjentki to pielęgniarki: jedna z psychiatrii, druga z urologii. Pozostali to mężczyźni: pracownik maszynowni i archiwista.

Każdy z innego działu – O'Donnell zamyślił się.

– Rzeczywiście! Nie ma żadnego punktu styczności, oczywiście poza stołówką. Cała czwórka jada tam posiłki. Chyba nie ma wątpliwości, że jesteśmy na właściwym tropie.

– Nie zabieram ci czasu – powiedział O'Donnell. – Za drzwiami są jeszcze dwie osoby. Inni mają więcej pacjentów, staramy się rozdzielać ich sprawiedliwie.

– Świetnie – odparł Chandler. – Będę przyjmował, dopóki nie skończymy, popracujemy jak długo się da, niezależnie od tego, ile czasu to zajmie – wyprostował się w krześle, jakby podjął się wielce bohaterskiego czynu i już słyszał łopotanie sztandarów.

– Słusznie – odezwał się O'Donnell. – Nie przeszkadzam.

Dotknięty do żywego obojętnością kolegi, Chandler zapytał sztywno: – Czy mógłbyś poprosić pielęgniarkę, żeby przysłała kolejnego pacjenta?

– Oczywiście.

O'Donnell opuścił gabinet, a za chwilę weszła dziewczyna, pracownica kuchni. Przyniosła swoją kartę.

– Proszę mi to dać – zwrócił się do niej Chandler – i usiąść.

Położył kartę na biurku i wyciągnął drugą czystą.

– Dziękuję – dziewczyna usiadła.

– Najpierw poproszę o parę informacji dotyczących pani i pani rodziny – od jak najwcześniejszych lat. Zaczniemy od rodziców...

Dziewczyna odpowiadała na jego szczegółowe pytania, a w tym czasie Chandler pośpiesznie zapełniał rubryki na blankiecie. Jak skończy, powstanie wzorcowy wywiad choroby, który z powodzeniem można umieścić w każdym podręczniku medycznym. Jednym z powodów, dla którego Harvey Chandler został ordynatorem oddziału wewnętrznego w Trzech Hrabstwach, była jego nadzwyczajna sumienność jako klinicysty.

Opuszczając zajęte na czas badań ambulatorium Kent O'Donnell pozwolił sobie na pewne przemyślenie dotyczące dzisiejszego dnia. Było już po południu, a od rana wydarzyło się tak wiele, że nie sposób było to wszystko ogarnąć.

Wypadki toczyły się lawinowo, jeden po drugim; najpierw doszło do postawienia błędnej diagnozy u dziecka, które niebawem zmarło. Potem wyskoczyły trzy sprawy równocześnie:

zwolnienie Pearsona, rezygnacja Charliego Dornbergera i odkrycie elementarnych zaniedbań w dziedzinie higieny szpitalnej, teraz z kolei pojawiły się zarazki duru brzuszego, co grozi poważną epidemią i wisi nad Trzema Hrabstwami jak miecz Damoklesa.

W jednej chwili zawałiło się tyle spraw. Dlaczego? Jak do tego doszło? Czy to symptom jakiejś utajonej choroby, która nagle zawładnęła szpitalem? Czy pojawią się następne? A może to przejaw ogólnego rozkładu, który dzieje się na ich oczach? Czy winy należy szukać w stanie samozadowolenia, którego on, O'Donnell, był moralnym sprawcą?

Pomyślał: wszyscy byliśmy pewni, tak bardzo pewni, że obecne porządki szpitalne są lepsze od poprzednich. Wspólnie wypracowaliśmy taki pogląd. Zdawało nam się, że coś tworzymy, że budujemy świątynię zdrowia, miejsce, gdzie będzie się uczyć sztuki medycznej i ją praktykować. Czyżbyśmy ponieśli porażkę mimo najlepszych intencji? Sromotną, całkowitą? Czy wszyscy są tak głupi i zaślepieni – bujając w obłokach, zwodzeni blaskiem ideałów – że nie widzą ziemskich ostrzeżeń, jakie przynosi każdy dzień? A cóżeśmy takiego zbudowali? O'Donnell szukał stosownego określenia. Czy to jest faktycznie miejsce, gdzie uzdrawia się ludzi? A może dla własnego kaprysu wznieśliśmy pobielony grobowiec – pusty, antyseptyczny ołtarz?

Pogrążony w myślach przemierzał bezwiednie korytarze, zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie. Dotarł do swojego gabinetu.

Podszedł do okna, przystanął i spojrzał na szpitalne podwórko. Jak zwykle panował tam ogromny ruch, ludzie wchodzili i wychodzili. Ujrzał kulejącego mężczyznę, którego podtrzymywała jakaś kobieta; przeszli przez placyk i zniknęli mu z oczu. Podjechał samochód: wyskoczył z niego mężczyzna i pomógł wsiąść kobiecie. Za chwilę pojawiła się pielęgniarka i podała jej dziecko. Drzwiczki trzasnęły, samochód odjechał. W polu widzenia ukazał się chłopiec o kulach; poruszał się pośpiesznie, z wprawą kołysząc ciałem. Zatrzymał go starszy człowiek w pelerynie chyba nie znał drogi. Chłopiec pokazał, którądy ma iść, i razem poszli w stronę głównego wejścia do szpitala.

O'Donnell pomyślał: ci ludzie przychodzą do nas z błagalnymi prośbami i ufają nam. Czy jesteśmy tego warci? Czy nasze sukcesy łagodzą nasze klęski? Czy z biegiem czasu, drogą największych poświęceń, potrafimy zrehabilitować się za wcześniej popełnione błędy? Czy kiedykolwiek się o tym dowiemy?

Zastanowił się nad praktyczną stroną zagadnienia: po dzisiejszym dniu muszą nastąpić pewne zmiany. Trzeba wypełnić konkretne luki – nie tylko te, które wyszły na jaw, ale też inne,

które odkryją, jeśli dokładnie zaczną szukać. Należy zmierzyć się z własnymi słabościami oraz słabościami w materii szpitalnej. Niezbędny jest większy samo krytycyzm. Niech ten dzień, pomyślał, stanie się sygnałem ostrzegawczym – wyraźnym, jaskrawym; niech będzie apogeum smutku i znakiem czegoś nowego.

Jest dużo do zrobienia, mają mnóstwo pracy. Rozpoczną od patologii – najsłabszego punktu, który sprowadził na nich te problemy. Później przyjdzie kolej na reorganizację innych działów, które – jak podejrzewał – również wymagały gruntownych przeobrażeń. Prace nad wznoszeniem nowych budynków rozpoczną się na wiosnę, w tej sytuacji oba programy muszą być realizowane równocześnie. O'Donnell zaczął snuć plany, jego umysł aktywnie pracował.

Ostro zadzwijał telefon.

– Doktorze O'Donnell, zamiejskowa do pana – powiedziała telefonistka.

To była Denise – mówiła matowym głosem, który wcześniej tak go urzekł. Wymienili grzeczności, po czym oznajmiła: – Kent, kochanie, chcę, żebyś przyjechał na weekend do Nowego Jorku. Zaprosiłam parę osób na piątkowy wieczór i zamierzam pochwalić się tobą... Zawahał się przez chwilę, po czym odparł:

– Ogromnie mi przykro, Denise – nie będę mógł przyjechać.

– Ależ musisz przyjechać – nalegała. – Rozesłałam zaproszenia i nie mogę już odwołać.

– Obawiam się, że mnie nie rozumiesz – czuł, że nie potrafi znaleźć właściwych słów. – Mamy tu epidemię. Muszę zostać, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Potem czeka mnie jeszcze parę spraw do załatwienia.

– Przecież powiedziałeś, że przyjedziesz, gdy tylko cię wezwę – słyszał, że jest rozdrażniona. Chciał być z Denise, uważał, że potrafiłby jej wszystko wytłumaczyć. Czy na pewno by potrafił?

– Niestety, nie wiedziałem, że coś takiego się wydarzy – odparł.

– Przecież jesteś szefem szpitala. Na pewno możesz przekazać swoje obowiązki na dzień lub dwa – widać było, że Denise nie chce ustąpić.

– Niestety, nie mogę – odparł łagodnie.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Następnie Denise odezwała się lekko: – Ostrzegałam cię, Kent, że jestem bardzo zaborcza.

– Denise, kochanie, proszę cię... – zaczął mówić, lecz zaraz urwał.

– Czy to twoja ostateczna odpowiedź? – głos w słuchawce brzmiał spokojnie, niemal pieszczotliwie.

- Musi być ostateczna – rzekł. – Bardzo mi przykro – i dodał:
- Zadzwoń do ciebie, Denise, jak tylko będę mógł się stąd wyrwać.
- Dobrze, Kent, zadzwoń. Do widzenia.
- Do widzenia – odpowiedział i zamyślony odłożył słuchawkę.

Było przedpołudnie – drugi dzień epidemii.

Jak przewidywał doktor Pearson, wczoraj po południu przyniesiono do laboratorium zaledwie kilka próbek kału, większość materiału nadeszła w ciągu ostatniej godziny.

Próbki znajdujące się w małych tekturowych pojemniczkach z pokrywkami, ustawiono na stole pośrodku pomieszczenia. Każda z nich była podpisana. Pearson siedząc na krześle przy drugim końcu stołu wypisywał numery z rejestru laboratoryjnego i przygotowywał formularze, które później uzupełni się wynikami badań.

Wykonawszy wstępną papierkową robotę, przekazywał każdą opisaną próbkę za siebie, gdzie David Coleman i John Alexander przygotowywali preparaty do badań bakteriologicznych.

Bannister stał sam przy stole pod ścianą i wykonywał inne prace, które zdaniem McNeila, królującego teraz w gabinecie patologii, nie mogły czekać.

W laboratorium koszmarnie cuchnęło.

Z wyjątkiem Davida Colemana wszyscy w pokoju byli palaczami, Pearson, chcąc zagłuszyć potworny smród unoszący się z pojemników, wypuszczał z cygara ogromne kłęby dymu. Nieco wcześniej poczęstował Colemana. Młodszy patolog pociągnął parę razy, lecz stwierdziwszy, że jest to równie nieprzyjemne jak powietrze w laboratorium, zgasił.

Goniec, zdeklarowany wróg Bannistera, dostarczał próbki nie kryjąc satysfakcji i za każdym razem pozwalał sobie na nowy żart... Wszedł teraz do laboratorium i oznajmił patrząc na Bannistera: – To najlepsze miejsce dla takiego paskudztwa – po czym zwrócił się do Colemana: – Sześć nowych zapachów specjalnie dla pana, doktorze.

Stawiając kartony przed Pearsonem zapytał: – Życzy pan sobie cukier i śmietankę?

Pearson burknął coś w odpowiedzi, ale nie przerwał pisania.

John Alexander skupił się na wykonywanych czynnościach. Z niezmienną płynnością ruchów, która zwróciła uwagę Davida Colemana przy pierwszym spotkaniu, sięgnął do pojemnika i zdjął tekturową pokrywkę. Przyciągnął do siebie płytkę Petriego i przepisał numer z pokrywki. Potem wziął do ręki mały platynowy pierścień, przymocowany do drewnianej rączki, wysterylizowany nad płomieniem palnika. Następnie nabrał na eżę odrobinę kału i wcisnął do

próbki z wyjałowionym roztworem soli. Powtórzył tę czynność, po czym za pomocą ezy przeniósł kilka kropel roztworu na płytkę – cały czas wykonując to płynnymi, regularnymi ruchami.

Na koniec opisał probówkę z roztworem i umieścił ją w statywie, a płytkę Petriego z preparatem odniósł na drugi koniec laboratorium do cieplarki. Tam pozostanie do jutra, kiedy to w razie konieczności będzie można rozpocząć hodowlę pochodne. Tego procesu nie da się przyspieszyć.

Gdy się odwrócił, stanął twarzą w twarz z Davidem Colemanem. Odezwał się spontanicznie, w pełni świadom obecności doktora Pearsona w drugiej części pokoju: – Panie doktorze, chcę panu o czymś powiedzieć...

– Słucham? – Coleman dołożył jeszcze jedną płytkę do inkubatora i zamknął drzwi.

– Postanowiłem... to znaczy postanowiliśmy skorzystać z pańskiej rady. Mam zamiar zdawać na medycynę. – Cieszę się – odparł szczerze Coleman. – Jestem pewien, że się panu uda.

– Co się uda? – wtrącił się Pearson, podnosząc głowę. Coleman odszedł do swojego stanowiska pracy, usiadł i otworzył kolejne pudełko.

– John właśnie powiedział, że będzie zdawał na studia medyczne. Kiedyś mu to doradzałem.

– Och – Pearson spojrzał ostro na Alexandra i spytał: – Jak sobie poradzisz z finansami?

– Po pierwsze moja żona może pracować, doktorze. Poza tym wydaje mi się, że po zajęciach ja też będę mógł zarabiać w laboratorium; wielu studentów tak robi – Alexander urwał, a później spoglądając na Colemana dodał: – Nie sądzę, by było nam łatwo, lecz oboje uważamy, że warto się poświęcić.

– Rozumiem – Pearson wypuścił chmurę dymu i odłożył cygaro. Wyglądało, że chce coś powiedzieć, ale się waha. Wreszcie zapytał:

– Jak się czuje żona?

– W porządku. Dziękuję – odparł spokojnie.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Pearson odzywając się powolnym głosem: – Chciałbym ci coś powiedzieć... – i po chwili dodał: – Obawiam się jednak, że słowa niczego tu nie załatwią...

Alexander popatrzył w oczy staremu lekarzowi i rzekł:

– Tak, doktorze. Nie załatwią.

Vivian będąc sama usiłowała czytać jakąś powieść, przyniesioną przez matkę, ale jej umysł

w ogóle nie rejestrował treści. Westchnęła głęboko i odłożyła książkę. W tej chwili żałowała, że wymusiła na Mike’u obietnicę. Zastanawiała się, czy nie powinna kogoś po niego posłać. Utkwiła wzrok w aparacie telefonicznym; gdyby zadzwoniła, prawdopodobnie przyszedłby na parę minut. Czy to naprawdę miało sens – ten jej głupi pomysł z kilkudniową separacją, która miała dać czas na przemyślenie wszystkich spraw? Przecież kochają się, czy to nie wystarczy? Powinna zadzwonić czy nie? Dłoń jej zadrżała. Już miała zadzwonić, lecz silna wola zwyciężyła. Nie! Poczeka, już drugi dzień mija. Pozostałe trzy szybko przelecą. Potem będzie miała Mike’a dla siebie – na długo, na zawsze.

W gabinecie przeznaczonym dla personelu medycznego leżał w głębokim skórzanym fotelu Mikę Seddons. Pół godziny temu skończył dyżur i teraz robił dokładnie to, o co prosiła Vivian: wyobrażał sobie, jak będzie wyglądało życie z żoną, która ma tylko jedną nogę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Było wczesne popołudnie. Od zgłoszenia pierwszych przypadków duru brzuszego w Trzech Hrabstwach minęły cztery dni.

Orden Brown, prezes zarządu szpitala, oraz Kent O'Donnell w milczeniu, z poważnymi minami, przysłuchiwali się telefonicznej rozmowie Harry'ego Tomasellogo, która odbywała się w jego gabinecie.

– Tak – mówił dyrektor administracyjny. – Rozumiem – i po krótkiej przerwie kontynuował: – Gdyby okazało się to konieczne, będziemy przygotowani. Do zobaczenia zatem o piątej.

Odłożył słuchawkę.

– I co? – zapytał Orden Brown niecierpliwie.

– Miejski wydział zdrowia daje czas do wieczora – rzekł cicho Tomaselli. – Jeśli nie uda nam się znaleźć nosiciela, każą zamknąć kuchnie.

– Czy oni zdają sobie sprawę ze skutków? – O'Donnell zerwał się z krzesła i krzyknął poirytowany: – Przecież w praktyce oznacza to zamknięcie szpitala. Powiedziałeś im, że nikt w mieście nie może przygotować posiłków dla tak dużej liczby osób?

Tomaselli odparł spokojnym głosem: – Powiedziałem, ale bez większego rezultatu. Problem w tym, że władze obawiają się wybuchu epidemii w mieście.

– Czy są już jakieś wiadomości z patologii? – spytał Orden Brown.

– Nie – O'Donnell pokręcił głową. – Nadal szukają. Byłem tam pół godziny temu.

– Nie rozumiem! – Kent O'Donnell nigdy jeszcze nie widział tak przejętego prezesa: – Cztery dni i dziesięć przypadków duru w szpitalu, w tym czterech pacjentów, a my wciąż nie mamy źródła zakażenia!

– Laboratorium ma ogromną pracę do wykonania. Jestem pewien, że nie marnują czasu.

– Nikt do nikogo nie ma pretensji – rzucił Orden Brown – w każdym razie nie na tym etapie. – Ale musimy pokazać, że coś się robi.

– Joe Pearson powiedział, że powinni skończyć jutro przed południem. Jeśli nosicielem jest ktoś z personelu kuchennego, do tego czasu go znajdą – O'Donnell zwrócił się teraz do Tomasellogo: – Nie mógłbyś przekonać ludzi z wydziału zdrowia, żeby jeszcze się wstrzymali, przynajmniej do jutra?

Dyrektor pokręcił głową przecząco: – Już próbowałem. Dali nam cztery dni, dłużej nie będą czekać. Naczelnik wydziału był tu dzisiaj rano i wróci o piątej. Jeśli do tej godziny nie wyklaruje się nic konkretnego, będziemy musieli podporządkować się jego decyzjom.

– A więc co proponujesz? – odezwał się Orden Brown.

– Moi pracownicy już działają – Harry’emu Tomasellemu udzielił się nastrój zaskoczenia, a także ogólny sceptycyzm. – Czynimy przygotowania na wypadek, gdyby trzeba było zamknąć szpital.

W pokoju zapadła cisza. Po chwili dyrektor zapytał: – Kent, czy mógłbyś przyjść o piątej i porozmawiać z lekarzem miejskim?

– Tak – odrzekł O’Donnell pośpiesznie. – Sądzę, że powinienem być przy tej rozmowie.

Trzej mężczyźni pracujący w laboratorium wyglądali na tak samo znużonych, jak ciężka panowała tam atmosfera.

Doktor Pearson zmizerniał, oczy miał podkrążone, po spowolnionych ruchach można było wywnioskować, że opada z sił. Przez ostatnie cztery dni i trzy noce nie opuszczał szpitala, sypiając na składanym łóżku, które przyniósł do gabinetu. Ostatni raz golił się dwa dni temu, ubranie miał pomięte, włosy rozrzucone w nieładzie. Drugiego dnia zniknął na parę godzin i nikt nie wiedział gdzie; kilkakrotnie dopytywali się o niego dyrektor i Kent O’Donnell, lecz Colemanowi nie udało się go odszukać. Gdy wrócił, nawet nie wytłumaczył się ze swojej nieobecności, tylko ponownie zajął się nadzorowaniem prac.

– Teraz zapytał: – Ile już tego mamy?

– Doktor Coleman rzucił okiem na listę.

– Osiemdziesiąt dziewięć – odparł. – Czyli w cieplarni pozostało jeszcze pięć, zajmiemy się nimi jutro.

David Coleman robił lepsze wrażenie niż stary patolog, nie był zaniedbany, ale tak naprawdę ledwo stał na nogach; zastanawiał się wręcz, czy będzie w stanie dorównać kondycją starszemu koledze. W przeciwieństwie do Pearsona ostatnie trzy noce przespał we własnym mieszkaniu, ale opuszczał laboratorium dobrze po północy i przychodził do szpitala około szóstej rano.

Chociaż pojawiał się wcześniej, tylko raz zdarzyło mu się przyjść przed Johnem Alexandrem i to zaledwie o kilka minut. Zastawał młodego laboranta przy stole, pochłoniętego pracą i jak zawsze przypominającego precyzyjną maszynkę na włączonym biegu; ruchy miał dokładne, oszczędne, a każdą z wykonanych czynności odnotowywał zgrabnym, czytelnym pismem. Od

samego początku nie trzeba mu było dawać żadnych instrukcji. Wykazywał się fachowością, działał z rozmysłem; doktor Pearson raz go sprawdził, po czym z aprobatą pokiwał głową i zostawił w spokoju.

Odwracając się w stronę Johna stary patolog spytał: – Jakie masz wyniki w posiewach?

– Alexander odczytał notatki: – Z osiemdziesięciu płytek, które sprawdziliśmy, czterdzieści dwie zostały rozdzielone na posiewy – razem jest ich dwieście osiemdziesiąt.

Pearson przeliczył w pamięci i powiedział jakby do siebie: – To znaczy, że jest jeszcze do sprawdzenia sto dziewięć posiewów, łącznie z jutrzejszą partią.

Obserwując Johna Alexandra, Coleman rozmyślał, co też ów chłopak może czuć w tym momencie i czy fakt, iż tak zapalczywie rzucił się w wir pracy, nie dowodzi, że w ten sposób stara się oderwać myśli od przykrych przeżyć. Od śmierci dziecka Alexandrów minęły cztery dni i w tym czasie John otrząsnął się z szoku, w każdym razie takie stwarzał pozory. Coleman podejrzewał jednak, że Alexander ciągle chowa żal w sercu do Pearsona i że właśnie to wpłynęło na jego decyzję o staraniu się na studia medyczne. Coleman nie zamierzał rozmawiać z Johnem na ten temat, lecz teraz zmienił postanowienie; zrobi to, jak tylko uporają się z dudem. Będzie mógł w wielu sprawach poradzić i udzielić wskazówek, opierając się na własnych doświadczeniach. Jak powiedział sam Alexander, nie będzie mu łatwo, szczególnie ze względów finansowych, rozstać się ze stałą pracą i zacząć nowe studia. Coleman może mu przynajmniej wskazać pewne drogi postępowania, a także przestrzec przed pułapkami.

Carl Bannister, czwarty członek zespołu laboratoryjnego, okazał się okresowo nieprzydatny. Mający już swoje lata laborant pracował pełne trzy dni i noce, samodzielnie wykonując zlecenia i pomagając innym. Dzisiejszego ranka był bliski wyczerpania, nawet mówił niewyraźnie, więc David Coleman, bez konsultacji z Pearsonem, wysłał go do domu. Bannister przyjął polecenie z wdzięcznością i bez szemrania.

Bezustannie zajmowali się przygotowywaniem preparatów z próbek kału. Drugiego dnia preparaty sporządzone w pierwszej kolejności i znajdujące się w cieplarni mogły już służyć jako materiał do badań. Wówczas doktor Pearson rozdzielił obowiązki między pracowników. John Alexander wziął się za nowe zadania, David Coleman nadal zajmował się próbkami.

Na różowawych powierzchniach spreparowanych płytek Petriego, wyjętych z cieplarki, widać było w miejscu, gdzie poprzedniego dnia dołożono niewielkie ilości stolca – małe kolonie wilgotnych bakterii. Ponieważ każda próbka zawiera miliony bakterii, należało teraz oddzielać

kolonie nieszkodliwe od tych, które wymagały dalszego badania. Kolonie zabarwione na różowy kolor eliminowano od razu jako wolne od pałeczek duru. Z kolonii białych pobrano próbki na posiew w probówkach cukrowych w środowisku płynnym. Dla każdej hodowli pierwotnej trzeba było dziesięć probówek, każdą z innym odczynnikiem, które po dalszym inkubowaniu miały wskazać ostatecznie, które próbki kału, jeśli w ogóle, zawierają bakterie duru brzuszego.

Dzisiaj, w czwartym dniu pracy, dysponowali już próbkami wszystkich pracowników, którzy w jakikolwiek sposób stykali się z żywnością – podczas zakupów, przygotowywania i wydawania posiłków. Rozstawiano na statywach w całym laboratorium i w inkubatorach dwieście osiemdziesiąt posiewów, o których mówił John Alexander. Chociaż wiele probówek sprawdzono do końca, ciągle nie natknęli się na osobę podejrzaną o nosicielstwo choroby, której szukali dniami i nocami, pośpiesznie i pełni niepokoju.

Zadzwieczył telefon; odebrał Pearson, który stał najbliżej.

– Tak? – słuchał przez chwilę, po czym rzekł: – Nie, jeszcze nie. Cały czas powtarzam, że zadzwonię, jak tylko coś znajdziemy.

Odłożył słuchawkę.

John Alexander, poddając się nagłej fali zmęczenia, wpisał wynik do tabeli i opadł na krzesło. Przymknął oczy z uczuciem ulgi, że może na moment odpocząć.

Stojący obok David Coleman odezwał się: – John, może byś przerwał na godzinę lub dwie – mógłbyś pójść do żony...

Alexander wstał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobi, po prostu zmorzy go sen.

– Wykonam jeszcze jedną serię i pójdę – stwierdził. Wyjął z inkubatora statyw z posiewami, wziął czysty blankiet papieru i ustawił w rzędzie dziesięć probówek, które miał właśnie sprawdzić. Spojrzawszy na zegar, ze zdziwieniem stwierdził, że mijał kolejny dzień pracy. Była za dziesięć minut piąta.

Kent O'Donnell odłożył słuchawkę i w odpowiedzi na pytający wzrok Harry'ego Tomasellego rzekł:

– Joe Pearson mówi, że jeszcze nic nie wiemy.

W wyłożonym boazerią gabinecie dyrektora administracyjnego panowała cisza. Obaj mężczyźni mieli pełną świadomość, co oznaczał brak wiadomości od Pearsona. Wiedzieli, że działalność szpitala zbliża się do nieuchronnego końca.

Od wczesnego popołudnia powoli realizowano plan wstrzymania przyjęć pacjentów,

opracowany przez Tomasellogo kilka dni temu; teraz okazał się aktualny z powodu zamknięcia szpitalnych kuchni. Począwszy od jutrzejszego śniadania, dwie miejscowe restauracje, łącząc z tej okazji swoje siły, będą przygotowywały posiłki dla stu pacjentów, którym zalecono dietę, oraz dostarczały jedzenie dla ciężko chorych, których nie można wypisać ze szpitala. Co do pozostałych jak najwięcej osób wypisze się do domów, a tych, którzy nadal wymagają opieki, przeniesie się do innych placówek w Burlington i okolicy, które już zaczęły mobilizować środki, by sprostać potrzebie.

Godzinę temu Harry Tomaselli wiedząc, że transport pacjentów przeciągnie się do późnej nocy, wydał polecenie rozpoczęcia akcji. W tej chwili sznur ambulansów ściągniętych z wszelkich możliwych ośrodków zaczął ustawiać się przed wyjściem awaryjnym. Tymczasem na oddziałach i w pawilonach dla prywatnych pacjentów pielęgniarki i lekarze sprawnie przenosili chorych z łóżek na nosze i wózki, przygotowując ich do nieoczekiwanej podróży. Dla tych, którzy mieli choć trochę czasu na refleksję, była to gorzka, przygnębiająca chwila. Po raz pierwszy w swej czterdziestoletniej historii Szpital Trzech Hrabstw odsyłał chorych i rannych spod drzwi.

Usłyszeli lekkie pukanie i do gabinetu wszedł Orden Brown. Wysłuchał uważnie relacji Tomasellogo na temat tego, co się wydarzyło od ich spotkania cztery godziny temu, i na koniec spytał: – Czy lekarze z wydziału zdrowia znowu tu byli?

– Jeszcze nie – odparł Tomaselli. – Powinni przyjść lada moment.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zaczekam razem z wami – powiedział spokojnym głosem, a po chwili zwrócił się do O'Donnella: – Kent, wprawdzie w tej chwili nie jest to istotne, ale właśnie sobie coś przypomniałem. Dzwonił do mnie Eustace Swayne. Chce, żebyś go odwiedził, jak skończymy z tą sprawą.

Na moment bezczelna prośba Swayne'a odebrała O'Donnellowi głos. Nie było wątpliwości, w jakim celu Eustace Swayne chce z nim rozmawiać; powód mógł być tylko jeden – stary zamierza użyć swych pieniędzy i wpływów, aby wstawić się za swoim przyjacielem, Joe Pearsonem. Po tym, co wydarzyło się w ostatnich dniach, takie zaślepienie oraz arogancja wydawały się czymś wręcz niesłychanym. O'Donnell zawrzał gniewem:

– Niech diabli wezmą Eustace'a Swayne'a i wszystko, co się z nim wiąże!

– Pozwolę sobie przypomnieć – głos Ordena Browna brzmiał lodowato – że mówisz o członku zarządu szpitala. Nieważne, czy się kłócicie, czy nie, należy mu się jednak

przynajmniej trochę szacunku.

O'Donnell stanął naprzeciw Ordena Browna, jego oczy rzucały gniewne błyski. Dobrze, pomyślał, jeśli chcesz otwartej wojny, proszę bardzo. Skończyłem bawić się w politykę – raz na zawsze.

Naraz na biurku Tomasellego zadzwonił telefon.

– Panie dyrektorze – usłyszeli głos dziewczyny – właśnie przyjechali inspektorzy sanitarni z wydziału zdrowia.

Była za trzy minuty piąta.

Na wieży kościoła Zbawiciela zegar wybił pełną godzinę. Tak jak owego ranka sześć tygodni temu kiedy to, przypomniał sobie O'Donnell, otrzymał pierwsze ostrzeżenie o krachu zagrażającym szpitalowi.

Korytarze Szpitala Trzech Hrabstw przemierzała mała grupka osób. Poza O'Donnellem, który siedł na przodzie, znajdował się w niej Orden Brown, Harry Tomaselli i doktor Norbert Ford, inspektor sanitarny miasteczka Burlington. Za nim kroczyła pani Straughan, która dołączyła do nich, gdy wychodzili z gabinetu dyrektora, oraz młody zastępca inspektora, którego nazwiska O'Donnell nie pamiętał.

Teraz opanowawszy nieco złość ordynator chirurgii był zadowolony z wizyty, która zapobiegła kłótni, jaka mogła się wywiązać między nim a Ordenem Brownem. O'Donnell dobrze wiedział, że od paru dni wszyscy, nie wyłączając jego samego, żyją w ogromnym napięciu, a prezes zarządu nie zrobił w końcu nic złego poza przekazaniem informacji. Tak naprawdę to był wściekły na Eustace'a Swayne'a i postanowił spotkać się ze starym bogaczem, jak tylko upora się z epidemią. Wówczas rozmówi się z nim szczerze i bez osłonek, nie bacząc na późniejsze konsekwencje.

Kent O'Donnell zaproponował, żeby przejść na oddział patologii.

– Przynajmniej zobaczą panowie – powiedział do inspektora sanitarnego – że robimy, co w naszej mocy, by dotrzeć do źródła infekcji.

Doktor Ford w pierwszej chwili zachnął się: – Nikt tego nie kwestionuje, a wątpię, bym mógł być patologom w czymkolwiek pomocny...

Na usilne nalegania O'Donnella przełamał się jednak i pomaszzerowali teraz w stronę podziemi.

Widząc gości John Alexander podniósł wzrok, lecz nie zaprzestał wykonywania próby

cukrowej. Za to Pearson ruszył na powitanie, wycierając uprzednio ręce w przybrudzony fartuch. Na znak Harry'ego Tomasellogo David Coleman również zbliżył się do nich.

O'Donnell dokonał prezentacji. Gdy Pearson i doktor Ford wymienili uścisk dłoni, inspektor sanitarny zapytał: – Macie już coś?

– Jeszcze nie – Pearson przejechał ręką po laboratorium. – Jak pan widzi nadal pracujemy.

– Joe – odezwał się O'Donnell – pomyślałem, że trzeba cię o tym poinformować: doktor Ford wydał polecenie zamknięcia szpitalnych kuchni.

– Dzisiaj? – powiedział Pearson z niedowierzaniem. Inspektor kiwnął głową.

– Niestety, tak.

– Nie możecie tego zrobić! To śmieszne! – stary patolog po staremu zachowywał się agresywnie. Jego głos brzmiał wojowniczo, a zmęczone oczy rzucały gniewne błyski. Wybuchnął: – Na Boga! Będziemy pracować całą noc i uporamy się z tym do południa. Jeśli wśród badanych jest nosiciel, z pewnością dowiemy się, kto to jest.

– Przykro mi – inspektor pokręcił głową. – Nie możemy ryzykować.

– Ale zamknięcie kuchni oznacza w praktyce zamknięcie szpitala – Pearson uniósł się gniewem. – Przecież możecie poczekać do rana, przynajmniej do rana.

– Niestety, nie – doktor Ford mówił grzecznie, lecz stanowczo.

– W każdym razie ta decyzja nie zależy wyłącznie ode mnie. Po prostu miasto nie może dopuścić do rozszerzenia się epidemii, która co prawda ogranicza się do tych ścian, lecz w każdej chwili może przenieść się na zewnątrz. Tego właśnie się obawiamy.

– Joe, podamy jeszcze kolację – wtrącił się Harry Tomaselli – i na tym koniec. Pacjentów, których się da, wysyłamy do domów, a pozostałych przenosimy do innych szpitali.

W laboratorium zrobiło się cicho. Mięśnie twarzy Pearsona pracowały. Jego głęboko osadzone, podkrążone oczy były bliskie łez. Powiedział półgłosem: – Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję takiego dnia...

Gdy goście zbierali się do wyjścia, O'Donnell dodał cicho:

– Prawdę mówiąc, Joe, ja też nie...

Byli już przy drzwiach, gdy John Alexander wykrzyknął: – Mam go! Jak na rozkaz wszyscy odwrócili się. Pearson rzucił ostro: – Co masz! Co jest?

– Pałeczki duru.

– Pokaż! – Pearson pośpiesznie przebiegł przez pokój. Pozostali zawrócili z drogi.

Stary patolog spojrział na rząd probówek. Zwilżył nerwowo usta. Jeśli Alexander miał rację, ich czas oczekiwania dobiegł końca. – Sprawdź według listy – polecił.

John Alexander wziął podręcznik otwarty na stronie z tabelą wykresów bakteryjnych reakcji biochemicznych w probówkach cukrowych. Wskazując palcem kolumnę zatytułowaną „*Salmonella typ hi*” przygotował się do odczytywania. Pearson podniósł pierwszą z dziesięciu probówek i zawołał: – Glukoza.

Alexander wpatrując się w listę odparł: – Tworzenie kwasu, brak gazu.

Pearson kiwnął głową, odstawił probówkę na miejsce i wybrał następną.

– Laktoza.

– Brak kwasu, brak gazu – czytał Alexander.

– Dobra – chwila przerwy. – Dulcitol.

– Brak kwasu, brak gazu – przeczytał John.

– Sacharoza.

– Brak kwasu, brak gazu – jeszcze jedna prawidłowa reakcja na bakterie duru. W pokoju rosło napięcie. Pearson podniósł następną probówkę.

– Mannitol.

– Tworzenie kwasu, brak gazu.

– Prawidłowo. Następna próbka – maltoza.

– Kwas, brak gazu.

Pearson kiwnął głową. Sześć sprawdzili, przed nimi jeszcze cztery.

– Ksyloza.

Alexander przeczytał znowu: – Kwas, brak gazu.

– Siedem.

– Arabinoza.

– Kwas, ale brak gazu lub brak jakiegokolwiek reakcji. Pearson ogłosił: – Brak reakcji.

– Osiem. Jeszcze dwie.

– Ramnoza.

– Brak reakcji.

Patolog popatrzył na preparat i rzekł miękko: – Brak reakcji. Ostatnia. Pearson przeczytał: – Tworzenie indolu.

– Ujemne – Alexander odłożył książkę.

Pearson odwrócił się do obecnych i powiedział: – Nie ma żadnych wątpliwości – mamy nosiciela duru.

– Kto to jest? – pierwszy zapytał dyrektor administracyjny. Pearson zajrzał na spód płytki Petriego i przeczytał: – Numer siedemdziesiąty drugi.

David Coleman sięgnął po rejestr, w którym znajdowała się sporządzona przez niego lista osób i oznajmił:

– Charlotte Burgess.

– Znam ją! – wykrzyknęła pani Straughan. – Pracuje przy wydawaniu posiłków.

Oczy wszystkich bezwiednie zwróciły się w stronę zegara, było siedem minut po piątej.

Pani Straughan krzyknęła gwałtownie: – Kolacja! zaczynają wydawać posiłki!

– Szybko do jadalni! – Harry Tomaselli stał już przy drzwiach.

Przełożona pielęgniarek wkroczyła z impetem do pokoju Vivian na pierwszym piętrze, by sprawdzić numer na drzwiach.

Och, tak, to pani Loburton zajrzała do brulionu i zapisała coś ołówkiem. – Przenosimy panią do West Burlington Clinic.

– Czy mogę wiedzieć kiedy? – zapytała uprzejmie Vivian. Wczesnym popołudniem poinformowano ją o rychłej przeprowadzce, a także przyczynach tego pośpiechu.

Karetki cały czas kursują. Przypuszczam, że za kilka godzin – prawdopodobnie około dziesiątej wieczorem. Pielęgniarka, która opiekuje się panią, przyjdzie pomóc pozbierać wszystkie rzeczy.

– Dziękuję – odparła Vivian.

Pielęgniarka zajęła się swoimi notatkami, skinęła głową i wyszła.

Nadszedł moment, by zawołać Mike'a, pomyślała Vivian. Pięciodniowa separacja miała się skończyć jutro, lecz żadne z nich nie przewidziało takiego biegu wypadków. Ponadto Vivian zaczęła już żałować swojej propozycji – teraz wydawała się jej zachcianką głupią i nikomu niepotrzebną.

Wyciągnęła rękę po telefon, tym razem bez wahania. Usłyszała dziewczynę na centrali.

– Poproszę z doktorem Michaellem Seddonsem.

– Chwileczkę.

Po kilku minutach telefonistka odezwała się ponownie: – Doktora Seddonsa nie ma w szpitalu, wyjechał z chorymi. Czy połączyć z kimś innym?

- Nie, dziękuję. Chciałabym zostawić dla niego wiadomość.
- Czy to sprawa służbowa? – zapytała dziewczyna. Vivian była w rozterce.
- Nie, niezupełnie.
- Możemy przyjmować wyłącznie informacje służbowe. Proszę zadzwonić później.

Usłyszała trzask odkładanej słuchawki, a potem zapadła cisza.

Z korytarza dobiegł ją zgiełk podniesionych głosów. Wyczuwała w nich nastrój podniecenia; ktoś wydawał pośpiesznie jakieś polecenia, potem usłyszała stukot, jakby coś upadło na podłogę i czyjś śmiech. To wszystko wydawało się takie zwyczajne, powszednie, ale w tej chwili zapragnęła być tam i uczestniczyć we wszystkim, cokolwiek się działo. Naraz jej wzrok padł na załamanie kołdry w miejscu, gdzie kończyła się jej lewa noga. Dopiero teraz poczuła się przeraźliwie samotna.

- Och, Mikę! – szepnęła – Mikę, kochanie, gdziekolwiek jesteś, proszę, przyjdź!

Pielęgniarka Elaine Penfield zamierzała wejść do stołówki, gdy ujrzała grupę osób idących w jej kierunku. Wśród nich rozpoznała dyrektora administracyjnego i ordynatora chirurgii. Za nimi kroczyła pani Straughan, główna dietetyczka, starając się dotrzymać kroku panom; jej obfite piersi podskakiwały przy każdym ruchu.

Wchodząc do stołówki Harry Tomaselli nieco zwolnił i rzekł do pani Straughan: – Chciałbym, żeby sprawa została załatwiona szybko i bez rozgłosu.

Dietetyczka kiwnęła głową i razem weszli drzwiami służbowymi do kuchni.

Tymczasem O'Donnell skinął na panią Penfield: – Proszę pójść ze mną. Chcę, żeby pani nam w czymś pomogła.

Wszystko potoczyło się gładko i zgodnie z planem. Przy ladzie, gdzie wydawano posiłki, stała kobieta w średnim wieku. Pani Straughan podeszła do niej, wzięła ją pod ramię i poprowadziła do pokoju na zapleczu. O'Donnell zwrócił się do zaskoczonej kobiety: – Proszę chwilę zaczekać – z kolei pielęgniarkę poprosił gestem ręki, żeby z nią została, natomiast pani Straughan polecił: Proszę wziąć jedzenie, które ta pani miała w rękach, i spalić. Jeśli się da, wycofajcie posiłki, które dotąd wydała. To samo proszę zrobić z naczyniami, których mogła dotykać; trzeba je wygotować.

Główna dietetyczka podeszła do lady. W ciągu paru minut polecenia zostały wykonane i kolejka mogła dalej się przesuwac. Jedyne kilka stojących najbliżej osób zorientowało się, że coś się dzieje.

W pokoju na zapleczu O'Donnell wyjaśnił pracownicy: – Pani Burgess, proszę się uważać za pacjentkę szpitala – i dodał życzliwie:

– Proszę się nie niepokoić, wyjaśnimy, o co chodzi.

Do Elaine Penfield powiedział: – Proszę zaprowadzić pacjentkę do izolatki. Nie może się z nikim kontaktować. Zadzwońię do doktora Chandlera po instrukcje.

Elaine Penfield delikatnie wyprowadziła przestraszoną kobietę.

Gdy wyszły, pani Straughan spytała zaciekawiona: – Co się teraz z nią stanie doktorze O.?

– Będzie pod dobrą opieką – odparł. – Umieścimy ją na oddziale zamkniętym i jakiś czas pozostanie pod obserwacją internistów. Czasami nosiciel pałeczek duru może mieć zainfekowany pęcherzyk żółciowy i w takim wypadku trzeba go operować. Poza tym przeprowadzimy badania kontrolne innych ludzi. Harvey Chandler tego dopilnuje.

Harry Tomaselli rozmawiał przez telefon ze swoim asystentem:

– Właśnie tak powiedziałem; odwołaj wszystko: przeprowadzki, wypisy, posiłki z restauracji, wszystko. Potem możesz zadzwonić do izby przyjęć – dyrektor uśmiechnął się zza biurka do O'Donnella – i powiedziec im, że Szpital Trzech Hrabstw znowu jest otwarty dla pacjentów.

Tomaselli odłożył słuchawkę i sięgnął po filiżankę kawy, którą dietetyczka przygotowała w swoim prywatnym ekspresie.

– Przy okazji, pani Straughan – odezwał się – nie miałem czasu pani wcześniej powiedziec: dostanie pani nowe zmywarki. Zarząd zatwierdził zakup i uruchomiono zlecenie. Spodziewam się, że zostanie zrealizowane w przyszłym tygodniu.

Dietetyczka kiwnęła głową; najwyraźniej spodziewała się takiej informacji. Jednak myślami była już przy innych sprawach.

– Skoro już pan tu jest, panie T., chciałabym panu jeszcze coś pokazać. Należałoby powiększyć chłodnię – wlepiła wzrok w dyrektora. – Mam nadzieję, że tym razem nie będzie się czekać na epidemię, żeby się przekonać dlaczego.

Dyrektor westchnął, i wstał. Zapytał O'Donnella: – A ty masz jeszcze jakieś sprawy na dzisiaj?

– Dzisiaj nie – odpowiedział O'Donnell. – Ale jutro chciałbym z tobą omówić pewną kwestię na osobności.

Miał na myśli spotkanie z Eustace'em Swayne'em.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Tej nocy David Coleman nie spał dobrze. Cały czas myślał o Szpitalu Trzech Hrabstw, oddziale patologii i doktorze Pearsonie.

Zdaniem Colemana postawa starego w ostatnich czterech dniach w żadnym stopniu nie umniejszała jego winy za śmierć dziecka Alexandrów; niezmiennie ciążyła na nim ogromna odpowiedzialność za wydarzenia sprzed tygodnia. Coleman nie zmienił także zdania na temat oddziału patologii, uważając, że jest przykładem bałaganu administracyjnego, grzęznącego w anachronicznych poglądach, stylu pracy oraz sprzęcie, który już dawno należało odstawić do lamusa.

A jednak w tym czasie stosunek Colemana do starego patologa zmienił się na korzyść, wprawiając młodego lekarza w zakłopotanie. Niby dlaczego? Jeszcze tydzień temu uważał go za zgrzybiałego, niekompetentnego starca, który kurczowo trzyma się stołka. Od tamtej pory nie wydarzyło się nic na tyle istotnego, żeby można było jakoś wytłumaczyć taką ewolucję. Jakże zatem miał powody, aby teraz czuć się nieswojo?

Jest prawdą, że Pearson dzięki swojej wiedzy i trafności podejmowanych decyzji – poradził sobie z epidemią i jej następstwami znacznie lepiej niż zrobiłby to sam Coleman, lecz cóż w tym dziwnego? W końcu lata doświadczeń mówią same za siebie; poza tym wydaje się zrozumiałe, że w aktualnej sytuacji Pearson będzie czynił wszelkie starania, by się wykazać.

Właściwie to Coleman sam wyrobił sobie opinię o starym lekarzu, teraz nie była już tak jednoznaczna i tak kategoryczna. Wcześniej zaliczył Pearsona do intelektualnych zer, zupełnie pomijając jego dotychczasowe osiągnięcia. Teraz nie był pewien własnego osądu. W końcu doszedł do wniosku, że w najbliższym czasie przyjdzie mu się zetknąć ze znaczną ilością spraw, co do których wątpliwości będzie dużo więcej.

Kłopoty ze snem sprawiły, że pojawił się w szpitalu dość wcześnie, parę minut po ósmej wszedł do gabinetu patologicznego. Za biurkiem starego zastał Rogera McNeila, rezydenta.

– Dzień dobry – zwrócił się do Colemana McNeil. – Jesteś pierwszy. Przypuszczam, że reszta odrabia zaległości w spaniu.

– A my mamy tu jakieś zaległości? – zapytał David Coleman.

– Nie jest źle. Mamy sporo roboty, lecz niezbyt pilnej, z najważniejszymi udało mi się jakoś

uporać – rzekł i dodał: – Seddons wiele mi pomógł. Powiedziałem mu, że powinien zostać na patologii i nie zawracać sobie głowy chirurgią.

Colemana trapiła jeszcze inna myśl: – Co z tą studentką, pielęgniarką, której amputowano nogę? – zapytał. – Była już badana? – przypomniał sobie, że obaj z Pearsonem postawili różne diagnozy.

Nie – McNeil wyciągnął jeden z segregatorów, leżących na biurku, otworzył go i przeczytał: – Vivian Loburton, tak się nazywa. Nie było to takie pilne, więc sprawę odłożyłem. Noga znajduje się w lodówce. Chcesz sam się tym zająć?

– Tak – odparł Coleman. – Chyba tak.

Zabrał segregator i wszedł do pomieszczenia przylegającego do prosektorium. Wyjął nogę z lodówki i zaczął odwijać gazę. Ciało było białe, zimne, w miejscu przecięcia zobaczył zakrzepłą krew. Wymacał miejsce z guzem, lokalizując go błyskawicznie: twarda, zbita masa po wewnętrznej stronie tuż pod kolanem. Wziął nóż, naciął skórę głęboko i przyjrzał się jej z rosnącym zainteresowaniem.

Służący wziął od O'Donnella płaszcz i kapelusz i powiesił w szafie mrocznego, przestronnego hallu. Rozglądając się wokół siebie chirurg zastanowił się, jak ktoś – bogaty czy biedny – może sobie wybrać na mieszkanie coś podobnego. Jednak natychmiast doszedł do wniosku, że dla człowieka pokroju Eustace'a Swayne'a taka posępna atmosfera, bogactwo lśniącej boazerii, ściany z zimnego, ciosanego kamienia – wszystko to daje mu poczucie władzy, która nawiązując do przeszłości łączy go z dawnymi czasami i miejscami. O'Donnella ciekawiło, co stanie się z tym domem po śmierci starego. Najprawdopodobniej zostanie przekształcony w muzeum lub galerię sztuki albo będzie stał pusty, niszcząc jak wiele podobnych budynków. Nie wyobrażał sobie, by ktoś chciał tu zamieszkać. Logicznie rozumując, wrota tego gmaszyska powinny być zamknięte na cztery spusty od piątej po południu do następnego dnia rano. Później uzmysłowił sobie, że przecież Denise musiała wśród tych surowych ścian spędzić całe swoje dzieciństwo. Czy była tutaj szczęśliwa?

– Dzisiaj pan Swayne jest trochę zmęczony, proszę pana – odezwał się służący. – Pyta, czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli przyjmie pana w sypialni.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparł O'Donnell. Przyszło mu do głowy, że ze względu na to, co ma do powiedzenia, sypialnia Swayne'a może się okazać najwłaściwszym miejscem rozmowy. Gdyby Eustace Swayne dostał przypadkiem napadu apopleksji, przynajmniej będzie

go gdzie położyć. Poszedł za służącym szerokimi schodami o rzeźbionych poręczach, a potem korytarzem. Odgłos ich kroków tłumiał puszysty dywan. Służący zastukał delikatnie w ciężkie, wybijane ćwiekami drzwi i nacisnął klamkę z kutego żelaza. Wprowadził O'Donnella do ogromnego pokoju.

W pierwszej chwili Eustace'a Swayne'a nie zauważył. Jego wzrok padł na masywny kominiek, w którym trzaskały szczapy palącego się drewna. Żar był niesamowity i w pokoju panował upał wręcz nieznośny jak na ów sierpniowy poranek. Dopiero później zobaczył Swayne'a, który leżał w ogromnym łożu z baldachimem, podparty poduszkami. Ramiona miał okryte szlafrokiem z wyhaftowanym monogramem.

Zbliżywszy się do starego bogacza lekarz zdumiał się; od ostatniego spotkania, kiedy to wspólnie z Ordenem Brownem i Denise spożywali kolację, jego gospodarz jakby skurczył się, zmalął.

– Dziękuję, że pan przyszedł – przywitał go Swayne. Mówił również nieswoim głosem. Wskazał gościowi krzesło. Siadając O'Donnell odezwał się: – Przekazano mi, że chce się pan ze mną widzieć – w myśli zrewidował już wcześniej niektóre ze swoich oświadczeń, jakie zamierzał wygłosić. Oczywiście, nic nie jest w stanie zmienić jego stanowiska w sprawie Joe Pearsona, ale przynajmniej może zachowywać się uprzejmie. Wolał nie szarpać się z tym schorowanym mężczyzną; jakikolwiek spór był bezsensowny, gdyż nie zapewniałby im równych szans.

– Odwiedził mnie Joe Pearson – rzekł Swayne – trzy dni temu, jak mi się zdaje.

A więc to u niego przebywał Pearson, gdy zniknął ze szpitala na parę godzin, a oni usiłowali go znaleźć.

– Tak – odparł O'Donnell – spodziewałem się tego.

– Powiedział mi, że odchodzi ze szpitala – w głosie starego magnata słychać było znużenie. Jak dotąd, lekarz ani na moment nie wyczułby stary miał go wezwać z zamiarem udzielenia przygany. Ciekaw był dalszego przebiegu rozmowy.

– Tak, to prawda – rzekł ostrożnie.

Starzec milczał. Po chwili powiedział: – Zdarzają się sprawy, nad którymi nikt nie potrafi zapanować – teraz w jego głosie zabrzmiała nuta gorczy. A może rezygnacji? Trudno powiedzieć.

– Chyba ma pan rację – zgodził się łagodnie lekarz.

Joe Pearson przyszedł do mnie z dwiema prośbami. Po pierwsze, abym nie stawiał wam

żadnych warunków, co do mojej darowizny na fundusz budowy szpitala. Zgodziłem się.

Nastąpiła przerwa, podczas której O'Donnell chłonał znaczenie wypowiedzianych słów. Stary ciągnął: – Druga prośba miała charakter bardziej osobisty. Macie w szpitalu pracownika, który nazywa się, o ile dobrze pamiętam, John Alexander...

– Tak, mamy – odparł O'Donnell zaskoczony. – John Alexander pracuje jako technik analityk w laboratorium.

– Stracili dziecko? O'Donnell przytaknął.

– Joe Pearson poprosił mnie, abym opłacił jego studia medyczne. Oczywiście, stać mnie na to – przynajmniej można zrobić jeszcze jakiś użytek z pieniędzy – Swayne sięgnął po grubą brązową kopertę, leżącą na kołdrze. – Moim prawnikom wydałem już stosowne polecenia: powstanie specjalny fundusz, który wystarczy na opłacenie szkoły i znośne utrzymanie jego i jego żony. Później, jeśli będzie chciał się specjalizować i na to znajdą się pieniądze – starszy pan urwał, jakby rozmowa go męczyła. Za moment ciągnął dalej: – Ale teraz rozważam utworzenie czegoś bardziej trwałego. Za jakiś czas pojawią się inni młodzi ludzie, którzy również będą zasługiwali na pomoc finansową. Dlatego chciałbym założyć fundację, nad którą opiekę będzie sprawować rada medyczna Trzech Hrabstw. Stawiam tylko jeden warunek – Eustace Swayne wyzywająco spojrział w oczy O'Donnellowi:

– Fundacja ma nosić nazwę: Fundacja Medyczna Josepha Pearsona. Czy ma pan coś przeciwko temu?

Poruszony do głębi, a także zawstydzony O'Donnell odparł:

– Absolutnie nic, proszę pana. Moim zdaniem, będzie to jedna z najwspanialszych rzeczy, jakich dokonał pan w życiu.

– Mikę, proszę cię, powiedz mi prawdę. Chcę wiedzieć – nalegała Vivian.

Patrzyli na siebie – Vivian leżąc w szpitalnym łóżku, Mikę Seddons stojąc obok z zalęknioną miną.

Było to ich pierwsze spotkanie po kilkudniowej rozłące. Wczoraj wieczorem, kiedy odwołano ewakuację pacjentów, Vivian ponownie usiłowała telefonicznie skontaktować się z Mike'em, ale bez skutku. Dzisiaj rano przyszedł sam, bez ponaglania, tak jak się umówili sześć dni temu. W tej chwili przyglądała mu się badawczo, przejęta strachem, gdyż intuicja podpowiadała jej to, czego rozum nie chciał przyjąć do wiadomości.

– Słuchaj, Vivian – rzekł, a wtedy dziewczyna zauważyła, że cały drży. – Muszę z tobą

porozmawiać.

Nie odpowiedziała, tylko spojrzała mu przeciągle w oczy. Oblizwał spieczone usta. Wiedział, że dostał wypieków na twarzy, czuł przyśpieszone bicie serca. Miał ochotę odwrócić się i uciec. Jednak nie ruszył się z miejsca, próbując coś powiedzieć, choć nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

– Chyba wiem, co chcesz powiedzieć, Mikę – Vivian mówiła spokojnie, jakby odarta z wszelkich emocji. – Nie chcesz się ze mną żenić, gdyż będę dla ciebie ciężarem.

– Och, Vivian, kochanie!

– Przestań, Mikę! Proszę cię, przestań!

– Posłuchaj, Vivian – wysłuchaj mnie! To nie takie proste... – znowu zabrakło mu słów.

Przez ostatnie trzy dni usiłował doszukać się właściwych słów i wyrażań, którymi mógłby teraz się posłużyć, choć zdawał sobie sprawę, że niezależnie od formy wypowiedzi jej treść pozostanie ta sama. Od ostatniego spotkania Mikę Seddons badał zakamarki swojej duszy i sumienia. To, co odkrył, nappełniło go wstrętem i pogardą dla samego siebie, ale przynajmniej dotarł do prawdy: był pewien, że ich małżeństwo nie miało szans powodzenia i to nie ze względu na Vivian, lecz na niego.

Szczegółowo analizując własny charakter, wyobraził sobie różne sytuacje, w jakich mogliby się znaleźć oboje. Oczywiście wyobraźni ujrzał ich wchodzących do pokoju pełnego ludzi: on młody, silny, sprawny, a Vivian wsparta na jego ramieniu, stąpająca powoli, nieporadnie, może o lasce, ograniczona w ruchach z powodu protezy. Widział siebie nurkującego wśród fal bądź prawie nagiego na słonecznej plaży, i Vivian, kompletnie ubraną, niemogącą dzielić z nim tych przyjemności, gdyż sztuczna noga wygląda odpychająco, a bez niej byłaby tylko dziwnym, nieruchomym potworkiem – obiektem współczucia, od którego każdy odwraca wzrok.

I jeszcze więcej.

Pokonując własną niechęć i starając się być maksymalnie przyzwoitym, skupił się nad sprawami seksu. Wyobraził sobie wieczorną scenę przed pójściem do łóżka. Czy Vivian sama będzie odpinąć plastikową nogę, czy będzie musiał jej pomagać? Czy można mówić o przyjemnościach towarzyszących rozbierankom, jeśli się wie, co się za tym kryje? A jak będą się kochać – ze sztuczną nogą czy bez? Jeśli z protezą, to jak to będzie wyglądać – twarda, sztywna kończyzna napierająca na jego pełne namiętności ciało? Jeśli bez nogi, to jak się będzie czuł mając kikut pod sobą? Czy można się spodziewać fizycznego spełnienia w kontakcie

z okaleczonym ciałem?

Mikę Seddons oblał się potem. Przeanalizował wszystko dogłębnie i zobaczył swoje prawdziwe oblicze.

– Nie musisz nic wyjaśniać, Mikę – tym razem Vivian odezwała się zduszonym głosem.

– Ale ja chcę! Muszę! Jest tyle spraw, które razem powinniśmy przemyśleć – teraz mówienie szło mu łatwiej, gdyż nagle zapragnął wytłumaczyć się z wszystkiego, by Vivian zrozumiała, jakie przeżywał męki, zanim tu przyszedł. Nawet w tym momencie potrzebował jej pobłażliwości. Zaczął: – Posłuchaj, Vivian. Przemyślałem wszystko i sądzę, że lepiej będzie...

Poczuł na sobie badawcze spojrzenie jej oczu. Do tej pory nawet nie zauważył, że wyrażają spokój i otwartość.

– Proszę cię, Mikę, nie kłam. Lepiej już idź...

Wiedział, że to naprawdę nie ma sensu. W tej chwili marzył tylko, aby stąd uciec, gdzieś daleko i nie patrzeć Vivian w oczy. Jednak wciąż się wahał. Zapytał: – Co zrobisz?

– Jeszcze nie wiem. Prawdę mówiąc, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam – Vivian panowała nad głosem, ale czuło się, że kosztuje ją to sporo wysiłku. – Może jednak zostanę pielęgniarką, jeśli się na to zgodzą. Oczywiście muszę się dowiedzieć, czy jestem zupełnie zdrowa, jeśli nie, to ile mi zostało czasu. Tak to wygląda, prawda Mikę?

Miał na tyle uczciwości, by spuścić wzrok.

Stojąc przy drzwiach spojrzał na nią po raz ostatni.

– Do widzenia, Vivian – rzekł.

Próbowała odpowiedzieć, ale nie potrafiła. Zbyt długo trzymała nerwy na wodzy.

Z pierwszego piętra Mikę Seddons zszedł schodami na oddział patologii. Wszedł do prosektorium, a stamtąd do małego pomieszczenia, w którym David Coleman przeprowadzał badanie amputowanej nogi. Seddons spojrzał na kończynę, białą, pozbawioną życia i stróżkę krwi w miejscu, które Coleman naciął nożem. Odmalował sobie makabryczny obrazek: ta noga w nylonowej pończosze i sandału na wysokim obcasie... Później, jak nieprzytomny, skierował się do kartoteki i odczytał nazwisko.

Wyszedł na korytarz i wymiotował.

– Och, doktor Coleman! Proszę wejść!

Na widok młodego patologa, Kent O'Donnell wstał zza biurka. Gdy do Colemana dotarła wiadomość od przewodniczącego rady medycznej szpitala, akurat kończył myć się po sekcji.

– Proszę usiąść – O'Donnell wyciągnął grawerowaną złotą papierośnicę. – Papierosa?

– Dziękuję – Coleman wziął papierosa i przyjął ogień od O'Donnella. Usiadł wygodnie w skórzanym fotelu. Podświadomie przeczuwał, że to, co teraz nastąpi, będzie punktem zwrotnym w jego życiu.

O'Donnell podszedł do okna i stanął twarzą do gościa.

– Słyszał pan zapewne – powiedział – że doktor Pearson złożył rezygnację.

– Tak, słyszałem – Coleman odparł obojętnie, po czym dodał ku własnemu zaskoczeniu: – Ale wie pan, że przez ostatnie trzy dni nie oszczędzał się. Spędzał tutaj dzień i noc.

– Tak, wiem – O'Donnell wpatrywał się w końcówkę papierosa.

– Lecz to nie zmienia postaci rzeczy. Zgodzi się pan ze mną?

– Tak – odparł – chyba ma pan rację.

– Ponieważ Joe chce odejść natychmiast – ciągnął O'Donnell – oznacza to, że będziemy mieli wakujące stanowisko kierownika oddziału patologii. Zgodziłby się pan je przyjąć?

David Coleman zawahał się na moment. Tego właśnie pragnął: własnego oddziału; swobody działania, która daje szansę wykorzystania najnowszych zdobyczy nauki i wprowadzenia w życie nowoczesnych metod leczenia, jak również podniesienia patologii do właściwej rangi. Był to kielich miodu, którego smaku chciał spróbować, tymczasem Kent O'Donnell podał mu go na tacy.

Jednak potem ogarnął go lęk. Nagle przestraszył się odpowiedzialności, która na niego spadnie. Uświadomił sobie, że nie będzie już nikogo starszego, kto by wziął na siebie podejmowanie decyzji; końcowy wybór, to znaczy ostateczna diagnoza, będzie należał wyłącznie do niego. Czy podoła temu? Czy jest już na to dostatecznie przygotowany? Jest młodym człowiekiem i gdyby chciał, przez kilka lat mógłby jeszcze pozostać w cieniu. Później pojawiłyby się nowe propozycje, dając mu trochę czasu na oswojenie się z myślą o awansie. Ileż to czasu, aby się przygotować! Wiedział jednak, że nie ma odwrotu, ta chwila zbliżała się doń nieuchronnie od pierwszego dnia pobytu w Trzech Hrabstwach.

– Tak – odparł. – Jeśli otrzymam taką propozycję, jestem gotów ją przyjąć.

– Mogę panu powiedzieć, że otrzyma ją, pan – O'Donnell uśmiechnął się i spytał: – Czy mógłby pan odpowiedzieć mi na jedno pytanie?

– Jeśli tylko potrafię...

Chirurg zawiesił głos, zastanawiał się nad doborem słów. Uważał, że pytanie, które za chwilę

postawi, będzie miało dla nich obu ogromne znaczenie. W końcu zapytał: – Czy może mi pan powiedzieć, jaki jest pański stosunek do medycyny w ogóle i tego szpitala w szczególności?

– Bardzo trudno to wyrazić...

– Niech pan spróbuje.

David Coleman zadumał się. To prawda, że ma swoje poglądy na ten temat, ale rzadko się z nimi zdradzał, nawet przed sobą samym. Być może nadeszła już pora, żeby je zdefiniować.

Wydaje mi się – zaczął powoli – że to wszystko wokół – my lekarze, szpital, techniki medyczne – istnieje tylko z jednego powodu: by służyć pacjentom i nieść im pomoc. Czasami zapominamy o tym. Koncentrujemy się na sprawach medycznych, badaniach naukowych, lepszych szpitalach, zapominając, że jedyną racją naszego istnienia są ludzie. Ludzie, którzy nas potrzebują i liczą na naszą pomoc – urwał. – Chyba niezbyt zręcznie to wypadło...

– Nic podobnego – rzekł O'Donnell – mówi pan bardzo sensownie. – Ogarnęło go uczucie triumfu, wstąpiła weń nadzieja. Instynkt go nie zawiódł: dokonał właściwego wyboru. Przewidywał, że obaj – on jako ordynator chirurgii i Coleman zajmujący się patologią – znajdą wspólny język. Wspólnie będą coś budować z pożytkiem dla Trzech Hrabstw. Nie wszystko, czego dokonają, będzie wzorem doskonałości; nigdy tak się nie dzieje. Ale przynajmniej łączą ich wspólne cele, podobne marzenia. Będą musieli ściśle z sobą współpracować; Coleman jest młodszy i w niektórych dziedzinach O'Donnell, mając większe doświadczenie, może okazać się przydatny. Przez ostatnie parę tygodni ordynator oddziału chirurgii sam wiele się nauczył. Już się przekonał, że do samozadowolenia dochodzi się zarówno przez nadgorliwość, jak i całkowitą obojętność, a katastrofa może przyjść z każdej strony. Od dzisiaj będzie z tym walczył na wszystkich frontach, a oddział patologii z młodym doktorem Colemanem będzie jego podporą. Pomyślał teraz o czym innym.

– Jeszcze jedno. Co pan sądzi o doktorze Pearsonie i okolicznościach, w jakich odchodzi?

– Nie mam zdania – odparł Coleman.

To nic złego mieć czasami jakieś wątpliwości, dzięki temu zachowujemy elastyczność myślenia – O'Donnell uśmiechnął się. – Ale o niektórych sprawach powinien pan wiedzieć. Rozmawiałem z kilkoma starszymi pracownikami; opowiedzieli mi o paru rzeczach, których nie znałem – umilkł na chwilę. – Przez trzydzieści dwa lata pracy Joe Pearson bardzo dużo zrobił dla szpitala; większość przeważnie o tym już nie pamięta, a tacy jak pan i ja nie mają o tym pojęcia. To on zainicjował bank krwi, wiedział pan o tym? To dziwne, kiedy się pomyśli, że wówczas

pomysł ten spotkał się z ogromnym sprzeciwem. Później działał na rzecz utworzenia komisji tkanki; słyszałem, że miał zagorzałych przeciwników wśród personelu szpitalnego. W końcu dopiął swego, komisja dobrze się zasłużyła w podniesieniu poziomu chirurgii. Zajmował się też pracą badawczą, interesował się przyczynami występowania raka tarczycy. Większość jego osiągnięć znalazła powszechne uznanie, lecz niewielu pamięta, czyjego są autorstwa.

– Nie słyszałem o tym – rzekł Coleman. – Dziękuję za informację.

– Cóż, o takich rzeczach zapomina się... Joe wprowadził do laboratorium wiele nowości: nowoczesne metody badawcze, nowy sprzęt. Niestety, przyszedł moment, że stanął w miejscu. Zaczął wieść życie pozbawione wszelkich aspiracji i popadł w rutynę. Czasami tak się zdarza.

Nagle Coleman przypomniał sobie ojca i swoje podejrzenia, że uczulona krew, która zabiła dziecko Alexandrów, pochodziła z transfuzji, której nie poprzedziło badanie czynnika Rh, mimo że wiedziano już, jakie rodzi to niebezpieczeństwa.

– Tak – odrzekł. – Zdarza się.

Równocześnie poderwali się z krzeseł i podeszli do drzwi. O'Donnell powiedział miękko: – Dobrze, że musimy być tolerancyjni. Widzi pan, nigdy nie wiadomo, kiedy sami będziemy potrzebowali zrozumienia.

– Wyglądasz na zmęczonego, Kent – odezwała się Lucy Grainger.

Było wczesne popołudnie. O'Donnell szedł korytarzem głównego piętra. Zatrzymał się – nie zauważył Lucy, gdyż stała za nim.

Kochana Lucy, pomyślał, zawsze taka sama, pełna ciepła i czułości. Czyżby naprawdę jeszcze tydzień temu poważnie myślał o rzuceniu Burlington i małżeństwie z Denise? W tej chwili wszystko to wydawało się tak odległe – było jakby nostalgicznym interludium, niczym więcej. Do tego miejsca należał na dobre i złe, tu było jego przeznaczenie.

Wziął ją pod ramię.

– Lucy, spotkajmy się. Jest tyle rzeczy do omówienia.

– Dobrze – uśmiechnęła się z sympatią. – Jutro możesz mnie zabrać na kolację.

Gdy szli korytarzem, czuł, że obecność Lucy wpływa na niego uspokajająco. Zerknął ukradkiem na jej twarz z profilu i już wiedział, że czeka ich wiele dobrego. Może trzeba będzie trochę czasu, żeby się dopasować, lecz w końcu, był o tym przekonany, odnajdą wspólną przyszłość.

Lucy myślała w duchu: niekiedy marzenia spełniają się; kto wie, może moje też się spełni,

i to niedługo.

Na oddziale patologii zmrok zapadał dość wcześnie. Była to cena, jaką płacili za pracę w podziemiach szpitala. Włączając światło David Coleman postanowił, że jednym z jego pierwszych posunięć będzie przeniesienie oddziału w inne, lepsze miejsce. Skończyły się czasy, gdy patologów automatycznie przenoszono do piwnic; światło i powietrze są im tak samo potrzebne jak innym oddziałom.

Wszedł do gabinetu; za biurkiem siedział Pearson i opróżniał zawartość szuflad. Sędziwy lekarz podniósł wzrok i spojrzał na przybysza.

– To zabawne – powiedział – jak dużo rupieci można uzbierać przez trzydzieści dwa lata.

Coleman obserwował go przez chwilę, po czym rzekł: – Przykro mi.

– Nie ma powodu – mruknął Pearson. Zamknął ostatnią szufladę i schował papiery do teczki.

– Słyszałem, że otrzymał pan nowe stanowisko. Gratuluję.

Coleman odparł szczerze: – Wolałbym, żeby doszło do tego w innych okolicznościach.

– Za późno, żeby się tym przejmować – zatrzasnął zamki w teczce i rozejrzał się. – Cóż, to chyba wszystko. Gdyby pan jeszcze coś znalazł, proszę mi przysłać razem z emeryturą.

– Chciałbym panu o czymś powiedzieć...

– Co takiego?

Coleman starannie dobierał słów.

– Ta studentka, której amputowano nogę... Dziś rano zrobiłem sekcję kończyny. To pan miał rację, ja się myliłem. Guz był złośliwy. Kostniako-mięsak, nie ma żadnych wątpliwości.

Stary patolog zatrzymał się w pół kroku. Robił wrażenie, jakby myślami krążył gdzieś daleko.

– Cieszę się, że nie popełniłem błędu – powiedział cedząc słowa – ... przynajmniej w tej kwestii. – Podniósł płaszcz i ruszył w stronę drzwi. Już miał wychodzić, lecz odwrócił się i zapytał jakby onieśmielony: – Czy zechciałby pan wysłuchać mojej rady?

Coleman kiwnął głową.

– Chętnie.

Jest pan młodym człowiekiem, pełnym zapału i żarliwości – to dobrze. Jest pan fachowcem w swojej dziedzinie, wie o rzeczach, których ja nigdy nie poznałem i już nie poznam. Dobrze radzę, by nigdy nie zbaczał pan z tej drogi. Nie będzie łatwo, co do tego nie mam żadnych złudzeń – machnął ręką w kierunku biurka, które właśnie zwolnił. – Będzie pan siedział tutaj

i przyjmował telefony: raz zadzwoni dyrektor administracyjny, żeby porozmawiać o finansach. Za chwilę jakiś laborant zechce się zwolnić i trzeba mu załatwić sprawę. Wpadną lekarze, by zapytać o to i owo – uśmiechnął się blade.

– Później pojawi się akwizytor, który zaoferuje sprzedaż nietłukących się probówek i palników, które nigdy nie gasną. Gdy się z nim rozmawia, przychodzi ktoś inny, ktoś następny, i kolejny, i tak dalej. Pod koniec dnia człowiek zastanawia się, na czym zleciał mu czas i co udało się zrobić do końca...

Pearson urwał, młody lekarz mu nie przeszkadzał. Czuł, że patolog mówiąc o tym wszystkim jeszcze raz przeżywa swą przeszłość.

– Tak może wyglądać każdy następny dzień, i kolejny, i jeszcze jeden. Aż w którymś momencie spostrzeżesz, że minął rok, potem drugi i następny.

Zajmując się tymi wszystkimi sprawami, drobiazgami, innych wysyłasz na kursy, by liznęli nowinek medycznych – bo sam nie możesz sobie pozwolić na stratę czasu. Powoli zaprzestajesz badań, a ponieważ pracujesz ciężko, wieczorem jesteś tak zmęczony, że nie masz ochoty na czytanie literatury medycznej. Nagle, któregoś dnia, dochodzisz do wniosku, że cała twoja wiedza jest już przestarzała, anachroniczna, lecz wówczas jest już za późno na jakąkolwiek zmianę.

Głos mu zadrżał od nadmiaru emocji. Położył dłoń na ramieniu Colemana i powiedział błagalnie: – Posłuchaj starszego człowieka, który tego doświadczył i który popełnił wielki błąd, pozostając daleko w tyle. Niech ci się coś takiego nie przytrafi! Uciekaj od telefonu, papierków, kartotek i czytaj, ucz się, słuchaj, by dotrzymać kroku nauce! Wówczas nikt ci się nie dobierze do skóry i nie powie: jesteś skończony, wyprany z wszystkiego, jesteś reliktem przeszłości. Po prostu – dorównasz innym, a może będziesz wiedział więcej niż oni, ponieważ będziesz miał doświadczenie...

Głos uwiązał mu w gardle i odwrócił się.

– Postaram się o tym pamiętać – rzekł Coleman i dodał uprzejmie: – Odprowadzę pana do wyjścia.

Wspięli się po schodach na główne piętro, gdzie rozpoczynała się właśnie przedwieczorna krzątania. Jakaś pielęgniarka minęła ich w pośpiechu: niosła tacę z posiłkiem. Zrobili miejsce, by przepuścić wózek inwalidzki: siedział w nim mężczyzna w średnim wieku, z zabandażowaną jedną nogą. W rękach trzymał kule, jak wiosła wciągnięte na pokład. Minęła ich młoda,

roześmiana pielęgniarka. Pracownica oddziału kobiecego pchała wózek, wyładowany jakimiś czasopismami. Jakiś mężczyzna szedł w stronę windy, ściskając w dłoni bukiet kwiatów. Gdzieś w głębi szpitala zapłakało dziecko. Tym żył szpital – żywy organizm, odbicie innego, większego świata, który rozciąga się za murami.

Pearson rzucił okiem dookoła. Coleman pomyślał: trzydzieści dwa lata i patrzy na to, kto wie, czy nie ostatni raz. Zadumał się: jak to będzie gdy przyjdzie na mnie pora? Czy za trzydzieści lat będę jeszcze pamiętał to spotkanie? Czy wtedy lepiej je zrozumieć?

Usłyszeli głos w megafonie: – Doktor Coleman, doktor Coleman... proszony jest na oddział chirurgii.

– Zaczęło się – odezwał się Pearson – Z pewnością chodzi o sekcję zamrożonego odcinka... Niech pan lepiej idzie – wyciągnął rękę: – Powodzenia.

Coleman nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– Dziękuję – odparł.

Starszy pan skinął głową i odwrócił się.

– Dobry wieczór, doktorze Pearson – była to jedna ze starszych pielęgniarek.

– Dobry wieczór – odpowiedział.

Później, już przy wyjściu, przystanął pod napisem PALENIE ZABRONIONE i zapalił cygaro.